



NEIL
GAIMAN.

RZECZY
ULOTNE

Cuda i zmyślenia

NEIL GAIMAN

RZECZY ULOTNE

CUDA I ZMYŚLENIA

Tłumaczyła: Paulina Braiter

Dla Raya Bradbury'ego i Harlana Ellisona

WSTĘP

„Myślę, że... wolałbym raczej wspominać życie zmarnowane na ściganiu rzeczy ulotnych niż poświęcone unikaniu moralnych zobowiązań”. Słowa te pojawiły się w moim śnie i gdy się ocknąłem, zapisałem je, niepewny co znaczą ani do kogo się odnoszą.

Pierwotnie planując tę książkę jakieś osiem lat temu, zamierzałem stworzyć zbiór opowiadań, który nazwałbym *Ci ludzie powinni wiedzieć kim jesteśmy i uprzedzić, że jesteśmy tutaj*. Był to cytat z dymku z niedzielnej wersji komiksu Little Nemo (o dziwo, obecnie można znaleźć piękną reprodukcję owej strony w książce Arta Spiegelmana *In the Shadow of No Towers*). Wszystkie historie miały być opowiadane w pierwszej osobie przez najróżniejszych podejrzanych, niegodnych zaufania narratorów. Narratorzy owi kolejno opisywaliby swoje życie, opowiadali nam, kim są i że oni także byli kiedyś tutaj. Tuzin ludzi, tuzin historii. Taki miałem pomysł, a potem życie jak zwykle wszystko zepsuło. Gdy zacząłem pisać opowiadania, które znajdziecie w tym zbiorze, przybrały one formę taką, jakiej wymagały, i choć niektóre pozostały skrawkami życia w pierwszej osobie, inne bardzo się zmieniły. Jedna z historii w ogóle nie dała się napisać, dopóki nie powierzyłem jej do opowiedzenia miesiącom roku; inna bardzo skutecznie namieszała w swojej tożsamości, co oznaczało, że musiałem ją napisać w trzeciej osobie.

W końcu zacząłem zbierać materiały do książki, zastanawiając się, jak mam ją nazwać, skoro poprzedni tytuł już nie pasował. I wtedy właśnie dotarła do mnie płyta *One Ring Zero As Smart As We Are*, usłyszałem, jak śpiewają tekst zapamiętany ze snu, i zacząłem się zastanawiać, o co właściwie mi chodziło z rzeczami ulotnymi.

Uznałem, że to dobry tytuł dla zbioru opowiadań. Ostatecznie jest tak wiele rzeczy ulotnych. Ludzie są tak nietrwali. Podobnie sny i serca.

Studium W Szmaragdzie

Tekst ten powstał do antologii *Shadows Over Baker Street*, którą mój przyjaciel Michael Reaves przygotował z Johnem Pelanem. Notka od Michaela brzmiała: „Chciałbym dostać opowiadanie, w którym Sherlock Holmes trafia do świata H.P. Lovecrafta”. Zgodziłem się je napisać, uważałem jednak, że samo założenie brzmi wyjątkowo mało obiecująco: świat Sherlocka Holmesa jest przecież całkowicie racjonalny, liczą się w nim

rozwiązania, a tymczasem fikcyjne dzieła Lovecrafta były zdecydowanie nieracjonalne i ludzkość, by przetrwać, potrzebowała tajemnic. Skoro miałem opowiedzieć historię łączącą oba te elementy, musiałem znaleźć jakiś ciekawy łącznik, pozwalający zachować się fair zarówno wobec Lovecrafta, jak i bohaterów sir Arthura Conan Doyle'a.

W dzieciństwie uwielbiałem historie Philipa Jose Farmera z cyklu *Wold Newton*, w których dziesiątki postaci literackich pojawiają się w jednym spójnym świecie. Kibicowałem też z całych sił moim

przyjaciołom, Kimowi Newmanowi i Alanowi Moore'owi, gdy budowali swe własne światy w tym stylu, odpowiednio w cyklu *Anno Dracula* i *Lidze Niezwykłych Dżentelmenów*. Wyglądało to na fajną zabawę. Zastanowiłem się, czy mógłbym spróbować czegoś podobnego.

Składniki opowieści, które pojawiły się w mej głowie, połączyły się w całość znacznie lepszą, niż z początku liczyłem. (Pisanie bardzo przypomina gotowanie - czasami ciasto nie chce urosnąć, nieważne co zrobisz, a od czasu do czasu smakuje lepiej, niż mógłbyś marzyć).

W sierpniu 2004 *Studium w szmaragdzie* zdobyło nagrodę Hugo dla najlepszego opowiadania. To coś, z czego do dziś jestem ogromnie dumny. Między innymi dzięki niemu także rok później zostałem z tajemniczych przyczyn wprowadzony do grona Baker Street Irregulars.

Magiczny Tan

Nic wielkiego. Ot, wiersz, ale świetnie się go czyta na głos.

Październik W Fotelu

Napisany dla Petera Strauba do niezwyklej antologii *Conjunctions*, którą gościnnie przygotowywał, tekst ten sięga korzeniami konwentu w Madison, na którym Harlan Ellison zaproponował, żebyśmy wspólnie napisali opowiadanie. Umieszczono nas za barierką, Harlana z maszyną do pisania, mnie z moim laptopem. Nim jednak zdążyliśmy zacząć, Harlan musiał skończyć wstęp, i podczas gdy go kończył, ja zacząłem tę historię i pokazałem

mu ją. „To czysto gaimanowskie opowiadanie”, orzekł. (Odłożyłem je zatem i zacząłem kolejne, nad którym pracujemy z Harlanem już od paru lat. O dziwo, za każdym razem, gdy się spotykamy i bierzemy do pracy, staje się coraz krótsze). Miałem zatem na twardym dysku fragment opowiadania. Parę lat później, kiedy Peter zaprosił mnie do *Conjunctions*, postanowiłem napisać historię o martwym i żywym chłopcu, coś w rodzaju ćwiczenia przed stworzeniem książki dla dzieci, którą miałem w planach (nosi tytuł *The Graveyard Book* i piszę ją w tej chwili). Potrzebowałem trochę czasu, by ustalić, jak układa się historia, a kiedy ją skończyłem, zadedykowałem tekst Rayowi Bradbury'emu, który napisałby go znacznie lepiej niż ja.

Październik... zdobył nagrodę Locusa dla najlepszego opowiadania roku 2003.

Ukryta Komora

Z początku dwie redaktorki, obie noszące imię Nancy, Kilpatrick i Holder, poprosiły żebym napisał coś „gotyckiego” do ich antologii *Outsiders*. Uznałem, że historia Sinobrodego i jej warianty to najbardziej gotycka ze wszystkich historii, toteż napisałem wiersz dziejący się niemal w pustym domu, w którym akurat mieszkałem.

„Niepokują” to coś, co Humpty-Dumpty nazwał „słowem-walizką”, coś pośredniego między „niepokoją” i „denerwują”.

Zbłąkane Oblubienice Złowieszczych Oprawców W Bezimiennym Domu Nocy Potwornego Pożądania

Zacząłem pisać tę historię ołówkiem pewnego zimowego wieczoru w poczekalni między peronami piątym i szóstym dworca kolejowego East Croydon. Miałem dwadzieścia dwa, prawie dwadzieścia trzy lata. Kiedy skończyłem, przepisałem tekst i pokazałem paru znajomym redaktorom. Jeden prychnął, oznajmił, że to nie dla niego i wątpi, by w ogóle był dla kogokolwiek. Drugi przeczytał, spojrział na mnie ze współczuciem i oddał mi opowiadanie, oświadczając, że nikt go nigdy nie wydrukuje, bo to radosna bzdura. Odłożyłem zatem tekst, ciesząc się, że uniknąłem publicznej kompromitacji, która z pewnością by mnie spotkała, gdyby więcej osób przeczytało go i zniechęciło.

Opowiadanie pozostało nieprzeczytane, migrując z teczki do pudełka i do kontenerka, z gabinetu do piwnicy i na strych, i jeśli nawet przez następne dwadzieścia lat o nim myślałem, to wyłącznie z ulgą, że nie ukazało się drukiem. A potem poproszono mnie o opowiadanie do antologii zatytułowanej *Gothic!* i przypomniałem sobie maszynopis na strychu. Poszedłem go poszukać i sprawdzić, czy znajdzie się w nim coś wartego uratowania.

Zacząłem czytać *Zbłąkane oblubienice* i podczas lektury uśmiechnąłem się. Uznałem, że to całkiem zabawny i inteligentny tekst; niezła historia. Wszystkie niezręczności należały do tych, jakie zazwyczaj znajduje się w młodzieżowej prozie, i łatwo można było je naprawić. Wyjąłem komputer i po dwudziestu latach przygotowałem kolejną wersję historii, skróciłem tytuł do dzisiejszej postaci i wysłałem do redaktora. Co najmniej jeden recenzent uznał to za radosną bzdurę, ale opinia większości wyglądała inaczej i *Zbłąkaneoblubienice* zostały wybrane do kilku antologii najlepszych w roku oraz zdobyły tytuł najlepszego opowiadania w głosowaniu 2005 Locus Awards.

Sam nie wiem jaka wynika z tego dla nas nauka. Czasami po prostu pokazujemy opowiadania nie tym ludziom co trzeba i nie ma czegoś, co spodoba się wszystkim. Czasem zastanawiam się, co jeszcze kryje się w pudłach na strychu.

Kamyki Z Alei Wspomnień

Inspiracją do jednego z tych tekstów stał się posążek Lisy Snellings, przedstawiający mężczyznę z kontrabasem, takim samym na jakim grałem w dzieciństwie; druga powstała do antologii prawdziwych opowieści o duchach. Większość pozostałych autorów stworzyła historie bardziej zadowolające od mojej, choć moja ma tę niezbyt satysfakcjonującą przewagę, że jest w stu procentach prawdziwa. Historie te pojawiły się

najpierw w tomiku *Adventures in the Dream Trade*, zbiorku opublikowanym przez NESFA Press w 2002 roku, gromadzącym mnóstwo wstępów, notek i różnych takich.

Pora Zamykania

Michael Chabon przygotowywał zbiór opowiadań fantastycznych mających zademonstrować, jaką radość może dać lektura, a także pomóc zebrać fundusze na 826 Valencia (pomagającą dzieciom pisać). (Książka ukazała się pod tytułem *McSweeneys Mammoth Treasury of Thrilling Tales*). Poprosił mnie o opowiadanie, spytałem więc, czy brakuje mu jakiegoś gatunku. Owszem - chciał historię o duchach w stylu M.R. Jamesa.

Zabrałem się zatem do pisania prawdziwej opowieści o duchach, lecz ukończony tekst zawdzięcza znacznie więcej mojemu umiłowaniu „osobliwych historii” Roberta Aickmana niż Jamesowi (choć po ukończeniu okazał się także opowiadaniem klubowym, załatwiając dwa podgatunki za cenę jednego). Następnie trafił do kilku antologii najlepszych w roku i zdobył przyznawany przez pismo Locus tytuł najlepszego opowiadania roku 2004.

Wszystkie miejsca opisane w tej historii są prawdziwe, choć zmieniłem parę nazw - przykładowo Klub Diogenes to w istocie Klub Troja przy Hanway Street. Część ludzi i wydarzeń także jest autentyczna, bardziej niż można by przypuszczać. W chwili, gdy to piszę, zastanawiam się, czy domek do zabaw wciąż istnieje, czy też zburzyli go i w miejscu, gdzie czekał, zbudowali budynki mieszkalne. Przyznaję jednak, że zupełnie nie mam ochoty pojechać tam i sprawdzić.

Zmiana w wodwo

Wodwo, czy wodwose, to dziki człowiek z lasów. Tekst powstał dla antologii *Green Man* przygotowanej przez Windling i Dadow.

Smak goryczy

W 2002 napisałem cztery opowiadania. Podejrzewam, że to jest z nich najlepsze, choć nie zdobyło żadnych nagród. Pisałem je z myślą o antologii mojej przyjaciółki Nalo Hopkinson *Majo: Conjure Stones*.

To inni

Nie pamiętam, gdzie byłem ani kiedy, gdy przyszła mi do głowy ta krótka moebiusowska historia. Pamiętam, że zanotowałem pomysł i pierwszą linijkę. Potem zwątpiłem, czy są oryginalne. Może przypomiiałem sobie jak przez mgłę przeczytane kiedyś w dzieciństwie opowiadanie Fredrica Browna albo Henry’ego Kuttnera? Historia robiła wrażenie nie mojej, obcej. Pomysł wydawał się zbyt ironiczny i kompletny, i podszedłem do niego nieufnie.

Jakiś rok później, nudząc się w samolocie, natrafiłem na notatkę dotyczącą opowiadania, a że przeczytałem już gazetę, po prostu je napisałem - skończyłem jeszcze przed

ładowaniem. Potem zadzwoniłem do paru znających się na rzeczy przyjaciół i odczytałem im tekst, pytając, czy wydaje się im znajomy, czy ktokolwiek czytał coś takiego wcześniej. Odparli, że nie. Zazwyczaj pisuję opowiadania, bo ktoś je u mnie zamawia. Teraz jednak pierwszy raz w życiu miałem opowiadanie, na które absolutnie nikt nie czekał. Posłałem je do Gordona z *The Magazine of Fantasy and Science Fiction*, a on przyjął tekst i zmienił mu tytuł. To zupełnie mi nie przeszkadzało. (Ja sam podczas pisania zatytułowałem je *Zaświaty*).

Często pisuję w samolotach. Gdy zacząłem pracę nad *Amerykańskimi bogami*, w samolocie do Nowego Jorku napisałem historię, która, byłem tego pewien, trafi do książki. Nie znalazłem jednak miejsca, do którego by pasowała. Wreszcie, gdy ukończyłem powieść i historia się w niej nie znalazła, przerobiłem ją na kartkę świąteczną, rozesłałem i kompletnie o niej zapomniałem. Parę lat później wydawnictwo Hill House Press, publikujące niezwykle piękne limitowane edycje moich książek, wysłało ją prenumeratorom jako własną kartkę świąteczną. Historia ta nigdy nie miała tytułu. Nazwijmy ją:

Mapy

Historie opisuje się najlepiej, opowiadając historie. Widzicie? Kiedy ktoś opisuje opowieść sobie bądź światu, czyni to poprzez jej odwiedzenie. To akt równowagi, sen. Im dokładniejsza mapa, tym bardziej przypomina teren. Najdokładniejsza mapa sama byłaby terenem. W ten sposób stałaby się idealnie dokładna i całkowicie bezużyteczna.

Opowieść to mapa, która jest terenem. Musicie o tym pamiętać.

Niemal dwa tysiące lat Chinami władał cesarz, mający obsesję na punkcie sporządzenia map krainy, którą przyszło mu rządzić. Na wyspie zbudowanej wielkim kosztem, przypadkiem także ludzkiego życia (bo woda była głęboka i zimna), na jeziorze kompleksu pałacowego rozkazał odtworzyć w miniaturze całe Chiny. Każda góra stała się kopczykiem, każda rzeka wąską strużką. Cesarz potrzebował pół godziny, by obejść swą wyspę.

Każdego ranka o brzasku setka ludzi płynęła na wyspę, po czym naprawiała wszystkie elementy, które uszkodziła natura bądź dzikie ptactwo albo pochłonęło jezioro. Następnie usuwali i przerabiali te części ziem cesarskich, które naprawdę nawiedziły powodzie, trzęsienia ziemi bądź lawiny. Chodziło o to, żeby mapa jeszcze lepiej odzwierciedlała świat.

Cesarzowi wystarczyło to niemal przez rok, potem jednak dostrzegł w sobie rosnące niezadowolenie z wyspy i zaczął w chwilach przed snem planować stworzenie kolejnej mapy, jednej setnej wielkości jego ziem. Każda chata, dom i dwór, każde drzewo, wzgórze i zwierzę zostałyby odtworzone w jednej setnej swej wielkości.

Był to wspaniały plan, którego realizacja wyczerpałaby do szczytu skarbiec cesarski. Wymagała też udziału liczby ludzi większej, niż potrafił ogarnąć umysł: kartografów i badaczy, mierniczych, urzędników, malarzy. Należałoby zatrudnić konstruktorów modeli, garncarzy, budowniczych i rzemieślników, oraz sześciuset zawodowych śniących, by ujawnili naturę rzeczy ukrytych pod korzeniami drzew i w najgłębszych górskich jaskiniach, a także w głębinach morza, bo mapa warta cokolwiek musiałaby obejmować zarówno cesarstwo widoczne, jak i niewidoczne.

Taki był plan cesarza.

Tego wieczoru pierwszy z ministrów i prawa ręka cesarza próbował odwieść go od tego pomysłu. Spacerowali razem po pałacowych ogrodach pod wielkim złocistym księżycem.

- Wasza cesarska wysokość musi wiedzieć - rzekł pierwszy z ministrów - iż to, co zamierza, jest...

W tym momencie zabrakło mu odwagi i umilkł. Jasnołuski karp wynurzył się nad wodę, roztrzaskując odbicie złotego księżyca na setki tańczących odłamków, a każdy z nich sam przypominał maleńki

księżyc. Potem tarcza znów zlała się w jeden nietknięty krąg odbitego światła, złoto w wodzie barwy nocnego nieba, tak ciemnofioletowego, że nikt nigdy nie wziąłby go za czarne.

- ...Niemożliwe? - spytał łagodnie cesarz.

Właśnie wtedy, gdy cesarze i królowie zachowują się najłagodniej, są najniebezpieczniejsi.

- Nic, czego życzy sobie cesarska wysokość, nie mogło być uznane za niemożliwe - odparł pierwszy z ministrów. - Będzie to jednak kosztowne. Stworzenie tej mapy opróżni skarb cesarski. Znikną miasta i wioski, robiąc miejsce dla twojej mapy. Pozostawisz po sobie kraj, którym twoi następcy nie będą mogli dłużej władać, bo nie będzie ich na to stać. Jako twój doradca sprzeniewierzyłbym się obowiązkowi, gdybym ci o tym nie powiedział.

- Może masz rację - rzekł cesarz. - Może. Gdybym jednak miał cię posłuchać i zapomnieć o tej mapie świata, pozostawić ją niezrealizowaną, jej wizja dręczyłaby mój umysł i na zawsze psuła smak jadalna na języku i wina w ustach.

Gdzieś z daleka, z głębi ogrodu, dobiegł ich śpiew słowika.

- Lecz ta kraina-mapa - wyznał cesarz - to wciąż jedynie początek. Już w trakcie jej budowy będę tęsknić i planować moje arcydzieło.

- A cóż to będzie? - spytał łagodnie pierwszy z ministrów.

- Mapa - oświadczył cesarz - wszystkich cesarskich dominiów, na której każdy dom przedstawiać będzie dom naturalnej wielkości, każdą górę góra, każde drzewo drzewo tych samych rozmiarów i gatunku, każdą rzekę rzeka, a każdego człowieka człowiek.

Pierwszy z ministrów skłonił się nisko w blasku księżyca i zatopiony w myślach wrócił z powrotem do cesarskiego pałacu, trzymając się z szacunkiem kilka kroków za cesarzem.

W kronikach zapisano, że cesarz zmarł we śnie, i istotnie, odpowiada to prawdzie - choć można by dodać, że jego śmierć nie była całkiem naturalna, a najstarszy syn, który zastąpił go na tronie cesarskim, zupełnie nie interesował się mapami i ich sporządzaniem.

Wyspa na jeziorze stała się ostoją dzikich ptaków i wszelkich gatunków wodnego ptactwa, które pod nieobecność pływających je ludzi rozdziobały małe kopczyki gór, by zbudować gniazda. Wody jeziora zaczęły podmywać brzegi wyspy, aż z czasem wszyscy o niej zapomnieli i pozostało tylko jezioro.

Mapa odeszła, podobnie jej twórca, lecz kraina żyła dalej.

Pamiętki i skarby

Historia ta, nosząca podtytuł *Historia miłosna*, rozpoczęła życie, przynajmniej częściowo, jako komiks pisany do zbioru *noir* Oscara Zarate *Its Dark In London* i ilustrowany przez Warrena Pleece'a. Warren świetnie się spisał, nie byłem jednak zadowolony z tekstu i zacząłem się zastanawiać, co uczyniło z mężczyzny, który nazywał się Smithem, człowieka, którym się stał. Al Sarrantonio poprosił mnie o opowiadanie do antologii 999 i uznałem, że ciekawie byłoby złożyć ponowną wizytę Smithowi i panu Alice oraz ich historii. Obaj pojawiają się także w innym opowiadaniu w tym zbiorze. Myślę, że pozostało do opowiedzenia jeszcze więcej historii o nieprzyjemnym panu Smisie, zwłaszcza ta traktująca o jego rozstaniu z panem Alice.

Fakty w sprawie zniknięcia panny Finch

Kiedyś pokazano mi obraz Franka Frazetty i poproszono, bym napisał towarzyszące mu opowiadanie. Nie potrafiłem wymyślić żadnej historii, zamiast tego więc opowiedziałem o tym, co się zdarzyło pannie Finch.

Dziwne dziewczynki

...To w istocie dwanaście bardzo krótkich historyjek napisanych jako uzupełnienie płyty Tori Amos *Strange Little Girls*. Zainspirowana przez Cindy Sherman i same piosenki, Tori stworzyła postaci do każdej z nich, a ja napisałem ich historie. Nigdy jeszcze nie ukazały się w żadnym zbiorze, choć wydano je w broszurze z trasy koncertowej, a cytaty z historii pojawiały się na płycie.

Arlekin i walentynki

Lisa Snellings to rzeźbiarka i artystka, której dzieła uwielbiam od lat. Na podstawie jej rzeźby diabelskiego młyna powstała książka *Strange Attractions*. Wielu świetnych autorów napisało opowiadania traktujące o pasażerach w koszach. Mnie spytano, czy chciałbym napisać historię zainspirowaną przez postać sprzedawcy biletów, uśmiechniętego arlekina.

I napisałem.

Zazwyczaj historie nie piszą się same, ale jeśli chodzi o tę, pamiętam, że wymyśliłem tylko pierwsze zdanie. Potem przypominało to wpisywanie dyktowanego tekstu, podczas gdy arlekin radośnie tańczył i podskakiwał, świętując swoje walentynki.

Arlekin to postać hultaja z *commedia dell'arte*, niewidzialny psotnik wyposażony w maskę i magiczny kij i ubrany w kostium o wzorze w romby. Kochał Kolombinę i poszukiwał jej wśród kolejnych atrakcji, natykając się na tak klasyczne postaci Doktora i Klowna, i czasami odmieniając każdego, kogo napotkał na swej drodze.

Zamki

Złotowłosa i trzy misie to bajka poety Southeya. No, niezupełnie - jego wersja opowiada

o staruszce i trzech niedźwiedziach. Kształt historii i to, co się w niej działo, były jak należy, lecz ludzie szybko zrozumieli, że bohaterką powinna zostać dziewczynka, nie stara kobieta, i gdy ją powtarzali, dokonali stosownej zmiany.

Oczywiście bajki łatwo się roznoszą, można je złapać, zarazić się nimi. To wspólna waluta - nasza i tych, którzy wędrowali po świecie, nim się na nim zjawiliśmy. (Opowiadanie moim dzieciom historii, które z kolei usłyszałem od moich rodziców i dziadków, sprawia, że czuję się częścią czegoś niezwykłego i wyjątkowego, częścią nieustającego strumienia życia).

Kiedy pisałem to dla mojej córki Maddy, miała dwa lata. Teraz ma jedenaście i wciąż dzielimy się historiami, tyle że pokazywanymi w telewizji bądź na filmach. Czytamy te same książki i rozmawiamy o nich, ale nie czytam jej już na głos, zresztą nawet to stanowiło kiepski substytut opowiadania historii z głowy.

Uważam, że opowiadanie historii to coś, co jesteśmy sobie winni. Jeśli w ogóle mam czy będę miał jakieś credo, to właśnie takie.

Problem Zuzanny

Lekarz, którego wezwała do mnie obsługa hotelowa, oznajmił, iż kark dolega mi tak bardzo, wymiotuję, mam zawroty głowy i wszystko mnie boli dlatego, że złapałem grypę. Zaczął wymieniać środki przeciwbólowe i rozluźniające, które mogłyby mi pomóc. Wybrałem z listy lek przeciwbólowy i wróciłem chwiejnie do pokoju, gdzie zemdlałem, niezdolny się ruszyć, myśleć ani unieść głowy. Trzeciego dnia zadzwonił mój własny domowy lekarz, zaalarmowany przez moją asystentkę Lorraine, i po krótkiej rozmowie oświadczył:

„Nie lubię stawiać diagnoz przez telefon, ale według mnie to zapalenie opon mózgowych”. Miał rację. Faktycznie, to było zapalenie opon mózgowych.

Minęło kilka miesięcy, nim znów zacząłem myśleć dość jasno, by pisać, i opowiadanie to jest pierwszym tekstem, jaki wówczas powstał. Czuję się, jakbym na nowo uczył się chodzić. Zamówił je u mnie Al Sarrantonio do antologii *Flights*, zbioru opowiadań fantasy.

W dzieciństwie setki razy czytałem książki o Narnii, jako dorosły wracałem do nich dwukrotnie, czytając na głos moim dzieciom. Jest w nich tak wiele rzeczy, które kocham, lecz za każdym razem nieodmiennie irytuje mnie to, jak autor potraktował Zuzannę, i wydaje mi się to problematyczne. Chciałem chyba napisać opowiadanie równie problematyczne i równie irytujące, choć z innej perspektywy, a także powiedzieć parę słów o niezwykłej mocy literatury dziecięcej.

Instrukcja

Choć w moim ostatnim zbiorze *Dym i lustra* umieściłem kilka wierszy, pierwotnie planowałem, że w tej książce znajdzie się wyłącznie proza. W końcu jednak się złamałem, głównie dlatego, że bardzo podoba mi się wiersz. Jeśli należycie do ludzi, którzy nie lubią poezji, możecie pocieszyć się myślą, że podobnie jak ten wstęp, są one za darmo. Książka kosztowałaby tyle samo z nimi czy bez nich i nikt nie zapłacił mi więcej za dodanie ich. Czasami miło jest mieć coś krótkiego, co można przeczytać i odłożyć, tak jak czasem

warto dowiedzieć się czegoś na temat historii powstawania jakiegoś tekstu, choć oczywiście tego także nie trzeba czytać. (I mimo że wiele tygodni byłem się z myślami, radośnie ustalając kolejność tekstów, ich kształt i porządek, Wy oczywiście możecie - i powinniście - czytać je w takiej kolejności, jaka najbardziej Wam odpowiada). To całkiem dosłownie instrukcja co robić, jeśli nagle znajdziecie się w baśni.

Jak myślisz, jakie to uczucie?

Zgodziłem się napisać tekst do antologii opowiadań o gargulcach. Choć termin zbliżał się szybkimi krokami, wciąż nie miałem pomysłu.

W końcu przyszło mi do głowy, że gargulce umieszczano na kościołach i katedrach, by ich strzegły. Zastanawiałem się, czy gargulec mógłby strzec czegoś innego. Na przykład serca...

Moje życie

Ten krótki dziwaczny monolog miał towarzyszyć zdjęciu skarpetkowej małpki w albumie dwustu fotografii skarpetkowych małpek zatytułowanym niezbyt zaskakująco *Sock Monkeys* i przygotowanym przez fotografa Arne Svensona. Małpka na moim zdjęciu wyglądała, jakby miała za sobą ciężkie, lecz ciekawe życie.

Moja przyjaciółka zaczęła właśnie pisać do Weekly World News i świetnie się bawiłem, wymyślając dla niej różne historie. (Przestała dla nich pisać, gdy odkryła, że co prawda podpisują jej teksty nazwiskiem, ale jej za nie nie płacą).

Zacząłem się zastanawiać, czy gdzieś na świecie istnieje ktoś, kogo życie przypomina Weekly World News. W albumie *Sock Monkeys* tekst został wydrukowany jako proza, ale bardziej mi się podoba podzielony na wersy. Nie wątpię, że przy dostatecznym dopływie alkoholu i chętnych słuchaczach mógłby ciągnąć się bez końca. (Od czasu do czasu ludzie piszą do mnie na adres strony z pytaniem, czy miałbym coś przeciw temu, gdyby wykorzystali ten bądź inne moje teksty podczas przesłuchań. Nie mam).

Piętnaście malowanych kart z wampirzego tarota

Pewnego dnia być może dokończę wielkie arkana. Zostało jeszcze siedem kart i siedem krótkich opowieści. A potem czas na mniejsze arkana. Sami możecie nakreślić własne obrazy.

Karmiący i karmieni

To koszmarny sen, który nawiedził mnie, kiedy miałem dwadzieścia kilka lat.

Uwielbiam sny. Wiem o nich dość, by się orientować, że logika snu nie przypomina zwyczajnej logiki i że rzadko można oddać sen w formie opowieści. Po przebudzeniu złoto zamienia się w liście, jedwabie w pajęczyny. Istnieją jednak rzeczy, które można sprowadzić ze sobą ze snu: atmosfera, chwile, ludzie, temat. To jednak jedyny przypadek, jaki pamiętam, kiedy obudziłem się z całą historią.

Najpierw napisałem ją w formie komiksu, ilustrowanego przez obdarzonego wieloma

talentami Marka Buckingham. Później próbowałem przerobić na szkic pornograficznego filmu grozy, którego nigdy nie nakręcę (historii zatytułowanej *Pozarty: sceny z filmu*). Parę lat temu redaktor Steve Jones spytał, czy nie chciałbym wskrzesić jakiejś niesprawiedliwie zapomnianej historii do antologii *Keep Out the Night*. Przypomniałem sobie wówczas ten tekst, zakasałem rękawy i zacząłem pisać. Czernidłaki kołpakowate to faktycznie przepyszne grzyby, tyle że wkrótce po zerwaniu rozpływają się w czarną ohydłą atramentowatą maź i dlatego nie widuje się ich w sklepach.

Krup chorobotwórców

Poproszono mnie, żebym napisał coś do książki o wymyślonych chorobach (*The Thackery T. Lambshead Pocket Guide to Eccentric and Discredited Diseases* pod redakcją Jeffa Vandermeera i Tima Lebbona), i uznałem, że wymyślona choroba związana z tworzeniem wymyślonych chorób to ciekawy pomysł. Pisząc ten tekst, używałem dawno zapomnianego programu komputerowego Babble oraz zakurzonego, oprawnego w skórę poradnika dla lekarzy domowych.

Gdy nastał koniec

Próbowałem sobie wyobrazić ostatnią księgę Biblii.

A jeśli chodzi o nazywanie zwierząt, przyznam, że z głębokim zachwytem odkryłem niedawno, iż słowo „yeti” znaczy w dosłownym tłumaczeniu „to coś, o tam”.
(- Szybko, dzielny himalajski przewodniku. Co to jest to coś, o tam?)

- **Yeti.**

- O rany, naprawdę?).

Goliat

„Chcę, żebyś napisał opowiadanie”, oznajmiła moja agentka kilka lat temu. „Ma trafić na stronę sieciową filmu, który jeszcze nie wszedł na ekrany kin, zatytułowanego *Matrix*. Przyślą ci scenariusz”.

Z zainteresowaniem przeczytałem scenariusz i napisałem historię, która trafiła na stronę krótko przed premierą.

Kartki z pamiętnika znalezione w pudełku po butach w autobusie rejsowym gdzieś między Tulsą w stanie Oklahoma i Louisville w Kentucky

Tekst ten powstał kilka lat temu na potrzeby trasy koncertowej *Scarlet's Walk* mojej przyjaciółki Tori Amos i niezwykle się ucieszyłem, gdy wybrano go do antologii najlepszych opowiadań roku. To historia zainspirowana luźno muzyką ze *Scarlets Walk*. Chciałem napisać coś na temat tożsamości, podróży i Ameryki.

Niewielki tekst uzupełniający do *Amerykańskich bogów*, w którym wszystko, łącznie z jakimkolwiek rozwiązaniem, pozostaje tuż poza zasięgiem.

Jak rozmawiać z dziewczynami na prywatkach

Proces pisania historii fascynuje mnie równie mocno, jak jego owoce. Ta historia, na przykład, rozpoczęła życie jako dwie różne (nieudane) próby napisania relacji z turystycznej wycieczki na Ziemię, przeznaczone do przygotowywanej przez australijskiego krytyka i redaktora, Jonathana Strahana, antologii *The Starry Rift*. (Nie znajdziecie w niej tego opowiadania. Po raz pierwszy ukazuje się drukiem. Mam nadzieję, że do książki Jonathana napiszę co innego). Historia, którą zaplanowałem, zupełnie mi nie wyszła; pozostało tylko kilka fragmentów wiodących donikąd. Nie dałem rady. Zacząłem wysyłać e-maile do Jonathana, informując, że nie dostanie opowiadania, przynajmniej ode mnie. Odpowiedział, że właśnie otrzymał świetny tekst od autorki, którą szczerze podziwiam, i że napisała go w dwadzieścia cztery godziny.

Wziąłem zatem pusty notes i pióro, poszedłem do altany na końcu ogrodu i w ciągu jednego popołudnia napisałem to opowiadanie. Po raz pierwszy przeczytałem je na głos kilka tygodni później na imprezie charytatywnej w CBGBs. To chyba najlepsze możliwe miejsce do czytania historii traktujących o punku i roku 1977, toteż występ sprawił mi ogromną przyjemność.

Dzień, w którym przybyły spokki

Napisane w nowojorskim pokoju hotelowym w tygodniu, gdy nagrywałem wersję audio mojej powieści *Gwiezdny pył*, podczas czekania na samochód, dla redaktorki i poetki Rain Graves, która poprosiła mnie o parę wierszy na swą stronę www.spiderwords.com. Bardzo ucieszyło mnie odkrycie, że świetnie się sprawdza czytany na głos przed publicznością.

Ptak słońca

Moja najstarsza córka Holly powiedziała dokładnie, co chciałaby dostać na osiemnaste urodziny. „Chciałabym coś, czego nie może mi dać nikt inny, tato. Chcę, żebyś napisał dla mnie opowiadanie”. A potem, ponieważ zna mnie dobrze, dodała: „Wiem, że zawsze się spóźniasz. Nie chcę cię stresować ani nic takiego, toteż jeśli dostanę je do dziewiętnastych urodzin, będzie super”.

Pewien nieżyjący już pisarz z Tulsa w stanie Oklahoma (zmarł w 2002 roku) przez pewien czas pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych był najlepszym autorem opowiadań na świecie. Nazywał się R.A. Lafferty, a jego historie są niezwykle, wyjątkowe i nie poddają się żadnym klasyfikacjom - wystarczy jedno zdanie, by wiedzieć, że czyta się opowiadanie Lafferty'ego. Gdy byłem młody, napisałem do niego, a on odpisał.

Ptak słońca to moja próba stworzenia historii w stylu Lafferty'ego. Nauczył mnie mnóstwa rzeczy, głównie tego, że są one znacznie trudniejsze, niż się wydaje. Holly dostała je dopiero, gdy skończyła dziewiętnaście i pół roku. Byłem wtedy w połowie pisania *Chłopaków Anansiego* i stwierdziłem, że jeśli nie skończę czegoś pisać - czegokolwiek - to chyba oszaleję. Za zgodą córki opowiadanie ukazało się w książce o

niezwykle długim tytule, często skrącanym do *Noisy Outlaws, Unfriendly Blobs and some Other Things That Aren't As Scary...* z której wpływy zasiliły program wspierania czytelnictwa 826 New York.

Nawet jeśli kupiliście mój zbiór, być może zechcecie kupić książkę o niezwykle długim tytule, ponieważ znajdziecie w niej opowiadanie Clementa Freuda *Grimble*.

Wymyślanie Aladyna

Jedną z rzeczy, które mnie zadziwiają (i użyłem tu słowa „zadziwiają” w sensie: naprawdę, naprawdę wkurzają) są wypowiedzi naukowców w książkach traktujących o baśniach i folklorze - a czasem zdarza mi się czytać podobne książki - wyjaśniające, dlaczego nikt ich nie napisał, i podkreślające, że szukanie autora opowieści ludowych to czcze zajęcie. Książki te, bądź artykuły, starają się dowieść, iż ludzie natrafili sami z siebie na wszystkie historie, czy też w najlepszym razie lekko je zmienili, a ja myślę wówczas: owszem, ale każda z nich musiała gdzieś mieć swój początek, w czyjejs głowie. Ponieważ historie zaczynają się w umysłach. To nie artefakty ani zjawiska naturalne.

Pewna książka naukowa tłumaczyła, że wszystkie baśnie, w których bohater zasypia, bez wątpienia rozpoczęły swój żywot jako sny zrelacjonowane po przebudzeniu przez ludzi prymitywnych, nieumiejących odróżnić snów od rzeczywistości. I właśnie owe sny stały się zalążkiem naszych baśni. Teorię tę od początku uważam za dziurawą, bo w historiach, które trwają i są powtarzane, obowiązuje logika narracji, nie logika snu.

Historie tworzą ludzie, którzy je wymyślają. Jeśli się podobają, są opowiadane na nowo. Oto prawdziwa magia.

Szeherazada jako narrator była fikcją, podobnie jej siostra i krwiożerczy król, którego musiały co noc ugłaskiwać. Same *Baśnie z tysiąca i jednej nocy* to konstrukcja sztuczna, złożona z elementów pochodzących z najróżniejszych kultur, a baśń o Aladynie powstała stosunkowo późno i została dołączona do *Baśni z tysiąca i jednej nocy* przez Francuzów zaledwie paręset lat temu. Co oznacza, że kiedy powstała, z całą pewnością nie wyglądała tak, jak ją opisuję. A jednak. A przecież.

Władca górskiej doliny

Historia, która powstała i istnieje z powodu miłości, jaką darzę odległe zakątki Szkocji, gdzie pod brudnobiałym niebem widać kości ziemi, a wszystko jest zdumiewająco piękne i wydaje się tak odległe, jak to tylko możliwe. Dobrze było ponownie spotkać się z Cieniem dwa lata po wydarzeniach opisanych w mojej powieści *Amerykańscy bogowie*.

Robert Silverberg poprosił mnie o dłuższe opowiadania do drugiego tomu antologii *Legendy*. Nie obchodziło go, czy napiszę opowiadanie ze świata *Nigdziebądź*, czy też *Amerykańskich bogów*. Opowiadanie z *Nigdziebądź*, które zacząłem, natrafiło na problemy techniczne (nosiło tytuł *Jak Markiz odzyskał swój płaszcz* i któregoś dnia pewnie je skończę). *Władcę górskiej doliny* zacząłem pisać w

mieszkanii w Notting Hill; reżyserowałem tam krótkometrażowy film *A Short Film about John Bolton*. Dokończyłem je podczas jednego długiego zimowego maratonu w domku nad jeziorem, w którym obecnie piszę ten wstęp. Moja przyjaciółka, Iselin

Evensen z Norwegii, po raz pierwszy opowiedziała mi legendy o *hulder* i poprawiła mój norweski. Podobnie jak w Bay Wolfie z *Dymu i luster* w opowiadaniu tym widać wpływy Beowulfa, a w czasie, gdy powstawało, byłem pewien, iż scenariusz Beowulfa, który pisałem dla i z Rogerem Avarym, nigdy nie zostanie sfilmowany. Oczywiście się myliłem, podoba mi się jednak przepaść pomiędzy matką Grendela sportretowaną przez Angelinę Jolie w filmie Roberta Zemeckisa i wersją tej samej postaci, o której możecie przeczytać tutaj.

Chciałbym podziękować wszystkim redaktorom najróżniejszych zbiorów, w których po raz pierwszy ukazywały się niniejsze opowiadania, a zwłaszcza Jennifer Brehl i Jane Morpeth, moim redaktorkom w Stanach i w Wielkiej Brytanii, za ich pomoc i wsparcie, a przede wszystkim cierpliwość, oraz mojej agentce literackiej, srogiej Merrilee Heifetz, i jej bandzie działającej na całym świecie.

Pisząc to, pomyślałem sobie właśnie, że osobliwą cechą większości rzeczy, które uważamy za ulotne, jest ich niezwykła trwałość. W dzieciństwie zabawialiśmy się sztuczkami z jajkami, pokazującymi, jak wielką mają moc owe małe kuliste fortece, kryjące w sobie skarb; a naukowcy twierdzą, że uderzenie skrzydełek motyla w odpowiednim miejscu może wywołać huragan nad oceanem. Serce można złamać, lecz jednocześnie serce to najsilniejszy z mięśni, kurczący się rytmicznie przez całe życie, siedemdziesiąt razy na minutę i bardzo rzadko zawodzący. Nawet sny, najdelikatniejsze i najbardziej ulotne ze wszystkiego, czasami niezwykle trudno zabić.

Historie, podobnie jak ludzie, motyle, jajeczka dzikich ptaków, ludzkie serca i sny to także rzeczy ulotne. Składa się na nie zaledwie dwadzieścia sześć liter alfabetu i garść znaków przestankowych. Albo słowa rozbrzmiewające w powietrzu, złożone z dźwięków i idei - abstrakcyjne, niewidzialne, które znikają, gdy tylko zostają wypowiedziane. Czy może być coś bardziej ulotnego? Lecz niektóre historie, krótkie, proste, opowiadające o przygodach i ludziach dokonujących niezwykłych wyczynów, historie o cudach i potworach przetrwały wszystkich, którzy je opowiadali, a niektóre nawet krainy, w których powstały.

I choć wątpię, by stało się tak z którąkolwiek z historii zgromadzonych w tym tomie, miło jest zebrać je razem i znaleźć dla nich dom, gdzie będą mogły być czytane i pamiętane. Mam nadzieję, że czeka Was przyjemna lektura.

Neil Gaiman

Pierwszego dnia wiosny 2006 roku

STUDIUM W SZMARAGDZIE

1. Nowy znajomy

Świeżo po Serii Niewiarygodnych Europejskich Występów, podczas której grali przed obliczami kilku KORONOWANYCH GŁÓW EUROPY, zyskując poklask i uznanie dla wspaniałych spektakli dramatycznych, łączących w sobie KOMEDIĘ i TRAGEDIĘ,

Strand Players informują niniejszym, iż w kwietniu dadzą ograniczoną liczbę spektakli w Teatrze Królewskim przy Drury Lane. Przedstawia tam sztuki *Mój brat bliźniaczy Tom!*, *Dziewczynka z fiołkami* i *Przybycie Wielkich Przedwiecznych* (ów ostatni spektakl to historyczna Tragedia Epicka, pełna Rozmachu i Uroku); trzy pełne jednoaktowe historie! Bilety dostępne w kasie.

To ów ogrom. Olbrzymie rozmiary tego co ukryte. Ciemność panująca w snach.

Ale widzę, że zbaczam z tematu. Wybaczcie, nie jestem człowiekiem pióra.

Potrzebowałem kwatery. Tak właśnie go poznałem. Szukałem kogoś, z kim podzieliłbym się kosztami pokojów. Przedstawił nas sobie wspólny znajomy w laboratoriach chemicznych u Świętego Barta.

- Widzę, że był pan w Afganistanie - powiedział do mnie nieznajomy w białym kitlu laboratoryjnym, a ja spojrzałem na niego zadziwiony, ze zdumienia otwierając usta.

- Niewiarygodne - rzekłem.

- Ależ nie - odparł człowiek, który miał stać się moim przyjacielem. - Z tego, jak unosi pan rękę, wnioskuję, że został pan ranny, i to w szczególny sposób. Jest pan też mocno opalony, ma postawę wojskowego. A w Imperium nie znajdzie się zbyt wiele miejsc, gdzie wojskowy mógł jednocześnie się opalić i, biorąc pod uwagę naturę obrażeń pańskiego ramienia i tradycje mieszkańców Afganistanu, zostać poddany torturom.

Kiedy ujął to w ten sposób, jego wnioski wydały mi się absurdalnie proste, ale też zawsze tak wyglądały. Byłem spalony na brąz. I istotnie, jak słusznie zauważył, torturowano mnie.

Bogowie i lud afgański to stado dzikusów, nieskorych poddać się władzy Whitehallu, Berlina czy nawet Moskwy, nieumiejących rozsądnie spojrzeć na świat. Wysłano mnie na tamte wzgórza wraz z tym regimentem. I dopóki walka ograniczała się do wzgórz i gór, biliśmy się jak równy z równym. Gdy potyczki sięgnęły jaskiń i zalegających w nich ciemności, natrafiliśmy na coś, z czym nie potrafiliśmy sobie poradzić. Nigdy nie zapomnę lustrzanej tafli podziemnego jeziora, ani tego, co z niego wychynęło. Czy tego czegoś otwierały się i zamykały, a gdy powstawało, słyszałem śpiewne szepty krążące wokół niego niczym brzęczenie much większych niż światy.

To, że przetrwałem, zakrawało na cud, lecz ów cud nastąpił i powróciłem do Anglii z nerwami w strzępach. Miejsce, w którym dotknęła mnie przywodząca na myśl pijawkę paszcza, pozostało na zawsze wytatuowane na skórze mego uschniętego ramienia: plama biała jak żabi brzuch. Kiedyś byłem świetnym strzelcem, teraz nie miałem nic prócz bliskiego panice strachu przed światem ukrytym pod naszym światem, sprawiającego, że wolałem płacić z mej niewielkiej wojskowej renty sześć pensów za dorożkę niżli pensa za jazdę metrem.

Mimo wszystko mgły i mroki Londynu dodały mi otuchy. Pierwsze dwie kwatery straciłem, bo krzyczałem nocami. Kiedyś byłem w Afganistanie, ale teraz już nie.

- Krzyczę w nocy - uprzedziłem.

- Mnie mówiono, że chrapię - odparł. - Pracuję też w dziwnych godzinach i często ćwiczę strzelanie do przedmiotów na kominku. W salonie przyjmuję klientów. Jestem samolubny, skryty i łatwo się nudzę. Czy to panu przeszkadza?

Uśmiechnąłem się, pokręciłem głową i wyciągnąłem rękę. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

Pokoje, które dla nas znalazł przy Baker Street, okazały się więcej niż wystarczające dla dwóch kawalerów. Pamiętając, co mój przyjaciel powiedział o swej skrytości,

powstrzymałem się od pytania, w jaki sposób zarabia na życie, jednak wiele wydarzeń podsycalo moją ciekawość. Goście odwiedzali go o różnych porach dnia i nocy, a gdy to czynili, opuszczałem salon i udawałem się do swojej sypialni, zastanawiając się, co mogą mieć wspólnego z moim przyjacielem: blada kobieta o zasnutym bielmem, białym jak kość oku, drobny mężczyzna przypominający komiwojażera, tęgi dandys w aksamitnym surducie i inni. Niektórzy odwiedzali go często, wielu jednak zjawiało się tylko raz, rozmawiało z nim i znikalo - jedni wyraźnie zadowoleni, inni niespokojni.

Był dla mnie tajemnicą.

Pewnego ranka posilaliśmy się jednym ze wspaniałych śniadań naszej gospodyni, gdy mój przyjaciel zadzwonił, wzywając ową zadaną niewiastę.

- Za jakies cztery minuty dołącz do nas pewien dzentelmen - oznajmił. - Prosimy o jeszcze jedno nakrycie.

- Oczywiście - odparła. - Położę na ruszcie dodatkowe kielbaski. Mój przyjaciel wrócił do lektury porannej gazety. Z rosnącym zniecierpliwieniem czekałem na wyjaśnienia. W końcu nie mogłem już dłużej wytrzymać.

- Nie rozumiem. Skąd wiesz, że za cztery minuty zjawi się gość? Nie przyszedł przeciez telegram, nie dostałeś zadnej wiadomości.

Uśmiechnął się lekko.

- Nie słyszałeś terkotu kół powozu parę minut temu? Przejeżdżając koło nas zwolnił. Woźnica najwyraźniej zidentyfikował nasze drzwi, po czym przyspieszył i pojechał dalej, aż do Marylebone Road. Przy dworcu kolejowym i gabinecie figur woskowych zatrzymuje się tak wiele dorożek i pojazdów, że ktoś, kto chce wysiąść niepostrzeżenie, może zrobić to z łatwością. Spacer stamtąd do nas zajmuje cztery minuty...

Zerknął na zegarek kieszonkowy i w tym momencie usłyszałem kroki na schodach.

- Wejdz, Lestrade! - zawołał mój przyjaciel. - Drzwi są otwarte, a twoje kielbaski dochodzą właśnie na ruszcie.

Przybysz, który jak zrozumiałem nazywał się Lestrade, otworzył drzwi i zamknął je za sobą starannie.

- Nie powinienem - powiedział - lecz prawdę mówiąc, dziś rano nie miałem szansy się posilić i chętnie skosztuję kilku waszych kielbasek.

Był to niski mężczyzna, którego widziałem kilka razy wcześniej; wyglądał na handlarza gumowymi zabawkami bądź patentowanymi medykamentami.

Mój przyjaciel odczekał, aż gospodyni opuści pokój.

- Oczywiście, zakładam, że to sprawa wagi państwowej - rzekł.

- Na wszystkie gwiazdy! - Lestrade zbladł. - Z pewnością wieści jeszcze się nie rozeszły. Powiedz mi, że nie. - Hojnie nałożył sobie kielbasek, śledzi, ryżu z rybą i jajkami, i grzanek, lecz ręce trzęsły mu się lekko.

- Oczywiście, że nie - odparł mój przyjaciel. - Znamy się jednak dość długo, bym rozpoznawał skrzywienie kół twojego powozu: wibrujące wysokie G. A jeśli inspektor Lestrade ze Scodand Yardu, nie mogąc otwarcie odwiedzić salonu jedyne go londyńskiego detektywa doradcy, i tak przyjeżdża, i to bez śniadania, niewątpliwie nie chodzi o sprawę rutynową. Ergo, dotyczy ona tych, którzy stoją ponad nami i jest to sprawa wagi państwowej.

Lestrade starł serwetką z brody odrobinę żółtka. Przyjrzałem mu się uważnie. Według mnie nie wyglądał jak inspektor policji, ale też mój przyjaciel nie wyglądał na detektywa

doradcę - cokolwiek to miało znaczyć.

- Może powinniśmy pomówić o tym w cztery oczy? - zasugerował Lestrade, zerkając na mnie.

Mój przyjaciel uśmiechnął się figlarnie; jego głowa zakołysała się jak wtedy, gdy śmiał się z jakiegoś prywatnego żartu.

- Bzdura. Co dwie głowy, to nie jedna, a to, co powiesz jednemu z nas, możesz powiedzieć obu.

- Jeżeli przeszkadzam... - zacząłem szorstko, on jednak uciszył mnie gestem.

Lestrade wzruszył ramionami.

- Dla mnie to bez znaczenia - powiedział po chwili. - Jeżeli rozwiążesz tę sprawę, dalej będę miał pracę, jeżeli nie, stracę ją. Użyj swych metod, powiadam. Gorzej i tak już nie będzie.

- Jeśli historia nauczyła nas czegokolwiek, to tego, że zawsze może być gorzej - nie zgodził się mój przyjaciel. - Kiedy wyruszymy do Shoreditch?

Lestrade upuścił widelec.

- To niegodne! - wykrzyknął. - Żartujesz tu sobie ze mnie, a przecież wiesz już o całej sprawie! Powinieneś się wstydzić...

- Nikt niczego mi nie mówił. Kiedy jednak inspektor policji wchodzi do mego pokoju i widzę na jego nogawkach i butach świeże plamy błota owej osobliwej musztardowożółtej barwy, z pewnością wolno mi założyć, że niedawno znalazł się obok wykopów przy Hobbs Lane w Shoreditch, bo to jedyne miejsce w Londynie, w którym można znaleźć podobnie ubarwione błoto.

Inspektor Lestrade z zakłopotaniem odwrócił wzrok.

- Teraz, gdy tak to ująłeś, wydaje się to oczywiste - rzekł. Mój przyjaciel odsunął talerz.

- Niewątpliwie - powiedział z lekką irytacją.

Na East End pojechaliśmy dorożką. Inspektor Lestrade wrócił na Marylebone Road do swego powozu i zostawił nas samych.

- Naprawdę jesteś detektywem doradcą? - spytałem.

- Jedyńm w Londynie, może nawet na całym świecie - odparł mój przyjaciel. - Nie przyjmuję spraw. Zamiast tego doradzam. Inni przynoszą mi nierozwiązane problemy, opisują je, a ja czasami znajduję rozwiązanie.

- Zatem ci ludzie, którzy cię odwiedzają...

- To głównie policjanci albo detektywi, owszem.

Był piękny poranek, jednakże dorożka akurat, trzęsąc się, przejeżdżała skrajem Katowni Świętego Idziego, gniazda złodziei i morderców, szpecącego oblicze Londynu niczym narośl rakowa twarz pięknej kwiaciarki, i przez okno do środka wpadało tylko słabe przyćmione światło.

- Na pewno chcesz, bym pojechał z tobą?

W odpowiedzi mój przyjaciel spojrział na mnie bez mrugnięcia.

- Mam dziwne uczucie - rzekł. - Przeczucie, że przeznaczone jest nam być razem, że walczyliśmy już u swego boku w przeszłości bądź przyszłości. Jestem człowiekiem racjonalnym, już dawno jednak nauczyłem się doceniać wartość dobrego kompana, a od chwili, gdy padł na ciebie mój wzrok, wiedziałem, że mogę ci zaufać tak jak samemu sobie. Owszem. Chcę, żebyś pojechał ze mną.

Zarumieniałem się, może powiedziałem coś niemądrego. Po raz pierwszy od Afganistanu

poczułem, że jestem cokolwiek wart.

2. Pokój

„Vitae” Wiktora! Fluid elektryczny! Czy twoim członkom i dolnym partiom ciała brak życia? Czy z zazdrością wspominasz czasy swej młodości? Czy zapomniałeś już o rozkoszach cielesnych? „Vitae” Wiktora przywróci życie temu, co dawno je utraciło! Nawet najstarsza chabeta znów przeistoczy się w dumnego ogiera! Nowe życie dla martwych: połączenie starej rodzinnej receptury i najnowszych osiągnięć naukowych. Aby otrzymać pisemne świadectwo skuteczności „Vitae” Wiktora, napisz do Kompanii W. von F., 1 b Cheap Street, Londyn.

To była tania kamienica czynszowa w Shoreditch. Przy drzwiach frontowych pełnił straż policjant. Lestrade pozdrowił go po nazwisku i gestem zaprosił nas do środka. Już miałem wejść, lecz mój przyjaciel przykucnął na progu i wyciągnął z kieszeni płaszcz szkło powiększające. Uważnie zbadał błoto na skrobaczce z kutego żelaza, trącając je palcem. Dopiero wtedy pozwolił nam wejść.

Ruszyliśmy na górę. Natychmiast się zorientowałem, w którym pomieszczeniu doszło do zbrodni, przy wejściu czuwało bowiem dwóch rosłych konstabli.

Lestrade skinął im głową i odsunęli się na bok. Weszliśmy.

Jak już wspominałem, nie jestem człowiekiem pióra i waham się przed opisem owego miejsca, gdyż wiem, że moje słowa nie oddadzą tego, co widziałem. Skoro już jednak zacząłem tę opowieść, lękam się, że muszę kontynuować. W niewielkim mieszkaniu popełniono morderstwo. Ciało, czy też to, co z niego zostało, wciąż leżało na podłodze. Ujrzałem je, lecz z początku z jakichś powodów go nie dostrzegłem. Zamiast tego zobaczyłem to, co wytrysnęło i wypłynęło z gardła i piersi ofiary: całą gamę odcieni, od żółtawego seledynu po soczystą trawiastą zieleń. Płyn ów wsiąknął w wytarty dywan i rozbryznął się po tapecie. Przez sekundę wydało mi się, że to dzieło piekielnego artysty, który postanowił stworzyć studium w szmaragdzie.

Po chwili, trwającej, jak się zdawało, sto lat, spojrzałem w dół na ciało, wypatroszone niczym królik u rzeźnika, i próbowałem pojąć, co widzę. Zdjąłem kapelusz; mój przyjaciel uczynił to samo.

Ukląkł i zbadał ciało, oglądając uważnie rany i skaleczenia. Potem znów wyjął lupę i podszedł do ściany, przyglądając się rozbryzgowi zasychającej posoki.

- Już to zrobiliśmy - oznajmił inspektor Lestrade.

- Ach tak - odparł mój przyjaciel. - Co zatem o tym myślicie? To przecież słowo.

Lestrade podszedł do miejsca, w którym stał mój przyjaciel, i spojrzał w górę. Na wyblakłej żółtej tapecie, nieco nad głową inspektora, istotnie widniało słowo, wypisane drukowanymi literami w zielonej krwi.

- Rache...? - Lestrade przeliterował. - Niewątpliwie miał zamiar napisać Rachela, ale przerwano mu. Zatem szukamy kobiety.

Mój przyjaciel milczał. Wrócił do nieboszczyka i podniósł kolejno jego dłonie. Na czubkach palców nie znalazł śladów posoki.

- Myślę, że dowodzi to jasno, że słowa nie napisał jego Królewska Wysokość.

- Skąd, do diabła, wiesz...?

- Mój drogi Lestrade. Proszę, nie odmawiaj mi choćby odrobiny rozumu. Zwłoki bez

wątpienia nie należą do człowieka: kolor krwi, liczba członków, oczy, umiejscowienie twarzy, wszystko to świadczy o królewskim pochodzeniu. Choć nie potrafię stwierdzić, do której należy linii, domyślam się, że to być może następca... nie, drugi w kolejce do tronu... jednej z prowincji niemieckich.

- Niesamowite! - Lestrade zawahał się przez moment. - To księżę Franz Drago z Bohemii. Przebywał u nas w Albionie na zaproszenie Jej Wysokości Wiktorii. Pragnął rozrywek i zmiany otoczenia...

- Czyli teatrów, dziwek i salonów hazardu.

- Skoro tak twierdzisz. - Lestrade sprawiał wrażenie urażonego. - W każdym razie, podsunąłeś nam świetny trop. Rachela. Choć nie wątpię, że sami także byśmy go znaleźli.

- Z pewnością - przytaknął mój przyjaciel.

Wrócił do oględzin pokoju, kilka razy rzucając cierpkie uwagi na temat policjantów, którzy butami zatarli ślady stóp i przesunęli przedmioty mogące posłużyć do rekonstrukcji wydarzeń z poprzedniej nocy. Mimo wszystko jednak zainteresowała go niewielka plama błota znaleziona za drzwiami.

Przy kominku natrafił na coś, co przypominało kurz albo popiół.

- Widziałeś to? - spytał Lestrade'a.

- Policji Jej Królewskiej Mości - odparł Lestrade - nie fascynuje widok popiołu w palenisku. Tam właśnie zwykle się go znajduje. - Zaśmiał się.

Mój przyjaciel wziął szczyptę popiołu, roztarł go między palcami i powąchał. W końcu zgarnął resztę do szklanej fiolki, którą starannie zamknął korkiem i schował do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Potem wstał.

- A ciało?

- Pałac przyśle swoich ludzi - wyjaśnił Lestrade.

Przyjaciel skinął na mnie; razem ruszyliśmy do drzwi. Westchnął.

- Inspektorze, pańskie poszukiwania panny Racheli mogą okazać się bezowocne. Rache to także niemieckie słowo. Oznacza zemstę. Proszę sprawdzić w słowniku. Ma również inne znaczenia.

Dotarliśmy na dół i wyszliśmy na ulicę.

- Nigdy wcześniej nie widziałeś członka rodu królewskiego, prawda? - spytał.

Pokręciłem głową.

- Jeśli nie jesteś nań wcześniej przygotowany, widok ów może wstrząsnąć człowiekiem. Ależ, mój przyjacielu, ty drżysz.

- Wybacz. Za chwilę dojdę do siebie.

- Może miałbyś ochotę się przejść? - spytał, a ja zgodziłem się, pewien, że jeśli nie ruszę się z miejsca, zacznę krzyczeć.

- W takim razie na zachód.

Mój przyjaciel wskazał ręką ciemną wieżę pałacu. Ruszyliśmy naprzód.

- A zatem - rzekł po jakimś czasie - nigdy nie spotkałeś osobiście żadnej z koronowanych głów Europy?

- Nie.

- Chyba mogę z pełnym przekonaniem stwierdzić, że spotkasz. I tym razem nie będzie to trup. Wkrótce.

- Mój drogi druhu, skąd to przekonanie?

W odpowiedzi wskazał czarny powóz, który zatrzymał się pięćdziesiąt jardów przed nami. Przy drzwiach stał człowiek w czarnym cylindrze i płaszczu. Otworzył drzwiczki i czekał w milczeniu. Złotą farbą wymalowano na nich herb znany każdemu dziecku Albionu.

- Pewnych zaproszeń się nie odrzuca - oznajmił mój przyjaciel. Uchylił kapelusza przed lokajem. Odniosłem wrażenie, że uśmiechnął się, wsiadając do zamkniętego powozu i sadowiąc się wygodnie na miękkiej skórzanej kanapie.

Gdy w czasie jazdy do pałacu próbowałem go zagadnąć, przyłożył palec do ust. Potem zamknął oczy i pogrążył się w myślach.

Ja tymczasem próbowałem sobie przypomnieć, co mi wiadomo o niemieckich rodach królewskich. Jednakże prócz tego, że małżonek królowej, książę Albert, jest Niemcem, nie wiedziałem zbyt wiele.

Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem garstkę monet - z brązu i srebra, czarnych i zaśniedziałych. Przyjrzałem się wybitemu na nich portretowi naszej królowej i poczułem patriotyczną dumę i jednocześnie niewyobrażalną grozę. Powiedziałem sobie, że byłem przecież wojskowym i nie znałem strachu; pamiętałem czasy, gdy tak było w istocie. Przez chwilę wspominałem, że kiedyś byłem świetnym strzelcem, może wręcz wyborowym, lecz moja prawa ręka zadygotała niczym w ataku choroby, monety zabręczały, a ja poczułem wyłącznie żal.

3. Pałac

Nareszcie! Doktor Henry Jekyll z dumą ogłasza wprowadzenie do powszechnej sprzedaży cieszących się światową sławą Proszków Jekylla. Dostępne już nie tylko dla garstki wybrańców. Uwolnij swoje Wewnętrzne Ja! Daje Oczyszczenie Wewnętrzne i Zewnętrzne! ZBYT WIELU LUDZI, tak mężów jak i niewiast, cierpi na ZATWARDZENIE DUSZY! Ulga jest natychmiastowa i tania - dzięki Proszkom Jekylla! (Do wyboru receptura waniliowa i oryginalna mentolowa).

Książę małżonek Albert był roslym mężczyzną o imponująco sumiastym wąsie i nader wysokim czole; był też niewątpliwie i całkowicie człowiekiem. Wyszedł po nas na korytarz, skinieniem głowy pozdrowił mojego przyjaciela i mnie, nie spytał o nasze nazwiska i nie zaproponował uścisku dłoni.

- Królowa jest wielce zasmucona - oznajmił. Miał wyraźny cudzoziemski akcent. S wymawiał jak z: Jezd. Zazmucona. - Franz był jednym z jej ulubieńców. Ma wielu siostrzeńców i bratanków, on jednak niezwykle ją rozśmieszał. Znajdziecie tych, którzy mu to zrobili.

- Zrobię co w mojej mocy - odparł mój przyjaciel.

- Czytałem pańskie monografie - powiedział książę Albert. - To ja kazałem im zwrócić się do pana. Mam nadzieję, że uczyniłem słusznie.

- Ja także - rzekł mój przyjaciel.

W tym momencie wielkie drzwi otwarły się i wprowadzono nas w mrok przed oblicze królowej.

Nazywają ją Wiktoria, bo siedemset lat temu pokonała nas w bitwie. Nazywają ją też Glorianą, bo jest wspaniała, a także Królową, gdyż ludzkie usta niezdolne są wymówić jej

prawdziwe imię. Była wielka, większa niż sobie wyobrażałem. Przycupnęła nieruchomo wśród cieni, patrząc na nas z góry.

„Muzszicie to rozzwiązać”.

Jej słowa zabrzmiały pośród cieni.

- Tak jest, pani - odparł mój przyjaciel. Macka poruszyła się i wskazała mnie. „Wyzstąp naprzód”.

Chciałem posłuchać. Moje nogi się nie poruszyły.

Uratował mnie przyjaciel. Ujął mnie za łokieć i doprowadził ku Jej Wysokości.

„Nie bać zsię. Być godnym, Być towarzyszem”. To właśnie do mnie powiedziała. Przemawiała przejmująco słodkim kontraltem, w którym pobrzmiwało odległe bzyczenie. A potem macka rozwinęła się, wyprostowała i dotknęła mojego ramienia. Przez moment, ale tylko moment, poczułem ból głębszy i bardziej przejmujący niż cokolwiek, czego doświadczyłem w życiu. Potem zniknął, zastąpiony niezwykłym wrażeniem zdrowia. Poczułem, jak mięśnie mego ramienia się rozluźniają, i po raz pierwszy od czasów Afganistanu ból zniknął.

Wówczas mój przyjaciel wystąpił naprzód. Wiktoria przemówiła do niego, ale nie słyszałem jej słów. Zastanawiałem się, czy w jakiś sposób nie trafiają wprost z jej umysłu do jego głowy. Czy tak właśnie wygląda Rada Królewska, o której czytałem w dziełach historycznych?

- Oczywiście, pani - odpowiedział głośno. - Już teraz mogę powiedzieć, że tamtej nocy w pokoju w Shoreditch twojemu bratankowi towarzyszyło dwóch mężczyzn. Ślady, choć zatarte, wskazują to wyraźnie. - A potem dodał: - Tak. Rozumiem... Myślę, że tak... Tak. Gdy wyszliśmy z pałacu, milczał, nie odzywał się też podczas jazdy powrotnej na Baker Street.

Na dworze było już ciemno. Zastanawiałem się, ile czasu spędziliśmy w pałacu.

Ulice i niebo zasnuwały macki gęstej czarnej mgły.

Po powrocie na Baker Street, spoglądając w lustro w moim pokoju, stwierdziłem, że biała jak żabi brzuch skóra na mym ramieniu nabrała różowego odcienia. Miałem nadzieję, że nie wyobrażam sobie tego, że nie sprawia tego tylko blask księżyca wpadający przez okno.

4. Występ

KŁOPOTY Z WĄTROBĄ?! ATAKI ŻÓŁCI?! PROBLEMY NEURASTENICZNE?! PŁASAWICA?! ARTRETYZM?! To tylko garstka dolegliwości, na które odpowiedź może stanowić profesjonalne WYKRWAWIENIE. W naszych siedzibach mamy dziesiątki potwierdzonych RELAGI, z którymi każdy może zapoznać się wedle woli. Nie składajcie zdrowia w ręce amatorów! Nasza firma zajmuje się tym od bardzo dawna. V. TEPES - ZAWODOWY WYKRWAWICIEL (Pamiętajcie! Wymawia się to Tzseppesz!). Rumunia, Paryż, Londyn, Whitby. Gdy reszta zawiedzie, POMOŻEMY W BIEDZIE!!

Fakt, iż mój przyjaciel okazał się mistrzem maskowania, nie powinien mnie zaskoczyć, a jednak tak się stało. Przez następne dziesięć dni nasz próg przy Baker Street przekraczała osobliwa ludzka zbieranina - starszawy Chińczyk, młody rzezimieszek, gruba rudowłosa kobieta, której dawna profesja nie pozostawiała cienia wątpliwości, oraz szacowny stary dureń, o stopie opuchniętej i zabandażowanej z powodu podagry.

Każde z nich wchodziło do pokoju mego przyjaciela, po czym, po krótkiej chwili, godnej najlepszego z music-hallowych „mistrzów szybkiego przebierania”, wychodził mój przyjaciel.

Nie rozmawiał ze mną o tym, co robił podczas swych wycieczek. Wolał odpocząć, wpatrując się w przestrzeń. Od czasu do czasu czynił notatki na skrawkach papieru. Szczerze przyznam, iż nie rozumiałem z nich ani słowa. Wydawał się całkowicie zaabsorbowany pracą - do tego stopnia, że zacząłem się martwić o jego zdrowie. Wreszcie, pewnym późnym popołudniem wrócił do domu we własnej skórce, pogodnie uśmiechnięty, i spytał, czy interesuję się teatrem.

- Tak jak każdy - odparłem.

- Zatem weź swoją lornetkę - polecił. - Ruszamy na Drury Lane. Spodziewałem się opery komicznej czy czegoś w tym rodzaju, zamiast tego jednak znaleźliśmy się w najgorszym chyba teatrze przy Drury Lane, chociaż noszącym dumne miano królewskiego. Szczerze mówiąc, teatr ów właściwie nie mieścił się przy Drury Lane: stał na samym końcu ulicy, przy Shaftesbury Avenue, w miejscu w którym aleja zbliża się do Katowini Świętego Idziego. Za radą przyjaciela ukryłem portfel i idąc za jego przykładem, zabrałem porządną laskę.

Gdy zasiedliśmy już w łoży (za trzy pensy kupiłem pomarańczę od jednej z uroczych młodych niewiast, które sprzedawały je widzom, i czekając na spektakl, delektowałem się soczystym owocem), mój przyjaciel powiedział cicho:

- Masz szczęście, że nie musiałeś towarzyszyć mi do jaskiń hazardu ani do domów rozpusty, czy też domu wariatów, kolejnego miejsca, które, jak odkryłem, uwielbiał odwiedzać książę Franz. Ale nigdzie nie chodził więcej niż raz. Nigdzie oprócz...

Orkiestra odegrała fanfarę i kurtyna się uniosła. Mój przyjaciel umilkł.

Na swój sposób było to całkiem niezłe przedstawienie. Obejrzelśmy trzy jednoaktowe sztuki. Pomiędzy aktami aktorzy śpiewali komiczne pieśni. Główny amant był wysoki, szczupły i obdarzony niezłym głosem. Amantka zachwycała elegancją, a jej głos docierał do najdalszych zakątków teatru. Komik doskonale zabawiał publiczność.

Pierwsza sztuka była ludyczną komedią pomyłek. Amant grał parę identycznych bliźniaków, którzy, w ogóle się nie znając, zdołali dzięki serii pociesznych przypadków zaręczyć się z tą samą młodą panną, która, jakże zabawnie, uważała, że jest zaręczona tylko z jednym mężczyzną. Drzwi otwierały się i zamykały, gdy aktor zmieniał kostiumy.

W drugim akcie obejrzelśmy rozdzierającą serce opowieść o młodej sierocie, która głodowała w śniegu, sprzedając ciepłarniane fiołki. W końcu poznała ją babka i przysięgła, że to dziecko skradzione dziesięć lat temu przez bandytów. Było już jednak za późno i mały zamrożony aniołek wydał swe ostatnie tchnienie. Muszę przyznać, iż podczas tej części więcej niż raz ocierałem ukradkiem oczy lnianą chustką.

Na zakończenie aktorzy przedstawili poruszającą historyczną opowieść. Cała trupa zagrała mężów i niewiasty z wioski na brzegu oceanu siedemset lat przed dzisiejszymi czasami. Wieśniacy ujrzeli w dali postaci wynurzające się z morza. Bohater radośnie oświadczył całej wiosce, że to Wielcy Przedwieczni, którzy zgodnie z przepowiednią powracają z R'lyeh i z mrocznej Carcosy, a także z równin Leng, gdzie spali, bądź czekali w stanie bliskim śmierci. Komik odparł, iż pozostali wieśniacy zjedli za dużo placków i wypili zbyt wiele piwa, a teraz po prostu wyobrażają sobie owe postaci. Tęgi dzentelmen grający księdza rzymskiego Boga ogłosił wszem wobec, iż postaci w morzu to potwory i

demony, i że trzeba je zniszczyć.

Punkt kulminacyjny stanowiła bójka, podczas której bohater zatłukł księdza na śmierć jego własnym krucyfiksem i przygotował się do powitania Ich, gdy tylko przybędą. Bohaterka odśpiewała poruszającą arię. Jednocześnie obejrzelśmy zdumiewający pokaz latarni magicznej, która sprawiła, że zdawało się nam, że dostrzegamy Ich cienie na niebie z tyłu sceny: Królową Albionu w Jej własnej osobie, Czarnego Władcę Egiptu (o postaci niemal przypominającej człowieka), za nimi Pradawną Kozę, Matkę Tysiąca Młodych, Cesarza Wszechchin i Niewypowiedzianego Cara, a także Tego,

Który Prezyduje Ponad Nowym Światem i Białą Panią Antarktycznych Pustkowi oraz pozostałych. A gdy każdy kolejny cień przechodził przez scenę, czy też sprawiał wrażenie, że przechodzi, z gardeł wszystkich widzów zgromadzonych na galerii dobywało się donośne chóralne „Huzzah!”, aż w końcu samo powietrze zdawało się wibrować. Na malowane niebo wypłynął księżyc, po czym, w ostatnim pokazie teatralnej magii, bladej tarczy, o której wspominają dawne opowieści, zastąpiło ciepłe szkarłatne oblicze księżycy, który dziś świeci na naszym niebie.

Członkowie trupy wyszli na proscenium i uklonili się, witani oklaskami i wiwatami, a potem kurtyna opadła po raz ostatni i przedstawienie dobiegło końca.

- No proszę - rzekł mój przyjaciel. - Co o tym myślisz?

- Znakomite, doprawdy znakomite. Ręce bolały mnie od klaskania.

- Mój poczciwy druhu - przyjaciel uśmiechnął się - chodźmy za kulisy.

Wyszliśmy na dwór i skręciliśmy w alejkę biegnącą obok teatru do tylnych drzwi, gdzie chuda kobieta z torbielą na policzku zawzięcie dziergała na drutach. Mój przyjaciel pokazał jej bilet wizytowy i wpuściła nas do budynku, prowadząc schodami w górę do niewielkiej wspólnej garderoby. Przed brudnymi lustrami migotały płomyki świec i lamp naftowych. Mężczyźni i kobiety zmywali szminkę i zdejmowali kostiumy, nie zważając na nakazy obyczajności. Odwróciłem wzrok. Mój przyjaciel nie wyglądał na poruszonego:

- Czy mógłbym pomówić z panem Vernetem? - spytał głośno. Młoda kobieta grająca najlepszą przyjaciółką bohaterki pierwszej sztuki i zmysłową córkę oberżysty w ostatniej, wskazała nam kąt pomieszczenia.

- Sherry! Sherry Vernet! - zawołała.

Młodzian, który wstał na te słowa, był wysoki i chudy, mniej konwencjonalnie przystojny, niż wydawało się w światłach rampy. Spojrzał na nas pytająco.

- Nie wydaje mi się, bym miał przyjemność...

- Nazywam się Henry Camberley - oznajmił mój przyjaciel, nieco przeciągając sylaby. - Być może pan o mnie słyszał.

- Muszę wyznać, że nie miałem tego zaszczytu - odparł Vernet. Mój przyjaciel wręczył mu elegancki bilet wizytowy.

Młodzian przyjrzał się mu z nieskrywanym zainteresowaniem.

- Promotor teatralny? Z Nowego Świata? No, no. A to jest...? - Spojrzał na mnie.

- Mój przyjaciel, pan Sebastian. Nie pracuje w tym fachu. Wymamrotałem coś o tym, jak ogromnie podobało mi się przedstawienie, i uściskałem dłoń aktora.

- Odwiedził pan kiedyś Nowy Świat? - spytał mój przyjaciel.

- Jak dotąd nie miałem tego zaszczytu - przyznał Vernet choć zawsze o tym marzyłem.

- Cóż, dobry człowieku - rzekł mój przyjaciel z serdecznością i nonszalancją typową dla Nowego Świata. - Może twoje marzenie się spełni? Ta ostatnia sztuka... Nigdy nie

oglądałem niczego podobnego. Ty ją napisałeś?

- Niestety, nie. Autor to mój dobry przyjaciel. Ja natomiast skonstruowałem mechanizm latarni magicznej. Nie znajdzie pan dziś na scenie lepszego.

- Zechcesz podać mi nazwisko autora sztuki? Może winieniem pomówić bezpośrednio z tym twoim przyjacielem.

Vernet pokręcił głową.

- Lękam się, że to nie będzie możliwe. Dżentelmen ów pracuje w szanowanym zawodzie i nie chce rozgłaszać swych związków ze sceną.

- Rozumiem. - Mój przyjaciel wyjął z kieszeni fajkę i wsunął do ust. Zaczął klepać się po kieszeniach. - Przepraszam, zapomniałem zabrać kapciuch z tytoniem.

- Palę mocną czarną mieszankę - odparł młody aktor. - Jeśli jednak nie ma pan nic przeciwko temu...

- Ależ nie. - Mój przyjaciel uśmiechnął się szeroko. - Tak się składa, że ja też palę mocną czarną mieszankę.

Nabił fajkę tytoniem aktora i obaj zaczęli pykać, podczas gdy mój przyjaciel opisywał wizję sztuki, która mogłaby podbić sceny Nowego Świata, od wyspy Manhattan, aż po najdalszy kraniec kontynentu na odległym południu. Pierwszy akt stanowiłaby ostatnia oglądana przez nas sztuka, dalej być może opowiadałaby o władzy Wielkich Przedwiecznych nad ludzkością i jej bogami, a może o tym, co mogłoby się stać, gdyby ludzie nie mieli opieki rodzin królewskich, o świecie ciemności i barbarzyńców.

- Lecz to twój tajemniczy przyjaciel byłby autorem tej sztuki i to on zdecydowałby o wszystkim - zakończył mój przyjaciel. - Dramat spocząłby w jego rękach, gwarantuję jednak publiczność tak wielką, że nie zdołacie jej sobie wyobrazić, i znaczący udział we wpływach. Powiedzmy pięćdziesiąt procent.

- Cóż za porywająca perspektywa - mruknął Vernet. - Mam nadzieję, że nie okaże się zwykłym fajkowym gadaniem.

- O nie, mój panie, z pewnością się nie okaże - oświadczył mój przyjaciel, pykając z fajki i śmiejąc się z dowcipu rozmówcy. - Przyjdź, proszę, do mych pokojów przy Baker Street jutro rano po śniadaniu, powiedzmy o dziesiątej, w towarzystwie przyjaciela autora, a kontrakty będą już czekały.

Słyszając to, aktor wspiął się na krzesło i klasnął w dłonie, nakazując innym ciszę.

- Panie i panowie z naszej trupy, chcę wam coś ogłosić. - Jego donośny głos wypełnił całe pomieszczenie. - Obecny tu dżentelmen to Henry Camberley, promotor teatralny, który proponuje, że zabierze nas na drugą stronę Oceanu Atlantyckiego, gdzie czeka sława i bogactwa!

Odpowiedziało mu kilka wiwatów.

- Cóż - rzucił komik - to miła odmiana od śledzi i kiszzonej kapusty.

Cały zespół wybuchnął śmiechem.

I wśród uśmiechów zgromadzonych wyszliśmy z teatru i dalej, na zasnutą mgłą ulicę.

- Mój drogi druhu... - zacząłem. - Co ty...

- Ani słowa więcej - uciał mój przyjaciel. - W mieście jest wiele uszu.

I faktycznie, nie odezwaliliśmy się nawet słowem, póki nie wsiedliśmy do dorożki, która ruszyła z turkotem wzdłuż Charing Cross Road.

Nawet wtedy, nim cokolwiek powiedział, mój przyjaciel najpierw wyjął z ust fajkę i opróżnił na wpół wypaloną zawartość do niewielkiej puszki. Zamknął ją szczelnie i

wsunął do kieszeni.

- Dam głowę, że znaleźliśmy naszego Wysokiego Człowieka. Jeśli nie, możesz nazwać mnie kpem. Teraz pozostaje nam liczyć na to, że chciwość i ciekawość Kulawego Doktora okażą się dość mocne, by sprowadzić go do nas jutro rano.

- Kulawego Doktora? Mój przyjaciel prychnął.

- Tak go nazywam. Kiedy ujrzelśmy martwego księcia, ślady stóp i wiele innych wskazówek jasno dowodziły, że tamtej nocy w pokoju było jeszcze dwóch mężczyzn. Jeden wysoki - jego, jeśli się nie mylę, poznaliśmy przed chwilą - i drugi, niższy, kulejący, który wypatroszył księcia z fachowością sugerującą wykształcenie medyczne.

- Doktor?

- Istotnie. Przykro mi to mówić, lecz doświadczenie podpowiada mi, że jeśli doktor schodzi na złą drogę, staje się zbrodniarzem ohydniejszym i groźniejszym niż najgorszy rzezimieszek. Wystarczy wspomnieć Hustona od kąpieli w kwasie i Campbella, który sprowadził do Ealing łożo madejowe... - Kontynuował ten temat przez resztę drogi. Dorożka zatrzymała się przy krawężniku.

- Należy się jedenaście pensów - oznajmił dorożkarz.

Mój przyjaciel rzucił mu florena. Tamten złapał go i uchylił obszarpanego cylindra.

- Bardzo dziękuję szanownym panom! - zawołał, odjeżdżając w mgłę.

Podeszliśmy do drzwi frontowych. Wsunąłem klucz w zamek.

- Dziwne - rzekł mój przyjaciel. - Nasz dorożkarz właśnie minął jegomości na rogu.

- Czasem robią tak pod koniec zmiany - przypomniałem.

- W rzeczy samej - mruknął mój przyjaciel.

Tej nocy śniły mi się cienie, olbrzymie cienie przesłaniające słońce. Krzychałem do nich z rozpaczą, one jednak nie słuchały.

5. Skórka i pestka

W tym roku wkroczył w wiosnę z wiosennym zapachem! KUBA! Buty, pantofle, kamasze. Zadbaj o życiową stopę! Obcaszki to nasza specjalność! KUBA! Nie zapomnijcie też odwiedzić naszego nowego salonu krawieckiego na East Endzie, w którym znajdziecie. Państwo, najróżniejsze stroje wieczorowe, kapelusze, ozdoby, laski zwykłe i ze szpadami &c. KUBA Z PICCADILLY. Witamy wiosennie!

Jako pierwszy zjawiał się inspektor Lestrade.

- Rozstawił pan swoich ludzi na ulicy? - spytał mój przyjaciel.

- Owszem - odparł Lestrade. - I wydałem ściśle rozkazy, by wpuszczali wszystkich i aresztowali każdego, kto próbuje stąd wyjść.

- Ma pan przy sobie kajdanki?

W odpowiedzi Lestrade wsunął rękę do kieszeni i z ponurą miną zabrzączał dwiema parami kajdanek.

- A teraz - rzekł - skoro i tak czekamy, może zechce pan powiedzieć mi, na co?

Mój przyjaciel wyjął z kieszeni fajkę. Nie wsunął jej do ust, lecz położył przed sobą na stole. Następnie wyciągnął puszkę z poprzedniego wieczoru i szklaną fiolkę, użytą wcześniej owego dnia w pokoju w Shoreditch.

- Proszę. Oto, jak mam nadzieję dowieść, gwóźdź do trumny naszego pana Verneta - zawiesił głos. Wyjął z kieszonki zegarek i położył delikatnie na stole. - Mamy jeszcze

kilka minut do ich przybycia. - Odwrócił się do mnie. - Co ci wiadomo o restauracjonistach?

- Nic a nic - odparłem. Lestrade zakasłał.

- Jeśli mówi pan o tym o czym myślę, to może powinniśmy zostawić ten temat. Istnieją pewne granice.

- Już na to za późno - oznajmił mój przyjaciel. - Są bowiem tacy, którzy nie wierzą, że nadejście Wielkich Przedwiecznych było tak szczęśliwym wydarzeniem jak wszyscy wiemy. Anarchiści, co do jednego, pragną przywrócenia dawnych porządków. Oddania ludzkości władzy nad nią samą.

- Nie chcę tego słuchać. Sama rozmowa o tym to zdrada stanu - rzucił Lestrade. - Muszę pana ostrzec...

- Ja muszę pana ostrzec, by nie zachowywał się pan jak głupiec - przerwał mu mój przyjaciel. - Ponieważ to restauracjoniści zabili księcia Franza Drago. Mordują, zabijają, na próżno próbując zmusić naszych władców, by pozostawili nas samych w ciemności. Księżę to ofiara Rache. W dawnych czasach tak nazywano ogary myśliwskie, inspektorze, odkryje pan to sięgając do słownika. Słowo to oznacza również zemstę, a myśliwy pozostawił podpis na tapecie w miejscu zbrodni, tak jak artysta podpisujący swe płótno. Ale to nie on zabił księcia.

- Kulawy Doktor! - wykrzyknąłem.

- Znakomicie. Owej nocy był tam wysoki mężczyzna: potrafiłem to stwierdzić, bo słowo na ścianie nakreślił na wysokości oczu. Palił fajkę, w kominku pozostała grudka popiołu. Z łatwością opróżnił swoją fajkę, stukając o obramowanie kominka, co z trudem przysłoby komuś niskiego wzrostu. Tytoń był nietypową, grubo krojoną mocną mieszanką. Pańscy ludzie zatarli co prawda większość śladów stóp w pokoju, lecz znalazłem kilka wyraźnych za drzwiami i pod oknem. Ktoś tam czekał - sądząc po długości kroków, niższy mężczyzna, nadmiernie obciążający prawą nogę. Na ścieżce na zewnątrz także znalazłem kilka wyraźnych śladów, a różne barwy gliny na skrobaczce pod drzwiami dostarczyły mi dodatkowych informacji o wysokim mężczyźnie, który towarzyszył księciu do tych pokojów, a później wyszedł. W środku czekał na ich przybycie człowiek, który tak imponująco zaszlachtował księcia.

Lestrade wydał z siebie zduszony jęk, z którego nie zrodziło się żadne słowo.

- Przez wiele dni odtwarzałem wszystkie poruszenia Jego Wysokości. Odwiedziłem jaskinie hazardu, dom uciech, okrytą niesławą gospodę i dom wariatów, szukając naszego palacza fajki i jego przyjaciela. Nie poczyniłem żadnych postępów, póki nie wpadłem na pomysł, by przejrzeć gazety wydawane w Bohemii w poszukiwaniu wskazówek co do tego, co niedawno robił księżę. Z nich to dowiedziałem się, że w zeszłym miesiącu Pragę odwiedziła angielska trupa teatralna i wystąpiła przed księciem Franzem Drago...

- Wielkie nieba! - wtrąciłem. - Zatem ten jegomość Sherry Vernet to...

- Restauracjonista. Zgadza się.

Kręciłem właśnie głową z podziwu dla inteligencji i zdolności obserwacji mojego przyjaciela, gdy usłyszeliśmy pukanie do drzwi.

- Oto nasza zwierzyna - rzekł mój przyjaciel. - Teraz ostrożnie. Lestrade wepchnął rękę głęboko do kieszeni; bez wątpienia trzymał w niej pistolet. Nerwowo przełknął ślinę.

- Proszę wejść! - zawołał mój przyjaciel.

Drzwi się otwarły. Nie stanął w nich Vernet ani Kulawy Doktor, lecz jeden z młodych uliczników zatrudnionych u panów „Twardego Bruku i Chyżej Stopy”, jak mawialiśmy za czasów mojej młodości. Zarabiał na życie, dostarczając drobne przesyłki.

- Przepraszam - rzekł. - Czy jest tu pan Henry Camberley? Pewien dżentelmen prosił mnie o dostarczenie mu liściku.

- To ja - oznajmił mój przyjaciel. - I dam ci sześć pensów, jeśli powiesz mi coś więcej o owym dżentelmenie.

Młody urwis, który przedstawił się nam jako Wiggins, sprawdził zębami sześciopensówkę, po czym schował ją i oświadczył, że jegomość, który wręczył mu liścik, był raczej wysoki, miał ciemne włosy i, dodał chłopak, palił fajkę.

Mam tu ów liścik i pozwolę sobie go przytoczyć.

Szanowny Panie,

Nie nazwę Pana Henrym Camberleyem, nie jest to bowiem Pańskie nazwisko. Dziwię się, że nie przedstawił się Pan własnym mianem, cieszy się ono wszak szacunkiem i uznaniem, i przynosi Panu zaszczyt. Czytałem kilka Pańskich rozpraw, które udało mi się zdobyć. W istocie, dwa lata temu korespondowałem z Panem niezmiernie zajmująco na temat pewnych teoretycznych anomalii w Pańskiej pracy o dynamice asteroidy.

Nasze wczorajsze spotkanie wielce mnie rozbawiło. Oto kilka wskazówek, które mogą się przydać Panu w przyszłości, jeśli zechce Pan dalej uprawiać swój obecny zawód. Po pierwsze, fajczarz może mieć w kieszeni nowiutką i nieużywaną fajkę i zapomnieć tytoniu, lecz jest to niezwykle nieprawdopodobne - co najmniej równie nieprawdopodobne jak promotor teatralny niemający pojęcia o zwyczajowych stawkach i honorariach za występy, któremu w dodatku towarzyszy milczący emerytowany oficer (o ile dobrze zgaduję, po służbie w Afganistanie). A przy okazji dodam, że choć słusznie zauważył Pan, iż ulice Londynu mają uszy, w przyszłości jednak radziłbym nie wsiadać do pierwszej pojawiającej się dorożki. Dorożkarze również mają uszy i czasem z nich korzystają.

Zdecydowanie nie myli się Pan w swych domysłach. Istotnie, to ja zwabiłem owego półkrwi mieszańca do pokoju w Shoreditch. Jeśli to Pana pocieszy, dowiedziawszy się nieco o jego predylekcjach, powiedziałem, że zdobyłem dla niego dziewczynę porwaną z klasztoru w Kornwalii, młode dziewczę, które nigdy nie widziało mężczyzny. Jego dotyk i widok twarzy miał wystarczyć, by na zawsze popadła w idealny obłąd.

Gdyby istniała, posiadłby ją, napawając się jej szaleństwem niczym człowiek wysysający miąższ dojrzalej brzoskwini i pozostawiający jedynie skórkę i pestkę. Widziałem, jak czynili takie rzeczy. Widziałem też rzeczy znacznie gorsze i nie jest to cena, którą warto zapłacić za pokój i pomyślność. Koszt jest zbyt wysoki.

Pocziwy doktor - który podziela moje przekonania i w istocie napisał też nasze sztuki, ma bowiem dar zabawiania tłumów czekał na nas z nożami.

Wysyłam ten list nie po to, by zakpić z Pana i rzucić Mu wyzwanie, zniknęliśmy już bowiem z szacownym doktorem i nie znajdzie nas Pan, lecz by powiedzieć, że dobrze było poczuć choćby przez chwilę, że mam godnego przeciwnika - dużo godniejszego niż

nie ludzkie istoty spoza Otchlani.

Lękam się, że Strand Players będą musieli poszukać sobie nowego amanta. Nie podpiszę się nazwiskiem Vernet i póki łowy nie dobiegną końca, a nasz świat nie zostanie nam zwrócony, upraszam, by myślał Pan o mnie wyłącznie jako o Rache

Inspektor Lestrade wybiegł z mieszkania, wzywając swych ludzi. Kazali młodemu Wigginsowi zaprowadzić się w miejsce, w którym ów człek wręczył mu liścik, jakby sądzili, że aktor Vernet będzie tam na nich czekał, paląc swoją fajkę. Wraz z moim przyjacielem odprowadziliśmy ich wzrokiem i pokręciliśmy głowami.

- Zatrzymają i przeszukają wszystkie pociągi opuszczające Londyn, wszystkie statki odpływające z Albionu do Europy i Nowego Świata - powiedział mój przyjaciel. - Będą szukali wysokiego mężczyzny i jego towarzysza, niższego, tęższego, lekko kulejącego medyka. Zamkną porty, zablokują wszystkie drogi wyjazdu z kraju.

- Sądzisz, że go schwytają? Mój przyjaciel pokręcił głową.

- Być może się mylę - rzekł - ale gotów jestem pójść o zakład, że wraz z towarzyszem przebywają w tej chwili zaledwie milę stąd w Katowni Świętego Idziego, gdzie policja nie ośmieli się zapuścić, chyba że dużym oddziałem. Pozostaną tam ukryci, póki nie ucichnie wrzawa, a potem wrócą do swych zajęć.

- Czemu tak twierdzisz?

- Ponieważ, gdybyśmy zamienili się rolami, tak właśnie bym uczynił. A przy okazji, powinienś spalić ten liścik.

- Zmarszczyłem brwi.

- Ale to przecież dowód - przypomniałem.

- To zdradzieckie bzdury - odparł.

Faktycznie powinienem był go spalić. W istocie, kiedy Lestrade wrócił, powiedziałem, że tak właśnie zrobiłem, a on pogratulował mi zdrowego rozsądku. Lestrade zachował posadę, a książę Albert napisał do mego przyjaciela, gratulując mu błyskotliwej dedukcji i wyrażając żal, że sprawca wciąż nie został ujęty.

Jak dotąd, nie złapali jeszcze Sherry'ego Verneta, czy jak naprawdę się nazywa. Nie znaleźli też nawet śladu jego okrutnego współnika, wstępnie zidentyfikowanego jako były chirurg wojskowy John (czy może James) Watson. Co interesujące, okazało się, że on także służył w Afganistanie. Ciekaw jestem, czy kiedykolwiek się spotkaliśmy.

Stan mojego ramienia dotkniętego przez Królową polepsza się z każdym dniem. Ręka wypełnia się ciałem, blizna znika. Wkrótce znów będę świetnym strzelcem.

Pewnego wieczoru, parę miesięcy temu, gdy byliśmy sami, spytałem mego przyjaciela, czy pamięta korespondencję, o której wspomniał w liście człowiek podpisujący się Rache. Mój przyjaciel odparł, że pamięta ją doskonale i że „Sigerson” (tak bowiem wówczas nazywał się aktor, twierdząc, iż pochodzi z Islandii), zainspirowany jednym z równań mego przyjaciela zasugerował mu szalone teorie dotyczące związków pomiędzy masą, energią i hipotetyczną prędkością światła.

- Oczywiście to bzdura - dodał bez uśmiechu. - Lecz bzdura natchniona i niebezpieczna.

Pałac przysłał w końcu wiadomość, że Królowa jest zadowolona z osiągnięć mego przyjaciela i uważa sprawę za zamkniętą. Wątpię jednak, by mój przyjaciel tak ją pozostawił. Łowy nie dobiegną końca, póki jeden z nich nie zabije drugiego.

Zatrzymałem liścik. W relacji tej opowiedziałem o wydarzeniach, o których nie

powiniennem był wspominać. Gdybym był rozsądniejszy, spaliłbym te stronicę, ale też, jak nauczył mnie mój przyjaciel, nawet popioły potrafią zdradzać swe sekrety. Zamiast tego umieszczę te kartki w skrytce w moim banku i polecę, by nie otwarto jej, póki nie umrą wszyscy, którzy dziś żyją. Choć w świetle niedawnych wydarzeń w Rosji lękam się, że ów dzień może być bliższy, niż wszyscy sądzimy.

S..... M....., major (emerytowany) Baker Street, Londyn, Nowy Albion, 1881

MAGICZNY TAN

Ach, gdybym młody znów mógł być, nie myśleć, że hen śmierć i sny, Nie rozdzieliłbym duszy swej, by pół zostało w świecie tym.

Połowa w domu tkwiła więc, w marzeniach widząc magii kraj, Tymczasem reszta rażno szła, gdzie wąska dróżka, traktu skraj, Gdzie elfia panna czeka, co uśmiech mi da, całusy trzy,

Co orły w locie schwyta, mnie przybije zaś do gromów pni A gdyby serce chciało me wymknąć się jej i zniknąć jej, Owinię je kokonem gniazd, by już na zawsze było jej, A gdy się znudzi, weźmie je, z niesmakiem w palce weźmie je, Na brzeg strumienia ognia, gdzie brązowi chłopcy znajdują je, Zabiorą je, rozciągną je w blasku okrutnych krwistych łun,

Na czworo potną je i wnet na skrzypcach napną zamiast strun. Każdego dnia i w każdą noc na sercu mym pieśń będą grać Bolesną, dziką, dziwną tak, że nikt nie zdoła przy niej stać Tańczyli tak, skakali w rytm, w płasach, jak każde skrzypek głos, Aż rozpadali w tańcu się w ognisście złotych monet stos.

Ale nie jestem młody już, sześćdziesiąt lat i jeden dzień Serce me straszna pieśń tę gra w krainie, gdzie zalega cień. Zazdrośnie patrzę na tych, co, nietkniętych dusz tchórzliwy klan, Nie czują wiatru spoza gwiazd, nie wzrusza ich Magiczny Tan. Gdyś głuchy na Magiczny Tan, nie skradną ci twojego tchu.

W młodości głupcem byłem. Dziś śmierć mnie owija w całun snu.

PAŹDZIERNIK W FOTELU

W fotelu zasiadał Październik, toteż wieczór był chłodny, a rdzawe i czerwone liście opadały z drzew otaczających polanę. Cała dwunastka siedziała wokół ogniska, opiekając na patykach grube kiełbaski, które syczały i trzaskały, gdy tłuszcz ściekał na płonące jabłoniowe drewno. Popijali je świeżym cydrem jabłkowym, pozostawiającym w ustach cierpki, ostry smak.

Kwiecień nadgryzła elegancko swą kiełbaskę, która rozpekła się, obryzgując jej brodę gorącym sosem.

- Piekło i gówniani szatani! - zakląła.

Siedzący obok przysadzisty Marzec zaśmiał się cicho, wulgarnie, po czym wyciągnął wielką brudną chustkę.

- Proszę - rzekł. Kwiecień wytarła brodę.

- Dzięki. Ta przekłeta kupa flaków mnie poparzyła. Jutro będę tam mieć pęcherz.

Wrzesień ziewnął.

- Straszna z ciebie hipochondryczka - rzekł z drugiej strony ogniska. - I co za język. Miał cieniutki wąsik i łysiał na przodzie głowy, dzięki czemu jego czoło wydawało się bardzo wysokie i mądre.

- Odczep się od niej - rzuciła Maj. Ciemnowłosa, krótko ostrzyżona, nosiła wygodne buty i paliła małą brązową cygaretkę pachnącą mocno goździkami. - Jest bardzo wrażliwa.

- Och, proszę - mruknął Wrzesień. - Daruj sobie.

Październik, świadom swej pozycji w fotelu, pociągnął łyk cydru i odchrząknął.

- W porządku - powiedział. - Kto chce zacząć?

Fotel, w którym zasiadał, wyrzeźbiono z jednego wielkiego bloku dębiny i ozdobiono intarsjami z jesionu, cedru i wiśni. Pozostała jedenastka siedziała na pniakach drzew ustawionych w różnych odstępach wokół niewielkiego ogniska. Po latach użytkowania pniaki były gładkie i bardzo wygodne.

- A co z protokołem? - spytał Styczeń. - Kiedy ja zasiadam w fotelu, zawsze spisujemy protokół.

- Ale teraz nie siedzisz w fotelu, prawda, mój drogi? - rzekł Wrzesień, elegancki jak zawsze w swej udawanej trosce.

- Co z protokołem? - powtórzył Styczeń. - Nie możemy go zlekceważyć.

- Mały zasraniec sam się sobą zajmie. - Kwiecień przeczesła palcami długie jasne włosy.

- I uważam, że Wrzesień powinien mówić pierwszy.

Wrzesień nadął się i przytaknął.

- Z rozkoszą.

- Hej! - zaprotestował Luty. - Hej, hej, hej, hej, hej, hej! Nie słyszałem, żeby przewodniczący zatwierdził tę decyzję. Nikt nie zacznie, póki Październik nie wskaże, kto ma zacząć, a potem nikt inny nie powinien się odzywać. Czy moglibyśmy zadbać o choćby pozory porządku? - Spojrzał na nich z ukosa, drobny, blady, od stóp do głów odziany w błękity i szarości.

- Nic się nie stało - powiedział Październik. Jego broda mieniła się wszystkimi barwami niczym kępa jesiennych drzew - ciemnym brązem, ognistym oranżem, winną czerwienią. Niestrzyżonym gąszczem pokrywała dolną część twarzy. Policzki miał rumiane niczym jabłka. Wyglądał jak przyjaciel, jak ktoś, kogo znamy całe życie. - Wrzesień może mówić pierwszy. Zaczniemy już.

Wrzesień wsunął do ust końcówkę kielbaski, nadgryzł ostrożnie i wysączył resztkę cydru z kubka. Potem wstał, skłonił się przed zebranymi i zaczął mówić.

- Laurent DeLisle był najlepszym szefem kuchni w całym Seattle, przynajmniej sam tak uważał, a gwiazdka Michelina na drzwiach utwierdzała go w tej opinii. Istotnie, był wspaniałym kucharzem - jego brioszki z mieloną baraniną zdobyły kilka nagród, a ravioli z wędzonymi przepiórkami i białymi truflami opisano w piśmie „Gastronom” jako „dziesiąty cud świata”. Lecz piwnica win... Ach, piwnica win... To ona była jego prawdziwą namiętnością i stanowiła źródło dumy.

Rozumiem to dobrze. We mnie właśnie zbiera się ostatnie białe winogrona i większość czerwonych: doceniam dobre wina, ich aromat, zapach, smak, jaki pozostawiają w ustach.

Laurent DeLisle kupował swe wina na aukcjach od prywatnych miłośników i uznanych pośredników; za każdym razem upierał się przy certyfikacie, fałszerstwa win bowiem są

aż nazbyt częste, gdy za butelkę płaci się pięć, dziesięć, sto tysięcy dolarów, funtów czy euro.

Jego skarbem - klejnotem - najrzadszym z rzadkich okazów i *ne plus ultra* piwnicy o dokładnie kontrolowanej temperaturze była butelka Chateau Lafitte rocznik 1902. Figurowała w karcie win z ceną stu dwudziestu tysięcy dolarów, choć w istocie, jako ostatnia w swoim rodzaju, była bezcenna.

- Przepraszam - wtrącił uprzejmie Sierpień. Był z nich najgrubszy, kosmyki rzadkich, jasnych włosów zaczesywał na bok, próbując ukryć łysinę.

Wrzesień spojrział niechętnie na swego sąsiada.

- Tak?

- Czy to historia, w której jakiś bogaty facet kupuje wino do obiadu, szef kuchni uznaje, że obiad, który bogaty facet zamówił, nie jest dość dobry dla tego wina, toteż posyła mu co innego, a gość zjada jeden kęs, dostaje rzadkiej alergii i pada trupem, wino zaś pozostaje niewypite?

Wrzesień nie odpowiedział, jego wzrok był dostatecznie wymowny.

- Bo jeśli tak, to już ją opowiadałeś. Wiele lat temu. Była głupia wtedy i jest głupia teraz. - Sierpień uśmiechnął się, jego różowe policzki połyskiwały w blasku ognia.

- Najwyraźniej patos i kultura nie wszystkim przypadają do smaku - oznajmił Wrzesień.

- Niektórzy wolą grill i piwo, podczas gdy inni...

- Przykro mi to mówić - przerwał mu Luty - ale on ma sporo racji. Historia musi być nowa.

Wrzesień uniósł brwi i ściągnął usta.

- Skończyłem - oznajmił gwałtownie i usiadł na pieńku. Spojrzeli po sobie ponad ogniem, wszystkie miesiące roku. Czerwiec, czyściutka i nieśmiała, podniosła rękę.

- Ja mam historię o strażnicze przy maszynie do prześwietlania bagażu na lotnisku LaGuardia, która potrafiła odczytać wszystko o ludziach z samych kształtów ich bagażu na ekranie i pewnego dnia ujrzała prześwietlenie tak piękne, że zakochała się w jego właścicielu. Próbowwała ustalić, do której osoby w kolejce należał bagaż, ale nie potrafiła i tęskniła całymi miesiącami. A gdy ta osoba znów się zjawiała, tym razem strażniczka wiedziała. To był mężczyzna, pomarszczony stary Hindus, a ona była śliczna i czarna, i miała najwyżej dwadzieścia pięć lat, i wiedziała, że nigdy im się nie uda, więc pozwoliła mu odejść, bo z kształtów jego toreb na ekranie wyczytała też, że on wkrótce umrze.

- Doskonale, młoda panno - rzekł Październik. - Opowiedz nam tę historię.

Czerwiec spojrziała na niego niczym spłoszone zwierzątko.

- Właśnie to zrobiłam. Październik przytaknął.

- Istotnie - rzekł, nim ktokolwiek inny zdążył się odezwać, a potem spytał: - Czy zatem mam przejść do mojej historii?

Luty pociągnął nosem.

- To nie twoja kolejka, staruszk. Ten, kto zasiada w fotelu, opowiada swoją historię dopiero gdy reszta z nas skończy. Nie możemy przejść od razu do głównego punktu programu.

Maj wrzuciła właśnie tuzin kasztanów na kratę ponad ogniem. Manewrując szczypcami, układała je w różne wzory.

- Pozwólmy mu opowiedzieć od razu, skoro chce. Bóg mi świadkiem, jego historia nie może być gorsza niż ta o winie, a ja mam sporo pilnych spraw, do których muszę wracać.

Kwiaty nie rozkwitają same z siebie. Kto jest za?

- Zamierzasz to poddać pod oficjalne głosowanie? - zdziwił się Luty. - Niewiarygodne. Nie wierzę, że to się dzieje. - Otarł czoło garścią papierowych chusteczek, które wyciągnął z rękawa.

Siedem rąk powędrowało w górę. Cztery osoby nie zagłosowały - Luty, Wrzesień, Styczeń i Lipiec (- To nic osobistego - wyjaśnił przepraszająco Lipiec - kwestia czysto proceduralna. Nie powinniśmy ustanawiać precedensów).

- A zatem ustalone - oznajmił Październik. - Nim zacznę, czy ktoś chciałby coś powiedzieć?

- Uhm. Tak. Czasami - rzekła Czerwiec. - Czasami wydaje mi się, że ktoś obserwuje nas z lasu, ale potem patrzę i nikogo tam nie ma. Ciągłe jednak o tym myślę.

- To dlatego, że jesteś szalona - wyjaśniła Kwiecień.

- Mhm - mruknął Wrzesień do wszystkich i nikogo w szczególności. - Oto cała Kwiecień. Wrażliwa, lecz jednocześnie najokrutniejsza z nas wszystkich.

- Dosyć - uciał Październik.

Przeciągnął się w fotelu, zmiażdżył w zębach orzech laskowy, wyciągnął orzeszek i wypłul kawałki łupiny w ogień, gdzie z trzaskiem i sykiem zajęły się płomieniami, po czym zaczął mówić.

- Był sobie chłopiec - rzekł Październik - który czuł się okropnie nieszczęśliwy, choć w domu nikt go nie bił. Po prostu nie pasował ani do swej rodziny, ani do miasta, ani nawet do własnego życia. Miał dwóch braci, starszych od siebie bliźniaków, którzy dokuczali mu bądź go ignorowali, a sami byli powszechnie lubiani. Grali w piłkę; czasem w meczu jeden z bliźniaków zdobywał więcej punktów niż drugi i był bohaterem, czasem drugi. Ich młodszy braciszek nie grał. Wymyślili mu przydomek. Nazywali go Szczeniakiem.

Przezwalili go tak jeszcze w dzieciństwie. Z początku matka i ojciec upominali ich za to.

- Ale on naprawdę jest jak najmniejszy szczeniak w miocie - odparli bliźniacy. - Spójrzcie na niego i spójrzcie na nas.

Gdy to powiedzieli, mieli sześć lat i rodzice uznali, że to urocze. Przydomek takie jak Szczeniak bywa zaraźliwe i wkrótce jedyną osobą nazywającą go Donaldem pozostała babcia, kiedy dzwoniła z życzeniami urodzinowymi, oraz ludzie, którzy go nie znali.

I być może, ponieważ imiona mają moc, rzeczywiście przypominał szczeniaka - chudego, drobnego, nerwowego. Urodził się z katarą, który nie opuścił go przez dziesięć lat. Podczas posiłków, jeśli bliźniakom smakowało jedzenie, podkradali mu je, jeżeli nie, ukradkiem podrzucali na jego talerz, tak że dostawał burę za to, że nie tknął obiadu.

Ich ojciec nigdy nie opuścił żadnego meczu, a potem kupował loda bliźniakowi, który zdobył więcej punktów, i drugiego na pocieszenie temu, który spisał się gorzej. Matka uważała się za dziennikarkę, choć głównie sprzedawała przestrzeń reklamową i prenumeraty. Gdy bliźniacy byli dość duzi, by się sobą zająć, wróciła do pracy na pełny etat.

Inne dzieci z klasy chłopca podziwiała bliźniaków. Z początku przez pierwsze tygodnie koledzy mówili do niego Donald, potem jednak rozeszła się wieść, że bracia nazywają go

Szczeniakiem. Nauczyciele rzadko zwracali się do niego jakimkolwiek imieniem, choć czasami między sobą wspominali, że to wielka szkoda, że najmłodszemu chłopakowi Covayów brak śmiałości, wyobraźni i energii jego braci.

Sam Szczeniak nie potrafił powiedzieć, kiedy po raz pierwszy pomyślał o ucieczce ani kiedy jego marzenia przekroczyły granice i stały się planami. Gdy przyznał się sam przed sobą, że ucieka, miał już w garażu ukryty pod płachtą folii duży plastikowy pojemnik, zawierający trzy batoniki Mars, dwa Milky Way, torebkę orzeszków, niewielkie opakowanie lukrecji, latarkę, kilka komiksów, nową paczuszkę suszonej wołowiny i trzydzieści siedem dolarów, głównie w ćwierćdolarówkach. Nie przepadał za suszoną wołowiną, ale czytał, że badacze i podróżnicy potrafili przeżyć wyłącznie na niej całe tygodnie; i właśnie w chwili, gdy wsadził paczuszkę wołowiny do pojemnika i z trzaskiem zamknął wieczko, zrozumiał, że zamierza uciec.

Czytał książki, gazety i pisma. Wiedział, że kiedy się ucieka, czasami spotyka się złych ludzi, którzy krzywdzą innych. Ale czytał również bajki i wiedział, że na świecie obok potworów żyją też ludzie dobrzy.

Szczeniak był chudym dziesięciolatkiem, drobnym, zakatarzonym i nieciekawym. Gdybyście spróbowali wybrać go z grupy chłopców, na pewno byście się pomylili. Byłby tym drugim. Tym z boku. Tym, którego nie dostrzegamy.

Przez cały wrzesień odkładał ucieczkę. Trzeba było dopiero naprawdę paskudnego piątku, kiedy to obaj bracia usiedli na nim (a ten, który siedział na twarzy, pierdnął i wybuchnął gromkim śmiechem), by Szczeniak uznał, że raczej zaryzykuje spotkanie z czekającymi na świecie potworami. Może nawet je woli.

W sobotę bracia mieli się nim opiekować, wkrótce jednak poszli do miasta, do dziewczyny, która im się podobała. Szczeniak pobiegł do garażu na tyłach, wyciągnął spod płachty pojemnik i zaniósł do sypialni. Wysypał na łóżko zawartość szkolnej torby, napełnił ją słodyczami, komiksami, ćwierćdolarówkami i suszoną wołowiną. Do pustej butelki po coli nalał wody.

Potem ruszył do miasteczka i wsiadł do autobusu. Pojechał na zachód z biletem za dziesięć dolarów w ćwierćdolarówkach, w miejsce, którego nie znał. Uznał to za dobry początek. Wysiadł z autobusu i ruszył dalej pieszo. Tu nie było już chodnika, kiedy zatem mijały go samochody, dla bezpieczeństwa ukrywał się w rowie.

Słońce świeciło wysoko na niebie. Poczł głód, toteż pogrzebał w torbie i wyciągnął marsa. Gdy go zjadł, odkrył, że chce mu się pić, i niemal do połowy opróżnił butelkę, nim uświadomił sobie, że będzie musiał racjonować wodę. Wcześniej sądził, że kiedy opuści miasto, będzie napotykał mnóstwo źródeł z czystą, słodką wodą. Okazało się jednak, że żadnego nie znalazł. Natknął się natomiast na rzekę płynącą pod szerokim mostem.

Szczeniak zatrzymał się w połowie mostu i zapatrzył w brązową wodę. Przypomniał sobie coś, czego uczono go w szkole: że w końcu wszystkie rzeki wpadają do morza. Nigdy nie był nad morzem. Zsunął się niezgrabnie na brzeg i ruszył z prądem. Wzdłuż rzeki biegła błotnista ścieżka, od czasu do czasu natykał się na puszkę po piwie albo plastikowe opakowanie świadczące o tym, że przed nim byli tu jacyś ludzie. Nikogo jednak nie spotkał. Dopił swoją wodę.

Zastanawiał się, czy już go szukają. Wyobraził sobie radiowozy, helikoptery i psy, wszystkich ludzi próbujących go znaleźć. Wymknie im się. Dotrze do morza.

Rzeka z szumem i pluskiem rwała wśród kamieni. Dostrzegł czaplę modrą, szybującą na

rozłożystych skrzydłach. W powietrzu krążyły ostatnie samotne ważki i niewielkie roje meszek, korzystające z ostatnich dni babiego lata. A potem błękitne niebo zaczęło szarzeć i ciemnieć. Z góry śmignął polujący na owady nietoperz. Szczeniak zastanawiał się, gdzie spędzi noc.

Wkrótce ścieżka się rozgałęziła; skręcił w dróżkę odchodzącą od rzeki, licząc na to, że doprowadzi go do domu albo na farmę z pustą stodołą. Jakiś czas maszerował szybko, a tymczasem mrok gęstniał. W końcu Szczeniak ujrzał przed sobą na wpół zrujnowany, odpychający dom. Okrążył go z narastającą pewnością, że nic nie zmusiłoby go do wejścia do środka, po czym wdrapał się na połamane ogrodzenie i położył wśród wysokich traw opuszczonego pastwiska, zamiast poduszki wsuwając pod głowę torbę.

Leżał na wznak, w ubraniu, i wpatrywał się w niebo. W ogóle nie czuł senności.

„Do tej pory zauważyli już, że mnie nie ma”, rzekł do siebie.

„Będą się martwić”.

Wyobraził sobie, jak za kilka lat wraca do domu, radość na twarzach całej rodziny, gdy ujrzą go na podjeździe. Ich powitania. Ich miłość...

Obudził się parę godzin później. Błady księżyc świecił mu prosto w twarz. Szczeniak widział cały świat - jasny jak w dzień, jak w bajkach, lecz wyblakły, pozbawiony kolorów. Widział nad sobą księżyc w pełni, czy prawie w pełni, i wyobraził sobie spoglądającą na niego przyjazną twarz ukrytą pośród cieni i kształtów księżycowej powierzchni.

- Skąd jesteś? - usłyszał czyjś głos.

Szczeniak usiadł. Nie czuł strachu, jeszcze nie. Rozejrzył się szybko. Drzewa. Wysokie trawy.

- Gdzie jesteś? Nie widzę cię.

Coś, co wcześniej brał za cień obok drzewa na skraju pastwiska, poruszyło się i ujrzał chłopca w jego wieku.

- Uciekam z domu - oznajmił Szczeniak.

- Rany - mruknął chłopak. - Trzeba być diabło odważnym. Szczeniak uśmiechnął się z dumą; nie wiedział co powiedzieć.

- Przejdiesz się kawałek? - spytał chłopak.

- Jasne. - Szczeniak położył torbę obok jednego ze słupków ogrodzenia, by jej nie zgubić.

Ruszyli razem w dół zbocza, okrążając szerokim łukiem stary dom na farmie.

- Żyją tu jacyś ludzie? - spytał Szczeniak.

- Nie - odparł chłopak. Miał jasne, bardzo cienkie włosy, które w blasku księżyca wydawały się niemal białe. - Kiedyś, dawno temu próbowali, ale nie spodobało im się i odeszli. Potem wprowadzili się inni, ale teraz nie ma tam żywej duszy. Jak się nazywasz?

- Donald - odparł Szczeniak, po czym dodał: - Ale mówią na mnie Szczeniak. A ty?

Chłopak zawahał się.

- Zgasł - rzekł.

- Super imię.

- Kiedyś miałem inne, ale nie potrafię już go odczytać. Przecisnęli się przez wielką żelazną bramę, uchyloną i zardzewiałą na amen, i znaleźli się na niewielkiej łące u stóp zbocza.

- Ekstra miejsce - mruknął Szczeniak.

Na łące stały dziesiątki kamiennych płyt, wysokich, wyższych niż obaj chłopcy, i małych,

świetnie nadających się na siedzisko. Było też trochę połamanych. Szczeniak wiedział, co to za miejsce, ale nie czuł strachu. Przepęłniała je miłość.

- Kto tu leży? - spytał.

- Głównie mili ludzie - odparł Zgasł. - Kiedyś tam, za tamtymi drzewami było miasteczko, a potem pojawiła się kolej. Zbudowali stację w sąsiednim mieście i nasze tak jakby wyszło, rozpadło się. Teraz w miejscu, gdzie stało, rosną krzaki i drzewa. Można schować się wśród drzew i znaleźć w środku starego domu.

- Czy są takie jak ten dom na górze? - Szczeniak wiedział, że jeśli tak, to nie ma ochoty ich odwiedzić.

- Nie - wyjaśnił Zgasł. - Nikt tam nie bywa oprócz mnie i czasami zwierząt. Jestem tu jedynym dzieckiem.

- Domyśliłem się - mruknął Szczeniak.

- Może moglibyśmy tam pójść i się pobawić? - zaproponował Zgasł.

- Brzmi super - przytaknął Szczeniak.

Była idealna wczesnopaździernikowa noc, niemal tak ciepła jak w lecie, z wielkim księżycem płonącym na niebie. Widzieli wszystko.

- Który jest twój? - spytał Szczeniak.

Zgasł wyprostował się z dumą i wziął go za rękę. Poprowadził Szczeniaka w zarośnięty kąt łąki. Obaj chłopcy rozgarnęli wysoką trawę. Kamień leżał płasko, wpuszczony w ziemię; wyrzeźbiono na nim daty sprzed stu lat. Większość napisów już się zatarła, lecz pod datami pozostały jeszcze słowa.

ZGASŁ PRZEDWCZEŚNIE.

POZOSTANIE W NASZEJ PA

- Założę się, że pamięci - oznajmił Zgasł.

- Też tak przypuszczam - potwierdził Szczeniak.

Wyszli za bramę i pobiegli w dół niewielkim jarem. Wkrótce znaleźli się w tym, co pozostało ze starego miasteczka. Z domów wyrastały drzewa, niektóre budynki się zawaliły, nie wyglądały jednak strasznie. Bawili się w chowanego. Zwiedzali. Zgasł pokazał Szczeniakowi parę świetnych miejsc, między innymi jednoizbowy domek, który, jak twierdził, był najstarszym budynkiem w tej części hrabstwa. Biorąc pod uwagę jego wiek, zachował się w całkiem dobrym stanie.

- W świetle księżyca widzę całkiem niezłe, nawet w środku. Nie wiedziałem, że to takie łatwe.

- O, tak - potwierdził Zgasł. - A po jakimś czasie uczysz się widzieć nawet kiedy księżyc nie świeci.

Szczeniak poczuł zazdrość.

- Muszę do łazienki - oznajmił. - Jest tu gdzieś łazienka? Zgasł zastanawiał się przez moment.

- Nie wiem - przyznał. - Ja już tego nie robię. Zostało parę wygódek, ale mogą nie być bezpieczne. Lepiej po prostu zrób to w lesie.

- Jak niedźwiedź - mruknął Szczeniak.

Okrażył domek i wbiegł do lasu napierającego na starą ścianę. Schował się za drzewem. Nigdy wcześniej nie załatwiał się na dworze i poczuł się jak dzikie zwierzę. Kiedy

skończył, podtarł się suchymi liśćmi. Potem wrócił przed dom. Zgasł siedział w kręgu księżycowego światła, czekając na niego.

- Jak umarłeś? - spytał Szczeniak.

- Zachorowałem. Moja mamcia bardzo płakała i krzyczała aż bolały uszy. A potem umarłem.

- Gdybym został tu z tobą, czy też musiałbym umrzeć?

- Może - rzekł Zgasł. - Chyba tak. Tak myślę.

- Jak to jest? No wiesz, nie żyć.

- Nie najgorzej - przyznał Zgasł. - Chociaż przeszkadza mi to, że nie mam się z kim bawić.

- Ale przecież na łące musi leżeć mnóstwo ludzi. Nie bawią się z tobą?

- Nie - mruknął Zgasł. - Głównie śpią, a nawet kiedy wstają, nie mają ochoty oglądać żadnych rzeczy ani nic takiego. Nie mają ochoty zadawać się ze mną. Widzisz to drzewo? To był buk, jego gładka, szara kora popękała ze starości. Rósł w miejscu, w którym dziewięćdziesiąt lat wcześniej znajdował się rynek.

- Tak - potwierdził Szczeniak.

- Chciałbyś się na nie wdrapać?

- Wydaje się dość wysokie.

- Bo jest. Bardzo wysokie. Ale łatwo się wspina, pokażę ci. Faktycznie, wspinało się łatwo. W korze było mnóstwo uchwyty i chłopcy wdrapali się na wielki buk niczym para małpek, piratów bądź wojowników. Ze szczytu drzewa widzieli cały świat. Niebo na wschodzie zaczynało odrobinę jaśnieć.

Wszystko czekało. Noc dobiegała końca. Świat wstrzymywał oddech, gotów do nowego początku.

- To był najlepszy dzień, jaki pamiętam - oznajmił Szczeniak.

- Dla mnie też - odparł Zgasł. - Co teraz zrobisz?

- Nie wiem - przyznał Szczeniak.

Wyobraził sobie, jak wędruje na drugi koniec świata, aż do morza. Wyobraził sobie, jak rośnie i dorasta, sam się utrzymuje, uczy. Gdzieś w trakcie zdobędzie bajeczne bogactwa. A potem wróci do bliźniaków, podjedzie pod dom swoim cudownym samochodem albo może zjawi się na meczu (w jego wyobraźni bliźniacy nie wyrosli ani nie dojrżeli) i spojrzy na nich przyjaźnie. Zaprosi ich wszystkich - bliźniaków, rodziców - na obiad w najlepszej restauracji w mieście, a oni powiedzą mu, jak bardzo go nie rozumieli i źle traktowali. Przepraszają go i zapłaczą, a on cały czas będzie milczał, pozwalając, by przeprosiny po nim spłynęły. A potem wręczy każdemu prezent i znów ich opuści, tym razem na dobre.

To było piękne marzenie.

W rzeczywistości wiedział, że będzie szedł dalej, a jutro lub pojutrze ktoś go znajdzie i odeśle do domu, gdzie rodzice nawrzeszczą na niego, po czym wszystko potoczy się dawnym znajomym torem, a on dzień za dniem, godzina za godziną, aż po kres czasu pozostanie Szczeniakiem, tyle że będą na niego wściekli, bo odważył się odejść.

- Niedługo muszę się położyć - oznajmił Zgasł. Zaczął się zsuwać z bukowego pnia.

Szczeniak przekonał się, że schodzenie z drzewa jest trudniejsze.

Człowiek nie widzi, gdzie stawia nogi, i musi macać w poszukiwaniu oparcia. Kilka razy zaczął się ześlizgiwać, ale Zgasł, który poszedł pierwszy, podpowiadał mu „odrobinę w prawo” i obaj bezpiecznie dotarli na ziemię.

Niebo wciąż jaśniało, a księżyc gasł powoli. Wspięli się z powrotem jarem. Chwilami Szczeniak nie miał pewności, czy Zgasł wciąż z nim jest, ale gdy dotarł na szczyt, ujrzał czekającego nań chłopca.

Nie mówili wiele podczas marszu na łąkę pełną kamieni. Szczeniak objął ramieniem przyjaciela; razem wspinali się po zboczu.

- No to... - zaczął Zgasł. - Dzięki, że przyszedłeś.

- Świetnie się bawiłem - oznajmił Szczeniak.

- Tak - odparł Zgasł. - Ja też.

Gdzieś w dole w lesie zaśpiewał ptak.

- A gdybym chciał zostać...? - spytał nagle Szczeniak. Może już nigdy nie będę miał szansy, by to zmienić, pomyślał.

Nigdy nie dotrze do morza. Nie pozwolą mu.

Zgasł milczał bardzo długo. Świat szarzał, kolejne ptaki dołączały do chóru.

- Ja nie mógłbym tego zrobić - powiedział w końcu. - Ale oni mogą.

- Kto?

- Ci tam. - Jasnowłosy chłopiec wskazał ręką zrujnowany dom na farmie z ciemnymi plamami wybitych okien, rysujący się ostro na tle jaśniejącego nieba. Szare światło nie poprawiło jego wyglądu.

Szczeniak zadrżał.

- Tam są ludzie? - zdziwił się. - Mówiłeś chyba, że jest pusty.

- Nie jest pusty - wyjaśnił Zgasł. - Mówiłem, że nikt tam nie żyje. A to co innego. - Spojrzał na niebo. - Muszę już iść.

Ucisnął dłoń Szczeniaka, a potem po prostu zniknął.

Szczeniak stał samotnie na niewielkim cmentarzu, słuchając porannych ptasich trelów. A potem ruszył dalej w górę zbocza. Samemu szło mu się trudniej.

Zabrał torbę z miejsca, w którym ją zostawił. Zjadł swój ostatni baton Milky Way i zapatrzył się w zrujnowany budynek. Puste okna przypominały oczy. Obserwowały go.

Wewnątrz było ciemniej. Ciemniej niż gdziekolwiek.

Z trudem przeszedł przez gęsto zachwaszczone podwórko. Z drzwi pozostały jedynie resztki. Zatrzymał się w progu z wahaniem, niepewny, czy to mądry pomysł. Czuł woń wilgoci, zgnilizny i czegoś jeszcze głębiej. Wydało mu się, że słyszy, jak coś się porusza w głębi domu, może w piwnicy czy na strychu. Czymś szura. Albo skacze. Trudno było powiedzieć.

W końcu wszedł do środka.

Nikt się nie odzywał. Październik, skończywszy, nappełnił cydrem drewniany kubek, wypił jednym haustem i znów nappełnił.

- Mocna historia - rzekł Grudzień. - Muszę przyznać. Potarł pięścią jasnobłękitne oczy. Ogień niemal już zgasł.

- Co było dalej? - spytała nerwowo Czerwiec. - Kiedy już wszedł do domu?

Siedząca obok Maj położyła jej dłoń na ramieniu.

- Lepiej o tym nie myśleć.

- Ktoś jeszcze chce coś powiedzieć? - spytał Sierpień. Odpowiedziała mu cisza. - A zatem chyba skończyliśmy.

- To wymaga oficjalnego zgłoszenia - przypomniał Luty.

- Kto jest za? - spytał Październik. Odpowiedziało mu chóralne „tak”. - Przeciw? - Cisza. - Ogłaszam zamknięcie spotkania.

Zebrani zaczęli kolejno wstawać ze swych miejsc, przeciągać się, ziewać i odchodzić w las, samotnie, dwójkami i trójkami, aż w końcu pozostał tylko Październik i jego sąsiad.

- Następnym razem ty zasiądziesz w fotelu – oznajmił Październik.

- Wiem - odparł Listopad. Był blady, miał wąskie usta. Pomógł Październikowi wstać z drewnianego krzesła. - Lubię twoje historie. Moje są zawsze zbyt mroczne.

- Ja tak nie uważam - powiedział Październik. - Po prostu twoje noce są dłuższe. I nie jesteś taki ciepły.

- Kiedy tak to ujmujesz, czuję się lepiej - rzekł Listopad. - Chyba nie możemy nic poradzić na to, kim jesteśmy.

- I tak trzymać - dodał jego brat.

A potem, trzymając się za ręce, odeszli od dogasającego pomarańczowego ogniska, zabierając ze sobą swe historie z powrotem w mrok.

Dla Raya Bradbury'ego

UKRYTA KOMORA

Nie bój się duchów w tym domu; to najmniejsza z twoich trosk, mnie osobiście ich odgłosy dodają otuchy; skrzypienie podłóg, kroki nocą, drobne psikusy, chowanie i przesuwanie drobiazgów dziwnie mnie wzruszają, nie niepokoją. Dzięki nim naprawdę czuję się tu jak w domu.

Zamieszkanym.

Prócz duchów nic nie żyje tu zbyt długo. Nie ma żadnych kotów, myszy, much, snów, nietoperzy. Dwa dni temu ujrzałem tu motyla.

To była rusalka, fruwała po pokojach, roztańczona, przysiadła na ścianach i czekała na mnie.

W tym pustym domu nie ma kwiatów, więc bojąc się, że rusalka umrze z głodu, otwarłem szeroko okno, schwytałem ją roztrzepotaną w skulone dłonie, czując, jak skrzydła czule muskają mą skórę, i wypuściłem, i patrzyłem, jak odfruva.

Brak mi już cierpliwości do pór roku, lecz twoje przybycie złagodziło chłód zimy.

Zapraszam, przechadzaj się swobodnie. Zwiedzaj, ile chcesz. W pewnych kwestiach zerwałem z tradycją. Jeśli jest tu jeden zamknięty pokój, nigdy nań nie trafisz. Nie znajdziesz starych kości i włosów w piwnicznym palenisku. Ani krwi. Patrz: tylko narzędzia, pralka, suszarka, boiler i pęk kluczy. Nic, co wzbudziłoby twój lęk. Nic mrocznego.

Może jestem ponury, prawda, lecz nie bardziej niż inni, którzy przeżyli podobne dramaty. W nieszczęściu, nieostrożności czy bólu liczy się tylko strata. Ujrzysz sama cierpienie w moich oczach, i zapragniesz sprawić, abym zapomniał o tym, co się działo,

nim weszłaś do tego domu. Przynosząc ze sobą cząstkę lata w spojrzeniu i w uśmiechu.

A kiedy tu zamieszkasz, oczywiście, słyszeć będziesz duchy, zawsze pokój dalej, i być może obudzisz się u mego boku, wiedząc, że gdzieś tu jest pokój bez drzwi, wiedząc, że jest komnata, zamknięta, której nie ma. Słyszając, jak szurają, stukają, przedrzeźniają, tupią.

Jeżeli będziesz mądra, umkniesz w chłodną noc, roztrzepotana, być może odziana w halkę z najlżejszej koronki. Ostry żwir alejki pokaleczy ci stopy do krwi podczas biegu, i gdybym zechciał, mógłbym pójść twym śladem, smakując krew i ocean twoich łez. Ja jednak zaczekam tutaj, w mojej kryjówce, i niedługo postawię świecę w oknie, najdroższa, by wskazać ci drogę do domu.

Świat trzepocze niczym skrzydełka owadów. I tak cię chyba zapamiętam, wtulając głowę między białe pagórki twych piersi i słuchając komór twego serca.

Zbłąkane oblubienice złowieszczych oprawców w bezimiennym domu nocy potwornego pożądania

I

Gdzieś w ciemnościach ktoś pisał.

II

Żwir chrząścił pod jej stopami, gdy tak biegła na oślep wysadzaną drzewami aleją. Serce waliło jej w piersi, miała wrażenie, że płuca zaraz eksplodują. Gorączkowo chwyciła w usta hausty zimnego nocnego powietrza. Wzrok wbijała w widoczny w oddali dom; samotne światło płonące w oknie na najwyższym piętrze przyciągało ją niczym płomień świecy ćmę. Gdzieś w górze nad jej głową i dalej w głębi ciągnącej się za lasem puszczy nocne stwory zawodziły i skwirzyły. Na drodze z tyłu rozległ się krótki, urywany krzyk - zapewne małego zwierzęcia, które padło ofiarą nocnego drapieżnika. Taką przynajmniej miała nadzieję. Nie była jednak pewna.

Biegła, jakby ścigały ją legiony piekieł, nie ważąc się nawet zerknąć przez ramię, póki nie dotarła do ganku starego dworu. W bladym blasku księżyca białe kolumny połyskiwały niczym szkielet, kości olbrzymiej bestii. Przywarła do drewnianej futryny, głośno chwytając powietrze, i po raz pierwszy obejrzała się na długą aleję, jakby na coś czekała. Potem zastukała do drzwi - z początku nieśmiało, potem coraz mocniej. Każde uderzenie odbijało się echem w głębi domu i słysząc owe echa wyobraziła sobie, że gdzieś daleko ktoś inny stuka do innych drzwi, wytłumionych, martwych.

- Proszę! - zawołała. - Jeśli ktoś tam jest, ktokolwiek, wpuść mnie, proszę. Błagam cię, zaklinam.

Własny głos zabrzmiał dziwnie w jej uszach.

Migotliwe światło na najwyższym piętrze przygasło i zniknęło, by pojawić się w kolejnych, coraz niższych oknach. A zatem był tam jeden człowiek ze świecą. Blask zniknął w głębi domu. Próbowwała się uspokoić. Miała wrażenie, że upłynęły wieki, nim usłyszała kroki po drugiej stronie drzwi i dostrzegła promyk światła w szczelinie tuż przy framudze.

- Halo! - zawołała.

Głos, gdy się odezwał, zabrzmiał sucho jak kość - pozbawiony wszelkiego uczucia, przypominający skrzypiący pergamin i spowite wonią stęchlizny stare całuny.

- Któż to przychodzi? - spytał. - Kto puka? Kto przychodzi w tę właśnie noc ze wszystkich nocy?

Ów głos nie dodał jej otuchy. Próbowała przeniknąć wzrokiem ciemność, która opatuliła dom, po czym wyprostowała się, odrzuciła w tył krucze łoki i oznajmiła głosem, który jak miała nadzieję nie zdradzał cienia lęku:

- Jam to, Amelia Earnshawe, niedawno osierocona, w drodze do dworu, w którym mam objąć stanowisko guwernantki dwojga małych dzieci - chłopca i dziewczynki - lorda Falconmere, którego okrutne spojrzenie podczas naszej rozmowy w jego londyńskiej rezydencji wydało mi się jednako odpychające i fascynujące, a jego pociągła twarz nawiedza moje sny.

- Cóż tedy robisz tu, w tym domu, w tę właśnie noc ze wszystkich nocy? Zamek Falconmere leży dobre dwadzieścia staj dalej, po drugiej stronie moczarów.

- Woźnica - człek nader nieciekawej aparycji i niemowa, a takiego przynajmniej udawał, nie wymawiając słów, lecz porozumiewając się jedynie mamrotaniem i chrząknięciami - zatrzymał swój zaprzęg jakąś milę stąd wedle mej rachuby i gestami pokazał mi, że dalej nie pojedzie, a ja mam wysiąść. Gdy zaś odmówiłam, brutalnym szarpnięciem wyciągnął mnie z powozu i cisnął na zimną ziemię, po czym, chłoszcząc nieszczęsne konie, poderwał je do galopu i odjechał tam skąd przybył, uwożąc ze sobą kilkanaście mych toreb i kufer. Wołałam za nim, lecz nie wrócił i miałam wrażenie, że w leśnym mroku za moimi plecami porusza się głębsza czerń. Ujrzałam światło w pańskim oknie i... i... - Nie zdołała dłużej udawać odwagi i zaszlochala.

- Twój ojciec? - spytał głos z drugiej strony drzwi. - Byłże nim może czcigodny Hubert Earnshawe?

Amelia przelknęła łzy.

- Tak. Tak, to on.

- A ty... twierdzisz, żeś sierota?

Wspomniała ojca, jego tweedowy tużurek i chwilę, gdy wir porwał go i cisnął na skały, unosząc na zawsze.

- Zginął, próbując ocalić życie mej matki. Oboje utonęli. Usłyszała głuchy zgrzyt klucza w zamku i dwa bliźniacze łoskoty odciąganych żelaznych zasuw.

- Witaj tedy, panno Amelio Earnshawe. Witaj w swoim dziedzictwie, w domu bez miana. O tak, witaj w tę właśnie noc ze wszystkich nocy.

Drzwi się otwarły.

Mężczyzna trzymał w dłoni czarną łojową świecę; migotliwy płomień oświetlał z dołu jego twarz, nadając jej wygląd niesamowity i posepny. Wygląda jak dyniogłowy upiór, pomyślała, albo wyjątkowo stary, obłąkany morderca.

Gestem wezwał ją do środka.

- Czemu wciąż pan to powtarza? - spytała.

- Cóż takiego powtarzam?

- W tę właśnie noc ze wszystkich nocy. Jak dotąd powiedział pan to trzykrotnie.

W odpowiedzi spojrział na nią tylko, a potem znów wezwał skinieniem jednego palca barwy kości. Gdy przekroczyła próg, gwałtownie przysunął świecę do jej twarzy i przyjrzał jej się oczami, które, choć nie do końca obłąkane, dalekie były od normalności.

Zdawało się, że uważnie bada ją wzrokiem. W końcu odchrząknął i skinął głową.

- Tędy - rzekł.

Ruszyła za nim długim korytarzem. Płomień świecy rzucał wokół nich fantastyczne, rozedrgane cienie; w jego świetle wysoki szafkowy zegar, smukłe krzesła i stolik tańczyły i kołysały się. Stary człowiek przez chwilę brzęczał kluczami, w końcu otworzył odrzwia osadzone w ścianie pod schodami. Z mroku za nimi wypłynęła fala zapachów i omiotła jej twarz, woń stęchlizny, kurzu i porzucenia.

- Dokąd idziemy? - spytała.

Skinął głową, jakby jej nie zrozumiał, potem rzekł:

- Są tacy, którzy są tym, czym są. I są tacy, którzy nie są tym, czym się wydają. Są też tacy, którzy jedynie wydają się tym, czym się wydają. Pomnij me słowa i pomnij je dobrze, córko Huberta Earnshawe'a. Rozumiesz mnie?

Pokręciła głową. Ruszył naprzód, nie oglądając się za siebie. Podążyła za nim schodami w dół.

III

Hen, daleko w akcji i przestrzeni młodzian cisnął pióro na rękopis, rozbryzgując sepiowy inkaust po ryzie papieru i błyszczącym blacie stołu.

- To na nic - rzekł z desperacją.

Zamieszał delikatnym palcem wskazującym w kałuży inkaustu na blacie, zabarwiając drewno tekowe ciemniejszym brązem, a potem odruchowo potarł palcem grzbiet nosa. Na skórze pozostała ciemna smuga.

- Tak, panie? - Kamerdyner wszedł niemal bezszelestnie.

- To znów się dzieje, Toombes. Nagle zakrada się humor, autoparodia szepcze z kąta, i odkrywam, że przełamuję konwencje literackie, rzucając, wyzwanie zarówno sobie, jak i całej profesji skrybów.

Kamerdyner bez zmruczenia oka wpatrywał się w swego młodego panicza.

- Jak mi się zdaje, panie, w pewnych kręgach humor cieszy się wielkim uznaniem.

Młodzieniec oparł głowę na rękach, pocierając melancholijnie czoło opuszkami palców. Westchnął.

- Nie w tym rzecz, Toombes. Próbuję tu stworzyć cząstkę życia, oddać wiernie świat taki, jakim jest, i naturę ludzką. Zamiast tego odkrywam, iż pisząc, zniżam się do sztubackiej parodii śmieszności moich ziomków. Robię drobne żarciki. - Całą jego twarz pokrywały smugi inkaustu. - Drobniutkie żarciki.

Z zakazanej komnaty na poddaszu uleciał mrozący krew w żyłach okrzyk bez słów, odbijając się echem od ścian domu. Młodzieniec westchnął.

- Lepiej nakarm ciotkę Agathę, Toombes.

- Wedle rozkazu, panie.

Młodzieniec podniósł gęsie pióro i z namysłem podrapał się czubkiem po uchu.

Za jego plecami w półmroku wisiał portret prapradziadka. Malowane oczy wycięto starannie bardzo dawno temu i teraz z płóciennego oblicza spoglądały na pisarza prawdziwe źrenice, połyskujące płowym złotem. Gdyby młodzian odwrócił się i je dostrzegł, zapewne uznałby je za złociste oczy wielkiego kota albo kalekiego, drapieżnego ptaka, o ile takowy w ogóle istnieje. Nie były to oczy, jakich można by oczekiwać w

ludzkiej głowie. Lecz młodzian się nie odwrócił. Zamiast tego, pozostając w nieświadomości, sięgnął po nową kartę papieru, zanurzył pióro w szklanym kałamarzu i znów zaczął pisać:

IV

- Zaiste - rzekł stary człek, odstawiając czarną łojową świecę na milczącą fisharmonię. - To nasz władca, a my jesteśmy jego niewolnikami, choć udajemy nawet przed sobą, że tak nie jest. Gdy jednak nadejdzie pora, on żąda tego, czego łaknie, a naszym obowiązkiem i przemożnym nakazem jest dostarczyć mu tego... - Zadrżał i odetchnął głęboko, po czym dokończył: - Tego, czego pragnie.

Podobne nietoperzym skrzydłom zasłony zakołysały się i zatrzepotały w pozbawionym szyby otworze. Burza zbliżała się nieubłaganie. Amelia przycisnęła do piersi koronkową chusteczkę z monogramem ojca.

- A brama? - spytała szeptem.

- Została zamknięta w czasach twego przodka, który przed swym zniknięciem rozkazał, by na zawsze taką pozostała. Jak jednak powiadają ludzie, wciąż istnieją tunele łączące starą kryptę z cmentarzyskiem.

- A pierwsza żona sir Fredericka...?

Ze smutkiem pokręcił głową.

- Straciła rozum i ledwo przeciętnie gra na klawikordzie. Sir Frederick ogłosił, że umarła, i być może niektórzy mu uwierzyli.

Powtórzyła w duchu ostatnie pięć słów, potem uniosła wzrok. W jej oczach rozblęśla iskra determinacji.

- A ja? Teraz, gdy odkryłam już, czemu tu jestem, cóż mi radzisz?

Rozejrzał się po pustym holu. Gdy się odezwał, w jego głosie zabrzmiało napięcie.

- Uciekaj stąd, panienko Earnshawe, uciekaj, póki wciąż możesz. Umykaj jak najdalej, by ocalić swą nieśmiertelną aagh.

- Moją co? - spytała.

W chwili, gdy słowa uleciały z jej szkarłatnych ust, starzec osunął się na ziemię. Z tyłu jego czaszki sterczał srebrny bełt z kuszy.

- On nie żyje! - wykrzyknęła zdumiona i wstrząśnięta.

- Zaiste - potwierdził okrutny głos z drugiego końca korytarza. - Ale nie żył już przed tym dniem, moja panno. Myślę, że nie żył już niewiarygodnie długo.

Na jej przerażonych oczach ciało zaczęło gnić, mięso rozkładało się, odrywało, rozpływało. Odślonięte kości pękały i rozpadały się w ohydny maź, aż w końcu w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał człowiek, pozostał jedynie odrażający fetor i stos cuchnącej materii.

Amelia przykucnęła obok, zanurzyła palec w obrzydłej mazi. Oblizwała go i skrzywiła się.

- Wydaje się, że masz rację, panie, kimkolwiek jesteś -

oznajmiła. - Oceniam, iż nie żył już od bez mała stu lat.

V

- Dokładam starań - rzekł młodzian do pokojówki - by napisać powieść ukazującą życie

takim, jakie jest, odbijającą je niczym lustro aż do najdrobniejszych szczegółów. A jednak, gdy piszę, słowa zamieniają się w drwinę, przebrzydłe szyderstwo. Cóż mam począć? Co powiesz, Ethel? Co mam począć?

- Niestety, nie wiem, panie - odparła pokojówka, która była młoda, ładna i zjawiała się we dworze w tajemniczych okolicznościach kilka tygodni wcześniej. Jeszcze parę razy nacisnęła miechy, czekając, aż ogień w palenisku rozbłyśnie oranżem i bielą. - Czy to wszystko?

- Tak. Nie. Tak. - powiedział. - Możesz odejść, Ethel. Dziewczyna podniosła puste już wiadro na węgiel i odeszła spokojnym krokiem przez salon.

Młodzian nie postąpił nawet kroku w stronę biurka, zamiast tego stanął przed kominkiem, zatopiony w myślach, wpatrując się w stojącą na obramowaniu ludzką czaszkę i dwie bliźniacze skrzyżowane szpady, wiszące nad nią na ścianie. Ogień zatrzeszczał i syknął, gdy bryłka węgla pękła na dwoje.

Usłyszał kroki za plecami. Młodzian odwrócił się.

- Ty?

Stojący przed nim mężczyzna mógł niemal uchodzić za jego bliźniaka - gdyby zaś ktoś jeszcze potrzebował jakichś dowodów, biały kosmyk pośród kasztanowych włosów wyraźnie świadczył o tym, że są tej samej krwi. Oczy przybysza były ciemne i szalone, usta nadąsane, lecz osobliwie stanowcze.

- Tak, ja! Ja, twój starszy brat, którego przez te wszystkie lata miałeś za martwego. Ja jednak martwy nie jestem. Już nie. I powróciłem, o tak, powróciłem z krain, których lepiej nie odwiedzać, by zażądać tego, co prawem mi przypada.

Brwi młodziana uniosły się wysoko.

- Pojmuję. Rzecz jasna wszystko to należy do ciebie - jeśli zdołasz dowieść, że jesteś tym, za kogo się podajesz.

- Dowieść? Nie potrzeba mi dowodów. Odwołuję się do prawa krwi, prawa narodzin - i prawa śmierci! - To rzekłszy, zerwał znad paleniska obie szpady, jedną z nich rękojeścią do przodu podał młodszemu bratu. - A teraz strzeż się, bracie mój, i niechaj wygra lepszy.

Stal błysnęła w blasku płomieni, klingi ucałowały się, zderzyły i znów ucałowały w misternym tańcu pchnięć i flint. Chwilami zdawało się, że tańczą razem wdzięcznego menueta, odprawiają wytworny misterny rytuał, by nagle przyspieszyć w szalonym starciu, poruszając się szybciej niżli dostrzeże oko. Skupieni na walce, raz po raz okrążali pokój. Wspięli się też po stopniach wiodących na galerię i w dół do głównego holu. Chwyтали się kotar i kandelabrow, skakali na stoły i znów na posadzkę.

Starszy brat miał wyraźnie większe doświadczenie, może też był lepszym fechtmistrem, lecz młody kipiał energią i walczył jak oszalały, spychając swego przeciwnika coraz bliżej trzeszczącego ognia. Starszy brat sięgnął lewą ręką i chwycił pogrzebacz. Zamachnął się na oślep w stronę młodzieńca, który uskoczył i jednym eleganckim ruchem przeszył brata na wylot.

- Oto me życie dobiegło kresu. Jużem martwy.

Młodszy brat przytaknął, pochylając umorusane inkaustem oblicze.

- Może tak i lepiej. W istocie nie pragnąłem domu ani ziemi, łaknąłem jedynie spokoju. - Leżał tam śmiertelnie raniony, a szkarłatna krew spływała na szarą kamienną posadzkę.

- Bracie, weź mnie za rękę.

Młodzieniec ukląkł i ścisnął dłoń, która już teraz wydała mu się zimna.

- Nim odejdę w noc, w którą nikt nie może za mną podążyć, muszę powiedzieć ci kilka rzeczy. Po pierwsze, wierzę, że z moją śmiercią ciężąca nad naszym rodem klątwa zostanie zdjeta. Po drugie... - Oddech dobywał mu się z ust z gulgoczącym poświstem; przemawiał z coraz większym trudem. - Po drugie... ta... istota w otchłani... strzeż się piwnic... szczury... one... to idzie za mną!

Po tych słowach głowa opadła mu na kamień, oczy wywróciły się, by już nigdy niczego nie ujrzeć.

Za oknem kruk zakrakał po trzykroć. W krypcie rozbrzmiała niezwykła muzyka świadcząca o tym, że dla niektórych zaczęło się już czuwanie.

Młodszy brat, znów będący - jak miał nadzieję - prawowitym dziedzicem tytułu, sięgnął po dzwonek i wezwał sługę. Nim wybrzmiał ostatni ton, w pokoju zjawił się kamerdyner Toombes.

- Zabierz to - polecił młodzian. - Lecz potraktuj go z szacunkiem. Zginął, odkupując swe grzechy i być może także moje.

Toombes nie odpowiedział; skinął jedynie głową na znak, że pojmuje.

Młodzian wyszedł z salonu, skręcił w Korytarz Luster - korytarz, z którego starannie usunięto wszystkie zwierciadła; pozostały po nich jedynie nieregularne plamy na wyłożonych boazerią ścianach. Sądząc, że jest sam, zaczął mówić głośno do siebie.

- Dokładnie o tym mówiłem. Gdyby podobna rzecz przytrafiła się w jednej z mych opowieści - a przecież rzeczy takie dzieją się nader często - czułbym wewnętrzny przymus, by wydrwić ją bezlitośnie. - Rąbnął pięścią w ścianę w miejscu, gdzie niegdyś wisiało sześciokątne zwierciadło. - Co się ze mną dzieje? Skąd ta słabość?

Tajemnicze płochliwe istoty zaczęły mamrotać i chichotać za czarną kotarą na końcu pomieszczenia, wysoko pośród spowitych mrokiem dębowych belek i za boazerią, nie odpowiedziały jednak. Ale też nie oczekiwał odpowiedzi.

Wspiął się po szerokich schodach i ciemnym korytarzem dotarł do swego gabinetu. Podejrzewał, że ktoś grzebał mu w papierach. Przypuszczał też, że dowie się kto, później tego samego wieczoru, po Zgromadzeniu.

Zasiadł za biurkiem, raz jeszcze zanurzył pióro w kałamarzu i znów zaczął pisać.

VI

Na zewnątrz władcy ghuli zawodzili z wściekłością, w ich głosach znać było głód. Ogarnięci szaleńczą furią raz po raz rzucali się na ciężkie dębowe odrzwia, lecz zamki były mocne i Amelia miała ogromną nadzieję, że wytrzymają.

Co takiego powiedział jej drwal? I nagle, w godzinie największej potrzeby jego słowa powróciły do niej, zupełnie jakby stał blisko, jakby jego promieniejące męskością ciało zaledwie cale dzieliły od jej kobiecych krągłości, a woń uczciwych, spracowanych mięśni otaczała ją niczym najczarowniejsze perfumy. Usłyszała te słowa zupełnie jakby wyszeptał je do jej ucha.

- Nie zawsze byłem taki, jakim oglądasz mnie teraz, panienko - rzekł. - Kiedyś miałem inne imię i los inną szykował mi przyszłość niżli rąbanie na drwa zwalonych pni. Wiedz wszakże, że w sekreterze mieści się tajemna skrytka. Tak przynajmniej twierdził mój cioteczny dziad, gdy tęgo sobie popił...

Sekretera! Oczywiście!

Podbiegła do starego biurka. Z początku nie mogła znaleźć śladu tajemnej skrytki. Wyciągała kolejno szuflady, aż dostrzegła, że jedna z nich wydaje się znacznie krótsza niż pozostałe. Zauważywszy to, Amelia wcisnęła z trudem białą jak lilia dłoń w miejsce za nią i wymacała ukryty z tyłu przycisk. Nacisnęła go gorączkowo, coś się otwarło i jej palce dotknęły ciasnego papierowego zwoju.

Amelia cofnęła rękę. Zwój przewiązано zakurzoną czarną wstążką. Drżącymi palcami rozplotła węzeł i rozwinęła papier. Potem zaczęła czytać, próbując przeniknąć znaczenie staroświeckiego pisma, pradawnych słów. Powoli jej urodziwą twarz powlekała śmiertelna bladość. Nawet fiołkowe oczy stawały się zamglone i bezbarwne.

Stukanie i drapanie przybrało na sile. Nie wątpiła, że wkrótce zdołają się przebić, żadne drzwi nie utrzymają ich wiecznie. Wpadną do środka, a ona stanie się ich łupem. Chyba że, chyba...

- Stójcie! - wykrzyknęła drżącym głosem. - Zaklinam was, wszystkich razem i każdego z osobna, a nade wszystko ciebie, Książę Padliny, w imię pradawnego przymierza pomiędzy waszym ludem a moim.

Dźwięki ucichły, dziewczęciu zdawało się, że owa cisza uderza ją niczym grom. W końcu usłyszała trzeszczący głos.

- Przymierze?

Tuzin głosów równie upiornych, niczym nieziemski chór wyszeptał jak echo: „Przymierze”.

- Zaiste - odparła Amelia Earnshawe, jej głos zabrzmiał pewnie.

- Przymierze.

Ów zwój bowiem od dawna ukryty był w istocie przymierzem - złowieszczym układem pomiędzy panami domu a mieszkańcami krypty z dawnych wieków. Opisywał i wymieniał koszmarnie rytuały łączące ich na zawsze poprzez stulecia - rytuały krwi, soli i inne.

- Skoro przeczytałaś treść przymierza - oznajmił niski głos z drugiej strony drzwi - wiesz, czego potrzebujemy, o córo Huberta Earnshawe'a.

- Oblubienic - odparła z prostotą.

- Oblubienic - potwierdził szept z drugiej strony i dźwięk ów narastał i wibrował, aż w końcu zdawało się jej, że cały dom drży i kołysze się w jego rytm, w rytm owych czterech sylab przepelnionych tęsknotą, miłością i głodem.

Amelia przygryzła wargę.

- Tak, oblubienic. Sprowadzę wam oblubienice. Dla was wszystkich.

Mówiła cicho, oni jednak usłyszeli ją, po drugiej stronie drzwi bowiem zapadła głęboka aksamitna cisza. W końcu przerwał ją syk jednego z ghuli.

- O, tak. A czy na zakąskę moglibyśmy też prosić o porcję małych, chrupiących bułeczek?

VII

Do oczu młodziana napłynęły gorące łzy. Odepchnął gwałtownie papiery i cisnął gęsie pióro na drugą stronę pokoju. Inkaust rozbryznął się po biuście praprapradziadka; brązowe plamy pokryły ciepły biały marmur. Przycupnięty na popiersiu wielki, ponury kruk o mało nie spadł, spłoszony, i utrzymał się na miejscu gorączkowo

trzepocząc skrzydłami. Po chwili, podskakując niezgrabnie, odwrócił się i spojrzał na młodziana jednym małym okiem połyskującym niczym czarny paciorek.

- Och, to nie do zniesienia! - wykrzyknął młodzieniec, blady i roztrzęsiony. - Nie mogę tego zrobić i nigdy nie zdołam. Przysięgam na... - Zawahał się, przeglądając w myślach rodzinne archiwa w poszukiwaniu stosownej klątwy.

Kruk nie wydawał się poruszony.

- Nim zaczniesz się zaklinać, przy okazji wywlekając z grobów spoczywających w pokoju martwych szacownych przodków i przerywając im zasłużony odpoczynek, odpowiedz mi na jedno pytanie - głos ptaka przypominał kamień uderzający o kamień.

Młodzian z początku milczał. Wiadomo powszechnie, że niektóre kruki potrafią mówić. Ten jednak nie odzywał się nigdy wcześniej i go zaskoczył.

- Oczywiście. Zadaj swe pytanie. Kruk przekrzywił głowę.

- Lubisz pisać takie rzeczy?

- Lubię?

- No wiesz, życie takie jakie jest. Czasami spoglądam ci przez ramię i podczytuję kawałki. Pisanie tego sprawia ci przyjemność?

Młodzian spojrzał z góry na ptaka.

- To literatura - wyjaśnił cierpliwie, jakby przemawiał do dziecka. - Prawdziwa literatura. Prawdziwe życie. Prawdziwy świat. Zadaniem artysty jest ukazywać ludziom świat, w którym żyją. Wszystko ma odbijać się w naszych dziełach jak w zwierciadle.

Na zewnątrz błyskawica rozdarła niebo. Młodzian zerknął za okno. W oślepiającym blasku zygzaku białego ognia kościste sylwetki drzew i zrujnowanego opactwa na wzgórzu nabrały dziwnych, złowieszczych kształtów.

Kruk odchrząknął.

- Pytałem, czy to ci sprawia przyjemność?

Młodzieniec spojrzał na ptaka, po czym odwrócił wzrok i bez słowa pokręcił głową.

- Dlatego właśnie próbujesz to zniszczyć - oznajmił ptak. - To nie satyryk w tobie zmusza cię do wydrwiwania przeciętności i zwyczajności. Sprawia to zwykła nuda. Rozumiesz? - Przyglądał dziobem rozwichrzone pióra. Potem znów spojrzał na niego. - Zastanawiałeś się kiedyś nad pisaniem opowieści fantastycznych?

Młodzieniec roześmiał się.

- Fantastycznych? Posłuchaj, ja tworzę literaturę. Opowieści fantastyczne to nie życie, to ezoteryczne wizje pisane przez mniejszość dla mniejszości, to...

- To coś, co pisałbyś, gdybyś wiedział, co jest dla ciebie dobre.

- Jestem klasykiem - wyjaśnił młodzieniec. Wyciągnął rękę i wskazał półkę z klasycznymi dziełami: *Tajemnicami zamku Udolpho*, *Zamczyskiem Otranto*, *Rękopisem znalezionym w Saragossie*, *Mnichem* i resztą. - Oto literatura. Też taką tworzę.

- Nigdy już - rzekł kruk.

Było to ostatnie słowo, jakie młodzieniec usłyszał z jego dzioba. Ptak zeskokczył z popiersia, rozłożył skrzydła i poszybował w powietrzu, znikając w wyczekującej ciemności.

Młodzieniec zadrżał. Przywołał w myślach typowe rekwizyty opowieści fantastycznych: samochody, maklerów giełdowych i transport publiczny, gospodynie domowe i policjantów, rubryki z poradami i reklamy mydła, podatek dochodowy i tanie restauracje, kolorowe pisma, karty kredytowe, latarnie uliczne i komputery...

- Owszem, to eskapizm - rzekł głośno. - Ale czyż najszlachetniejszym impulsem ludzkości nie jest dążenie ku wolności, pragnienie ucieczki?

Młodzieniec powrócił do swego biurka, zebrał karty niedokończonej powieści i bezceremonialnie cisnął je do najniższej szuflady, pomiędzy poźółkłe mapy, tajemnicze testamenty i dokumenty podpisane krwią. Poruszony kurz wzleciał w powietrze, drażniąc mu gardło.

Wziął nowe pióro i zaostrzył nożykiem; wystarczyło pięć zręcznych ruchów. Zanurzył koniuszek w szklanym kałamarzu i raz jeszcze zaczął pisać:

VIII

Amelia Earnshawe wsunęła do tosterka kromki pełnoziarnistego chleba i nacisnęła włącznik. Nastawiła toster na mocno przypieczone, tak jak lubił George. Osobiście wolała lekko zrumienione tosty, lubiła też biały chleb, choć brakowało w nim witamin. Już od dziesięciu lat nie jadła białego chleba.

Siedzący przy stole George czytał gazetę. Nie uniósł wzroku, nigdy nie unosił.

Nienawidzę go, pomyślała i sam fakt przelania uczucia w słowa zaskoczył ją. Powtórzyła je w myślach. Nienawidzę go. Brzmiało to jak piosenka. Nienawidzę go za jego tosty i za łysą głowę i za to jak ugania się za biurowymi kociakami - dziewczętami ledwo po szkole, które śmieją się z niego za plecami; i za to, jak mnie ignoruje, gdy nie ma ochoty ze mną rozmawiać, i za to, jak mówi: „Co, skarbie?”, gdy zadaję mu najprostsze pytania, zupełnie jakby już dawno zapomniał mojego imienia. Jakby zapomniał, że w ogóle mam imię.

- Sadzone czy na miękko? - spytała głośno.

- Co, skarbie?

George Earnshawe spojrział na żonę z czułością. Wieść o tym, jak bardzo go nienawidzi, zdumiałaby go niepomierne. Myślał o niej równie ciepło i czule jak o wszystkim, co było w domu od dziesięciu lat i wciąż dobrze działało. Na przykład o telewizorze. Albo kosiarce do trawy. Uważał, że to miłość.

- Wiesz, powinniśmy wybrać się na jeden z tych marszów - rzekł, stukając palcem we wstępniak. - Pokazać, że nam zależy. Co ty na to, skarbie?

Toster brzęknął na znak, że skończył opiekanie. Ze środka wyskoczyła tylko jedna ciemnobrązowa grzanka. Amelia wydłubała nożem drugą połamaną kromkę. Toster był prezentem ślubnym od jej wuja Johna. Wkrótce będzie musiała kupić nowy albo zacząć opiekąć chleb nad kuchenką, jak to czyniła jej matka.

- George, chcesz jajka na miękko czy sadzone? - spytała bardzo cicho i coś w jej głosie sprawiło, że uniósł wzrok.

- Jak wolisz, skarbie - odparł pogodnie i w żaden sposób, jak to rzekł później wszystkim w biurze, nie potrafił pojąć, czemu po prostu stała tam, trzymając w dłoni tost, i czemu zaczęła płakać.

IX

Gęsie pióro poruszało się chyżo, poskrzypując cicho. Młodzieniec pisał jak w transie, jego twarz miała niezwykle, pogodny wyraz, w oczach i na wargach tańczył lekki

uśmiech.

Był zachwycony.

W boazerii coś drapało i szeptało, on jednak nie zwracał na to uwagi.

Wysoko w komnacie na strychu ciotka Agatha zawodziła, krzyczała i podzwaniała łańcuchami. Z ruin opactwa dobiegał niesamowity śmiech, wznoszący się w powietrzu kaskadami narastającego szaleństwa. W mrocznej puszczy ciągnącej się za dworem bezkształtne postaci przemykały wśród cieni, a kruczowłose panny umykały przed nimi w panice.

- Przysięgnij! - rzekł kamerdyner Toombes w spiżarni do dzielnej dziewczyny, podającej się za pokojówkę. - Przysięgnij mi, Ethel, na swe życie, że nikomu nie powtórzysz ani słowa z tego, co ci rzeknę...

W oknach jaśniały twarze, na ścianach widniały słowa wypisane krwią; głęboko w krypcie samotny ghul miażdżył zębami coś, co kiedyś być może żyło; rozwidlone błyskawice rozdierały hebanowe nocne niebo; istoty bez twarzy wędrowały w mroku; i wszystko było jak należy.

Kamyki z alei wspomnień

Lubię, by wszystko miało strukturę opowieści.

Rzeczywistość jednakże nie przypomina opowieści, a wtargnięcia osobliwości w nasze życie także się od nich różnią. Nie kończą się w zadowalający sposób. Wspominanie dziwnych wydarzeń przypomina opowiadanie snów: można opisać dziejące się w nich wydarzenia, ale nie ich ładunek emocjonalny, to, jak sen może wpłynąć na cały nasz dzień.

W dzieciństwie istniały miejsca, które uważałem za nawiedzone - opuszczone domy i inne miejsca, które mnie przerażały. Wymyśliłem proste rozwiązanie - unikałem ich; toteż, podczas gdy moje siostry dysponują w pełni zadowalającymi opowieściami o niezwykłych postaciach dostrzeganych w oknach pustych domów, ja nie miałem żadnych takich historii. Wciąż nie mam.

Oto moja historia o duchach. Wyjątkowo niezadowalająca.

Miałem piętnaście lat.

Mieszkaliśmy w nowym domu zbudowanym w ogrodzie starego. Wciąż tęskniłem za starym domem: był to wielki, staroświecki dwór. Zajmowaliśmy jego połowę. Ludzie mieszkający w drugiej połowie sprzedali ją firmie budowlanej, toteż mój ojciec sprzedał i naszą połówkę.

Działo się to w Sussex, w miasteczku, które przecinał południk zerowy. Mieszkałem na półkuli wschodniej, do szkoły chodziłem na zachodnią.

Stary dom był skarbnicą osobliwości: bryłek błyszczącego marmuru, szklanych fiolek pełnych płynnej rtęci, drzwi, po otwarciu ukazujących ceglane ściany, zapomnianych zabawek, rzeczy starych i porzuconych.

Mój własny dom - wiktoriańska ceglana budowla pośrodku Ameryki - podobno także jest

nawiedzony. Niewiele osób decyduje się samotnie spędzić tam noc - moja asystentka opowiada o podobnych nocach, o porcelanowej pozytywce z trefnisiem, która nagle sama zaczęła grać, i o głębokim, wewnętrznym przekonaniu, że ktoś ją obserwuje. Inni ludzie uskarżali się na podobne rzeczy, gdy nocowali tam samotnie.

Osobiście nigdy nie doświadczyłem niczego niepokojącego, ale też nigdy nie spałem tam sam. I wcale nie jestem pewien, czy chciałbym.

- Kiedy tu jestem, nie ma żadnych duchów - oznajmiłem kiedyś, zapytany, czy mój dom jest nawiedzony.

- Może zatem to pan go nawiedza? - podsunął ktoś.

Prawdę mówiąc, wątpię w to. Jeśli nawet mamy tu ducha, to jest to bardzo lękliwe stworzenie, które bardziej obawia się nas, niż my jego.

Opowiadałem jednak o starym domu, sprzedanym i zburzonym - a ja nie mogłem znieść widoku pustego domu, nie mogłem patrzeć, jak robotnicy rozbijają ściany i rozjeżdżają go buldożerami. Zostawiłem w nim serce i nawet teraz nocą, nim zasnę, słyszę wiatr sprzed dwudziestu pięciu lat, wzdychający pośród gałęzi jarzębiny za oknem mojej sypialni. Przeprowadziliśmy się zatem do nowego domu, zbudowanego, jak już wspominałem, w ogrodzie starego. Minęło parę lat.

Wówczas dom stał w połowie krętej, wysypanej odłamkami krzemienia drogi otoczonej polami i drzewami na pustkowiu. Jestem pewien, że gdybym teraz tam wrócił, droga byłaby wyasfaltowana, a wszędzie wokół wznosiły się niekończące się osiedla. Ale ja nie wracam.

Byłem chudym, niezgrabnym piętnastolatkiem, rozpaczliwie pragnącym stać się fajnym gościem. Działo się to wieczorem, na jesieni.

Przed naszym domem stała latarnia, zamontowana tam, gdy wzniesiono dom, i równie niepasująca do pozbawionego lamp otoczenia jak latarnia w książkach o Narnii. Sodowa lampa płonęła żółtym blaskiem i zacierała wszystkie inne kolory, zamieniając świat w gmatwaninę żółci i czerni.

To nie była moja dziewczyna (moja dziewczyna mieszkała w Croydon, gdzie chodziłem do szkoły; szarooka blondynka niewyobrażalnej urody stale, jak często się uskarżała, zdumiona, nieumiejąca wyjaśnić, czemu właściwie się ze mną spotyka), lecz przyjaciółka. Mieszkała dziesięć minut spacerkiem ode mnie, za polami w starszej dzielnicy miasta.

Wybierałem się do niej, żeby posłuchać płyt, posiedzieć i pogadać.

Wyszedłem z domu, zbiegłem porośniętym trawą zboczem na podjazd i zatrzymałem się gwałtownie przed kobietą siedzącą pod latarnią i wpatrującą się w dom.

Jej strój przywodził na myśl teatralną królową Cyganów albo mauretańską księżniczkę. Była ładna, nie piękna. W mojej pamięci nie miała żadnych barw prócz odcieni żółci i czerni.

Zdumiony tym, że stoję przed kimś w miejscu, gdzie nikogo nie oczekiwałem, odezwałem się.

- Dobry wieczór.

Kobieta nie odpowiedziała. Spojrzała na mnie.

- Szuka pani kogoś? - spytałem, choć może niedokładnie tymi słowami.

Nadal patrzyła na mnie, ta niezwykła kobieta na pustkowiu, ubrana jak ktoś ze snu, i wciąż milczała. Zaczęła się jednak uśmiechać. Nie był to miły uśmiech.

I nagle odkryłem, że się boję, potwornie, przejmująco, jak ktoś we śnie, i odszedłem podjazdem z sercem tłukącym się w piersi, po czym skręciłem za róg.

Zatrzymałem się tam na chwilę, w miejscu z którego nie widziałem już domu, a potem się obejrzałem. W kręgu światła nie ujrzałem nikogo.

Od domu dzieliło mnie pięćdziesiąt kroków, nie mogłem jednak, nie byłem w stanie tam wrócić. Za bardzo się bałem. Zamiast tego popędziłem mroczną, wysadzaną drzewami i wysypaną krzemieniem alejką do starego miasta, a potem kolejną uliczką i następną do domu przyjaciółki, i dotarłem tam zdyszany, osłupiały, rozdygotany i przerażony, jakby ścigały mnie wszystkie ogary piekieł.

Opowiedziałem jej tę historię. Razem zadzwoniliśmy do moich rodziców, którzy powiedzieli, że nikt nie stoi pod latarnią, i z lekkim wahaniem zgodzili się przyjechać po mnie, bo tego wieczoru nie byłem w stanie sam wrócić do domu.

I to cała moja opowieść. Chciałbym, żeby kryło się w niej coś więcej. Chciałbym móc wam opowiedzieć o cygańskim obozie spalonym w tym miejscu dwieście lat wcześniej - o czymkolwiek, co mogłoby domknąć tę historię, sprawić, że nabrałyby kształtów prawdziwej opowieści - lecz nic takiego nie istniało.

I podobnie jak inne wybuchy osobliwości w moim świecie, wydarzenie to nie doczekało się wyjaśnienia. Nie przypomina prawdziwej opowieści.

A w mojej pamięci pozostał jedynie jej żółto-czarny uśmiech i cień strachu, który wywołał.

PORA ZAMYKANIA

W Londynie wciąż działają kluby, stare i nibystare, ze staroświeckimi sofami, trzeszczącymi paleniskami, gazetami i tradycjami mowy i milczenia, oraz nowe, takie jak Groucho i mnóstwo klonów, w których aktorzy i dziennikarze pokazują się, piją, napawają swą wyniosłą samotnością, a czasem nawet zniżają do rozmowy. Mam przyjaciół w obu rodzajach klubów, ale sam nie jestem członkiem żadnego. Już nie.

Pół życia temu, gdy byłem młodym dziennikarzem, wstąpiłem do klubu. Istniał wyłącznie po to, by obejść ówczesne przepisy zmuszające wszystkie puby do zaprzestania serwowania napojów alkoholowych o jedenastej wieczór, porze zamykania drzwi. Klub ten, Diogenes, był jednosalowym lokalem położonym nad sklepem z płytami w wąskiej uliczce odchodzącej od Tottenham Court Road. Należał do pogodnej, pulchnej, napędzanej alkoholem kobiety, Nory, która każdemu, kto pytał, a nawet tym, którzy nie pytali, wyjaśniała, że nazwała klub imieniem Diogenesa, skarbie, bo wciąż szuka uczciwego mężczyzny. Wchodziło się wąskimi schodami i zastawało drzwi otwarte bądź zamknięte, zależnie od kaprysu Nory. Klub nie miał stałych godzin otwarcia.

Było to miejsce, do którego wpadało się po zamknięciu pubów, nic ponadto, i mimo skazanych z góry na niepowodzenie prób Nory

podawania jedzenia czy nawet wysyłania do wszystkich członków comiesięcznej gazetki przypominającej, że w klubie serwuje się teraz posiłki, nigdy nie miał się stać niczym innym. Poczulem smutek, kiedy kilka lat temu usłyszałem o śmierci Nory; a w zeszłym miesiącu, gdy podczas wizyty w Anglii, idąc alejką, próbowałem znaleźć klub Diogenes i

najpierw szukałem w złym miejscu, potem zaś dostrzegłem wyblakłe zielone markizy, osłaniające okna greckiej restauracji nad sklepem sprzedającym komórki, a na nich stylizowany wizerunek człowieka w beczce, ku mojemu zdumieniu ogarnęła mnie prawdziwa tęsknota. Wydało mi się to niemal nieprzyzwoite i przywołało wspomnienia. W klubie Diogenes nie było kominków ani foteli, lecz mimo to opowiadało się tam historie.

Większość stałych bywalców stanowili mężczyźni, choć od czasu do czasu zjawiała się jakaś kobieta, a Nora niedawno znalazła nowy wspaniały element wystroju w osobie zastępczyni, jasnowłosej emigrantki z Polski, która mówiła do wszystkich „skarpie” i stojąc za barem, sama hojnie raczyła się drinkami. Gdy się upiła, powtarzała, że w domu w Polsce była hrabiną, i kazała nam przysięgać, że nikomu nie zdradzimy jej tajemnicy.

Oczywiście klub odwiedzali aktorzy i pisarze. Montażysty filmowi, radiowcy, inspektorzy policji i pijacy. Ludzie niemający stałych godzin pracy. Ludzie, którzy stanowczo za późno wracają do domów albo nie mają ochoty do nich wracać. Czasami zbierał się ich tam tuzin albo więcej. Innym razem wchodziłem do środka i odkrywałem, że jestem jedynym klientem. Wówczas kupowałem sobie jednego drinka, wypijałem i wychodziłem.

Tej nocy padał deszcz i o północy w klubie pozostało nas czterech.

Nora i jej zastępczyni siedziały za barem, pracując nad swoim serialem. Traktował o pulchnej, lecz pogodnej kobiecie, właścicielce baru, i jej postrzelonej zastępczyni, arystokratycznej, jasnowłosej cudzoziemce popełniającej zabawne lapsusy językowe. To będzie komedia w stylu „Zdrówka”, mawiała Nora.

Nazwała moim nazwiskiem komicznego, żydowskiego gospodarza domu. Od czasu do czasu prosiły mnie, żebym przeczytał scenariusz.

Reszta z nas siedziała przy oknie: aktor Paul (powszechnie zwany Paulem-aktorem, by nikt nie pomylił go z Paulem-inspektorem policji i Paulem-chirurgiem plastycznym skreślonym z listy lekarzy, którzy także byli stałymi klientami), wydawca pisma o grach komputerowych, Martyn, i ja. Znaliśmy się, choć niezbyt blisko i siedzieliśmy we trzech przy stoliku pod oknem, patrząc na padający deszcz, skąpaną w deszczu alejkę i rozmazane plamy światła.

Był tam jeszcze ktoś, dużo starszy od naszej trójki. Zaszuszone, siwowłose i boleśnie chudy, siedział sam w kącie nad szklaneczką whisky. Na łokciach tweedowej marynarki miał naszyte brązowe skórzane łąty. Pamiętam to wyraźnie. Nie rozmawiał z nami, nie czytał ani nic. Po prostu tam siedział, wyglądał przez okno na deszcz i alejkę, i czasami bez żadnej widocznej przyjemności pociągał łyżek whisky.

Dochodziła północ i wraz z Paulem i Martynem zaczęliśmy opowiadać historie o duchach. Właśnie skończyłem opowieść o Zielonej Ręce, historię z moich szkolnych czasów, zarzekając się, że jest prawdziwa. W moim gimnazjum uczniowie święcie wierzyli, że od czasu do czasu pechowcom pojawia się odcięta, świecąca zielonym blaskiem ręka. Jeśli ktoś zobaczył Zieloną Rękę, wkrótce potem umierał. Na szczęście żaden z nas nie miał nieszczęścia jej spotkać, krążyły jednak smutne opowieści o chłopakach sprzed naszych czasów, którzy widzieli Zieloną Rękę, i ich trzynastoletnie włosy w jednej chwili posiwiały. Wedle szkolnej legendy trafili do sanatorium, gdzie po jakimś tygodniu umarli, nie wypowiedziawszy ani słowa.

- Chwileczkę - zaprotestował Paul-aktor. - Skoro nie wypowiedzieli już ani słowa, skąd

inni wiedzieli o Zielonej Ręce? Mogli przecież zobaczyć cokolwiek.

Słuchając w dzieciństwie tych historii, nigdy nie wpadłem na pomysł, by zadać to pytanie. Teraz, słysząc je, uznałem, że to faktycznie problem.

- Może coś zapisali? - podsunąłem niezbyt mądrze.

Jakiś czas przekomarzaliśmy się i w końcu doszliśmy do wniosku, że Zielona Ręka to wyjątkowo nieciekawy duch. Potem Paul opowiedział nam prawdziwą historię o przyjacielu, który zabrał autostopowiczkę i wysadził ją w miejscu nazwanym przez nią domem, a kiedy rankiem wracał tą samą drogą, odkrył, że znajduje się tam cmentarz.

Wspomniałem, że dokładnie to samo spotkało mojego

przyjaciela. Martyn oświadczył, że jego przyjacielowi nie tylko zdarzyło się coś takiego, ale ponieważ autostopowiczka wyglądała na zmarzniętą, pożyczył jej swój płaszcz i następnego ranka na cmentarzu znalazł na jej grobie elegancko złożone okrycie.

Martyn poszedł po następną kolejkę i zaczęliśmy się zastanawiać, czemu wszystkie te widmowe kobiety włóczą się nocami po kraju i jeżdżą stopem. Martyn orzekł, że w dzisiejszych czasach żywe autostopowiczki to zapewne wyjątek, nie reguła.

A potem jeden z nas rzekł:

- Jeśli chcecie, opowiem wam prawdziwą historię, której nie zdradziłem dotąd nikomu. Jest prawdziwa, zdarzyła się mnie, nie żadnym moim znajomym, ale nie wiem czy to historia o duchach. Zapewne nie.

Działo się to ponad dwadzieścia lat temu. Zapomniałem tak wiele rzeczy, ale tę noc i jej zakończenie pamiętam doskonale.

Oto historia, którą opowiedziano tej nocy w klubie Diogenes.

Miałem dziewięć lat czy coś koło tego, był koniec lat sześćdziesiątych i uczęszczałem do niewielkiej prywatnej szkoły niedaleko domu. Chodziłem do niej niecały rok - dość, by zniechęcić właścicielkę, która kupiła szkołę po to, by ją zamknąć i sprzedać ziemię developerom. Zresztą niedługo po moim odejściu tak właśnie zrobiła.

Przez długi czas - co najmniej rok - po zamknięciu szkoły budynek stał pusty. Dopiero potem został zburzony, a na jego miejscu zbudowano biura. W dzieciństwie jak każdy byłem po trosze włamywaczem i pewnego dnia, jeszcze przed zburzeniem, dręczony ciekawością wróciłem tam. Przecisnąłem się przez uchylone okno i zacząłem krążyć po pustych klasach. W powietrzu wciąż unosił się zapach kredy. Zabrałem na pamiątkę tylko jedno, obrazek namalowany na zajęciach plastycznych, przedstawiający domek z czerwoną kołatką w kształcie diabła czy chochlika. Wisiał na ścianie podpisany moim nazwiskiem. Wziąłem go do domu.

Kiedy szkoła wciąż jeszcze działała, co dzień wracałem do domu pieszo przez miasteczko, a potem dalej mroczną drogą przecinającą wzgórze z piaskowca i gęsto obsadzoną drzewami. Po drodze mijałem bramę i opuszczony domek. A potem robiło się jaśniej, otaczały mnie pola i w końcu docierałem do domu.

W tamtych czasach w okolicy roiło się od starych domów i posiadłości, pozostałości epoki wiktoriańskiej, trwających w pustym półzyciu i czekających na buldożery, które zamieniają je i ich zarośnięte ogrody w nudne i identyczne domy mieszkalne ustawione w równych rzędach wzdłuż dróg biegnących donikąd.

Z tego co pamiętam, inne dzieci, które spotykałem po drodze, były wyłącznie chłopcami. Nie znaliśmy się, lecz niczym partyzanci na terytorium okupowanym wymienialiśmy się informacjami. Nie baliśmy się siebie nawzajem, tylko dorosłych. Nie musieliśmy się znać, by wędrować grupkami po dwóch i trzech.

Owego dnia wracałem do domu ze szkoły i w najciemniejszym miejscu drogi natknąłem się na trzech chłopaków. Szukali czegoś w rowach, żywopłocie i na zarośniętym chaszczami poboczu przed opuszczonym domkiem. Byli starsi ode mnie.

- Czego szukacie?

- Spójrz!

Najwyższy z nich, wysoki i chudy jak tyczka, o ciemnych włosach i ostrych rysach, uniósł kilka niedbale wyrwanych stronic z czegoś, co musiało być bardzo, bardzo starym pismem pornograficznym. Dziewczęta sfotografowano w czerni i bieli, a ich fryzury przypominały te noszone przez moje cioteczne babcie na starych fotografiach. Pismo było podarte, wiatr rozrzucił fragmenty po całej drodze i ogrodzie opuszczonej ruiny.

Dołączyłem do łowów na zdjęcia. Wspólnie w owym mrocznym miejscu zebraliśmy we trójkę niemal cały egzemplarz

„Przysmaków džentelmena”. Potem wdrapaliśmy się na mur i ukryci w opuszczonym jabłoniowym sadzie obejrzelśmy pismo z nagimi kobietami z dawnych czasów. Ów zapach, woń świeżych i gnijących jabłek, woń rozkładu i cydru do dziś dnia kojarzy mi się z czymś zakazanym.

Mniejsi chłopcy, choć nadal więksi ode mnie, nazywali się Simon i Douglas, a najwyższy, mogący liczyć sobie nawet piętnaście lat, miał na imię Jamie. Zastanawiałem się, czy to bracia, ale nie spytałem.

- Schowamy go w naszej sekretnej kryjówce - oznajmili, gdy skończyliśmy oglądać pismo. - Chcesz pójść z nami? Jeśli pójdziesz, nikomu nie możesz o tym opowiedzieć, nikomu.

Kazali mi splunąć w dłoń, oni także to zrobili. Uścisnęliśmy sobie ręce.

Ich sekretna kryjówka okazała się opuszczoną, metalową wieżą ciśnień stojącą na polu obok wylotu alejki, niedaleko której mieszkałem. Wdrapaliśmy się na wysoką drabinę. Wieżę z zewnątrz pomalowano brudnozieloną farbą, w środku była pomarańczowa od rdzy, pokrywającej ściany i podłogę. Na podłodze leżał portfel, nie było w nim pieniędzy, tylko karty z pudełek papierosów. Jamie pokazał mi je - na każdej widniała podobizna krykieciarza z dawnych czasów. Złożyli kartki z pisma na podłodze wieży ciśnień i przycisnęli portfelem.

- Proponuję, żebyśmy teraz wrócili do Jaskółek.

Mój dom stał nieopodal Jaskółek, wielkiego dworu oddalonego od drogi. Ojciec wspomniał mi kiedyś, że dwór należał do hrabiego Tenterden, lecz po śmierci ojca syn, nowy hrabia, po prostu go zamknął. Czasami przekraczałem granice posiadłości, ale nigdy nie zapuszczałem się dalej. Nie sprawiała wrażenia opuszczonej: ogrody były zanadto zadbane, a gdzie są ogrody, można spodziewać się ogrodników. Gdzieś musiał kręcić się ktoś dorosły.

Powiedziałem im to.

- Zakład, że nie - odparł Jamie. - Pewnie ktoś przychodzi raz w miesiącu kosić trawę czy coś takiego. Nie boisz się chyba? Byliśmy tam setki razy. Tysiące.

Oczywiście, że się bałem, i oczywiście odparłem, że wcale nie. Ruszyliśmy głównym podjazdem aż do bramy. Była zamknięta, toteż precyzyjnie się między prętami.

Po obu stronach podjazdu rosły krzaki rododendronów. Nim dotarliśmy do domu, minęliśmy coś, co uznałem za domek gajowego. Obok niego w trawie dostrzegłem rdzewiejące metalowe klatki, dość duże, by pomieścić psa myśliwskiego albo chłopca. Minęliśmy je i podjazdem w kształcie podkowy dotarliśmy pod same drzwi Jaskółek. Zajrzeliśmy do środka przez okno, ale niczego nie zobaczyliśmy - w środku było za ciemno.

Okrążyliśmy dom, zagłębiając się w gąszcz rododendronów i znaleźliśmy się w baśniowym miejscu. To była magiczna grota pełna kamieni, delikatnych paproci i niezwykłych, egzotycznych roślin. Nigdy wcześniej takich nie widziałem. Fioletowe liście, liście podobne do pióropuszy i niewielkie ukryte kwiaty przypominające klejnoty. Przez grotę przepływał maleńki strumyk, strużka wody ściekająca z kamienia na kamień.

- Zrobię do niego psi, psi - oznajmił bardzo praktycznym tonem Douglas.

Podszedł do strumyka, zsunął szorty i zaczął sikać do wody, chlapiąc na kamienie. Pozostali chłopcy też to zrobili - obaj wyciągnęli penisy i stanęli obok, by odlać się do strumyka.

Wstrząsnęło mną to, pamiętam do dzisiaj. Przypuszczam, że zszokowała mnie radość, z jaką to czynili, a może fakt, że robili coś takiego w tak niezwykłym miejscu; zanieczyszczali czystą wodę i niszczyli magię groty, zamieniając ją w toaletę. Wydało mi się to czymś bardzo złym.

Kiedy skończyli, nie schowali penisów, potrząsnęli nimi i wycelowali we mnie. U podstawy penisa Jamiego rosły włosy.

- Jesteśmy Rojalistami - oznajmił Jamie. - Wiesz, co to znaczy? Uczyłem się o angielskiej wojnie domowej, Rojalistach (walczyli po złej stronie, lecz jakże romantycznie) i Parlamentarzystach albo Purytanach (mieli rację, ale byli wstrętni i odstręczający). Nie przypuszczałem jednak, że o to mu chodzi. Pokręciłem głową.

- To znaczy, że nasze fiutki nie są obrzezane - wyjaśnił. - A ty, jesteś Rojalistą czy Purytaninem?

Teraz wiedziałem, co ma na myśli.

- Jestem Purytaninem - wymamrotałem.

- Pokaż nam. No dalej, wyciągaj go.

- Nie, to nie wasza sprawa.

Przez chwilę sądziłem, że może zrobić się nieprzyjemnie. Ale potem Jamie roześmiał się i schował penisa. Pozostali zrobili to samo. Zaczęli opowiadać sobie nieprzyzwoite kawały, kawały, których w ogóle nie rozumiałem, mimo że byłem bystrym dzieckiem. Zapamiętałem je jednak i kilka tygodni później o mało nie wyleciałem ze szkoły za opowiadanie jednego chłopcu, który wrócił do domu i powtórzył go rodzicom.

W dowcipie pojawiała się słowo „chuj”; tam właśnie usłyszałem je po raz pierwszy - w nieprzyzwoitym dowcipie w czarodziejskiej grocie.

Po szkolnym incydencie dyrektorka wezwała moich rodziców i oznajmiła, że powiedziałem coś tak złego, że nawet im tego nie powtórzy.

Tego wieczoru, gdy wróciliśmy do domu, matka spytała mnie, co to było.

- Chuj - wyjaśniłem.

- Nigdy, przenigdy nie wolno ci mówić tego słowa - oświadczyła matka. Mówiła cicho, z ogromnym naciskiem i dla mojego własnego dobra. - To najgorszy wyraz, jaki można usłyszeć.

Obiecałem jej to.

Potem jednak, zdumiony potęgą jednego słowa, szeptałem je czasem do siebie, gdy nikogo nie było w pobliżu.

Owego jesiennego popołudnia w grotcie trzech chłopcy opowiadali dowcipy i zaśmiewali się do rozpuku. Ja też się śmiałem, choć nie rozumiałem, co w tym takiego zabawnego.

Poszliśmy dalej. Za grotą rozciągały się eleganckie ogrody. Nad stawem przerzucono niewielki mostek; przeszliśmy po nim nerwowo, bo było go widać z daleka. Lecz w mrocznej wodzie stawu dostrzegliśmy złote rybki i uznaliśmy, że warto. A potem Jamie poprowadził Douglasa, Simona i mnie żwirową ścieżką do lasu.

W odróżnieniu od ogrodów las był zarosnięty i zaniedbany, sprawiał wrażenie opuszczonego. Wąska ścieżka wiodła między drzewa i dalej na polanę.

Na polanie stał domek.

To był domek do zabaw, zbudowany jakieś czterdzieści lat wcześniej dla dziecka bądź dzieci. Okna w stylu elżbietańskim mieniły się rombami szybek, dach także był w podobnym stylu.

Kamienna dróżka wiodła z miejsca, w którym staliśmy, aż do drzwi.

Razem podeszliśmy do nich.

Na drzwiach wisiała metalowa kołatka pomalowana czerwoną farbą i odlana w kształt jakiegoś chochlika, złośliwie uśmiechniętego gнома bądź demona. Zawieszony za ręce, ze skrzyżowanymi nogami trzymał się zawiasów. Zobaczmy, czy zdołam go opisać: nie był to dobry stwór. Weźmy choćby wyraz jego twarzy. Odkryłem, że zastanawiam się, jaki człowiek powiesiłby coś takiego na domku do zabaw.

I wtedy na polanie, gdy zmrok gęstniał pośród drzew, poczułem strach. Odszedłem na bezpieczną odległość od domku, pozostali podążyli za mną.

- Chyba muszę już wracać - oznajmiłem.

Nie powinienem był tego mówić. Pozostała trójka obróciła się do mnie i zaczęła śmiać się i drwić, nazywać mnie żalonym tchórzem, dzieciakiem. Oświadczyli, że nie boją się domku.

- Wyzywam cię! - rzucił Jamie. - Wyzywam. Zapukaj do drzwi. Pokręciłem głową.

- Jeśli w nie nie zastukasz - dodał Douglas - okażesz się dzieciakiem i nigdy więcej nie będziemy się z tobą bawić.

Nie miałem najmniejszej ochoty znów się z nimi bawić. Sprawiali wrażenie mieszkańców krainy, do której ja sam nie miałem jeszcze wstępu. Mimo wszystko jednak nie chciałem, by uważali mnie za dzieciaka.

- No dalej. My się nie boimy - podkreślił Simon.

Próbuję sobie przypomnieć ton jego głosu. Czy on także czuł lęk i maskował go udawaną śmiałością? A może mówił z rozbawieniem? Minęło tyle czasu... Chciałbym wiedzieć.

Powoli ruszyłem kamienną ścieżką w stronę domu. Wyciągnąłem rękę, chwyciłem w prawą dłoń szyderczo uśmiechniętego chochlika i uderzyłem nim mocno o drzwi.

Czy raczej próbowałem nim uderzyć, żeby pokazać tamtym trzem, że wcale się nie boję. Że nie boję się niczego. Ale coś się stało, coś czego się nie spodziewałem, i kołatka rąbnęła o drzwi ze stłumionym łoskotem.

- Teraz musisz wejść do środka! - zawołał Jamie, wyraźnie podniecony, słyszałem to w jego głosie.

Ciekawiło mnie, czy nim tam przyszliśmy, wiedzieli o istnieniu tego miejsca, czy byłem pierwszą osobą, którą tam przyprowadzili.

Nie ruszyłem się jednak.

- Ty tam wejdź - odparłem. - Zastukałem do drzwi, zrobiłem to co kazałeś. Teraz ty musisz wejść do środka. Wyzywam cię. Wyzywam was wszystkich.

Nie zamierzałem nigdzie wchodzić, byłem tego absolutnie pewien. Ani wtedy, ani nigdy. Gdy uderzałem uśmiechniętym chochlikiem w drzwi, poczułem ruch, jakby kołatka obróciła mi się w ręce. Nie byłem jeszcze dość dorosły, by zaprzeczyć świadectwu własnych zmysłów.

Nie odpowiedzieli, stali bez ruchu. I wtedy powoli drzwi domku się otwały. Może sądzili, że stojąc obok, popchnąłem je, może uznali, że otworzyły się, gdy zastukałem. Ale nie. Byłem tego pewien. Otwarły się, bo były gotowe.

Powinienem był uciec. Serce szaleńczo waliło mi w piersi. Lecz tkwiący we mnie diabeł sprawił, że zamiast tego spojrzałem na trzech dużych chłopców na końcu ścieżki i powiedziałem:

- A może się boicie?

Ruszyli razem w kierunku domku.

- Robi się ciemno - zauważył Douglas.

A potem trzech chłopcy minęli mnie i kolejno, być może z wahaniem, weszli do środka. Biała twarz obróciła się ku mnie - założę się, że chciała spytać, czemu nie idę za nimi. Lecz gdy tylko Simon, idący jako ostatni, przekroczył próg, drzwi zatrzasnęły się za nimi, a przysięgam na Boga, że ja ich nie tknąłem.

Chochlik uśmiechał się do mnie szyderczo: jaskrawoczerwona plama szkarłatu pośród szarości zmierzchu.

Okrążyłem domek i kolejno zajrzałem przez wszystkie okna do pustego ciemnego pomieszczenia. W środku nic się nie poruszało. Zastanawiałem się, czy tamci trzech chowają się przede mną przyciśnięci do ściany, ze wszystkich sił starając się stłumić śmiech. Może to taka zabawa starszych chłopaków?

Nie wiedziałem. Nie umiałem stwierdzić.

Stałem przed domkiem pod ciemniejącym niebem i czekałem. Po jakimś czasie wzeszedł księżyc, wielki jesienny księżyc barwy miodu.

I wtedy drzwi się otwały i ze środka nic nie wyszło.

Byłem sam na polanie; czułem się, jakby poza mną nigdy nie było tam nikogo. Zahukała sowa i zrozumiałem, że mogę odejść. Odwróciłem się i ruszyłem naprzód inną ścieżką, szerokim łukiem wymijającą dwór. W blasku księżycy wdrapałem się na ogrodzenie, rozdierając siedzenie szkolnych szortów, i przeszedłem - nie biegłem, nie musiałem biec - przez rżysko pozostałe po zbiorach jęczmienia, kolejne schodki i wysypaną krzemieniem alejkę, która, jeśli podążyło się nią do końca, prowadziła do mojego domu.

I wkrótce tam właśnie się znalazłem.

Rodzice nie martwili się, choć zirytowały ich pomarańczowo- rdzawe plamy na ubraniu i rozdarte szorty.

- Gdzie się podziewałeś? - spytała matka.

- Poszedłem na spacer - odparłem. - Straciłem rachubę czasu. Więcej do tego nie wracaliśmy.

Dochodziła druga rano, polska hrabina już wyszła. Nora zaczęła zbierać hałaśliwie szklanki i popielniczki, i wycierać kontuar.

- To miejsce też jest nawiedzone - oznajmiła radośnie. - Mnie to nie przeszkadza; lubię towarzystwo, moi drodzy. Gdybym nie lubiła, nie otworzyłabym klubu. Nie powinniście aby wracać do domów?

Pożegnaliśmy się z Norą, która zmusiła nas, byśmy kolejno ucałowali ją w policzek, i zamknęła za nami drzwi Diogenesa. Mijając sklep płytowy, zeszliliśmy wąskimi stopniami na ulicę. Z powrotem do cywilizacji.

Metro przestało jeździć parę godzin wcześniej, ale wciąż pozostawały nocne autobusy i taksówki dla tych, którzy mogli sobie na nie pozwolić. (Ja nie mogłem. Nie w tamtych czasach). Sam klub Diogenes zamknął podwoje kilka lat później, wykończył go rak Nory i, jak przypuszczam, łatwa dostępność alkoholu po zmianie przepisów o jego sprzedaży. Lecz po owej nocy rzadko do niego wracałem.

- Czy kiedykolwiek słyszałeś coś o tamtych chłopcach? - spytał już na ulicy Paul-aktor. - Widziałeś ich jeszcze czy może zgłoszono ich zaginięcie?

- Nic z tych rzeczy - odparł ten, który opowiedział historię. - To znaczy, nigdy ich już nie widziałem i nie ogłoszono poszukiwań trzech zaginionych. Czy raczej, jeśli je ogłoszono, ja o tym nie słyszałem.

- Czy domek wciąż tam stoi? - zainteresował się Martyn.

- Nie wiem - przyznał opowiadający.

- No cóż - oznajmił Martyn, gdy dotarliśmy do Tottenham Court Road i skierowaliśmy się na nocny przystanek autobusowy - Osobiście nie wierzę w ani jedno słowo.

Tam, na ulicy, długo po porze zamykania drzwi, było nas czterech, nie trzech. Powiniennem wspomnieć o tym wcześniej. Był z nami mężczyzna, który dotąd się nie odezwał, starszy pan ze skórzanymi łątami. Wszedł z klubu razem z naszą trójką. Teraz przemówił po raz pierwszy.

- Ja wierzę - rzekł cicho, głos miał słaby, niemal przepraszaający.

- Nie potrafię tego wyjaśnić, ale wierzę. Jamie zmarł wkrótce po śmierci ojca, wiecie? To Douglas nie chciał tam wrócić i sprzedał starą posiadłość. Wolał, żeby wszystko zburzyli. Zatrzymali jednak sam dom, Jaskółki, jego nie zamierzali zburzyć. Przypuszczam, że cała reszta zniknęła dawno temu.

Noc była zimna, od czasu do czasu wciąż jeszcze mżyło. Zadrzałem, ale tylko dlatego, że poczułem chłód.

- Klatki, o których pan wspomniał - rzekł - przy podjeździe. Nie myślałem o nich od pięćdziesięciu lat. Kiedy byliśmy niegrzeczni, zamykał nas w nich. Musieliśmy być niezłymi urwisami, prawda? Niegrzeczni, niedobrzy chłopcy. - Wodził wzrokiem po Tottenham Court Road, jakby czegoś szukał. Potem rzekł: - Oczywiście Douglas popełnił samobójstwo. Dziesięć lat temu. Gdy wciąż siedziałem w wariatkowie. Moja pamięć nie jest już taka dobra, nie tak dobra, jak kiedyś, ale to przez Jamiego, o tak. Nigdy nie pozwalał nam zapomnieć, że jest najstarszy. A poza tym nie wolno nam było wchodzić do domku. Ojciec nie zbudował go dla nas. - Głos mu zadrzał i przez sekundę wyobraziłem sobie tego bladego starszego człowieka jako chłopca. - Ojciec miał własne zabawy.

A potem machnął ręką, zawołał „taxi” i taksówka zatrzymała się obok.

- Hotel Brown - polecił mężczyzna i wszedł do środka. Nie żegnając się z nami, zatrzasnął

drzwi taksówki.

A gdy trzasnęły, usłyszałem w tym dźwięku odgłos zbyt wielu innych zamykanych drzwi, drzwi z przeszłości, które już odeszły i których już nigdy nie zdołamy otworzyć.

ZMIANA W WODWO

Odrzucam książkę, ciuch, koszulę, życie swe, Ciskam skorupy puste, suchych liści stos, Wyruszam szukać pożywienia, źródła też ze słodką wodą.

Drzewa pień znajdę, gruby jak tłuszczochów pół tuzina, wśród korzeni szarych szemerze zdrój, wokół orzechy, rajskie jabłka, jagód w bród i nazwę domem.

Wiatr tylko i nikt inny pozna imię me. Obłąd nawiedza lub porzuca w lesie nas W połowie życia. Teraz moja skóra się Twarzą mą stanie.

Wariuję chyba. Rozum został tam, gdzie dom i buty. Boli brzuch. Potykam się wśród traw, wracając do korzeni, liści, cierni, pni, drzę cały.

Rozmawiam z lasem, świat porzucam, pełen słów

Będę człowiekiem z lasu, śpiewać słońca pieśń, I czuć, jak w ustach mi zakwita ciszy kwiat jak język.

SMAK GORYCZY

1. Wracaj szybko albo nigdy

Pod każdym liczącym się względem nie żyłem. Być może gdzieś wewnątrz krzyczałem, płakałem i skowyczałem jak zwierzę, ale to był ktoś inny, ukryty gdzieś głęboko, ktoś niemający dostępu do twarzy, warg, ust i głowy, toteż na powierzchni jedynie wzruszałem ramionami, uśmiechałem się i poruszałem dalej. Gdybym mógł umrzeć fizycznie, po prostu wszystko odpuścić, ot tak, niczego nie robiąc, opuścić życie tak łatwo, jakbym wychodził drzwiami, zrobiłbym to. Ale zamiast tego musiałem sypiać nocami i budzić się rankiem zawiedziony faktem, że wciąż tam jestem, i z rezygnacją przyjmować dalszą egzystencję.

Czasami do niej dzwoniłem. Odczekiwałem dzwonek bądź dwa, po czym odkładałem słuchawkę.

Ten ja, który cały czas krzyczał, ukrywał się tak głęboko, że nikt nie wiedział o jego istnieniu. Nawet ja zapomniałem, że tam jest. Aż do dnia, gdy wsiadłem do samochodu - postanowiłem, że muszę pojechać do sklepu kupić jabłka - po czym minąłem sprzedający jabłka sklep i jechałem dalej i dalej. Kierowałem się na południe i zachód, bo gdybym pojechał na północ bądź wschód, wkrótce zabrakłoby mi świata.

Po paru godzinach jazdy zadzwoniła komórka. Opuściłem szybę i wyrzuciłem aparat. Zastanawiałem się, kto go znajdzie, czy odbierze telefon i przyjmie w darze całe moje życie.

Gdy zatrzymałem się, żeby kupić benzynę, wyjąłem limit gotówki ze wszystkich kart kredytowych. Powtarzałem to przez następne parę dni przy kolejnych bankomatach, aż w końcu karty przestały działać.

Pierwsze dwie noce spędziłem w samochodzie. Mniej więcej w połowie Tennessee zorientowałem się, że muszę się wykąpać. Byłem tak brudny, że postanowiłem zapłacić za kąpiel. Zameldowałem się w motelu, wyciągnąłem w wannie i zasnąłem. W końcu woda wystygła tak mocno, że jej chłód mnie obudził. Ogoliłem się, używając motelowej jednorazówki i małego opakowania pianki, a potem padłem na łóżko i zasnąłem.

Obudziłem się o czwartej, czując, że czas znów ruszać w drogę. Zszedłem do holu.

Gdy tam dotarłem, przed recepcją stał mężczyzna - siwowłosy, choć na oko nie dobiegł jeszcze czterdziestki, o wąskich wargach, ubrany w porządny, ale wygnieciony garnitur.

- Zamówiłem taksówkę godzinę temu - mówił. - Godzinę temu. - Mówiąc, stukał w ladę portfelem, rytmicznie podkreślając słowa.

Szef nocnej zmiany wzruszył ramionami.

- Zadzwoń jeszcze raz - odparł. - Ale jeśli nie mają samochodu, nie zdołają go przysłać.

- Wybrał numer. - To znów recepcja motelu

„Dobranoc”... tak, mówiłem mu... tak, powiedziałem.

- Hej - wtrąciłem. - Nie jestem taksówkarzem, ale nigdzie mi się nie spieszy. Podrzucić pana gdzieś?

Przez moment mężczyzna patrzył na mnie, jakbym oszalał; w jego oczach dostrzegłem strach. A potem zniknął i gość gapił się na mnie jak na anioła zesłanego z nieba.

- Wie pan co? Tak, na Boga, tak - rzekł.

- Pan mi powie, dokąd jechać, a ja pana zabiorę. Jak mówiłem, nigdzie mi się nie spieszy.

- Proszę mi dać telefon - polecił recepcjoniście siwowłosy mężczyzna. Wziął słuchawkę. - Możecie skasować zamówienie, bo Bóg zesłał mi właśnie dobrego Samarytanina. Ludzie zjawiają się w naszym życiu nie bez powodu. Zgadza się. Proszę się nad tym zastanowić.

Podniósł teczkę - podobnie jak ja, nie miał bagażu - i razem wyszliśmy na parking.

Jechaliśmy w ciemności, mój pasażer co chwila zerkał na narysowaną ręcznie mapkę rozłożoną na kolanach, przyświecając sobie minilatarką doczepioną do kluczy, po czym mówił: „Tu w lewo” albo „Tędy”.

- To bardzo szlachetne z pana strony - oznajmił.

- Nie ma sprawy. Mam dość czasu.

- Jestem wdzięczny. Wie pan, wszystko to wygląda jak idealna miejska legenda. Jazda wiejskimi drogami z tajemniczym Samarytaninem. Historia o widmowym autostopowiczu. Gdy dotrę do celu, opiszę pana przyjaciółom, a oni powiedzą, że zmarł pan dziesięć lat temu, lecz wciąż podwozi ludzi w potrzebie.

- Niezły sposób poznawania ludzi. Zaśmiał się.

- Czym się pan zajmuje?

- Można powiedzieć, że właśnie zmieniam pracę - odparłem. - A pan?

- Jestem profesorem antropologii. - Milczał przez chwilę. -

Chyba powinien się był przedstawić. Uczę na uczelni katolickiej. Ludzie nie wierzą, że na uczelniach katolickich naucza się antropologii, ale tak jest. Przynajmniej na niektórych.

- Ja wierzę.

Kolejna chwila ciszy.

- Zepsuł mi się samochód i patrol policyjny podrzucił mnie do hotelu. Powiedzieli, że pomoc drogowa przyjedzie dopiero rano. Spałem dwie godziny, a potem policjant z patrolu zadzwonił do mojego pokoju. Pomoc drogowa już jedzie, kiedy się zjawia, muszę

być na miejscu. Uwierzy pan? Jeśli mnie tam nie będzie, nie tkną wozu. Po prostu odjadą. Wezwałem taksówkę. Nie przyjechała. Mam nadzieję, że dotrzemy na miejsce pierwsi.

- Staram się jak mogę.

- Może powinienem był polecić. Co prawda nie boję się latania, ale zwróciłem bilet. Jadę do Nowego Orleanu. Godzina lotu to czterysta dwadzieścia dolarów, dzień jazdy - trzydzieści dolarów. To czterysta dziesięć dolarów w gotówce i nie muszę się z nich rozliczać.

Pięćdziesiąt wydałem na pokój w motelu, ale tak to już bywa. Konferencja akademicka. Moja pierwsza. Dziekan nie wierzy w sens konferencji, ale powoli wszystko się zmienia. Osobiście nie mogę się doczekać. Antropolodzy z całego świata. - Wymienił kilka nazwisk, które nic mi nie mówiły. - Ja przedstawię referat na temat haitańskich kawiarek.

- Hodują kawę czy ją piją?

- Ani to, ani to. Sprzedawały ją od drzwi do drzwi w Port Au Prince wczesnym rankiem, na początku dwudziestego wieku.

Powoli robiło się jaśniej.

- Ludzie brali je za zombi - ciągnął. - No wie pan, żywe trupy. Tu chyba trzeba skrócić w prawo.

- A były? No wie pan, zombi?

Moje pytanie wyraźnie go ucieszyło.

- W środowisku antropologicznym istnieje kilka różnych szkół myślenia co do zombi. Nie jest to tak jasne i oczywiste, jak wskazywałyby popularne prace w stylu *Wąż i tęcza*. Najpierw musimy zdefiniować używane określenia: czy mówimy o wierzeniach ludowych, o pyle zombi, czy o żywych trupach?

- Nie wiem - przyznałem. Dotąd zdawało mi się, że *Wąż i tęcza* to zwykły filmowy horror.

- To były dzieci, dziewczynki od pięciu do dziesięciu lat. Mniej więcej o tej porze, przed wschodem słońca krążyły od drzwi do drzwi w całym Port Au Prince, sprzedając mieszankę kawy i cykorii. Wszystkie należały do jednej staruszki. Proszę zjechać na lewo tuż przed następnym zakrętem. Kiedy staruszka umarła, dziewczynki zniknęły. Tak przynajmniej piszą w książkach.

- A w co pan wierzy? - spytałem.

- O, jest mój wóz. - W jego głosie zabrzmiała ulga.

Na poboczu stała czerwona honda accord, obok niej parkowała ciężarówka pomocy drogowej z migającym kogutem. Stojący przy niej mężczyzna palił papierosa. Skręciliśmy tuż za nią.

Nim jeszcze zdążyłem się zatrzymać, antropolog otworzył drzwi, chwycił aktówkę i wyskoczył z wozu.

- Miałem dać panu jeszcze pięć minut, a potem ruszać w drogę - oznajmił kierowca ciężarówki i wyrzucił niedopałek do kałuży na asfalcie. - Poproszę o kartę ubezpieczenia i kartę kredytową.

Mój pasażer sięgnął po portfel. Zastygł wyraźnie zaskoczony, wsadził dłonie do kieszeni.

- Mój portfel - rzucił. Wrócił do mojego samochodu, otworzył drzwi od strony pasażera i schyliwszy się, wsadził głowę do środka. Zapaliłem światło. Poklepał puste siedzenie. -

Mój portfel - powtórzył. Zabrzmiało to żałośnie jak u skrzywdzonego dziecka.

- Miał go pan jeszcze w motelu - przypomniałem. - Trzymał go pan w ręce, widziałem.
- Niech to szlag! - rzucił. - Niech to pierdzielony, piekielny szlag.
- Wszystko w porządku?! - zawołał kierowca ciężarówki.
- Dobra - rzekł z napięciem antropolog. - Oto, co zrobimy. Pan wróci do motelu. Musiałem zostawić portfel w recepcji, proszę mi go przywieźć. Do tego czasu czymś ich zajmę. Pięć minut, to potrwa najwyżej pięć minut. - Musiał dostrzec wyraz mojej twarzy.
- Proszę pamiętać, ludzie zjawiają się w naszym życiu nie bez powodu.
Wzruszyłem ramionami, zirytowany, że dałem się wciągnąć w czyjąś historię.
A potem antropolog zatrzasnął drzwi i uniósł zachęcająco kciuk. Miałem ochotę po prostu odjechać i zostawić go tam, było już jednak za późno. Wróciłem do motelu, recepcjonista oddał mi portfel. Powiedział, że zauważył go na ladzie tuż po naszym odjeździe.
Otworzyłem portfel. Na kartach kredytowych widniało nazwisko

Jackson Anderton.

Nim z powrotem trafiłem na miejsce, minęło pół godziny i niebo poszarzało, zwiastując nadejście świtu. Ciężarówka pomocy drogowej zniknęła. Tylne okno czerwonej hondy accord było stłuczone, drzwi od strony kierowcy otwarte. Zastanawiałem się, czy to może inny samochód, czy może przyjechałem złą drogą w złe miejsce, ale na szosie ujrzałem zgniecione przez kierowcę niedopałki, a w rowie nieopodał pustą, otwartą aktówkę. Obok niej leżała brązowa koperta zawierająca piętnaście stron maszynopisu, opłaconą z góry rezerwację w nowoorleańskim Mariotcie na nazwisko Jackson Anderton oraz opakowanie trzech kondomów, prążkowanych, dla zwiększenia doznań.
Na stronie tytułowej widniał napis:

„Oto co mówią o zombi: to ciała pozbawione duszy. Żywe trupy.
Kiedyś nie żyli, a potem przywrócono ich do życia”. Hurston. „Tell My Horse”.

Zabrałem brązową kopertę, natomiast aktówkę zostawiłem tam gdzie leżała. Ruszyłem na południe pod perłowym niebem.
Ludzie pojawiają się w naszym życiu nie bez powodu. Jasne.
Nie mogłem znaleźć stacji radiowej, która utrzymałaby dłużej sygnał. W końcu nacisnąłem przycisk skanowania i zostawiłem tak radio, przeskakujące z kanału na kanał w niestrudżonym poszukiwaniu sygnału, przemykające od ewangelii po stare przeboje, od rozmów biblijnych do rozmów o seksie lub muzyki country. Po trzy sekundy na stację. Trzy sekundy rozdzielane dłuższymi wybuchami białego szumu.
„...Łazarz martwym. O tak, był martwy i Jezus przywrócił go do życia, by nam pokazać. Powiadam, pokazać nam...”.
„...Nazywam to chińskim smokiem. Mogę to powiedzieć na antenie? W chwili, gdy, no wiesz, puszczają ci tamy, trzepiesz ją mocno w tył głowy i wypuszcza wszystko nosem.

Mało nie padłem ze śmiechu...”.

„...Kiedy wrócisz dziś do domu, będę czekał w mroku na moją kobietę, z butelką i spluwą...”.

„...Gdy Jezus zapyta »będziecie tam?«, czy będziecie? Nikt nie zna dnia ani godziny. Czy zatem będziecie tam?...”.

„...Prezydent ujawnił dziś plany nowej inicjatywy...”.

„...Świeżo parzona wczesnym rankiem. Dla ciebie. Dla mnie. Każdego dnia. Każdego dnia smak goryczy...”.

I tak w kółko. Słowa przepływały po mnie, a ja jechałem naprzód bocznymi drogami. Jechałem tak i jechałem.

W miarę jak przesuujemy się na południe, ludzie stają się bardziej towarzyscy. Człowiek siada w barze i wraz z kawą i posiłkiem dostaje komentarze, pytania, uśmiechy i pozdrowienia.

Był wieczór, jadłem właśnie smażonego kurczaka, jarmuż i placuszki kukurydziane, a kelnerka uśmiechała się do mnie. Jedzenie nie miało smaku, ale być może był to mój problem, nie ich.

Skinąłem uprzejmie głową, co potraktowała jako zaproszenie do podejścia i dolania mi kawy. Kawa była gorzka, odpowiadało mi to. Przynajmniej czymś smakowała.

- Kiedy tak na pana patrzę - zagadnęła - wydaje mi się pan człowiekiem wykształconym. Mogę spytać o pański zawód? - Tak to właśnie powiedziała, słowo w słowo.

- Oczywiście, może pani. - Czułem się jak człowiek opętany przez coś dziwnego. Pogodny i jednocześnie pompatyczny niczym WC Fields albo roztargniony profesor (ten gruby, nie w wersji Jerry'ego Lewisa, choć w istocie mam niemal idealną wagę do mojego wzrostu). - Tak się składa, że jestem... antropologiem i zmierzam na konferencję w Nowym Orleanie, gdzie będę konferował, naradzał się i dyskutował z innymi antropologami.

- Wiedziałaś - mruknęła. - Wystarczyło popatrzeć. Wiedziałaś, że jest pan profesorem. Albo może dentystą.

Jeszcze raz uśmiechnęła się do mnie. Przez moment pomyślałem, że mógłbym zostać na zawsze w tym miasteczku, co rano i wieczór

jadać w tym barze, popijać gorzką kawę i oglądać jej uśmiechy, dopóki nie zabraknie mi kawy, pieniędzy i czasu. A potem zostawiłem jej spory napiwek i ruszyłem na południe i zachód.

2. Język sprowadził mnie tutaj

W Nowym Orleanie ani jego okolicach nie znalazłem wolnych pokojów. Pochłonał je co do sztuki festiwal jazzowy. Było za gorąco, żebym mógł zanocować w samochodzie. Poza tym, nawet gdybym uchylił okno i spróbował znieść upał, nie czułbym się bezpiecznie. Nowy Orlean to prawdziwe miejsce, czego nie da się powiedzieć o większości miast, w których mieszkałem, ale nie jest to miejsce przyjazne ani bezpieczne.

Cuchnąłem, wszystko mnie swędziało, chciałem się wykąpać i przespać. Chciałem, by świat przestał wyprzedzać mnie w biegu.

Jeździłem od jednego taniego motelu do drugiego. A potem w końcu - od początku wiedziałem, że tak zrobię - skręciłem na parking Mariotta w centrum przy Canal Street.

Tu przynajmniej mieli jeden wolny pokój; w kopercie wciąż tkwiła karta rezerwacji.

- Potrzebny mi pokój - powiedziałem do jednej z kobiet w recepcji.

Prawie nie uniosła wzroku.

- Wszystkie są zajęte - odparła. - Do wtorku nie mamy niczego wolnego.

Musiałem się ogolić, wziąć prysznic, odpocząć. Co najgorszego może powiedzieć? - pomyślałem. „Przykro mi, już się pan zameldował”?

- Mam pokój opłacony przez uniwersytet. Na nazwisko

Anderton.

Przytaknęła, wystukała coś na klawiaturze. Spytała: „Jackson?”, po czym wręczyła mi klucz do pokoju, a ja parafowałem księgę gości. Wskazała ręką windy.

Stojący obok niski mężczyzna z kucykiem i ciemną, jastrzębią twarzą porośniętą białym, kilkudniowym zarostem odchrząknął.

- Anderton z Hoppwell, tak? - zagadnął. - Byliśmy sąsiadami w „Przeglądzie Herezji Antropologicznych”. - Miał na sobie biały podkoszulek z napisem „Antropolodzy robią to w oparach kłamstwa”.

- Tak?

- Tak. Jestem Campbell Lakh, uniwersytet Norwood i Streatham. Wcześniej politechnika w North Croydon. W Anglii. Napisałem rozprawę na temat wędrówek islandzkich posłańców duchowych.

- Miło mi poznać. - Uścisnąłem mu dłoń. - Nie masz akcentu londyńskiego.

- Jestem Brummolem - wyjaśnił. - Z Birmingham - dodał. - Nigdy wcześniej nie widziałem cię na żadnym spotkaniu.

- To moja pierwsza konferencja - przyznałem.

- W takim razie trzymaj się mnie - powiedział. - Zajmę się tobą. Pamiętam mój pierwszy raz na konferencji, cały czas byłem śmiertelnie przerażony, że zrobię coś głupiego. Zatrzymamy się na antresoli, zabierzemy nasze rzeczy i się umyjemy. Przysięgam na Boga, moim samolotem musiała lecieć setka niemowlaków. Na zmianę wrzeszczały, srały i rzygały. W każdej chwili darło się co najmniej dziesięć.

Zatrzymaliśmy się na półpiętrze, odebraliśmy identyfikatory i programy.

- Nie zapomnijcie zapisać się na spacer duchów - powiedziała siedząca za stołem uśmiechnięta kobieta. - Wędrówki tropem duchów starego Nowego Orleanu odbywają się co noc, w grupach do piętnastu osób, więc zapisujcie się jak najszybciej.

Wykąpałem się, w umywalce uprałem ubranie i rozwiesiłem w łazience.

Siedząc nago na łóżku, przejrzałem zawartość teczki Andertona. Przerzuciłem referat, który zamierzał przedstawić; nie zwróciłem uwagi na treść.

Na odwrocie strony numer pięć zapisał drobnym, nawet dość czytelnym pismem.

W świecie idealnym można by pieprzyć się z ludźmi, nie oddając im kawałka własnego serca, a każdy przelotny pocałunek, każde dotknięcie ciała to kolejny odłamek serca, którego już nie ujrzymy.

Aż w końcu samodzielne chodzenie (budzenie się? mówienie?) staje się nie do zniesienia.

Kiedy ubranie mniej więcej wyszło, włożyłem je z powrotem i wróciłem do hotelowego baru. Campbell już tam był. Pił gin z tonikiem, popijając ginem z tonikiem.

Przed sobą rozłożył program konferencji i zakreślił wszystkie wystąpienia i referaty, które chciał obejrzeć („zasada numer jeden, jeśli jest przed południem, pieprzyć go, chyba że sam go wygłaszasz”, wyjaśnił). Pokazał mi mój punkt programu, podkreślony ołówkiem.

- Nigdy wcześniej tego nie robiłem - przyznałem. - Nie przedstawiałem referatu na konferencji.

- Luz blues, Jackson - rzekł. - Luz blues. Wiesz, co ja robię?

- Nie.

- Po prostu wstaję i odczytuję referat. Potem ludzie zadają pytania, a ja ich bajeruję. Aktywnie, w odróżnieniu od pasywnego bajeru. To jest najlepsze, zwykły bajer. Luz blues.

- Nie jestem zbyt dobry w, uhm, bajerowaniu - mruknąłem. - Nie umiem kłamać.

- W takim razie kiwaj głową i mów, że to bardzo interesujące pytanie, a pełna odpowiedź znajdzie się w dłuższej wersji referatu, której dzisiejsze wystąpienie stanowi jedynie skrócony abstrakt. Gdyby jakiś świr uprzykrzał ci się z powodu czegoś, co zrobiłeś nie tak, nadmij się i oznajmij, że nie chodzi tu o to, w co modnie jest wierzyć, lecz o prawdę.

- To działa?

- O Chryste, tak. Parę lat temu wygłaszałem referat na temat pochodzenia sekt Thuggów w armii perskiej - dlatego właśnie zarówno Hindusi, jak i muzułmanie mogli zostać Thuggami. Kult Kali doczepiono dopiero później. Z początku było to swoiste manichejskie tajne stowarzyszenie...

- Wciąż wygadujesz te bzdury? - Była wysoką, bladą kobietą o bujnej, białej czuprynie, ubraną w strój jednocześnie agresywny, wystudiowane cygański i stanowczo za ciepły na ten klimat.

Wyobraziłem sobie, jak jeździ na rowerze, takim z wiklinowym koszykiem z przodu.

- Wygadujesz? Piszę o nich pieprzoną książkę - odparł Anglik. - A teraz pytanie. Kto pójdzie ze mną do dzielnicy francuskiej, by skosztować wszystkiego, co ma do zaproponowania Nowy Orlean?

- Ja dziękuję - oznajmiła bez uśmiechu kobieta. - Kim jest twój kolega?

- To Jackson Anderton z Hopewell College.

- Referat o kawiarkach zombi? - Uśmiechnęła się. - Widziałam w programie, fascynujące. Jeszcze jedna rzecz, którą zawdzięczamy Zorze, co?

- Obok *Wielkiego Gatsby'ego* - mruknąłem.

- Hurston znała F. Scotta Fitzgeralda? - zdziwiła się rowerzystka.

- Nie miałam pojęcia. Zapominamy, jak mały był w tamtych czasach nowojorski światek literacki i jak często geniusz wymazywał granice narzucane przez kolor skóry.

Anglik prychnął.

- Wymazywał? Bardzo opornie. Ta kobieta zmarła w biedzie. Wcześniej pracowała jako sprzątaczką na Florydzie. Nikt nie wiedział, że cokolwiek napisała, a już na pewno, że pracowała z Fitzgeraldem nad *Wielkim Gatsbym*. To żalosne, Margaret.

- Potomni biorą pod uwagę również takie rzeczy. - Wysoka kobieta odeszła.

Campbell odprowadził ją wzrokiem.

- Kiedy dorosnę - rzekł - chcę zostać nią.

- Czemu?

Spojrzał na mnie.

- To mi się podoba. Masz rację, niektórzy z nas piszą bestsellery, niektórzy je czytają. Niektórzy dostają nagrody, inni nie. Najważniejsze jest pozostać człowiekiem. Mam rację? Chodzi o to, by być dobrym człowiekiem. By żyć.

Poklepał mnie po ramieniu.

- Chodź, dziś wieczór zademonstruję ci zadziwiające zjawisko antropologiczne, o którym czytałem w Internecie. Czegoś takiego nie zobaczysz w szurzej dupie w Kentucky. *Id est* - kobiety, które w normalnych okolicznościach nie pokazałyby cycków nawet za sto funtów, z radością demonstrują je tłumom w zamian za tanie plastikowe paciorki.

- Uniwersalny środek płatniczy - mruknąłem. - Paciorki.

- Kurwa - mruknął. - To warte referatu. No, chodź. Piłeś kiedyś drinka z kisiem, Jackson?

- Nie.

- Ja też nie. Założę się, że są ohydne. Przekonajmy się. Zapłaciliśmy za nasze drinki. Musiałem mu przypomnieć o napiwku.

- A przy okazji - spytałem - jak miała na imię żona F. Scotta Fitzgeralda?

- Zeldy. A czemu pytasz?

- Bez powodu - rzekłem.

Zelda. Zora. Co za różnica. Wyszliśmy.

3. Nic, tak jak coś, może wydarzyć się wszędzie

Była mniej więcej północ, siedzieliśmy w barze przy Bourbon Street, ja i angielski profesor antropologii, który właśnie zaczął stawiać drinki - prawdziwe, w tym barze nie sprzedawano drinków z kisiem - dwóm ciemnowłosym kobietom. Były tak podobne, że mogły być siostrami. Jedna przewiązała włosy czerwoną wstążką, druga białą. Gauguin mógłby je namalować, tyle że uczyniłby to zapewne z odsłoniętymi piersiami i bez kolczyków ze srebrnych mysich czaszek. Obie śmiały się niemal bez przerwy.

W pewnym momencie zauważyliśmy grupkę naukowców mijającą spacerkiem bar, podążającą w ślad za przewodniczką z czarną parasolką. Pokazałem ich Campbellowi.

Kobieta z czerwoną wstążką uniosła brwi.

- To wycieczka szlakiem nawiedzonych miasta, szukają duchów. Czasem mam ochotę im powiedzieć „słuchajcie, tu właśnie przychodzą duchy i tu mieszkają. Łatwiej szukać żywych”.

- Twierdzisz, że turyści są żywi? - spytała druga. Jej twarz zdradzała udawaną troskę.

- Kiedy tu przychodzą - odparła pierwsza i obie zaśmiały się głośno.

Śmiały się niemal bez przerwy.

Ta z białą wstążką naśmiewała się z każdego słowa Campbella. Mówiła.

- Powiedz jeszcze raz „kurwa”.

Gdy to zrobił, powtarzała: „Kurfa, kurfa”, próbując go naśladować. On mówił: „To nie kurfa, to kurwa”, ona jednak nie słyszała różnicy i śmiała się jeszcze bardziej.

Po dwóch, może trzech drinkach wziął ją za rękę i poprowadził na tyły, gdzie grała muzyka, było ciemno i zebrało się już kilka osób. Jeśli nawet nie tańczyli, to poruszali się

w rytm.

Ja zostałem na miejscu, obok kobiety z czerwoną wstążką.

- Ty też pracujesz w firmie płytowej? - spytała. Skinąłem głową; to właśnie powiedział im Campbell.

- Nienawidzę przyznawać się ludziom, że jestem pieprzonym naukowcem - oznajmił rozsądnie, gdy obie poszły do toalety. Zamiast tego oświadczył, że to on odkrył Oasis.

- A ty czym się zajmujesz na tym świecie?

- Jestem kapłanką Santerii. Mam to we krwi. Mój tato był Brazylijczykiem, w żyłach mamy płynęła krew irlandzka i Indian Cherokee. W Brazylii wszyscy kochają się ze wszystkimi i płodzą najlepsze na świecie małe brązowe dzieci. Wszyscy mają w sobie krew czarnych niewolników, krew indiańską. Mój tato miał nawet japońską. Jego brat, mój wuj, wygląda jak Japończyk. Mój tato po prostu jest przystojny. Ludzie myślą, że to po nim odziedziczyłam Santerię, ale nie. To po babci. Mówiła, że jest Cherokee, ale kiedy obejrzałam stare rodzinne zdjęcia, uznałam, że tylko się przechwala. Gdy miałam trzy lata, rozmawiałam ze zmarłymi. Kiedy miałam pięć, patrzyłam, jak wielki czarny pies rozmiarów Harleya Davidsona biegnie za jakimś człowiekiem na ulicy. Nikt go nie widział oprócz mnie. A kiedy powiedziałam mamie, a ona powtórzyła babci, stwierdziły: „Musi się dowiedzieć, musi się nauczyć”. Byli tacy, którzy mnie nauczyli, jeszcze w dzieciństwie. Nigdy nie bałam się zmarłych. Bo wiesz, oni nie robią ludziom krzywdy. Wiele rzeczy w tym mieście może zrobić ci krzywdę, ale nie umarli. To żywi ludzie robią innym krzywdę. Wielką krzywdę.

Wzruszyłem ramionami.

- To jest miasto, w którym ludzie śpiąją ze sobą. Kochamy się ze sobą, robimy to, by pokazać, że wciąż żyjemy.

Zastanawiałem się, czy mnie podrywa. Nie wyglądało na to.

- Głodny? - spytała. Przyznałem, że odrobinę.

- Znam miejsce w pobliżu, gdzie sprzedają najlepsze gumbo w Nowym Orleanie. Chodź.

- Słyszałem, że w tym mieście lepiej nie wędrować samotnie nocą - rzekłem.

- Zgadza się - przytaknęła. - Ale ty będziesz miał mnie. Ze mną jesteś bezpieczny.

Na ulicy studentki na balkonach odsłaniały przed tłumami piersi. Widzowie nagradzali widok każdego sutka wiwatami i deszczem plastikowych paciorków. Wcześniej tego wieczoru znałem imię kobiety z czerwoną wstążką, ale teraz wyparowało.

- Kiedyś robili te bzdury tylko w Mardi Gras - powiedziała. - Teraz turyści tego oczekują i sami robią to dla innych. Miejskowych to nie obchodzi. Gdybyś chciał się odlać - dodała - powiedz mi.

- Dobra. A czemu?

- Bo większość turystów, których obrabiają, obrabiają właśnie, gdy wchodzą w uliczki, by sobie ulżyć. Budzą się godzinę później w Pirates Alley z bolącą głową i pustym portfelem.

- Zapamiętam.

Nie zwalnając kroku, wskazała ręką uliczkę, zamgloną i pustą.

- Nie chodź tam - uprzedziła.

Ostatecznie wylądowaliśmy w knajpie ze stolikami. Telewizor nad barem pokazywał Tonight Show, z wyciszonym głosem i włączonymi napisami, które co chwila rozplływały się w cyfry i ułamki. Zamówiliśmy po talerzu gumbo.

Oczekiwałem czegoś więcej po najlepszym gumbo w Nowym Orleanie. Było prawie bez

smaku. Mimo to, zjadłem je, wiedząc, że potrzebuję pożywienia. Był to mój pierwszy posiłek tego dnia.

Do baru weszło trzech mężczyzn. Jeden szedł bokiem, jeden środkiem, jeden z tyłu. Ten z boku ubrany był jak wiktoriański przedsiębiorca pogrzebowy, do kompletu z cylindrem. Skórę miał bladą jak rybi brzuch, włosy długie i tłuste, brodę także długą, ozdobioną srebrnymi koralikami. Środkowy miał na sobie długi czarny skórzany płaszcz, a pod nim ciemny strój. Sam był bardzo czarny. Ostatni, ten z tyłu, czekał przy drzwiach. Nie widziałem jego twarzy, nie potrafiłem rozszyfrować rasy. Widoczne kawałki skóry były brudnoszare. Brudne włosy zasłaniały mu twarz. Jego widok wzbudził we mnie dreszcz.

Pierwsi dwaj mężczyźni podeszli wprost do naszego stolika i przez moment bałem się, że mnie zabiją. Oni jednak nie zwrócili na mnie najmniejszej uwagi, patrzyli tylko na kobietę z czerwoną wstążką. Obaj ucałowali ją w policzek. Zaczęli pytać o znajomych, których nie widzieli, o to, kto z kim, w którym barze i czemu. Skojarzyli mi się z lisem i kotem z Pinokia.

- Co się stało z twoją uroczą dziewczyną? - spytała kobieta czarnoskórego mężczyznę.

Uśmiechnął się bez cienia rozbawienia.

- Położyła wiewiórczy ogon na moim rodzinnym grobowcu. Kobieta ściągnęła wargi.

- W takim razie lepiej ci bez niej.

- Też tak mówię.

Obejrzałem się na tego, który budził we mnie lęk. Był paskudnie brudny, chudy jak ćpun, usta miał szare, wzrok spuszczone, ledwie się ruszał. Zastanawiałem się, co połączyło tych trzech mężczyzn: lisa, kota i ducha.

A potem biały mężczyzna ujął dłoń kobiety i przycisnął ją do ust. Następnie skłonił się, pozdrowił mnie drwiącym gestem i wszyscy trzej zniknęli.

- To twoi przyjaciele?

- Żli ludzie - odparła. - Macomba. Nie są niczymi przyjaciółmi.

- Co było nie tak z tym przy drzwiach? Jest chory? Zawahała się, po czym pokręciła głową.

- Niezupełnie. Powiem ci, kiedy będziesz gotów.

- Powiedz mi teraz.

Na ekranie telewizora Jay Leno rozmawiał z chudą, jasnowłosą kobietą, TO&Z NIE.YLKO FI/2LZM - głosił podpis. WIDZ.ELIZZŚCIEZ FI URKĘ? Leno podniósł z biurka niewielką zabawkę, udał, że zagląda jej pod spódniczkę, by sprawdzić, czy ma wszystko na swym miejscu, [GONG] - głosił podpis.

Kobieta dojadła resztkę gumbo, oblizła łyżkę czerwonym, bardzo czerwonym językiem i odłożyła ją na talerz.

- Mnóstwo dzieciaków przyjeżdża do Nowego Orleanu. Niektórzy czytają książki Anne Rice i postanawiają odkryć, jak zostać tu wampirem. Inni mają złych rodziców, jeszcze inni po prostu się nudzą. Niczym bezdomne kociaki żyjące w rynsztokach przychodzą tutaj. Wiesz, że w Nowym Orleanie odkryto zupełnie nowy gatunek kota żyjącego w rynsztokach?

- Nie.

ZGON] - głosił podpis, lecz Jay wciąż się uśmiechał. A potem Tonight Show zniknęła, zastąpiona reklamą samochodów.

- Był jednym z dzieciaków ulicy, tyle że miał gdzie sypiać. Dobry chłopak, przyjechał stopem z LA do Nowego Orleanu. Chciał tylko w spokoju popalić trawkę, posłuchać kaset Doorsów, studiować magię chaosu i przeczytać dzieła wszystkie Aleistera Crowleya. I żeby ktoś mu posłał fiuta. Nie zależało mu, kto to zrobi. Bystre oczy i puchaty ogon.

- Hej! - rzuciłem. - To był Campbell, przechodził tu ulicą.

- Campbell?

- Mój przyjaciel.

- Producent płyty. - Mówiąc to, uśmiechnęła się i pomyślałem: ona wie, wie, że kłamał, wie kim jest.

Położyłem na stole dwudziestkę i dziesiątkę, i wyszliśmy na ulicę poszukać Campbella. Ale zdążył już zniknąć.

- Sądziłem, że jest z twoją siostrą - powiedziałem.

- Nie ma siostry - odparła. - Żadnej siostry, tylko ja. Tylko ja. Skręciliśmy za róg i otoczył nas tłum rozkrzyczanych turystów, niczym nagła fala rozbijająca się o skały. A potem równie szybko, jak przyszli, zniknęli, pozostawiając po sobie tylko garstkę ludzi. Nastolatka wymiotowała do rynsztoka, młody chłopak stał nerwowo obok, trzymając jej torebkę i plastikowy kubek, do połowy napełniony wódką.

Kobieta z czerwoną wstążką we włosach zniknęła. Pożałowałem, że nie zapamiętałem jej imienia ani nazwy baru, w którym ją spotkałem.

Zamierzałem wyjechać tej nocy, skierować się autostradą na zachód do Houston i dalej do Meksyku. Byłem jednak zmęczony i w dwóch trzecich pijany, toteż zamiast tego wróciłem do pokoju. A gdy nastał ranek, wciąż byłem w Mariotcie. Wszystko, co miałem na sobie poprzedniej nocy, pachniało perfumami i zgnilizną.

Włożyłem podkoszulkę i spodnie, zszedłem do hotelowego sklepiku, wybrałem jeszcze parę koszulek i szorty. Wysoka kobieta, ta bez roweru, też tam była. Kupowała tabletki Alka-Seltzer.

- Przenieśli pana referat - oznajmiła. - Będzie w sali Audubona za jakieś dwadzieścia minut. Ale najpierw warto, żeby pan umył zęby. Pana najlepszy przyjaciel tego nie powie, ale ja ledwo pana znam, panie Anderton, nie krępuję się więc mówić jak jest.

Dodałem do zakupów podróżną szczoteczkę i pastę do zębów. Powiększenie mojego majątku wzbudziło we mnie niepokój. Czulem, że powinienem raczej pozbywać się rzeczy, stać się przezroczysty, nie mieć nic.

Wróciłem do pokoju, umyłem zęby, włożyłem koszulkę reklamującą festiwal jazzowy. A potem, ponieważ nie miałem żadnego wyboru albo może dlatego, że byłem skazany na to, by konferować, naradzać się i generalnie dyskutować, czy może dlatego, że byłem niemal pewny, że na widowni zastanę Campbella, a chciałem się z nim pożegnać przed wyjazdem, zabrałem maszynopis i zszedłem na dół do sali Audubona, gdzie czekało już piętnaście osób. Campbella wśród nich nie było.

Nie miałem tremy. Powiedziałem „dzień dobry” i spojrzałem na szczyt pierwszej strony.

Referat rozpoczął kolejny cytat z Zory Neale Hurston.

„Ludzie gadają o wielkich zombi, które przychodzą nocą i czynią zło. A także o małych dziewczynkach zombi posyłanych przez swych właścicieli w mroku przed świtem z paczuszkami świeżo palonej gorzkiej kawy na sprzedaż. Przed świtem z mrocznych

zakamarków ulic słyhać ich okrzyki »cafe grille«, a zobaczyć je można tylko, jeśli ktoś wezwie sprzedawczynię, by przyniosła towar: wówczas mała nieboszczka objawia się jego oczom i wspina po schodach”.

Od tego miejsca Anderton podjął wątek, cytując współczesnych Hurston, a także kilka fragmentów starych rozmów z jeszcze starszymi Haitanami. Z tego, co się orientowałem, przeskakiwał w swym referacie od wniosku do wniosku, przekształcając wymysły w domysły i przypuszczenia, a te w fakty.

Mniej więcej w połowie Margaret, wysoka kobieta bez roweru, weszła do sali. Widziałem, jak na mnie patrzy. Wie, że nim nie jestem, wie, pomyślałem. Ale czytałem dalej. Cóż innego mógłbym zrobić?

Na końcu poprosiłem o pytania.

Ktoś spytał mnie o metody badawcze Zory Neal Hurston. Odparłem, że to bardzo dobre pytanie, na które pełna odpowiedź znajdzie się w ostatecznej wersji rozprawy, której przeczytałem tylko okrojony abstrakt.

Inna, drobna pulchna kobieta wstała i oznajmiła, że dziewczynki zombi nie mogły istnieć: narkotyki i proszki zombi otepiły człowieka, wprowadzając go w podobny do śmierci trans, ale wciąż odwoływały się do jego wiary - wiary, że teraz, gdy umarł, nie posiada już własnej woli. „Jak cztero-, pięcioletnie dziecko”, spytała, „można zmusić, by uwierzyło w coś podobnego? Nie, małe kawiarki są jak hinduska sztuczka z liną. To kolejna legenda z przeszłości”.

Osobiście zgadzałem się z nią, skinąłem jednak głową i odparłem, że przedstawiła interesujące argumenty i że z mojej perspektywy - którą jak mam nadzieję można uznać za perspektywę prawdziwie antropologiczną - liczy się nie to, w co łatwo uwierzyć, ale przede wszystkim prawda.

Słuchacze nagrodzili mnie oklaskami. Po wszystkich jakiś brodac, spytał, czy mógłby prosić o kopię referatu do pisma, którego jest redaktorem. Uświadomiłem sobie, że dzięki temu, że przyjechałem do Nowego Orleanu, kariera Andertona nie ucierpi z powodu jego nieobecności na konferencji.

Pulchna kobieta, która według identyfikatora nazywała się Shanelle Gravely-King, czekała na mnie przy drzwiach.

- Bardzo mi się podobało - powiedziała. - Nie chcę, żeby pan pomyślał, że nie.

Campbell nie zjawił się na moim wystąpieniu. Nikt go już nigdy nie widział.

Margaret przedstawiła mi komuś z Nowego Jorku i wspomniała, że Zora Neal Hurston pracowała nad *Wielkim Gatsbym*. Mężczyzna odparł, że owszem, od niedawna powszechnie już o tym wiadomo. Zastanawiałem się, czy wezwała policję, wydawała się jednak bardzo sympatyczna. Uświadomiłem sobie, że zaczynam się denerwować. Pożałowałem, że wyrzuciłem komórkę.

Wraz z Shanelle Gravely-King zjedliśmy w hotelu wczesny obiad. Na początku powiedziałem:

- Nie gadajmy tylko o sprawach zawodowych.

A ona zgodziła się, że tylko nudziarze rozmawiają przy jedzeniu o pracy, toteż dyskutowaliśmy na temat zespołów rockowych, fikcyjnych metod spowalniania rozkładu ludzkich zwłok, o jej partnerce, kobiecie starszej od niej, kierującej restauracją. A potem poszliśmy do mnie. Pachniała talkiem dla dzieci i jaśminem, a jej naga skóra lepiła się do mojej.

Przez następne parę godzin zużyłem dwie z trzech prezerwatyw. Kiedy wróciłem z łazienki, Shanelle spała. Położyłem się obok. Pomyślałem o słowach, które Anderton zapisał na odwrocie swego maszynopisu. Miałem ochotę zerknąć na nie jeszcze raz, lecz zasnąłem, czując wtulone w siebie miękkie, pachnące jaśminem kobiece ciało.

Po północy ocknąłem się z jakiegoś snu i usłyszałem szepczący w ciemności kobiecy głos: - Przyjechał zatem do miasta z kasetami Doorsów i książkami Crowleya, a także ręcznie sporządzonym spisem tajnych adresów stron magii chaosu w sieci i wszystko szło świetnie. Znalazł nawet kilku uczniów, podobnych sobie uciekinierów. Gdy tylko chciał, ktoś ssał mu fiuta i wszystko było dobre.

A potem zaczął wierzyć we własny bajer. Myślał, że jest naprawdę kimś, mistrzem, prawdziwym gościem. Sądził, że jest groźnym tygrysem, nie słabym kociakiem. Toteż wykopał... coś... czego pragnął ktoś inny.

Myślał, że to coś, co wykopał, zaopiekuje się nim. Niemądry chłopiec. Tego wieczoru siedzi sobie na Jackson Square, rozmawia z tarocistami, opowiada im o Jimie Morrisonie i kabale, gdy nagle ktoś

klepie go w ramię. Chłopak obraca się i ktoś dmucha mu proszkiem prosto w twarz, a on go wdycha.

Tyle że niecały. I chłopak chce już coś z tym zrobić, gdy uświadamia sobie, że nie da rady, bo jest cały sparaliżowany. W proszku jest rozdymka, skóra ropuchy, mielone kości i mnóstwo innych rzeczy, a on wciągnął go w płuca.

Zawożą go na ostry dyżur, ale lekarze mu nie pomagają. Uważają, że to zwykły włóczęga narkoman. Następnego dnia znów może się ruszać, choć mijają dwa, trzy dni, nim wraca mu mowa.

Problem w tym, że go potrzebuje. Pragnie go. Wie, że w proszku zombi kryje się wielka tajemnica, i niemal już ją odkrył. Niektórzy twierdzą, że dodali do niego heroiny czy podobnego syfu, ale nie musieli. I tak go pragnie.

A oni powiedzieli, że mu go nie sprzedadzą. Jeśli jednak zgodzi się dla nich pracować, dostanie odrobinę proszku zombi, by móc go palić, wdychać, wcierać w dziąsła, połykać. Czasami wyznaczają mu paskudne zadania, których nie chce nikt inny. Czasami po prostu go upokarzają, bo mogą - może zmuszają do tego, by jadł psie gówna z rynsztoka albo dla nich zabijał. Wszystko, byle nie umrzeć. Skóra i kości. Zrobiłby wszystko dla swojego proszku zombi.

I w głębi duszy, skrawku, który wciąż należy do niego, nadal uważa, że nie jest zombi, że nie umarł, że istnieje próg, którego wciąż jeszcze nie przekroczył. Choć w istocie przekroczył go dawno temu.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej. Ciało miała twarde, smukłe i gibkie, piersi wyglądały, jakby namalował je Gauguin. Jej wargi w ciemności były miękkie i ciepłe na mych ustach.

Ludzie zjawiają się w naszym życiu nie bez powodu.

4. Ci ludzie powinni wiedzieć kim jesteśmy i uprzedzić, że jesteśmy tutaj

Gdy się ocknąłem, wciąż było niemal ciemno. W pokoju panowała cisza. Zapaliłem światło i obejrzałem poduszkę, szukając wstążki, białej bądź czerwonej, albo kolczyka z mysią czaszką. Nie znalazłem jednak niczego, co świadczyłoby o tym, że tej nocy w łóżku

był ktokolwiek prócz mnie.

Wstałem, rozsunąłem zasłony, wyjrzałem przez okno. Niebo na wschodzie zaczynało szarzeć.

Pomyślałem o jeździe na południe, dalszej ucieczce, udawaniu, że wciąż żyję. Wiedziałem jednak, że już na to za późno. Istnieją drzwi pomiędzy żywymi i umarłymi, i otwierają się w obie strony.

Dotarłem tak daleko, jak mogłem.

Ktoś zapukał cicho do drzwi pokoju hotelowego. Naciągnąłem spodnie i podkoszulkę, w której wyruszyłem, i na bosaka otworzyłem.

Na zewnątrz czekała na mnie kawiarka.

Wszystko za progiem było skąpane w świetle, cudownym, czystym świetle przedświt. Usłyszałem rozchodzące się w porannym powietrzu trele ptaków. Ulica biegła z boczem wzgórze, przed sobą widziałem domy niewiele lepsze od zwykłych szalasów. Tuż nad ziemią zalegała mgła, falująca jak obraz ze starego, czarno-białego filmu. Wiedziałem jednak, iż do południa zniknie.

Dziewczynka była chuda i drobna, na oko liczyła najwyżej sześć lat. Jej oczy zasnuwało coś, co mogło być zaćmą. Skórę, niegdyś brązową, powlekała szarość. W wyciągniętej dłoni trzymała białą hotelową filiżankę. Unosiła ją ostrożnie, jedną drobną rączką trzymała uszko, na drugiej opierała spodek. Filiżankę do połowy wypełniał parujący płyn barwy błota.

Schyliłem się, zabrałem filiżankę i pociągnąłem łyk płynu. Był bardzo gorzki i gorący, i obudził mnie do końca.

- Dziękuję - powiedziałem. Ktoś gdzieś wołał moje imię.

Dziewczynka czekała cierpliwie, aż skończę kawę. Odstawiłem filiżankę na wykładzinę, a potem wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej ramienia.

Sięgnęła ku mnie, rozłożyła smukłe szare paluszki i ujęła moją dłoń. Wiedziała, że jestem z nią. Dokądkolwiek zmierzaliśmy teraz, mieliśmy pójść razem.

Przypomniałem sobie coś, co usłyszałem kiedyś od kogoś innego.

- Wszystko w porządku. Co dzień czuje się świeżą gorycz.

Wyraz twarzy małej kawiarki nie zmienił się, skinęła jednak głową, jakby mnie usłyszała, i niecierpliwie pociągnęła moją rękę. Obejmowała ją mocno zimnymi, jakże zimnymi palcami, i w końcu ruszyliśmy razem w mglisty świt.

TO INNI

- Czas jest tu płynny - oznajmił demon.

Wiedział, że to demon, od chwili gdy go ujrzał. Po prostu wiedział, tak jak wiedział, że to miejsce to piekło. Żaden z nich nie mógł się znaleźć nigdzie indziej.

Pomieszczenie było długie. Demon czekał na drugim końcu przy dymiącym żarniku. Na szarych skalnych ścianach wisiały rzędy przedmiotów z rodzaju tych, którym zdecydowanie lepiej nie przyglądać się zbyt dokładnie. Sufit był niski, podłoga osobliwie niematerialna.

- Podejdz bliżej - polecił demon, a on posłuchał.

Demon był chudy jak szkielet i nagi, jego ciało pokrywały głębokie blizny. Wyglądało na to, że kiedyś w odległej przeszłości poddano go chłości. Nie miał uszu ani płci, a jego

wargi były wąskie i ascetyczne. Oczy były oczami demona - widziały zbyt wiele, zapuściły się za daleko. Pod ich spojrzeniem poczuł się mniej ważny niż mucha.

- I co teraz? - spytał.

- Teraz - odparł demon głosem, w którym nie było znać smutku ani zapału, jedynie upiorną, beznamietną rezygnację - zostaniesz poddany torturom.

- Jak długo?

Demon tylko pokręcił głową, nie odpowiedział. Ruszył powoli wzdłuż ściany, przyglądając się najpierw jednemu wiszącemu tam instrumentowi, potem kolejnemu. Na samym końcu, przy zamkniętych drzwiach zatrzymał się przed batem, kotem o dziewięciu ogonach zrobionych z postrzępionego drutu. Demon zdjął go jedną trójpalczystą dłonią i zawrócił, niosąc z rewerencją wybrane narzędzie. Wsunął ostre druty w żar i przyglądał się im, gdy zaczęły się rozgrzewać.

- To nieludzkie.

- Tak.

Koniuszki bata połyskiwały ciemnym oraniem.

Unosząc rękę, by wymierzyć pierwszy cios, demon powiedział:

- Z czasem nawet tę chwilę będziesz wspominał z sentymentem.

- Kłamiesz.

- Nie - odparł demon. - Następny etap - wyjaśnił tuż przed tym, nim opuścił pejcz - jest gorszy.

A potem rozżarzone druty wylądowały z trzaskiem i sykiem na plecach mężczyzny, rozdzierając kosztowne ubranie, paląc, szarpiąc i drąc skórę, on zaś, nie po raz ostatni w tym miejscu, zaczął krzyczeć.

Na ścianach pokoju wisiało dwieście jedenaste narzędzi. Z czasem miał zaznajomić się bliżej z każdym z nich.

Gdy w końcu poznana bardzo dogłębnie zgniatarka ciała została wyczyszczona i trafiła z powrotem na ścianę, na miejsce dwieście jedenaste, rozchylił poranione wargi.

- I co teraz? - wydyszał.

- Teraz - odrzekł demon - zacznie się prawdziwy ból. I rzeczywiście.

Wszystko, co kiedykolwiek zrobił, mimo że robić tego nie powinien; każde kłamstwo, które powiedział - samemu sobie bądź innym; każdy drobny ból i wszystkie wielkie cierpienia - demon wyciągał teraz z niego to wszystko do ostatniego szczegółu, cal po calu. Zdierał kolejne zasłony niepamięci, docierając w końcu do ukrytej za nimi prawdy. To bolało bardziej niż cokolwiek innego.

- Powiedz mi, co sobie pomyślałeś, gdy wyszła?

- Myślałem, że pękło mi serce.

- Nieprawda - odparł bez cienia nienawiści demon. - Nie myślałeś.

Przyglądał mu się pozbawionymi wyrazu oczami, aż w końcu on sam musiał odwrócić wzrok.

- Pomyślałem: teraz nigdy się już nie dowie, że sypiałem z jej siostrą.

Demon rozbierał na części jego życie, fragment po fragmencie, sekunda po straszliwej sekundzie. Być może trwało to sto lat, być może tysiąc - w tym szarym pokoju mieli do dyspozycji cały czas tego świata - i pod koniec zrozumiał, że demon miał rację. Tortury fizyczne były łagodniejsze.

Aż w końcu się skończyło.

A gdy tylko się skończyło, zaczęło się od nowa. Tyle że tym razem dysponował wiedzą, której brakowało za pierwszym podejściem. I wiedza ta w jakiś sposób jeszcze wszystko pogarszała.

Teraz, gdy mówił, nienawidził samego siebie. Nie było już kłamstw, uników, miejsca na nic oprócz bólu i gniewu.

Mówił. Już nie płakał. A kiedy skończył, tysiąc lat później, modlił się, by demon znów podszedł do ściany i zdjął z niej nóż do obdzierania ze skóry, gruszkę albo śruby.

- Jeszcze raz - powiedział demon.

Zaczął krzyczeć. Krzyczał bardzo długo.

- Jeszcze raz - rzekł demon, gdy skończył, jak gdyby nic nie zostało powiedziane.

Przypominało to obieranie cebuli. Tym razem przetrawiając swe życie, poznał naturę konsekwencji. Dowiedział się, jakie skutki miało to, co robił, skutki, na które wówczas pozostawał ślepy. To, jak ranił świat, krzywdy, jakie wyrządził ludziom, których w ogóle nie znał, nigdy nie spotkał, nie poznał. Była to najtrudniejsza z dotychczasowych lekcji.

- Jeszcze raz - powiedział demon tysiąc lat później.

Siedział w kucki na podłodze obok żarnika, kołysząc się łagodnie, i z zamkniętymi oczami opowiadał historię swojego życia, przeżywając je na nowo, od narodzin aż do śmierci. Niczego nie zmieniał, niczego nie pomijał; stawiał czoło wszystkiemu. Otwierał swe serce.

Kiedy skończył, nadal siedział z zamkniętymi oczami, czekając na głos, który powie: „Jeszcze raz”. Niczego jednak nie usłyszał. Rozwarł powieki.

Powoli wstał. Był sam.

Po drugiej stronie pokoju ujrzał drzwi. Na jego oczach otworzyły się.

Do środka wszedł mężczyzna. Jego twarz wykrzywiła groza, arogancja i duma. Ubrany w kosztowny strój, postąpił z wahaniem kilka kroków, po czym się zatrzymał.

Kiedy ujrzał mężczyznę, zrozumiał.

- Czas jest tu płynny - poinformował nowego przybysza.

PAMIĄTKI I SKARBY

Jestem psem Jego Wysokości. A tobie, panie, kto rzuca kości?

Alexander Pope, *Na obroży psa, którego podarowałem Jego Królewskiej Wysokości*

Jeśli chcecie, możecie mnie nazywać bękartem. To prawda, nieważne jak do tego podejść. Mama urodziła mnie dwa lata po tym, jak zamknęli ją „dla jej własnego dobra”; działo się to w 1952, gdy parę szalonych nocy spędzonych na imprezach z miejscowymi chłopakami mogło zostać uznane za nimfomanię kliniczną, skutkującą zamknięciem „dla ochrony pacjentki i społeczeństwa”. Wystarczyło zlecenie dowolnych dwóch lekarzy. Jednym z nich był jej ojciec, mój dziadek, drugim jego wspólnik z praktyki w północnym Londynie.

Wiem zatem, kim był mój dziadek. Natomiast ojcem mógł zostać każdy, kto posuwał matkę gdzieś w budynku bądź ogrodach Przytułku Świętego Andrzeja. Przytułek. Ładne słowo, prawda? Kojarzy się z bezpiecznym miejscem, z miejscem dającym przytulne schronienie przed groźnym i pełnym goryczy światem zewnętrznym. Nic bardziej odległego od rzeczywistości.

Poszedłem go zwiedzić, nim rozwalili budynek pod koniec lat siedemdziesiątych. Nadal

cuchnął szczynami i sosnowym płynem odkażającym do podłóg. Długie ciemne, kiepsko oświetlone

korytarze, od których odchodziły dziesiątki maleńkich, przypominających cele pokoików. Gdybyście szukali piekła i trafili do Świętego Andrzeja, nie poczulibyście się rozczarowani.

W jej aktach medycznych napisano, że rozkładała nogi przed każdym, ale poważnie w to wątpię. W tamtych czasach przebywała w zamknięciu. Ktoś, kto chciałby jej wsadzić kutasa, potrzebował klucza do drzwi celi.

Gdy miałem osiemnaście lat, swoje ostatnie wakacje przed wstąpieniem na uniwersytet poświęciłem polowaniu na czterech mężczyzn, wśród których najprawdopodobniej znajdował się mój ojciec: dwóch pielęgniarzy psychiatrycznych, lekarza z oddziału zamkniętego i dyrektora przytułku.

Kiedy zamknęli mamę, skończyła dopiero siedemnaście lat. Mam w portfelu małe, czarno-białe zdjęcie zrobione tuż przed tym, nim trafiła do zakładu. Opiera się na nim o bok sportowego morgana zaparkowanego na wiejskiej uliczce. Uśmiecha się zalotnie do fotografa. Moja mama była niezłą laską.

Nie wiem, który z tych czterech mnie splodził, toteż zabiłem wszystkich. Ostatecznie każdy z nich ją pieprzył. Nim ich załatwiłem, zmusiłem, by się przyznali. Najlepszy był dyrektor, czerwony na gębie, gruby, stary pijaczyna o bujnych sumiastych wąsach. Ostatnio widziałem podobne ze dwadzieścia lat temu. Zgarotowałem go jego własnym krawatem. Na usta wystąpiły mu bąbelki śliny, twarz posiniała jak surowy homar.

U Świętego Andrzeja mieszkali też inni mężczyźni, z których każdy mógł być moim ojcem, lecz po tych czterech cała radość gdzieś się ulotniła. Powiedziałem sobie, że załatwiłem czterech najbardziej prawdopodobnych kandydatów, a gdybym wykończył wszystkich, którzy mogli wpaść z moją matką, doszłoby do masakry. Toteż przestałem.

Szpital oddał mnie na wychowanie do pobliskiego sierocińca. Według akt medycznych matki, tuż po moim urodzeniu została wysterylizowana. Nie chcieli, by kolejne paskudne wypadki takie jak ja psuły im zabawę.

Miałem dziesięć lat, gdy się zabiła. Był rok 1964, wciąż bawiłem się kasztanami i podkradałem słodycze ze sklepów, gdy tymczasem ona siedziała na linoleum w swej celi, mozolnie podcinając żyły kawałkiem stłuczonego szkła. Bóg jeden wie, skąd je wzięła. Pokaleczyła sobie palce, ale poszło jej doskonale. Znaleźli ją rano, lepką, czerwoną i zimną.

Ludzie pana Alice natrafili na mnie, gdy miałem dwanaście lat. Zastępca dyrektora sierocińca traktował nas, dzieciaki, jak swój osobisty harem seksualnych niewolników o poobijanych kolanach. Można było albo zgodzić się na wszystko i zarobić obolały tyłek i batonik Bounty, albo się stawiać, na parę dni trafić do aresztu i zarobić bardzo obolały tyłek i wstrząs mózgu. Nazywaliśmy go Starym Smarkiem, bo gdy zdawało mu się, że nie widzimy, lubił dłużyć w nosie.

Znaleziono go w niebieskim morrisie minorze w jego garażu. Samochód miał zamknięte drzwi, zielona rura łączyła rurę wydechową z przednim oknem. Koroner orzekł samobójstwo, a siedemdziesięciu pięciu chłopców odetchnęło z ulgą.

Lecz Stary Smark parę razy przysłużył się panu Alice, gdy trzeba było zadbać o potrzeby szefa policji albo cudzoziemskiego polityka lubiącego małych chłopców, pan Alice przysłał zatem paru śledczych, by upewnili się, że nikt nie grał nieczysto. Kiedy odkryli,

że jedynym możliwym podejrzanym jest dwunastolatek, o mało nie posikali się ze śmiechu.

Pan Alice poczuł się zaintrygowany, toteż posłał po mnie. W tamtych czasach dużo częściej angażował się osobiście. Pewnie miał nadzieję, że jestem ładny, ale boleśnie się rozczarował. Już wtedy wyglądałem tak jak teraz: za chudy, z profilem ostrym jak brzytwa i uszami wyglądającymi jakby ktoś zostawił otwarte drzwi samochodu. Z tamtego spotkania zapamiętałem głównie to, jaki był wielki. Korpulentny. W tamtych czasach musiał być jeszcze całkiem młody, ja jednak tego nie dostrzegalem. Dla mnie był dorosłym, a zatem wrogiem.

Paru bandziorów zgarnęło mnie po szkole, gdy wracałem do sierocińca. Z początku o mało nie zesrałem się w gacie, ale nie wyglądali na policjantów - już od czterech lat unikałem stróżów prawa i potrafiłem wywęszyć tajniaka na kilometr. Zabrali mnie do małego szarego, skromnie umeblowanego biura w uliczce tuż przy Edgware Road.

Działo się to zimą i na dworze było niemal zupełnie ciemno. W środku półmrok rozjaśniała tylko niewielka lampa na biurku, rzucająca na blat krąg żółtego światła. Za biurkiem siedział olbrzymi mężczyzna, bazgrzący coś długopisem na dole płachty z teleksu. Kiedy skończył, uniósł głowę i spojrzał na mnie. Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Papierosa?

Przytaknąłem. Wyciągnął do mnie miękką paczkę stuyvesantów; wziąłem jednego. Przypalił mi go czarno-złotą zapalniczką.

- Zabiłeś Ronniego Palmerstone'a - rzekł. To nie było pytanie. Milczałem.

- I co, nic mi nie powiesz?

- Nie mam nic do powiedzenia - odparłem.

- Domyśliłem się dopiero, gdy usłyszałem, że znaleźli go na miejscu pasażera. Gdyby zamierzał się zabić, nie tam by usiadł; siedziałby za kierownicą. Podejrzewam, że podrzuciłeś mu ogłupiacz i potem wsadziłeś do wozu - z pewnością nie było to łatwe, nie należał do mikrusów - mikrus w mini, zabawne - a potem zawiozłeś do domu. Wjechałeś do garażu, do tego czasu twardo już spał, a ty zorganizowałeś samobójstwo. Nie bałeś się, że ktoś cię zobaczy za kierownicą? Dwunastolatka?

- Wcześniej robi się ciemno - wyjaśniłem. - I pojechałem naokoło.

Pan Alice zachichotał. Zadał mi parę pytań dotyczących szkoły, domu, tego czym się interesuję i tak dalej. A potem jego bandziory wróciły i zawiozły mnie z powrotem do sierocińca.

Tydzień później zostałem adoptowany przez parę nazwiskiem

Jackson. On był ekspertem w dziedzinie międzynarodowego prawa handlowego, ona specjalistką od samoobrony. Wątpię, by w ogóle się znali, nim pan Alice ściągnął ich, żeby się mną zajęli.

Zastanawiam się, co we mnie ujrzał podczas tamtego spotkania. Pewnie musiał dostrzec jakiś potencjał, potencjał lojalności - i rzeczywiście, jestem lojalny. Nie dajcie się zwieść. Należę do pana Alice, ciałem i duszą.

Oczywiście, tak naprawdę nie nazywa się Alice; ale równie dobrze mógłbym tu użyć jego prawdziwego nazwiska. To nie ma znaczenia. I tak o nim nie słyszeliście. Pan Alice to jeden z dziesięciu najbogatszych ludzi świata. Powiem wam coś: o pozostałych dziewięciu też nie słyszeliście. Ich nazwiska nie pojawiają się na żadnych listach stu

najbogatszych na świecie, nie ma wśród nich Billów Gatesów ani sułtanów Brunei. Mówię tu o prawdziwych pieniądzach. Są na świecie ludzie, którym płaci się więcej, niż zobaczycie przez całe swe życie, po to, by dopilnowali, aby nawet najmniejsza wzmianka o panu Alice nie trafiła do telewizji ani gazet.

Pan Alice lubi posiadać różne rzeczy i, jak już wspominałem, jedną z nich jestem ja. To ojciec, którego nigdy nie miałem. On właśnie zdobył dla mnie akta medyczne mojej mamy i informacje o różnych kandydatach na ojca.

Kiedy skończyłem studia (najlepsze oceny na wydziałach zarządzania i prawa międzynarodowego), w ramach prezentu udałem się z wizytą do mojego dziadka lekarza. Wcześniej odkładałem odwiedziny, były czymś w rodzaju zachęty.

Miał jeszcze rok do emerytury. Był starym mężczyzną o ostrych jak brzytwa rysach, ubranym w tweedową marynarkę. Działo się to w 1978 i niewielka część lekarzy wciąż składała wizyty domowe. Śledziłem go aż do wieżowców w Maida Vale. Oczekałem, aż użyje pacjentom swej lekarskiej mądrości, i zatrzymałem go, gdy wyszedł, machając czarną torbą.

- Cześć, dziadku - powiedziałem.

Nie było sensu udawać kogoś innego. Nie z moją twarzą. Wyglądał jak ja za czterdzieści lat: ta sama kurewsko paskudna gęba, tyle że jego rzednące włosy były siwoblond, nie gęste i jasnokasztanowe tak jak moje. Spytał, czego chcę.

- Zamknąłeś moją mamę - oznajmiłem. - To nie było bardzo miłe, prawda?

Kazał mi się wynosić albo coś w tym guście.

- Właśnie zrobiłem dyplom - oznajmiłem. - Powinieneś być ze mnie dumny.

Powiedział, że wie kim jestem i że lepiej, żebym już zniknął albo napuścił na mnie policję i każe mnie zamknąć.

Wbiłem mu nóż w lewe oko aż do mózgu i podczas gdy wydawał z siebie zdławione jęki i krztusił się, zabrałem mu stary portfel z cielejącej skórki - na pamiątkę i żeby wyglądało to na napad rabunkowy. Stąd właśnie mam zdjęcie mamy w czerni i bieli, uśmiechniętej i flirtującej z obiektywem. Zastanawiam się, do kogo należał morgon.

Załatwiłem, by ktoś, kto mnie nie znał, zastawił portfel w lombardzie. Gdy się nie zgłosił, kupiłem go. Czysta sprawa. Wielu mądrych ludzi zakończyło karierę z powodu pamiątki. Czasami zastanawiam się, czy tamtego dnia zabiłem nie tylko dziadka, ale i ojca. Nie sądzę, by mi powiedział, nawet gdybym spytał. I w gruncie rzeczy to nie ma przecież znaczenia, prawda?

Potem zacząłem pracować wyłącznie dla pana Alice. Przez parę lat kierowałem operacjami w Sri Lance, następnie spędziłem rok w Bogocie w firmie importowo-eksportowej, tak naprawdę jednak, mimo szumnych tytułów, pracowałem jako agent turystyczny. Gdy tylko mogłem, wróciłem do domu, do Londynu. Przez ostatnie piętnaście lat zajmowałem się głównie rozwiązywaniem problemów. Ot, taki człowiek do wszystkiego. Rozwiązywanie problemów, nieźle.

Jak już wspominałem, trzeba sporo grosza, by dopilnować, żeby nikt nigdy o nas nie słyszał. Nie ma mowy o scenkach typu Robert Murdoch zebrzący z czapką w rękę u bankierów inwestycyjnych. Nigdy nie zobaczycie w piśmie ilustrowanym pana Alice, oprowadzającego fotografa po swym eleganckim, nowym domu.

Poza interesami głównym zainteresowaniem pana Alice pozostaje seks i dlatego właśnie stałem przed stacją Earls Court z tkwiącymi w kieszeniach płaszcz przeciwdeszczowego

niebieskobiałymi diamentami wartymi czterdzieści milionów dolarów amerykańskich. Ścisłej mówiąc, zainteresowania seksualne pana Alice ograniczają się do związków z atrakcyjnymi, młodymi mężczyznami. Nie zrozumcie mnie źle, nie chcę, żebyście pomyśleli, że pan Alice to jakaś ciota. Nie jest pedałem ani nic takiego. Pan Alice to prawdziwy mężczyzna. Prawdziwy mężczyzna, który lubi posuwać innych mężczyzn, to wszystko. Na świecie żyją różni ludzie; dzięki takim jak on dla mnie pozostaje więcej tego co lubię. Coś jak w restauracji, gdzie każdy zamawia z karty co innego. *Chacun a son gout*, że się tak wyrażę po francusku. I wszyscy są zadowoleni.

Działo się to parę lat temu w lipcu. Pamiętam, że stałem na Earls Court Road w Earls Court, patrząc na tablicę z napisem STACJA METRA EARL'S COURT i zastanawiając się, czemu w nazwie stacji jest apostrof, a w nazwie ulicy go nie ma. Potem przeniosłem wzrok na ćpunów i pijaczków siedzących na chodniku. Cały czas wypatrywałem jaguara pana Alice.

Nie martwiłem się o diamenty w wewnętrznej kieszeni. Nie wyglądałem na kogoś, kto miałby przy sobie cokolwiek wartego kradzieży. Poza tym potrafię o siebie zadbać. Przyglądałem się zatem ćpunom i pijaczkom, zabijając czas aż do przybycia jaguara (podejrzywałem, że utknął gdzieś pośród robót drogowych na Kensington High Street), i zastanawiałem się, czemu ćpuny i pijacy zbierają się akurat na chodniku przed stacją.

Ćpunów jeszcze rozumiałem: czekali na działkę. Ale co, do kurwy nędzy, robili tam pijaczkowie? Nikt nie musiał ukradkiem wręczać im kufla guinnessa ani butelki spirytusu salicylowego w papierowej torebce. Siedzenie na chodniku albo opieranie się o ścianę nie jest przecież wygodne. Uznałem, że gdybym sam był pijaczkiem, w tak piękny dzień wybrałbym się do parku.

Obok mnie drobny Pakistańczyk tuż przed bądź po dwudziestce tapetował wnętrze szklanej budki telefonicznej wizytówkami dziwek - SEKSOWNY TRANSSEKSUALISTA i PIEŁĘGNIARKA, PRAWDZIWA BLONDYNKA, BIUSCIASTA UCZENNICA Oraz SUROWA NAUCZYCIELKA SZUKA CHŁOPCA, KTÓRY ZASŁUŻYŁ NA KARĘ. Zauważywszy, że gapię się na niego, posłał mi nieprzychylnie spojrzenie. Potem skończył i przeszedł do następnej budki.

Jaguar pana Alice zatrzymał się przy chodniku. Podeszedłem do niego i wsiadłem z tyłu. To dobry wóz, ma parę latek. Z klasą, ale nie rzuca się w oczy.

Szofer i pan Alice siedzieli z przodu. Z tyłu czekał już tłusty, ostrzyżony na jeża facet w krzykliwej kraciatej marynarce. Skojarzył mi się ze sfrustrowanymi narzeczonymi z filmów z lat pięćdziesiątych, tymi, których dziewczyny w ostatnim akcie rzucały dla Rocka Hudsona. Pozdrowiłem go skinieniem głowy.

Wyciągnął rękę, a potem widząc, że tego nie zauważam, szybko ją opuścił.

Pan Alice nie przedstawił nas sobie - mnie to odpowiadało, bo i tak wiedziałem dokładnie, kim jest ów mężczyzna. Faktycznie to ja go znalazłem i ściągnąłem, choć on sam nie miał o tym pojęcia. Był profesorem języków starożytnych na uniwersytecie w Karolinie Północnej. Sądził, że na zlecenie amerykańskiego Departamentu Stanu został oddelegowany do wywiadu brytyjskiego. Uważał tak, bo to właśnie usłyszał od kogoś w amerykańskim Departamencie Stanu. Profesor poinformował żonę, że ma wystąpienie w Londynie na konferencji dotyczącej studiów hetyckich. I faktycznie, w mieście odbywała się taka konferencja. Sam ją zorganizowałem.

- Czemu jeździsz tym cholernym metrem? - spytał pan Alice. - Przecież nie dla

oszczędności.

- Można by sądzić, iż fakt, że przez ostatnie dwadzieścia minut stałem na rogu i czekałem na pana, wystarczająco pokazuje, czemu nie jeżdżę samochodem - odparłem. Odpowiada mu to, że nie padam mu do stóp i nie merdam ogonem. Jestem psem z charakterem. - Średnia prędkość pojazdów na ulicach centrum Londynu za dnia nie zmieniła się przez ostatnie czterysta lat. Wciąż wynosi niecałe piętnaście kilometrów na godzinę. Dopóki kursuje metro, wolę jechać metrem, piękne dzięki.

- Nie jeździ pan samochodem w Londynie? - zdziwił się profesor w krzykliwym garniturze. Niebiosa, chronicie nas przed wyczuciem stylu amerykańskich uczonych. Nazwijmy go Macleod.

- Jeżdżę nocami, kiedy ulice są puste - odparłem. - Po północy. Lubię jeździć nocą.

Pan Alice opuścił szybę i zapalił niewielkie cygaro. Od razu zauważyłem, że trzęsą mu się ręce. Pewnie z niecierpliwości.

Jechaliśmy przez Earls Court, mijając setkę wysokich domów z czerwonej cegły, mieniających się hotelami, setkę mniej eleganckich budynków mieszczących w sobie schroniska i pensjonaty. Zostawialiśmy za sobą dobre i złe ulice. Czasami Earls Court przypomina mi jedną z tych starych kobiet, które spotykamy od czasu do czasu, niemal boleśnie sztywnych, wyniosłych i dystygowanych do czasu, aż wleją w siebie parę drinków, kiedy to zaczynają tańczyć na stołach i opowiadać wszystkim obecnym o tym, jak jako młode ślicznotki zarabiały na życie, obciążając fiuty w Australii, Kenii czy podobnym miejscu.

Z tych słów można by sądzić, że lubię Earls Court. Ale to nieprawda - jest zbyt niestały. Rzeczy i ludzie pojawiają się tu i znikają stanowczo zbyt szybko. Trudno mnie nazwać romantykiem, ale dajcie mi raczej South Bank albo East End. East End to godna dzielnica, tam wszystko się zaczyna, wszystko co dobre i co złe. To cipa i dupa Londynu, jedno zawsze blisko drugiego. Tymczasem Earls Court jest... sam nie wiem. W jego przypadku porównanie z ciałem kompletnie się załamuje. To chyba dlatego, że Londyn zwariował, ma problem z rozszczepieniem osobowości. Dziesiątki wiosek i miasteczek, które rosły i zlewały się ze sobą, tworząc jedno wielkie miasto, lecz nigdy nie zapomniały swych dawnych granic.

W końcu szofer zatrzymał się na ulicy podobnej do wielu innych, przed wysokim szeregowcem, w którym kiedyś mógł mieścić się hotel. Parę okien zabito deskami.

- To ten dom - oznajmił szofer.

- W porządku - rzekł pan Alice.

Szofer wysiadł, okrążył wóz i otworzył drzwi przed panem Alice. Profesor Macleod i ja wyszliśmy bez niczyjej pomocy. Rozejrzałem się i nie dostrzegłem niczego niepokojącego.

Zastukałem do drzwi, czekaliśmy. Skinąłem głową i uśmiechnąłem się do wizjera. Na policzki pana Alice wystąpiły rumieńce, ręce trzymał złożone przed krocem, by uniknąć wstydu.

Stary napalony cap.

Cóż, ja też to przerabiałem. Jak my wszyscy, tyle że pana Alice stać na to, by zaspokajać swe pragnienia.

Ja widzę to tak: niektórzy ludzie potrzebują miłości, inni nie. Biorąc pod uwagę wszystko, myślę, że pan Alice należy do grupy

„nie”. Ja także. Człowiek uczy się rozpoznawać ten typ.

A pan Alice jest przede i poza wszystkim koneserem.

Usłyszałem łoskot odciąganej zasuw i drzwi otwarła starucha iście, jak to mawiają, odrażającego wyglądu. Ubrana była w obwisłą czarną, jednoczęściową szatę, twarz miała nabrzmiałą i pomarszczoną. Powiem wam jak wyglądała. Widzieliście kiedyś zdjęcie cynamonowej bułeczki podobnej do matki Teresy? Tak właśnie wyglądała - jak cynamonowa bułka z dwojgiem oczu z rodzynek, spoglądających z brązowej twarzy.

Powiedziała coś do mnie w języku, którego nie rozpoznałem. Profesor Macleod odpowiedział z wahaniem. Przez chwilę przyglądała się podejrzliwie całej naszej trójce, potem skrzywiła się i wezwała nas gestem. Zatrzasnęła za nami drzwi. Przymknąłem najpierw pierwsze oko, potem drugie, czekając, aż przywykną do panującego w domu półmroku.

Budynek pachniał jak zawilgocony stojak z przyprawami. Nie podobała mi się cała ta sprawa. Cudzoziemcy, gdy zachowują się po cudzoziemsku, mają w sobie coś, co sprawia, że przechodzą mnie ciarki. Gdy stara wiedźma, którą zacząłem w myślach nazywać Matką Przełożoną, prowadziła nas kolejnymi schodami w górę, dostrzegałem kolejne kobiety w czarnych szatach, obserwujące nas z drzwi i głębi korytarzy. Stopnie pokrywała przetarta wykładzina i podeszwy moich butów odrywały się od niej z młaśnięciem; tynk oblaził ze ścian płatami. To była istna królikarnia i doprowadzała mnie do szału. Pan Alice nie powinien musieć odwiedzać podobnych miejsc. Miejsce, w których nie da się go właściwie chronić.

Gdy tak wędrowaliśmy przez dom, coraz więcej upiornych staruch zerkało na nas z cieni. Stara wiedźma o cynamonowej twarzy rozmawiała z profesorem Macleodem: kilka słów, znów parę. W odpowiedzi dyszał i sapał zmęczony po wspinaczce i odpowiadał jak najlepiej umiał.

- Chce wiedzieć, czy macie diamenty - wydyszał.

- Powiedz jej, że porozmawiamy o tym, kiedy już zobaczymy towar - odparł pan Alice. On sam nie dyszał. A jeśli głos łamał mu się lekko, to wyłącznie z niecierpliwości.

Z tego co mi wiadomo pan Alice pieprzył się z połową młodych gwiazdorów kina z ostatnich dwóch dziesięcioleci i z tyloma modelami, że nie da się ich zliczyć; miał najpiękniejszych chłopców z pięciu kontynentów. A choć żaden z nich nie wiedział, kto dokładnie go posuwa, wszyscy zostali sownie wynagrodzeni za swe usługi.

Pokonawszy ostatnie gołe stopnie drewnianych schodów, dotarliśmy do drzwi na strych. Po obu ich stronach niczym bliźniacze pnie drzew wyrastały potężne kobiety w czarnych szatach; każda z nich wyglądała, jakby zdołała stanąć do walki z zapaśnikiem sumo. W rękach - nie żartuję - trzymały szable: strzegły Skarbu Shahinai. I cuchnęły jak stare konie. Nawet w półmroku widziałem, że szaty miały poplamione i polatane.

Matka Przełożona podeszła do nich niczym wiewiórka stojąca przed parą pitbulli. A ja, przyglądając się ich obojętnym twarzom, zastanawiałem się, skąd pierwotnie pochodzą. Mogły być Samoankami bądź Mongołkami, pochodzić z hodowli dziwolągów w Turcji, Indiach albo Iranie.

Na rozkaz starej kobiety odsunęły się od drzwi, a ja otworzyłem je pchnięciem. Nie były zamknięte. Zajrzałem do środka, na wypadek kłopotów, wszedłem, rozejrzałem się wokół i dałem sygnał. W ten sposób stałem się pierwszym mężczyzną w tym pokoleniu, który

ujrzał Skarb Shahinai.

Skarb klęczał z pochyloną głową obok łóżka polowego. Legendarni - to dobre słowo, gdy mowa o Shahinai. Oznacza, że nigdy o nich nie słyszałem i nie znałem nikogo, kto słyszał. A gdy zacząłem szukać, odkryłem, iż nawet ludzie, którzy słyszeli, nie wierzą w ich istnienie.

- Ostatecznie, mój miły druhu - powiedział opłacony przeze mnie rosyjski naukowiec, wręczając mi swój raport - mówimy tu o ludzi, którego istnienie potwierdza jedynie parę zdań u Herodota, wiersz w *Baśniach z tysiąca i jednej nocy* i przemowa w *Rękopisie znalezionym w Saragossie*. Trudno to nazwać źródłami godnymi zaufania.

Lecz plotki dotarły do pana Alice i go zainteresowały, a jeśli pan Alice czegoś pragnie, ja, nie zważając na trudności, robię wszystko, by to dostał. W tej chwili, patrząc na Skarb Shahinai, pan Alice wydawał się tak szczęśliwy, iż miałem wrażenie, że twarz pęknie mu na pół.

Chłopiec wstał. Ujrzałem do połowy wsunięty pod łóżko nocnik; na dnie połyskiwała cienka warstwa jaskrawożółtego moczu. Szatę miał z białej bawełny, cienką i bardzo czystą. Stopy okrywały klapki z błękitnego jedwabiu.

W pokoju było niewiarygodnie gorąco. Na dwóch bocznych ścianach płonęły gazowe paleniska, słyszałem niski, cichy syk. Chłopiec raczej nie odczuwał skutków upału. Profesor Macleod natomiast oblał się potem.

Według legendy chłopiec w białej szacie - na oko miał jakieś siedemnaście, najwyżej osiemnaście lat - był najpiękniejszym mężczyzną na świecie. Z łatwością mogłem w to uwierzyć.

Pan Alice podszedł do chłopca i zaczął go oglądać niczym rolnik sprawdzający stan cielaka na targu. Zajrzał mu do ust, skosztował, spojrział w oczy i uszy, ujął dłonie i obejrzał uważnie palce i paznokcie, a potem zupełnie od niechcienia uniósł białą szatę i zbadał nieobrzeszanego fiuta. Następnie obrócił chłopaka i sprawdził stan jego tyłka.

Przez cały ten czas oczy i zęby chłopca połyskiwały radosną bielą w jego twarzy.

W końcu pan Alice przyciągnął chłopca do siebie i pocałował powoli, delikatnie, w usta. Odsunął się, oblizał wargi i skinął głową. Odwrócił się do Macleoda.

- Powiedz jej, że go bierzemy - oświadczył.

Profesor Macleod powiedział coś do Matki Przełożonej, której twarz pojaśniała w gąszczu zmarszczek cynamonowej radości. Wyciągnęła do nas dłonie.

- Chce, żeby jej teraz zapłacić - wyjaśnił Macleod.

Powoli wsunąłem ręce do wewnętrznej kieszeni mojego płaszcza i wyciągnąłem najpierw jeden, potem drugi woreczek z czarnego aksamitu. Wręczyłem jej oba. W każdym tkwiło pięćdziesiąt diamentów klasy D lub E, idealnie oszlifowanych, bez skazy, powyżej pięciu karatów. Większość kupiliśmy tanio w Rosji w połowie lat dziewięćdziesiątych. Sto diamentów: czterdzieści milionów dolarów. Stara kobieta wytrząsnęła parę na dłoń i trąciła palcem. Potem wrzuciła je z powrotem do woreczka i skinęła głową.

Worki zniknęły w zakamarkach jej szaty, a ona wyszła na schody i jak najgłośniej mogła wykrzyknęła coś w swym osobliwym języku.

Z dołu, ze wszystkich pomieszczeń domu dobiegło nas zawodzenie, zupełnie jakbyśmy słyszeli stado banshee. Płacze i zawodzenia nie milkły, gdy schodziliśmy powoli, pokonując mroczny labirynt. Na czele stąpał młodzieniec w białej szacie. Od tych jęków zjeżyły mi się włoski na karku, a smród próchniejącego drewna i przypraw budził

mdłości. Nienawidzę pierdolonych cudzoziemców.

Nim kobiety wypuściły chłopaka z domu, najwyraźniej w obawie, że przeziębą się w upalnym lipcowym słońcu, opatuliły go w parę koców. Wsadziłem go do samochodu.

Podjechałem z nimi do stacji metra. W dalszą drogę ruszyłem sam.

Następny dzień, środę, spędziłem na rozwiązywaniu poważnego problemu, jaki pojawił się w Moskwie. Zbyt wielu pieprzonych kowbojów. Modliłem się, by dało się załatwić sprawę bez konieczności wizyty na miejscu. Od ich żarcia dostaję zatwardzenia.

W miarę jak się starzeję, coraz mniej lubię podróżować, a nawet w młodości za tym nie przepadałem, choć, jeśli trzeba, zjawiam się na miejscu. Pamiętam, jak kiedyś pan Alice powiedział, iż obawia się, że trzeba będzie usunąć Maxwella z boiska. Odparłem, że załatwię to osobiście i więcej o tym nie wspominajmy. Maxwell zawsze był niezrównoważony; mała rybka o długim języku i paskudnym charakterze.

Najprzyjemniejszy plusk, jaki kiedykolwiek słyszałem.

W środę wieczorem byłem napięty jak skóra na wigwamach, toteż zadzwoniłem do jednego znajomego gościa i przyprowadzili mi do mieszkania w Barbicanie Jenny. Od razu poprawił mi się nastrój. Jenny to dobra dziewczyna, nie ma w sobie nic wulgarnego. Starannie wychowana.

Tej nocy byłem bardzo delikatny. Po wszystkim wcisnąłem jej do ręki dwadzieścia funtów.

- Ale przecież nie musi pan - zaprotestowała. - Wszystko już załatwione.

- Kup sobie coś szalonego - odparłem. - To szalone pieniądze. Zmierziłem jej włosy, a ona uśmiechnęła się jak grzeczna pensjonarka.

W czwartek zadzwoniła sekretarka pana Alice, informując, że wszystko jest w najlepszym porządku i powinienem zapłacić profesorowi Macleodowi.

Ulokowaliśmy go w Savoyu. Większość ludzi pojechałaby metrem na Charing Cross albo na Embankment i stamtąd poszła Stranem do hotelu. Ale nie ja. Ja wysiadłem na stacji Waterloo i ruszyłem na północ mostem. To parę minut więcej, ale co za widok.

Gdy byłem mały, jeden z dzieciaków z internatu powiedział mi kiedyś, że jeśli wstrzymasz oddech przez całą drogę aż na środek mostu nad Tamizą i pomyślisz sobie życzenie, to zawsze się spełni. Nigdy nie miałem żadnych życzeń, toteż traktuję to tylko jako ćwiczenie oddechowe.

Zatrzymałem się w budce telefonicznej po drugiej stronie mostu Waterloo (BIUŚCIASTE UCZENNICE WYMAGAJĄ KARY, ZWIĄŻ MNIE, ZWIĄŻ MNIE, NOWA BLONDYNKA w MIEŚCIE). Zadzwoniłem do pokoju Macleoda w Savoyu. Kazałem mu wyjść i spotkać się ze mną na moście.

Jego garnitur był, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze bardziej kraciasty i krzykliwy niż ten z wtorku. Macleod wręczył mi pękata kopertę wypchaną wydrukami z komputera: coś w rodzaju domowych rozmówek shahinai-angielskich. „Jesteś głodny?”. „Teraz musisz się wykapać”. „Otwórz usta”. Wszystko, czego pan Alice mógłby potrzebować w codziennych kontaktach.

Wsunąłem kopertę do kieszeni płaszcza.

- Ma pan ochotę trochę pozwiedzać? - spytałem.

Profesor Macleod odparł, że zawsze dobrze jest obejrzeć miasto z kimś miejscowym.

- Ta robota to filologiczna osobliwość i prawdziwa rozkosz dla językoznawcy - oznajmił, gdy razem ruszyliśmy wzdłuż Embankmentu. - Shahinai porozumiewają się językiem

mającym cechy zarówno grupy aramejskiej, jak i ugrofińskiej. Nim właśnie mógłby posłużyć się Jezus, gdyby napisał list do prymitywnych Estończyków. Bardzo mało zapożyczonych słów. Mam teorię, że w swych czasach musieli kilka razy bardzo szybko przenosić się z miejsca na miejsce. Dostanę moją zapłatę?

Skinąłem głową, z kieszeni marynarki wyciągnąłem stary portfel z cielęcej skórki i wyjąłem z niego kawałek jaskrawokolorowego kartonika.

- Proszę.

Zbliżaliśmy się do mostu Blackfriars.

- Jest prawdziwy?

- Jasne. Nowojorska loteria stanowa. Kupił pan los wiedziony kaprysem, na lotnisku w drodze do Anglii. Liczby zostaną wylosowane w niedzielę wieczorem. Zapowiada się całkiem niezły tydzień: już w tej chwili pula wynosi ponad dwadzieścia milionów dolarów.

Macleod schował los do portfela, czarnego, błyszczącego i pełnego kart kredytowych. Portfel wsadził do wewnętrznej kieszeni garnituru. Jego dłoń cały czas wędrowała do niej, gładziła portfel z roztargnieniem, upewniała się, że wciąż tam tkwi. Byłby idealną ofiarą kieszonkowca, chcącego sprawdzić, gdzie przechowuje pieniądze.

- To trzeba uczcić - oznajmił.

Zgodziłem się i dodałem, że w taki dzień, gdy świeci słońce, a znad morza wieje świeży wiaterek, szkoda byłoby utknąć w pubie. Poszliśmy zatem do sklepu monopolowego. Kupiłem mu butelkę stolicznej, karton soku pomarańczowego i plastikowy kubek, a także parę puszek guinnessa dla siebie.

- Widzi pan, chodzi o mężczyzn - oznajmił profesor. Siedzieliśmy na drewnianej ławce, patrząc ponad Tamizą na South Bank. - Najwyraźniej jest ich bardzo niewiele, jeden czy dwóch na pokolenie. Skarb Shahinai. Kobiety to strażniczki mężczyzn, pielęgnują ich i chronią. Ponoć Aleksander Wielki kupił sobie kochankę od Shahinai, podobnie Tyberiusz i co najmniej dwóch papieży. Pogłoski głosiły, że Katarzyna Wielka także miała jednego z nich. Ale sądzę, że to tylko plotki.

Odparłem, że to historia jak z bajki.

- Proszę tylko pomyśleć: cała rasa ludzi, których jedynym bogactwem jest uroda mężczyzn. Toteż w każdym stuleciu sprzedają jednego z nich za dość pieniędzy, by utrzymać całe plemię przez następne sto lat. - Pociągnąłem łyk guinnessa. - Myśli pan, że to był cały szczepek? Te kobiety w domu?

- Poważnie wątpię.

Wlał do kubka kolejną porcję wódki, dopełnił sokiem pomarańczowym i uniósł ku mnie.

- Pan Alice - powiedział - musi być bardzo bogaty.

- Nieźle mu się wiedzie.

- Nie jestem gejem. - Macleod był bardziej pijany, niż przypuszczał, na jego czole perlily się krople potu. - Ale bez namysłu przeleciałbym takiego chłopca. Był najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem.

- Chyba faktycznie wyglądał całkiem, całkiem.

- Pan by go nie posunął?

- Nie gustuję - odparłem.

Jezdnią za nami przejechała czarna taksówka. Pomarańczowy napis WOLNA był zgaszony, choć z tyłu nikt nie siedział.

- Co w takim razie jest w pana guście? - spytał profesor Macleod.

- Dziewczynki. Małe - wyjaśniłem. Przełknął ślinę.

- Bardzo małe?

- Dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwanaście lat. Kiedy wyrastają im prawdziwe cycki i włosy łonowe, już mi nie staje. To na mnie nie działa.

Spojrzał na mnie, jakbym go poinformował, że lubię pieprzyć zdechłe psy. Długą chwilę milczał, popijając stoliczną.

- Wie pan - rzekł w końcu - tam, skąd pochodzę, coś takiego byłoby nielegalne.

- Cóż, tu też niezbyt przychylnie na to patrzą.

- Może powinienem wracać do hotelu - mruknął.

Zza rogu wyjechała czarna taksówka, tym razem napis świecił

jasno. Machnąłem i pomogłem profesorowi Macleodowi wsiąść. Była to jedna z naszych Specjalnych Taksówek. Gdy raz do takiej wsiądziesz, to już nie wyjdiesz.

- Proszę do Savoya - powiedziałem do kierowcy.

- Jasne, szefuńciu - odparł i powiózł profesora Macleoda w dal. Pan Alice bardzo dbał o chłopca Shahinai. Gdy bywałem u niego na spotkaniach bądź odprawach, chłopak siedział u stóp pana Alice, który go gładził, czochrał bądź owijał wokół palców jego kruczoczarne włosy. Widać było od razu, że się uwielbiają. Słodki widok; muszę przyznać, że wzruszał nawet takiego twardego drania jak ja.

Czasami nocą śniły mi się kobiety Shahinai - upiorne, podobne do nietoperzy wiedźmy, trzepoczące i gnieźdzące się w wielkim, zrujnowanym starym domu, stanowiącym połączenie muzeum historycznego i Przytułku Świętego Andrzeja. Niektóre z nich, trzepocząc i wzlatując nad ziemią, niosły między sobą mężczyzn. Mężczyźni ci świecili jak słońce, a ich twarze były tak piękne, że nie dało się w nie spojrzeć.

Nie cierpiałem tych snów; gdy się pojawiały, następny dzień mogłem spisać na straty. To pewne jak w pieprzonym banku.

Najpiękniejszy mężczyzna na świecie, Skarb Shahinai, przeżył osiem miesięcy. Potem złapał grypę.

Temperatura skoczyła mu do czterdziestu dwóch stopni, płuca napełniły się wodą, jakby topił się na suchym lądzie. Pan Alice sprowadził najlepszych lekarzy z całego świata, ale chłopak po prostu zamigotał i zgasł niczym stara żarówka, i tyle.

Przypuszczam, że po prostu nie są zbyt silni; ostatecznie hoduje się ich do czegoś innego. Siła nie jest najważniejsza.

Pan Alice przyjął to bardzo ciężko. Był niepokieszony - przez cały pogrzeb płakał jak dziecko, łzy spływały mu po twarzy jak u matki, która straciła właśnie jedynego syna. Okropnie lało, więc jeśli człowiek nie stał obok niego, nie zorientowałby się. Zniszczyłem na tym cmentarzu parę bardzo wygodnych butów, i to mnie wkurzyło. Potem siedziałem w mieszkaniu w Barbicanie, ćwiczyłem rzucanie nożem, przyrządziłem sobie spaghetti bolognese, obejrzałem mecz w telewizji.

Tej nocy miałem Alison. Nie było miło.

Następnego dnia zabrałem paru dobrych ludzi do domu na Earls Court, żeby sprawdzić, czy wciąż nie zostało tam parę Shahinai. Gdzieś na świecie musieli być inni młodzi mężczyźni Shahinai. To przecież logiczne.

Ale tynk na zagrzybionych ścianach pokrywały skradzione plakaty rockowe, a cały dom cuchnął trawą, nie przyprawami.

W labiryncie pokojów roilo się od Australijczyków i Nowozelandczyków, zapewne dzikich lokatorów. Zaskoczyliśmy kilkunastu w kuchni - wciągali właśnie w płuca narkotyczny dym z szyjki stłuczonej butelki po lemonadzie R. White'a.

Przeszukaliśmy cały dom od piwnicy po strych, szukając śladu kobiet Shahinai, czegoś, co zostawiły, jakiejś wskazówki, czegokolwiek, co mogłoby ucieszyć pana Alice.

Nie znaleźliśmy niczego.

Z owej wizyty na Earls Court zostało mi tylko wspomnienie piersi dziewczyny, naćpanej i obojętnej, śpiącej nago w pokoju na górze. Okna nie przesłaniały zasłony.

Stałem w drzwiach i przyglądałem się nieco zbyt długo, aż jej obraz odcisnął się w mej pamięci: pełna pierś o czarnej sutce, niepokojąca krzywizna w żółtym, sodowym świetle ulicznej latarni.

NA GRZECZNYCH CHŁOPCÓW CZEKAJĄ DARY

Moje własne dzieci uwielbiają słuchać prawdziwych historii z mojego dzieciństwa, opowieści takich, jak: „Dzień, w którym mój ojciec groził, że aresztuje gliniarza z drogówki”, „O tym, jak dwa razy wybiłem przedni ząb mojej siostrze”, „Dzień, gdy udawałem, że jestem bliźniakami”, a nawet „Dzień kiedy przypadkiem zabiłem chomika”.

Tej jednak historii nigdy im nie opowiadałem; właściwie nie potrafię wyjaśnić dlaczego.

Kiedy miałem dziesięć lat, w szkole powiedziano nam, że możemy wybrać sobie dowolny instrument muzyczny. Część chłopców wybrała skrzypce, klarnety, oboje. Inni kotły, altówki czy fortepiany.

Byłem dość drobny jak na swój wiek i jako jedyny w podstawówce zgłosiłem chęć gry na kontrabasie - głównie dlatego, że zachwycił mnie zawarty w tym pomysłe kontrast. Niezwykle podobała mi się myśl o tym, jak ktoś taki niski gra, bawi się i dźwiga instrument dwa razy wyższy od siebie.

Kontrabas należał do szkoły i ogromnie mi imponował. Nauczyłem się posługiwać smyczkiem, choć techniki smyczkowe zupełnie mnie nie pociągały i wolałem trącać grube metalowe struny palcami. Mój prawy palec wskazujący był stale opuchnięty i pokryty

białymi pęcherzami, aż w końcu pęcherze te stwardniały i zamieniły się w odciski.

Z zachwytem chłonałem historię kontrabasu: dowiadywałem się, że nie należy do piskliwej i głośniejszej rodziny skrzypiec, altówki i wiolonczeli; krzywizny miał łagodniejsze, miększe, bardziej spadziste. W istocie był jedynym potomkiem wymarłej rodziny instrumentów, wioł, i prawidłowo można by go nazwać basową wiołą da gamba.

Dowiedziałem się tego od nauczyciela gry na kontrabasie, sprowadzonego przez szkołę, by przez parę godzin tygodniowo udzielał lekcji mnie i paru starszym chłopcom. Był to gładko ogolony mężczyzna, łysiejący i kipiący energią, o długich, pokrytych odciskami palcach. Podczas każdej lekcji usilnie namawiałem go do opowiadania o kontrabasie, o doświadczeniach muzyka sesyjnego, o życiu spędzonym na wędrownkach rowerowych po całym kraju. Z tyłu roweru miał zamontowane ustrojstwo, na którym przewoził instrument. Pedałował spokojnie przez pola z zamocowanym z tyłu kontrabasem.

Nigdy się nie ożenił. Dobrzy kontrabasiści - powiedział - to ludzie, którzy kiepsko nadają się na mężów. Czynił wiele podobnych uwag. Nie było wielkich mężczyzn-

wiolonczelistów - tę pamiętam. A jego opinia na temat artystów, niezależnie od płci, nie nadaje się do powtórzenia.

Szkolny kontrabas nazywał dziewczynką.

- Dziewczynce przydałoby się odnowić lakier - mawiał, a także:

- Jeśli ty będziesz o nią dbał, ona zadba o ciebie.

Ja sam nie byłem zbyt dobrym kontrabasistą - niewiele potrafiłem wycisnąć z instrumentu, a z przymusowego członkostwa w szkolnej orkiestrze pamiętam wyłącznie to, jak pogubiłem się w nutach i oglądałem na stojące obok wiolonczele, czekając, aż odwrócą kartkę, bym mógł znów grać, podkreślać szkolną kakofonię niskimi, nieskomplikowanymi frazami basu.

Minęło zbyt wiele lat i niemal zapomniałem już, jak się czyta nuty. Gdy jednak śnię o ich czytaniu, wciąż śnię w kluczu basowym.

„Wszystkie krowy jedzą trawę”. „Na grzecznych chłopców czekają dary”.

Co dzień po przerwie obiadowej chłopcy grający na instrumentach szli do szkoły muzycznej i ćwiczyli. Tymczasem pozostali kładli się na łóżkach i czytali książki i komiksy.

Ja sam rzadko ćwiczyłem. Zamiast tego zabierałem do szkoły muzycznej książkę i czytałem ją ukradkiem, przycupnięty na wysokim stołku i przytulony do gładkiego, brązowego drewna kontrabas. W rękę trzymałem smyczek, by oszukać przypadkowego świadka. Byłem leniwy i nic mnie nie interesowało. Mój smyczek, miast przesuwać się gładko i dźwięcznie, skrzypiał i szarpał się w dłoni. Palcówki były niezgrabne i pełne wahania. Inni chłopcy pracowali ze swymi instrumentami. Ja nie. Dopóki siedziałem co dzień pół godziny przy kontrabasie, nikt się tym nie przejmował. Miałem też wyłącznie dla siebie najładniejszą, największą salę ćwiczeń, bo kontrabas przechowywano w szafie w głównej szkolnej sali.

W tym miejscu powinienem wyjaśnić, że nasza szkoła miała tylko jednego Sławnego Absolwenta. Stanowił część szkolnej legendy

- to jak wyrzucono go ze szkoły, gdy po pijanemu przejechał samochodem sportowym po boisku do krykieta, to jak zyskał sławę i majątek - z początku grając podrzędne role w komediach Ealingu, potem jako specjalista od ról angielskich młodzieńców w produkcjach hollywoodzkich. Nigdy nie został prawdziwą gwiazdą, ale i tak podczas niedzielnych popołudniowych seansów filmowych wiatowaliśmy, gdy tylko pojawiał się na ekranie.

Kiedy klamka sali ćwiczeń szczerknęła i się obróciła, odłożyłem moją książkę na fortepian i pochyliłem się, przewracając stronę wyświechtanych „52 ćwiczeń na kontrabas”.

Usłyszałem głos dyrektora:

- ...szkoła muzyczna została oczywiście od początku zbudowana do tego celu. Oto główna sala ćwiczeń... - Po czym weszli do środka.

Był tam dyrektor, szef wydziału muzycznego (wyblakły człowieczek w okularach, którego dość lubiłem) oraz zastępca szefa wydziału muzycznego (który dyrygował szkolną orkiestrą i serdecznie mnie nie znosił), a także - bez cienia wątpliwości - Słowny Absolwent we własnej osobie w towarzystwie pięknej, pachnącej kobiety, która trzymała go za rękę i wyglądała jakby też mogła być gwiazdą filmową.

Przestałem udawać, że gram, zsunąłem się ze stołka i stanąłem z szacunkiem, trzymając mocno smyczek.

Dyrektor opowiedział im o dźwiękoszczelnych salach, wykładzinach, zbiorce zorganizowanej na budowę szkoły muzycznej. Podkreślił, że następny etap przebudowy będzie wymagać dalszych hojnych dotacji. Zaczął właśnie omawiać koszt wymiany okien na nowe z podwójnymi szybami, gdy odezwała się pachnąca kobieta:

- Spójrzcie tylko na niego. Przeuroczy, prawda? I wszyscy spojrzeli na mnie.

- Wielkie skrzypce, trudno je przytrzymać pod brodą – rzucił Sławny Absolwent i wszyscy zaśmiali się z obowiązku.

- Są takie wielkie - mruknęła kobieta - a on taki mały. Ale przecież przerwaliśmy ci próbę. No dalej, zagraj nam coś.

Dyrektor i kierownik wydziału muzycznego uśmiechnęli się wyczekująco. Zastępca kierownika wydziału muzycznego, niemający cienia złudzeń co do moich umiejętności, zaczął wyjaśniać, że obok ćwiczą pierwsze skrzypce i chłopak bardzo chętnie zagra dla nich, i...

- Chcę posłuchać jego - uparła się kobieta. - Ile masz lat, chłopcze?

- Jedenaście, panienko - odparłem. Szturchnęła pod zebro Sławnego Absolwenta.

- Nazwał mnie panienką - rzekła z rozbawieniem. - No dalej, zagraj nam coś.

Sławny Absolwent przytaknął; stanęli obok, patrząc na mnie.

Tak naprawdę kontrabas nie jest instrumentem solowym, nawet w rękach doświadczonych muzyków. A mnie trudno było nazwać wprawnym czy doświadczonym. Posadziłem jednak tyłek na stolku, zakrzywiłem palce wokół gryfu, uniosłem smyczek z sercem walącym mi w piersi niczym kocioł i przygotowałem się na chwilę upokorzenia. Nawet dwadzieścia lat później pamiętam to doskonale.

Nie spojrzałem nawet na „52 dwa ćwiczenia na kontrabas”. Zagrałem... coś. Melodia wznosiła się i opadała, grzmiała, dźwięczała, wibrowała. Smyczek poruszał się płynnie, wygrywając osobliwe, śmiałe arpeggia, a potem odłożyłem go i zacząłem improwizować na kontrabasie złożone, misterne pizzicato. Robiłem z instrumentem rzeczy, których nie zdołałby dokonać doświadczony muzyk jazzowy o dłoniach wielkich jak moja głowa. Grałem i grałem, przebiegając palcami po czterech napiętych metalowych strunach, ściskając instrument tak, jak nie ściskałem nigdy ludzkiej istoty. Aż wreszcie, zdyszany i zachwycony, skończyłem.

Blondynka pierwsza zaczęła klaskać, zawtórowali jej wszyscy obecni. Ich twarze miały niezwykle wyraz. Klaskał nawet zastępca kierownika.

- Nie wiedziałem, że to tak wszechstronny instrument - oznajmił dyrektor. - Uroczy kawałek, nowoczesny, a jednocześnie klasyczny. Bardzo pięknie, brawo.

Potem wyprowadził całą czwórkę z pokoju, a ja siedziałem tam kompletnie wyczerpany. Palce mojej lewej dłoni gładziły gryf kontrabas, palce prawej pieściły struny.

Podobnie jak inne prawdziwe historie, zakończenie tej opowieści jest nieporządne i niezbyt zadowolające: następnego dnia, dźwigając przez szkolny dziedziniec wielki instrument do kaplicy na próbę orkiestry, w lekkim deszczu pośliznąłem się na mokrym bruku i upadłem na twarz. Drewniany mostek kontrabas zламаł się, pudło z przodu pękło.

Oczywiście wysłano go do naprawy, gdy jednak wrócił, nie był już taki sam. Struny unosiły się wyżej, nowy próg zamontowano pod niewłaściwym kątem. Nawet moje niewprawne ucho słyszało zmianę timbre'u. Nie zadbałem o moją dziewczynkę, toteż ona

przestała dbać o mnie.

Gdy następnego roku zmieniłem szkołę, nie kontynuowałem gry na kontrabasie. Myśl o zmianie instrumentu wydała mi się dziwnie nielojalna, a zakurzony czarny kontrabas tkwiący w szafie sali muzycznej nowej szkoły chyba mnie nie lubił. Należałem do innego. Poza tym byłem już dość wysoki, by wizja mojej osoby stojącej za kontrabasem nie wydawała się pociągająca.

Wiedziałem też, że niedługo pojawią się dziewczyny.

FAKTY W SPRAWIE ZNIKNIĘCIA PANNY FINCH

Zacznijmy od końca: ułożyłem starannie cienki plasterek marynowanego imbiru, różowy i przejrzysty, na białym mięsie sandacza, a następnie zanurzyłem całość - imbir, rybę, ryż z octem - w sosie sojowym i pochłonąłem w paru kęsach.

- Myślę, że powinniśmy zawiadomić policję - oznajmiłem.

- I co dokładnie im powiemy? - spytała Jane.

- Cóż, moglibyśmy zgłosić jej zaginięcie albo coś w tym stylu. Sam nie wiem.

- „A gdzie ostatnio widzieliście tę panią?” - spytał Jonathan swym najbardziej oficjalnym tonem. - „A tak, rozumiem. Zdajecie sobie sprawę, że marnowanie czasu policjanta uważa się za wykroczenie?”

- Ale ten cyrk..

- To ludzie bez adresu, pełnoletni. Przyjeżdżają i wyjeżdżają. Jeśli dysponuje pan ich nazwiskami, mogę przyjąć zgłoszenie... Z ponurą miną przełknąłem kawałek ryżu z lososiem.

- Może zatem zwrócimy się do gazet? - zaproponowałem.

- Świetny pomysł. - Ton głosu Jonathana jasno wskazywał, iż w istocie wcale nie uważa, by ten pomysł był naprawdę świetny.

- Jonathan ma rację - dodała Jane. - Nie uwierzą.

- Czemu mieliby nam nie uwierzyć? Jesteśmy przecież wiarygodnymi ludźmi, uczciwymi obywatelami i tak dalej.

- Ty piszesz fantastykę - przypomniała. - Zarabiasz na życie, wymyślając podobne historie. Nikt ci nie uwierzy.

- Ale wy dwoje też to widzieliście. Potwierdzicie moje słowa.

- Jonathan na jesieni zaczyna nową serię kultowych filmów grozy. Uznają, że próbuje tanim kosztem zareklamować swój program. A ja wydaję kolejną książkę. To samo.

- Twierdzicie zatem, że nie możemy nikomu powiedzieć? - Pociągnąłem łyk zielonej herbaty.

- Ależ nie - odparła rozsądnie Jane - możemy powiedzieć, komu tylko zechcemy. Problem w tym, jak ich przekonać, by nam uwierzyli. Moim zdaniem to niemożliwe.

Marynowany imbir pozostawił ostry smak na moim języku.

- Może i masz rację - rzekłem. - A panna Finch jest zapewne szczęśliwsza tam, dokąd trafiła, niż kiedykolwiek była tutaj.

- Przecież ona nie nazywa się panna Finch - zaprotestowała Jane - tylko... - Wymieniła prawdziwe nazwisko naszej niedawnej towarzyszki.

- Wiem, ale tak właśnie nazwałem ją w myślach, gdy tylko ją ujrzałem. Zupełnie jak w starych filmach. No wiecie, gdy bohaterka zdejmuje okulary i rozpuszcza włosy. „Ależ,

panno Finch, pani jest piękna!”.

- No, niewątpliwie była - przytaknął Jonathan. - Przynajmniej pod koniec. - Zadrżał na to wspomnienie.

No proszę, zatem już wiecie: oto jak zakończyła się cała historia i jak ją pozostawiliśmy kilkanaście lat temu. Teraz musicie poznać tylko początek i szczegóły.

Dla porządku, nie oczekuję, że mi uwierzycie. Przynajmniej nie do końca. Ostatecznie jestem zawodowym kłamcą, choć lubię sądzić, że kłamcą uczciwym. Gdybym należał do zacnego klubu, siedząc późnymi wieczorami obok przygasającego kominka, po paru kieliszkach porto pewnie wspominałbym tę historię. Nie należę jednak do żadnego klubu, a poza tym piszę lepiej, niż opowiadam. Przedstawię wam zatem historię panny Finch (która, jak już wiecie, wcale nie nazywała się Finch ani nawet podobnie, zmieniam bowiem imiona, by ukryć winnych) i sami zrozumiecie, czemu nie mogła zjeść z nami sushi. Możecie wierzyć lub nie, wedle uznania, nie jestem nawet pewien, czy sam w to wszystko wierzę. Cała historia wydaje się bardzo odległa.

Mógłbym znaleźć dziesiątki początków. Najlepiej będzie, jeśli zacznę od pokoju hotelowego w Londynie, kilkanaście lat temu. Była jedenasta rano. Zadzwoił telefon, co mnie zdumiało. Podbiegłem i podniosłem słuchawkę.

- Halo? - Było za wcześnie, by mógł do mnie dzwonić ktokolwiek z Ameryki, a nikt w Anglii nie wiedział, że przebywam w kraju.

- Cześć - usłyszałem znajomy głos, przemawiający z karykaturalnie przesadzonym i niezwykle mało przekonującym amerykańskim akcentem. - Mówi Hiram P. Muzzledexter z wytwórni Colossal Pictures. Pracujemy nad filmem będącym remake'em *Poszukiwaczy zaginionej arki*, tyle że zamiast nazistów występują w nim kobiety o wielkich cyckach. Słyszeliśmy, że został pan niezwykle hojnie obdarzony w okolicach rozporzeczka i chętnie zagrałby głównego bohatera, Minnesotę Jonesa...

- Jonathan? - rzuciłem. - Jak, u licha, mnie tu znalazłeś?

- Wiedziałeś, że to ja - stwierdził oskarżycielsko, natychmiast porzucając wszelkie ślady niewiarygodnego akcentu i wracając do swego własnego, londyńskiego.

- Bo to brzmiało jak ty. A poza tym nie odpowiedziałeś mi na pytanie. Nikt nie miał wiedzieć, że tu jestem.

- Mam swoje sposoby - odrzekł niezbyt tajemniczo. - Posłuchaj, gdybyśmy z Jane zaproponowali, że nakarmimy cię sushi - a pamiętam, że jadasz je w ilościach, które kojarzą mi się wyłącznie z porą karmienia morsów w londyńskim zoo - a wcześniej, przed posiłkiem, zabierzemy do teatru, co byś odpowiedział?

- No nie wiem. Chyba powiedziałbym: „Tak”. Albo: „W czym tkwi haczyk?”. Mógłbym o to spytać.

- To nie do końca haczyk. Nie nazwałbym go haczykiem, nie tak naprawdę. Nie do końca.

- Kłamiesz, prawda?

Ktoś powiedział coś w pobliżu telefonu, po czym Jonathan rzekł:

- Zaczekaj, Jane chce zamienić z tobą słówko. Jane to żona Jonathana.

- jak się miewasz? - spytała.

- Świetnie, dzięki.

- Posłuchaj - rzekła - zrobisz nam ogromną przysługę. Nie chodzi o to, że nie chcemy się z tobą zobaczyć, bo chcemy. Ale widzisz, jest jeszcze ktoś...

- To twoja przyjaciółka - odpowiedział Jonathan w tle.

- To nie jest moja przyjaciółka, ledwie ją znam - odparła Jane, odsuwając słuchawkę, a potem dodała, mówiąc do mnie: - Jest jeszcze ktoś, kogo mamy na głowie. Niezbyt długo będzie w kraju i jakoś zgodziłam się zapewnić jej rozrywkę i zająć się nią jutro wieczorem. Szczerze mówiąc, jest dość przerażająca, a Jonathan usłyszał od kogoś z wytwórni, że jesteś w mieście. Pomyśleliśmy, że mógłbyś sprawić, by to wszystko okazało się mniej okropne. Więc, proszę, zgódź się.

No i się zgodziłem.

Patrząc z perspektywy czasu, myślę, że wszystko to było winą nieżyjącego już Iana Fleminga, twórcy Jamesa Bonda. Miesiąc wcześniej czytałem pewien artykuł. Fleming radził w nim wszystkim niedoszłym pisarzom, którzy męczą się nad książką i w żaden sposób nie mogą jej napisać, by na czas tworzenia przenieśli się do hotelu. Ja sam akurat męczyłem się nie nad książką, lecz scenariuszem, którego w żaden sposób nie mogłem napisać. Kupiłem więc bilet na samolot do Londynu, obiecałem producentowi, że w ciągu trzech tygodni dostanie skończony scenariusz, i zamieszkałem w ekscentrycznym hoteliku w Małej Wenecji.

Nie powiadomiłem nikogo w Anglii o swoim przyjeździe. Gdyby ludzie wiedzieli, cały mój czas pochłonęłyby wizyty i spotkania, a nie wpatrywanie się w ekran komputera i od czasu do czasu pisanie.

Prawdę mówiąc, z nudów zaczynałem już wariować i chętnie przyjąłbym każdą propozycję.

Wczesnym wieczorem następnego dnia zjawiłem się w domu Jane i Jonathana, stojącym mniej więcej w Hampstead. Przed drzwiami parkował mały zielony sportowy samochód. Wspiąłem się po schodach i zastukałem. Otworzył mi Jonathan, odziany w imponujący garnitur. Jasnokasztanowe włosy miał dłuższe, niż zapamiętałem z czasów, gdy widziałem go po raz ostatni, na żywo bądź w telewizji.

- Cześć - pozdrowił mnie. - Przedstawienie, na które chcieliśmy cię zabrać, zostało odwołane. Ale załatwiliśmy coś innego. Mam nadzieję, że ci to nie wadzi?

Już miałem mu przypomnieć, że nie wiedziałem nawet, dokąd się pierwotnie wybieraliśmy, toteż zmiana planów nie robi mi różnicy, lecz Jonathan zdążył tymczasem zaprowadzić mnie do salonu, ustalić, że chętnie napiję się gazowanej wody mineralnej, zapewnić, że plany co do sushi pozostają niezmienione i że Jane zejdzie do nas, gdy tylko położą dzieci spać.

Całkowicie przemeblowali swój salon w stylu, który Jonathan opisał jako mauretański burdel.

- Z początku wcale nie planowaliśmy mauretańskiego burdelu - wyjaśnił. - Ani w ogóle żadnego burdelu, ale jakoś tak wyszło. Samo z siebie.

- Czy opowiedział ci cokolwiek o panie Finch? - spytała Jane.

Kiedy widziałem ją ostatnio, była ruda. Teraz włosy miała ciemnokasztanowe, figurę zgrabną jak Chandlerowskie porównania.

- O kim?

- Rozmawialiśmy o stylu nakładania tuszu Ditki - wyjaśnił przepraszająco Jonathan. - I numerze *Jerry'ego Lewisa* autorstwa Neala Adamsa.

- Ale ona zaraz tu będzie, a on musi wcześniej dowiedzieć się o niej czegokolwiek.

Jane z zawodu jest dziennikarką, która przypadkiem została autorką bestsellerów. Napisała książkę towarzyszącą popularnemu serialowi telewizyjnemu, opowiadającemu

o dwóch badaczach zjawisk paranormalnych. Książka ta natychmiast wspięła się na szczyt listy sprzedaży i tam pozostała.

Jonathan zdobył sobie sławę, prowadząc wieczorny talk-show. Od tego czasu używał swego nieporadnego wdzięku najróżniejszym programom telewizyjnym, zawsze pozostając tym samym człowiekiem, niezależnie od tego, czy kamery akurat pracowały, czy też nie. Nie o wszystkich można to powiedzieć.

- To coś w rodzaju rodzinnego obowiązku - wyjaśniła Jane. - No, może nie do końca rodzinnego.

- Ona jest przyjaciółką Jane - dorzucił wesoło jej mąż.

- Nie jest moją przyjaciółką, ale nie mogłam im odmówić, prawda? Zresztą zostanie w kraju tylko parę dni.

Nigdy się nie dowiedziałem, komu nie mogła odmówić Jane i jakie to były zobowiązania, bo dokładnie w tym momencie

zadzwonił dzwonek i zostałem przedstawiony pannie Finch, która, jak już wspomniałem, wcale się tak nie nazywała.

Miała na sobie czarną skórzaną czapkę i płaszcz z czarnej skóry. Kruczoczarne włosy ściągnęła w ciasny koczek spięty spinką. Starannie nałożony makijaż nadawał jej twarzy wyraz surowości, którego nie powstydzilaby się zawodowa domina. Cały czas zaciskała usta, patrząc gniewnie na świat poprzez okulary w grubych czarnych oprawkach, stanowiące zbyt mocny akcent, by były jedynie zwykłymi okularami.

- A zatem - powiedziała tonem przypominającym sędziego ogłaszającego wyrok śmierci - idziemy do teatru.

- No cóż, tak i nie - odparł Jonathan. - Tak, wychodzimy z domu. Ale nie, nie zdołamy obejrzeć *Rzymian w Brytanii*.

- I dobrze - oznajmiła panna Finch. - To sztuka w bardzo złym guście. Nie mam pojęcia, czemu ktoś uznał, że z tej bzdury da się zrobić musical.

- Idziemy zatem do cyrku - uzupełniła wesoło Jane. - A potem na sushi.

Usta panny Finch zacisnęły się jeszcze mocniej.

- Nie uznaję cyrku.

- W tym nie ma żadnych zwierząt - powiedziała Jane.

- To dobrze. - Panna Finch pociągnęła nosem.

Zaczynałem rozumieć, czemu Jane i Jonathan chcieli, bym im towarzyszył.

Gdy wyszliśmy z domu, padał deszcz. Ulica była ciemna.

Wcisnęliśmy się do sportowego wozu i pojechaliśmy do Londynu. Wraz z panną Finch siedzieliśmy stłoczeni na niewielkim tylnym siedzeniu, nieprzyjemnie blisko siebie.

Jane poinformowała pannę Finch, że jestem pisarzem, a mnie oznajmiła, że panna Finch jest biologiem.

- Ściślej biorąc, biogeologiem - poprawiła ją panna Finch. - Mówiłeś poważnie o sushi, Jonathanie?

- Tak. A czemu pytasz? Nie lubisz sushi?

- Och, jeśli o mnie chodzi, nie mam w zwyczaju jadać niczego surowego - oznajmiła, po czym zaczęła wymieniać nam wszystkie robaki, larwy i pasożyty czyhające w rybnym mięsie, które można zabić tylko podczas gotowania.

Opisywała ich cykle życiowe, podczas gdy deszcz spływał po szybach, sprawiając, że wieczorny Londyn nabierał jaskrawych neonowych barw. Jane zerknęła na mnie

współczująco z przedniego fotela. Następnie wraz z Jonathanem powrócili do przeglądania ręcznie zapisanych wskazówek, opisujących miejsce, do którego się wybieraliśmy. Mostem Londyńskim przejechaliśmy na drugą stronę Tamizy. Tymczasem panna Finch raczyła nas wykładem traktującym o ślepcie, obłądnie i niewydolności wątroby. Właśnie opisywała objawy słoniowatości z taką dumą, jakby sama je wynalazła, gdy zatrzymaliśmy się na małej ciemnej uliczce w okolicy katedry Southwark.

- To gdzie ten cyrk? - spytałem.

- Gdzieś tutaj - odparł Jonathan. - Skontaktowali się z nami w sprawie specjalnego przedstawienia świątecznego. Próbowałem zapłacić za dzisiejszy występ, ale uparli się, że go nam zafundują.

- Z pewnością będziemy się dobrze bawić - powiedziała z nadzieją Jane.

Panna Finch pociągnęła nosem.

Na chodniku pojawił się gruby łysy mężczyzna w stroju mnicha. Podbiegł do nas.

- No, są państwo - rzekł. - Czekałem na państwa. Spóźniliście się, zaraz zaczynamy.

Odwrócił się i podreptał z powrotem tam, skąd przyszedł, a my ruszyliśmy za nim. Krople deszczu rozpryskiwały się, uderzając o łysą czaszkę, i spływały mu po twarzy, zmieniając makijaż Festera Addamsa w plątaninę białych i brązowych smug. Mężczyzna pchnął drzwi w narożniku budynku.

- Tutaj.

Weszliśmy do środka. W pomieszczeniu zebrało się około pięćdziesięciu osób, ociekających wodą i parujących. Wysoka kobieta, kiepsko ucharakteryzowana na wampirzycę, krążyła wśród nich z niewielką latarką w dłoni, sprawdzając bilety, sprzedając je tym, którzy nie kupili wcześniej, oddzierając końcówki. Niewielka przysadzista niewiasta stojąca tuż przed nami strząsnęła wodę z parasolki i rozejrzała się z groźną miną.

- Lepiej, żeby to było dobre - powiedziała z mocnym akcentem do towarzyszącego jej młodego mężczyzny, zapewne syna. Zapłaciła za oba bilety.

Gdy przysła kolej na nas, wampirzyca podeszła i rozpoznała Jonathana.

- To pańscy goście? - spytała. - W sumie cztery osoby, tak? Jesteście na liście.

Przysadzista kobieta zerknęła na nas podejrzliwie.

Ktoś włączył nagranie tykającego zegara. Wybiła północ (na moim zegarku dochodziła ósma) i podwójne drewniane drzwi po drugiej stronie pomieszczenia otwarły się, skrzypiąc.

- Wejdźcie... z własnej nieprzymuszonej woli - zagrzmiął głos, po czym jego właściciel roześmiał się obłąkańczo.

Przeszliśmy przez drzwi w ciemność.

Powietrze pachniało wilgotnymi cegłami i rozkładem. Dzięki temu zrozumiałem, gdzie jesteśmy: pod torami kolejowymi ciągną się miejscami sieci starych piwnic - rozległych, pustych, połączonych ze sobą pomieszczeń różnej wielkości i kształtu. W niektórych przechowują swe towary sprzedawcy win i handlarze używanych samochodów; w innych zamieszkują dzicy lokatorzy, póki brak światła i udogodnień nie wygoni ich z powrotem na powierzchnię. Większość stoi pusta, czekając na nieuniknione przybycie buldożerów, świeżego powietrza i czasu, gdy wszystkie sekrety i tajemnice znikną na zawsze.

Nad naszymi głowami przejechał pociąg.

Ruszyliśmy naprzód, szurając nogami, w ślad za wujem Festerem i wampirzycą, i

znaleźliśmy się w czymś w rodzaju zagrody dla zwierząt. Przystanęliśmy, czekając, co będzie dalej.

- Mam nadzieję, że po wszystkim pozwolą nam usiąść - mruknęła panna Finch.

Nagle latarki zgasły. Zapłonęły reflektory.

Zjawili się ludzie, niektórzy na motorach i skuterach plażowych. Biegali wokół, jeździli, śmiali się, podskakiwali i krzyczeli. Pomyślałem, że ktokolwiek ich ubierał, czytał zbyt wiele komiksów albo za dużo razy oglądał *Mad Maxa*. Byli wśród nich punkowcy i zakonnice, wampiry i potwory, striptizerki i żywe trupy.

Tańczyli i podskakiwali wokół nas, podczas gdy Mistrz Ceremonii - rozpoznałem go po cylindrze - zaśpiewał piosenkę Alice'a Coopera *Welcome To My Nightmare*. Śpiewał ją bardzo źle.

- Znam Alice'a Coopera - mruknąłem pod nosem, zmieniając nieco na wpył zapomniany cytat - i pan, proszę pana, z całą pewnością nim nie jest.

- Jest raczej kiepski - zgodził się Jonathan.

Jane uciszyła nas syknięciem. Gdy ostatnie takty ucichły, Mistrz Ceremonii pozostał sam w blasku reflektorów. Mówiąc, krążył po pomieszczeniu.

- Witajcie, witajcie wszyscy w Teatrze Nocnych Snów - rzekł.

- Jakiś twój fan - szepnął Jonathan.

- Mam wrażenie, że raczej cytuję *Rocky Horror Show* - odszepnąłem.

- Dziś ujrzycie wszyscy potwory, o jakich nawet nie śniliście, dziwolągi i stworzenia nocy, które sprawią, że będziecie krzyżeć ze strachu i zaśmiewać się z zachwytu. Nasza podróż - ciągnął - powiedzie nas z sali do sali - a w każdej z tych podziemnych pieczar czeka na was kolejny koszmar, kolejna rozkosz, kolejne cuda! Proszę, dla własnego bezpieczeństwa nie wychodźcie, podkreślę raz jeszcze, nie wychodźcie poza przeznaczone dla was miejsca. W przeciwnym razie ryzykujecie niewypowiedziane cierpienia, obrażenia cielesne i utratę nieśmiertelnej duszy! Przypominam też, że obowiązuje was całkowity zakaz fotografowania z fleszem i nagrywania.

Po tych słowach kilka młodych kobiet przyświecających sobie małymi latarkami poprowadziło nas do następnego pomieszczenia.

- Czyli nie usiądziemy - podsumowała wyraźnie znudzona panna Finch.

Pierwsza Sala

W pierwszej sali uśmiechnięta blondynka w nakrapianym bikini, z rękami pokrytymi śladami po igłach, stała przy wielkim kole. Garbus i wujek Fester przykuli ją do niego łańcuchami.

Koło zaczęło się obracać. Gruby mężczyzna w czerwonym kostiumie kardynała rzucał w kobietę nożami, otaczając nimi jej ciało. Potem garbus zasłonił kardynałowi oczy. Ostatnie trzy noże pewnie wbiły się tuż obok głowy kobiety. Kardynał zdjął przepaskę. Pomocnicy uwolnili kobietę i zsadzili na ziemię. Wszyscy się uklonili, zaczęliśmy klaskać. Następnie kardynał wyjął zza pasa nóż iluzjonisty i udał, że podrzyna kobiecie gardło. Z klingi poląła się krew. Kilku widzów jęknęło. Jakaś nerwowa dziewczyna krzyknęła cicho. Jej przyjaciółki zachichotały.

Kardynał i nakrapiana kobieta uklonili się raz jeszcze. Światła zgasły. Podążyliśmy za latarkami ceglanym korytarzem.

Druga sala jeszcze mocniej pachniała wilgocią; zupełnie jakbyśmy znaleźli się w piwnicy, zamkniętej i zapomnianej. Z kąta dobiegało kapanie deszczu. Mistrz Ceremonii przedstawił nam Monstrum.

- Monstrum, złożone w jedną całość w laboratoriach Nocy, zdolne jest do zdumiewających popisów siły!

Makijaż potwora Frankensteina był mało przekonujący, lecz Monstrum zdołało podnieść kamienny blok, na którym siedział gruby wujek Fester. Zatrzymało też rozpedzony skuter plażowy (kierowany przez wampirzycę), a jako *piece de resistance* nadmuchało gumowy termofor, który w końcu pękł.

- Pora na sushi - mruknąłem do Jonathana.

Panna Finch zauważyła cicho, że pomijając kwestię niebezpiecznych pasożytów, należy też pamiętać, iż tuńczyk, miecznik i strzępiel padają ofiarą nadmiernych połowów i wkrótce, ze względu na to, że rozmnażają się wolniej, niż są odławiane, mogą zostać uznane za gatunki zagrożone.

Trzecia sala ciągnęła się daleko w ciemność. Kiedyś w przeszłości usunięto w niej stary sufit. Za nowy służył dach pustego magazynu nad piwnicą.

Powoli nasze oczy zaczęły dostrzegać błękitnofioletowy połysk ultrafioletu. Zęby, koszule i strzępy bieli rozbłysły w ciemności. Zadźwięczała cicha, pulsująca muzyka. Unieśliśmy wzrok i ujrzeliśmy w górze szkielet, obcego, wilkołaka i anioła. Ich kostiumy świeciły w ultrafiolecie. Cała czwórka, migocząc niczym stare sny, tańczyła w górze na trapezach. Kołysali się w przód i w tył w rytm muzyki. A potem jednocześnie puścili drażki i runęli ku nam.

Zachłysłeniśmy się chóralnie. Nim jednak do nas dotarli, odbili się w powietrzu i znów wzlecieli w górę niczym jo-jo, z powrotem chwytając trapezy. Zrozumieliśmy, że wiszą na przyczepionych do sklepienia gumowych linach, niewidocznych w ciemności. I gdy tak podskakiwali, nurkowali i pływali nad nami w powietrzu, patrzyliśmy w zachwycie, klaszcząc.

Czwarta sala była niewiele szersza niż korytarz. Sufit miała niski. Mistrz Ceremonii, unosząc dumnie głowę, wmaszerował między nas i wybrał dwie osoby - przysadzistą kobietę i wysokiego, ciemnoskórego mężczyznę w kozuchu i rękawicach ze skóry. Poprowadził ich naprzód, ogłaszając, że zaraz zademonstruje nam swe umiejętności w dziedzinie hipnozy. Kilka razy przesunął dłońmi w powietrzu, po czym odprawił przysadzistą kobietę i poprosił mężczyznę, by stanął na skrzyni.

- Umówili wszystko wcześniej - mruknęła Jane. - Facet jest podstawiony.

Do środka wprowadzono gilotynę. Mistrz Ceremonii przeciął na pół arbuz, by udowodnić, że ostrze nie zostało stępione. Następnie zmusił mężczyznę, by wsunął dłoń pod gilotynę i opuścił ostrze. Dłoń w rękawiczce wylądowała w koszu. Z mankietu kozucha trysnęła krew.

Panna Finch pisnęła.

Mężczyzna wyciągnął swą dłoń z koszyka i zaczął uganiać się za Mistrzem Ceremonii do wtóru muzyki z programu Benny'ego Hilla.

- Sztuczna ręka - szepnął Jonathan.

- A nie mówiłam? - dodała Jane. Panna Finch wydmuchnęła nos.

- Twierdzę, że wszystko to jest w bardzo kiepskim guście - oznajmiła.

Następnie poprowadzono nas do piątej Sali i nagle zapłonęły wszystkie światła. Przy

jednej ścianie stał zaimprovizowany drewniany stół. Młody łysego mężczyzna sprzedawał piwo, sok pomarańczowy i butelki wody. Na ścianie widniały znaki wskazujące drogę do toalet w sąsiednim pomieszczeniu. Jane poszła kupić coś do picia, Jonathan skorzystał z toalety. Mnie zatem przypadła rola zabawienia rozmową panny Finch.

- Cóż - rzekłem - słyszałem, że dopiero niedawno wróciłaś do Anglii?

- Byłam na Komodo - odparła. - Badalam smoki. Wiesz, czemu tak bardzo urosły?

- Eee...

- Przystosowały się do polowań na słonie karłowate.

- Istnieje coś takiego jak słonie karłowate? - To mnie zainteresowało. Było znacznie ciekawsze niż wykłady na temat robaków w sushi.

- O tak, to podstawowa biogeologia wysp: zwierzęta na wyspach w sposób naturalny albo rozrastają się do gigantycznych rozmiarów, albo też karłowacieją. Istnieją pewne równania... - Gdy panna Finch mówiła, jej twarz ożywała i odkryłem, że zaczynam czuć do niej sympatię, kiedy tak wyjaśniała mi, jak i dlaczego niektóre zwierzęta rosną, podczas gdy inne maleją.

Jane przyniosła nam napoje. Jonathan wrócił z toalety, rozbawiony i nieco zdumiony faktem, że gdy sikał, poproszono go o autograf.

- Powiedz mi - zagadnęła Jane - przygotowując się do następnej edycji *Przewodników po Nieznanym*, czytałam sporo pism kryptozoologicznych. Jako biolog...

- Biogeolog - poprawiła panna Finch.

- Tak. Jak oceniasz szanse tego, by zwierzęta prehistoryczne przetrwały do dzisiaj w nieznanym nauce enklawach?

- To bardzo mało prawdopodobne - odparła panna Finch tonem nauczycielki udzielającej reprimendy. - W każdym razie nie istnieje żaden „świat zaginiony” na zagubionej wyspie, pełen mamutów, smilodonów i aepyornisów.

- Brzmi to nieco nieprzyzwoicie - zauważył Jonathan. - A... czego?

- Aepyornis. Olbrzymi, nielotny, prehistoryczny ptak – wyjaśniła Jane.

- Tak naprawdę wiedziałem - przyznał.

- Choć oczywiście nie są one wcale prehistoryczne – uzupełniła panna Finch. - Ostatnie aepyornisy zostały zabite przez marynarzy portugalskich na Madagaskarze około trzystu lat temu. Istnieją też wiarygodne przekazy o tym, że na rosyjskim dworze w szesnastym wieku pokazywano mamuta karłowatego. A stado zwierząt, które z opisu niemal na pewno były odmianą tygrysa szablastozębnego - smilodona - sprowadzono z Afryki Północnej na rozkaz Wespazjana do rzymskiego cyrku. Zwierzęta te zatem nie są wcale prehistoryczne, raczej historyczne.

- Zastanawiam się, do czego właściwie służyły te szablaste zęby - mruknąłem. - Można by sądzić, że tylko im przeszkadzały.

- Bzdura - prychnęła panna Finch. - Smilodon był niezwykle skutecznym łowcą. Musiał być. Podobne zęby pojawiają się wielokrotnie wśród skamienielin. Całym sercem żałuję, że smilodony nie dożyły dzisiejszych czasów. Ale nie dożyły. Zbyt dobrze znamy świat.

- Świat to wielkie miejsce - rzekła z powątpiewaniem Jane.

A potem światła zaczęły mrugać, zapalać się i gasnąć, a upiorny, bezcielesny głos polecił nam przejść do następnej sali. Poinformował też, iż druga połowa przedstawienia nie jest przeznaczona dla ludzi o słabych nerwach, a dodatkowo dziś wieczór, przez jedną jedyną noc Cyrk Nocnych Snów z dumą przedstawi Gabinet Spełnionych Życzeń.

Wyrzuciliśmy plastikowe kubki i przeszliśmy do szóstej sali

- Przedstawiamy państwu - oznajmił Mistrz Ceremonii – Władcę Bólu!

Promień reflektora zatańczył i przesunął się, ukazując nienormalnie chudego młodego mężczyznę w kąpielówkach, wiszącego na haczykach przewleczonych przez sutki. Dwie punkówki pomogły mu zejść na ziemię i wręczyły rekwizyty. Mężczyzna wbił sobie w nos sześciocalowy gwóźdź, podnosił ciężary, doczepiając je do kolczyka w języku, wpuścił do kąpielówek kilka fretek, a na deser pozwolił wyższej z dwóch dziewczyn użyć swego brzucha jako tarczy. Za rzutki służyły celnie ciskane strzykawki.

- Czy ten gość nie występował kilka lat temu w telewizji? - spytałem Jane.

- Zgadza się - przytaknął Jonathan. - Bardzo miły facet. Zapalił fajerwerk trzymany w zębach.

- Zdawało mi się, że miało nie być zwierząt - wtrąciła panna Finch. - Jak myślicie, jak się czują biedne fretki, wciśnięte w krocze tego młodzieńca?

- Przypuszczam, że w znacznym stopniu zależy to od tego, czy są samcami, czy samiczkami - odparł radośnie Jonathan.

W siódmej Sali pokazywano rockandrollową komedię, pełną kiepskich slapstickowych gagów. Obnażono piersi zakonnicy, a garbus zgubił spodnie.

W ósmej Sali panował mrok. Czekaliśmy w ciemności, by coś się wydarzyło. Miałem ochotę usiąść, bolały mnie nogi, byłem zmęczony, zmarznięty i miałem dosyć wszystkiego.

A potem ktoś oświetlił naszą grupę. Zaczęliśmy mrugać, mrużąc oczy i zakrywając je dłońmi.

- Dziś wieczór - oznajmił dziwny głos, ochrypli i zakurzony. Byłem pewien, że nie należał do Mistrza Ceremonii. - Dziś wieczór w Gabinetce Spełnionych Życzeń jedno z was dostanie to, czego najbardziej pragnie. Któż to będzie?

- Uuu, trudno zgadnąć. Zaryzykuję, że kolejna podstawiona osoba - szepnąłem, przypominając sobie jednorękiego mężczyznę w czwartej sali.

- Ciii - syknęła Jane.

- Któż to będzie? Pan, pani? - Z mroku wynurzyła się postać i podeszła ku nam, powłócząc nogami. Trudno było dostrzec ją wyraźnie, bo w rękach trzymała przenośny reflektor. Zastanawiałem się, czy ten człowiek ma na sobie kostium małpy, bo jego sylwetka wydawała się nieludzka, a poruszał się tak, jak to czynią goryle. Może to ten sam, który grał Monstrum. - Któż to będzie, he?

Patrzyliśmy na niego, mrużąc oczy i odsuwając się na boki. Nagle śmignął naprzód.

- Aha! Chyba mamy ochotniczkę - rzekł, przeskakując przez sznurową barierkę oddzielającą widownię od reszty sali. Chwycił za rękę pannę Finch.

- Nie, raczej nie - odparła panna Finch, dała się jednak od nas odciągnąć, zbyt wytrącona z równowagi, zbyt uprzejma i w gruncie rzeczy zbyt angielska, by zrobić scenę.

Mężczyzna zawlókł ją w ciemność. Zniknęła. Jonathan zaklął pod nosem.

- Wątpię, by szybko pozwoliła nam o tym zapomnieć - mruknął. Zapłonęły światła, mężczyzna przebrany za olbrzymią rybę kilka

razy objechał na motorze całą salę. Potem stanął na siodełku, następnie usiadł i zaczął jeździć po ścianach. A potem najechał na cegłę, motor wpadł w poślizg, mężczyzna spadł, a motocykl wylądował wprost na nim.

Garbus i zakonnica o nagim biuście podbiegli, zepchnęli motor z mężczyzny w kostiumie

ryby i odciągnęli go.

- Złamałem pieprzoną nogę - mówił tępym monotonnym głosem.

- Jest złamana, ja pieprzę, moja pieprzona noga.

- Myślicie, że to było zaplanowane? - spytała stojąca obok dziewczyna.

- Nie - odparł towarzyszący jej mężczyzna.

Lekko wstrząśnięty wuj Fester i wampirzyca poprowadzili nas naprzód, do dziewiątej sali, w której czekała panna Finch.

Pomieszczenie było ogromne, czułem to nawet w nieprzeniknionej ciemności. Być może mrok sprawia, że inne zmysły zaczynają pracować intensywniej, a może zawsze przetwarzamy więcej informacji, niż nam się zdaje. Echa naszych szurających kroków i pokasywań powracały do nas, odbite od ścian stojących dziesiątki metrów dalej.

A potem wydało mi się, z pewnością graniczącą z szaleństwem, że w mroku czają się olbrzymie bestie, obserwujące nas głodnym wzrokiem.

Powoli zajaśniały światła i ujrzeliśmy pannę Finch. Do dziś dnia zastanawiam się, skąd wzięli ten kostium.

Czarne włosy miała rozpuszczone, okulary zniknęły. Kostium, choć bardzo skąpy, pasował na nią idealnie. W dłoni trzymała włócznię. Patrzyła na nas beznamyślnie. Potem zaś w kręgu światła obok zjawiły się wielkie koty. Jeden z nich odchylił głowę i zaryczał.

Ktoś w tłumie zaczął zawodzić. Czułem rozchodzącą się w powietrzu ostrą zwierzęcą woń moczu.

Zwierzęta były wielkości tygrysów. Nie miały jednak pasków, lecz futro barwy piaszczystej plaży o zmierzchu i topazowe oczy. Ich oddech cuchnęła świeżym mięsem i krwią.

Wpatrywałem się w ich szczęki. Szablaste zęby były naprawdę zębami, nie kłami jak u słonia. Olbrzymie zęby stworzone do szarpania, rozdzierania, odrywania mięsa od kości.

Olbrzymie koty zaczęły krążyć wokół nas wolnym krokiem.

Skuliliśmy się ciasno, zwierając szeregi. Każdy z nas gdzieś w duchu przypominał sobie, jak to było w czasach dawno już minionych, gdy kryliśmy się nocami w jaskiniach, podczas gdy w ciemnościach na dworze krążyły bestie. Przypominaliśmy sobie czasy, gdy to my byliśmy ofiarami.

Smilodony, jeśli tym naprawdę były, wydawały się niespokojne, czujne. Ich ogony poruszały się szybko niczym bicze, z boku na bok, niecierpliwie. Panna Finch milczała, patrzyła tylko na swe zwierzęta.

I wtedy przysadzista kobieta uniosła parasolkę i machnęła nią w stronę jednego z kotów.

- Trzymaj się z daleka, ty paskudo! - rzuciła.

Tygrys ryknął gardłowo i naprężył się, jak gotów do skoku kot. Przysadzista kobieta zbladła, nie opuściła jednak parasolki,

celując nią niczym mieczem. Nie próbowała nawet uciekać w rozświetlonym promieniami latarek mroku pod miastem.

Tygrys skoczył, powalając ją na ziemię jednym uderzeniem olbrzymiej aksamitnej łapy. Stał nad nią triumfalnie i ryknął tak nisko, że poczułem ów dźwięk w głębi swego brzucha. Przysadzista kobieta najwyraźniej zemdliała. Pomyślałem, że to dobrze. Przy odrobinie szczęścia nie poczuje nawet, gdy ostre jak brzytwy zęby niczym bliźniacze sztylety rozedrą jej starcze ciało.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu drogi ucieczki, lecz drugi tygrys krążył wokół, utrzymując nas w miejscu, za linami, niczym stadko wystraszonych owiec.

Usłyszałem Jonathana, mamroczącego pod nosem wciąż te same przekleństwa.

- Zginiemy wszyscy, prawda? - To był mój głos.

- Chyba tak - odparła Jane.

I wtedy panna Finch odepchnęła sznurową barierkę, chwyciła wielkiego kota za skórę na karku i szarpnęła. Tygrys stawiał opór, toteż pacnęła go w nos końcówką włóczni. Zwierzę podkuiliło ogon między nogi i cofnęło się, pozostawiając powaloną kobietę, potulne i posłuszne.

Nie dostrzegłem krwi. Miałem nadzieję, że ofiara jest tylko nieprzytomna.

W głębi piwnicznej sali powoli rozbłysło światło, zupełnie jakby nastał świt. Dostrzegłem wilgotną poranną mgiełkę, snującą się pomiędzy olbrzymimi paprociami i sagowcami, i usłyszałem dobiegające z daleka cykanie świerszczy i nawoływania dziwnych ptaków, budzących się i witających nowy dzień.

I część mnie - ta część będąca pisarzem, część która dostrzegła dziwne załamanie światła na stłuczonym szkłe w kałuży krwi, gdy gramoliłem się z rozbitego samochodu po wypadku, i obserwowała niezwykle szczegółowo to, jak moje serce pękało bądź nie w chwilach prawdziwej, głębokiej, osobistej tragedii - ta właśnie część pomyślała: ten sam efekt można osiągnąć za pomocą maszyny do robienia sztucznej mgły, kilku roślin i podkładu dźwiękowego. Potrzeba tylko naprawdę dobrego oświetleniowca.

Panna Finch podrapała się od niechcienia po lewej piersi. Potem odwróciła się do nas plecami i ruszyła w stronę świtu i dżungli pod światem. U jej boków stapały dwa tygrysy szablatozębne.

Jakiś ptak krzyknął i zaczął świergotać.

A potem światło brzasku przygasło, nastąpiła ciemność, mgła się rozplynęła. Kobieta i zwierzęta zniknęły.

Syn przysadzistej turystki pomógł jej wstać. Otworzyła oczy. Sprawiała wrażenie wstrząśniętej, ale całej i zdrowej. A kiedy zrozumieliśmy, że nic jej się nie stało, bo podniosła parasolkę, oparła się na niej i posłała nam wrogie spojrzenie, cóż, wtedy zaczęliśmy klaskać.

Nikt po nas nie przyszedł. Nie widziałem wuja Festera ani wampirzycy, toteż pozbawieni przewodnika przeszliśmy do dziesiątej Sali.

Wyraźnie przygotowano ją do wielkiego finału. Z jednej strony ustawiono nawet plastikowe krzesła, na których mieliśmy usiąść i oglądać przedstawienie. Zajęliśmy zatem miejsca i czekaliśmy. Jednak nikt z cyrku się nie zjawił. Po jakimś czasie zrozumieliśmy, że nikt nie przyjdzie.

Ludzie zaczęli przechodzić do następnego pomieszczenia. Usłyszałem dźwięk otwieranych drzwi, a potem odgłosy ulicznego ruchu i deszczu.

Spojrzałem na Jane i Jonathana. Wstaliśmy razem i wyszliśmy. W ostatnim pomieszczeniu stał samotny stół, na którym ułożono pamiątki z cyrku: plakaty, płyty kompaktowe i znaczki, a także otwartą kasetkę z pieniędzmi. Przez uchylone drzwi wlewały się do środka kaskady

żółtego sodowego światła. Wiatr szarpał niesprzedane plakaty, niecierpliwie tarł oszpecając ich brzegi.

- Czy powinniśmy na nią poczekać? - spytało jedno z nas. Żałuję, że to nie byłem ja.

Pozostali jednak pokręcili głowami i wyszliśmy na deszcz, który do tej pory osłabł, przemieniając się w kapryśną mżawkę.

Po krótkiej wędrówce wąskimi uliczkami, atakowani falami deszczu i wiatru, znaleźliśmy samochód. Stałem na chodniku, czekając, aż otworzą się tylne drzwi i będę mógł wsiąść do środka. Nagle wydało mi się, że wśród szumu deszczu i hałasów miasta słyszę tygrysa - niski ryk, który sprawił, że cały świat zdrzął w posadach. Może jednak był to tylko łoskot przejeżdżającego w pobliżu pociągu.

DZIWNE DZIEWCZYNKI

Dziewczynki

New age

Wydaje się taka spokojna, skupiona, taka cicha, ale jej oczy spoglądają w dal, aż po horyzont.

Zdaje ci się, że już w chwili, gdy ją spotykasz, wiesz o niej wszystko, co można wiedzieć, lecz nic z tego, co - jak ci się zdaje - wiesz, nie jest prawdziwe. Namiętność wzbiera w jej wnętrzu niczym rzeka krwi.

Tylko na moment odwróciła wzrok, maska zsunęła się, a ty upadłeś. Tu właśnie zaczynają się wszystkie twoje jutra.

Matka Bonnie

Wiesz, jak to jest, kiedy kogoś kochasz?

A najgorsze, najtrudniejsze, najboleśniej, godne programu Jerry'ego Springera jest to, że nigdy nie przestajesz go kochać. W twym sercu na zawsze pozostaje jakaś część tej osoby.

Teraz, kiedy umarła, stara się pamiętać tylko miłość. W jej wyobraźni każde uderzenie to pocałunek. Makijaż niefachowo próbujący pokryć siniaki, ślad po oparzeniu papierosem na udzie - uznaje, że wszystkie te rzeczy to oznaki miłości.

Zastanawia się, co zrobi jej córka.

Zastanawia się, kim zostanie jej córka.

Po śmierci trzyma w dłoniach ciasto. To ciasto, które zawsze zamierzała upiec dla swojej maleńkiej. Może zrobiłyby je razem.

Usiedliby i zjedliby je z uśmiechem, wszyscy troje, a mieszkanie powoli wypełniłoby się śmiechami i miłością.

Dziwna

Istnieje sto różnych rzeczy, które próbowała przegnać, rzeczy, których nie chce pamiętać i o których nie może nawet myśleć, bo wtedy ptaki zaczynają krzyżeć, robaki pęłzać, a

gdzieś w jej umyśle stale pada powolna niekończąca się mżawka.

Usłyszysz, że wyjechała z kraju, że chciała coś ci podarować, ale ów prezent zaginął, nim do ciebie dotarł. Któregoś dnia późnym wieczorem rozspiewa się telefon i głos, być może należący do niej, powie coś, czego nie zrozumiesz, a potem usłyszysz trzask i połączenie zostanie przerwane.

Kilka lat później, jadąc taksówką, zobaczysz kogoś w wejściu, kogoś kto wygląda zupełnie jak ona, ale zniknie, nim zdołasz przekonać kierowcę, by się zatrzymał. Nigdy już jej nie ujrzysz.

Za każdym razem, gdy spadnie deszcz, będziesz o niej myśleć. Cisza...

Od trzydziestu pięciu lat jest tancerką rewiową - przyznaje się do tego - i bolą ją stopy od rana do wieczora, to przez wysokie obcasy, ale wciąż potrafi zejść po schodach z dwudziestokilowym stroikiem na głowie i na wysokich obcasach. Przeszła przez scenę z lwem na wysokich obcasach. Mogłaby przejść przez całe pieprzone piekło na wysokich obcasach, gdyby zaszła taka potrzeba.

Oto rzeczy, które jej pomagały, pomagały iść dalej i wysoko unosić głowę: jej córka; mężczyzna z Chicago, który ją kochał, choć nie dość mocno; spiker z ogólnokrajowego dziennika, który przez dziesięć lat opłacał jej czynsz, choć sam odwiedzał Vegas najwyżej raz w miesiącu; dwa woreczki z żelem silikonowym i unikanie pustynnego słońca. Już niedługo, lada dzień, zostanie babcią.

Miłość

Aż kiedyś zdarzyło się, że jeden z nich po prostu przestał odbierać, gdy dzwoniła do niego do biura. Wybrała zatem numer, o którym nie wiedział, że go miała, i powiedziała do kobiety po drugiej stronie, że to dość kłopotliwa sprawa, ale ponieważ on już z nią nie rozmawia, czy zechciałaby mu powtórzyć, że czeka na zwrot czarnej, koronkowej bielizny, którą zabrał, bo stwierdził, że pachnie nią, nimi obojgiem. Och, i przy okazji, dodała, podczas gdy kobieta po drugiej stronie milczała, czy mógłby najpierw uprać bieliznę, a potem po prostu ją jej odesłać? Ma jej adres. Potem zaś, radośnie zakończywszy sprawę, zapomina go całkowicie i na zawsze, i całą uwagę skupia na następnym.

Kiedyś i ciebie przestanie kochać. To ci złamie serce.

Czas

Nie czeka. Niezupełnie. Tyle że lata nic już dla niej nie znaczą, że sny i ulica nie mogą już jej dotknąć.

Pozostaje na skraju czasu, niewzruszona, nietknięta, poza wszystkim. Któregoś dnia otworzysz oczy i ujrzysz ją, a potem zapadnie ciemność.

Nie zetnie cię kosą jak zniwiarz. Zamiast tego zerwie cię, wyskubie łagodnie niczym piórko albo kwiat, który wepnie we włosy.

Grzechotnik

Nie wie, do kogo pierwotnie należała kurtka. Po imprezie nikt jej nie zabrał, a ona uznała, że całkiem jej w niej dobrze.

Na kurtce widnieje napis KISS, a ona nie lubi całować. Ludzie, mężczyźni i kobiety powtarzają jej, że jest piękna, lecz nie ma pojęcia dlaczego. Gdy sama patrzy w lustro, nie widzi piękności. Tylko swoją twarz.

Nie czyta, nie ogląda telewizji, nie kocha się z nikim. Słucha muzyki. Bywa w różnych miejscach ze swymi przyjaciółmi.

Jeździ kolejkami górskimi, ale nigdy nie krzyczy, gdy rozpędzają się i gwałtownie śmigają w dół albo przez moment jadą do góry nogami.

Gdybyś powiedział jej, że kurtka należy do ciebie, tylko wzruszyłaby ramionami i oddała ci ją. Właściwie przecież jej nie zależy.

Złote serce

...zdania.

Siostry, może bliźniaczki, ewentualnie kuzynki. Nie dowiemy się, póki nie zobaczymy ich aktów urodzenia, prawdziwych, nie tych, których używają, by wyrobić sobie dokumenty.

Oto czym się zajmują. Wchodzą, biorą to, czego potrzebują, i znikają.

Nie jest to wspaniałe życie. Czysty biznes. Nie zawsze bywa do końca legalny, ale tak to już bywa z biznesem.

Są na to zbyt mądre i zbyt zmęczone.

Mają wspólne ubrania, peruki, kosmetyki, papierosy. Niespokojne, znów ruszają na łowy. Dwa umysły. Jedno serce. Czasami dokańczają nawet sobie nawzajem...

Poniedziałkowe dziecko

Stojąc pod prysznicem i czując, jak woda spływa po niej i zmywa, zmywa to wszystko, uświadamia sobie, że najgorsze jest to, że pachniało zupełnie jak w jej liceum.

Szła korytarzami z sercem tłukącym się w piersi, jej nozdrza wypełniał zapach szkoły i wówczas wspomnienia powróciły.

Najwyżej - ile to? - sześć, może mniej lat temu, to ona biegła z szatni do klasy. To ona patrzyła, jak jej przyjaciółki płaczą, wściekają się i rozpaczają z powodu drwin, wyzwisk i tysięcy uderzeń dotykających bezbronnych. Ale nikt z nich nie posunął się nigdy tak daleko.

Pierwsze ciało znalazła na klatce schodowej.

Tej nocy, już po prysznicu, który nie zdołał zmyć tego co musiała zrobić, odwróciła się do męża.

- Boję się - powiedziała.

- Czego?

- Że przez tę pracę staję się twarda. Że zmienia mnie w kogoś innego. Kogoś, kogo już nie znam.

Przyciągnął ją do siebie i przytulił, i pozostali tak blisko, skóra przy skórze, aż do świtu.

Szczęście

Na strzelnicy czuje się jak w domu: słuchawki na uszach, papierowa tarcza w kształcie ludzkiej sylwetki, która już na nią czeka.

Przez chwilę wyobraża coś sobie, przez chwilę wspomina, a potem celuje i naciska spust. A gdy zaczyna się jej czas na strzelnicy, czuje, bardziej niż widzi, jak głowa i serce znikają. Zapach kordytu zawsze przywodzi jej na myśl czwartego lipca.

Korzystaj z darów, które dostajesz od Boga. To właśnie mówiła jej matka i słowa te sprawiają, że ich kłótnia wydaje się jeszcze gorsza.

Już nikt nigdy jej nie skrzywdzi. Uśmiechnie się po prostu lekko, zagadkowo i odejdzie.

Nie chodzi o pieniądze. Nigdy nie chodzi o pieniądze.

Deszcz krwi

Proszę: ćwiczenie w dokonywaniu wyboru. Wybór należy do ciebie. Jedna z tych historii jest prawdziwa.

Przeżyła wojnę. W 1959 przyjechała do Ameryki. Obecnie mieszka w apartamencie w Miami: drobna Francuzka o siwych włosach z córką i wnuczką. Zwykle trzyma się na uboczu, rzadko się uśmiecha, jakby ciężar wspomnień nie pozwalał jej odnaleźć radości.

Albo to kłamstwo. Tak naprawdę gestapo schwytało ją podczas

przeprawy przez granicę w 1943. Zostawili ją na łące. Najpierw wykopała własny grób, potem jedna kula trafiła ją w tył głowy.

Jej ostatnią myślą przed kulą było, że jest w czwartym miesiącu ciąży i że jeśli nie staniemy wszyscy do walki o przyszłość, nie będziemy mieli żadnej przyszłości.

Stara kobieta w Miami budzi się oszołomiona ze snu o wietrze wiejącym pośród dzikich kwiatów na łące.

Kości nietknięte pod ciepłą francuską ziemią śnią o ślubie córki. Goście piją dobre wino. Jedyne łzy to łzy szczęścia.

Prawdziwi mężczyźni

Niektóre dziewczynki były chłopcami.

Widok zmienia się w zależności od tego, gdzie stoisz. Słowa mogą ranić, a rany mogą leczyć.

Wszystko to jest prawdą.

ARLEKIN I WALENTYNKI

Jest czternasty lutego, ta pora poranka, gdy wszystkie dzieci poszły już do szkoły, a mężowie odjechali do pracy bądź zostali podrzuceni - w wielkich płaszczach, w obłokach mroźnego oddechu - na stację na skraju miasta, by wejść w Godzinę Szczytu, ja zaś przybijam swe serce do drzwi frontowych Missy. Serce jest ciemnoczerwone, niemal brązowe, barwy wątroby. A potem stukam ostro do drzwi: „rat-a-tat- tat!” i chwytam mą

różdżkę, mą laskę, mą jakże wierną, wstążkami oplecioną lancę, i znikam niczym obłok pary w mroźnym powietrzu...

Missy otwiera drzwi. Wydaje się zmęczona.

„Moja Kolombino”, szepczę, lecz ona nie słyszy.

Obraca głowę, wodząc wzrokiem wzdłuż całej ulicy. Nic się nie rusza. W dali z łoskotem przejeżdża ciężarówka. Missy wraca do domu, a ja cicho - jak wiatr, jak mysz, jak sen - płąsam za nią, gdy wiedzie mnie do kuchni.

Missy wyjmuje z pudełka w kuchennej szufladzie foliową torebkę śniadaniową. Spod zlewu wyciąga butelkę płynu do czyszczenia. Z rolki na blacie odrywa dwa kawałki papierowego ręcznika. Potem z powrotem rusza do drzwi. Wyjmuje szpilkę z malowanego drewna - to moja szpilka do kapelusza. Znalazłem ją... gdzie? Obracam tę myśl w głowie. Może w Gaskonii? W Twickenham? Czy w Pradze?

Na końcu szpilki tkwi blada twarz Pierrota.

Missy wyciąga szpilkę z serca i wrzuca je do foliowej torebki. Następnie ściera krew z drzwi, psika płynem, przeciera ręcznikiem. Wpina sobie szpilkę w klapę: maleńka, biała, smutna twarz patrzy stamtąd na zimny świat. Ślepe srebrne oczy; ponure srebrne usta.

Neapol. Przypomniałem sobie. Kupiłem szpilkę w Neapolu od starej jednookiej kobiety. Palila glinianą faję. To było dawno temu.

Missy odkłada płyn do czyszczenia na kuchenny stół, wsuwa dłonie w rękawy niebieskiego płaszcza - kiedyś należał do jej matki - zapina guziki, raz, dwa, trzy, a potem zdecydowanym ruchem wkłada torebkę z sercem do kieszeni i rusza w dal ulicą.

Cichutko, cichutko, zwinny niby myszka idę za nią; czasami skradam się bądź tańczę, a ona mnie nie widzi, nie, nawet przez chwilkę. Otula się ciasno niebieskim płaszczem i wędruje przez miasteczko w stanie Kentucky starą drogą biegnącą obok cmentarza.

Wiatr szarpie mi kapelusz i przez moment żałuję, że nie mam już szpilki. Jestem jednak zakochany, a dziś są walentynki. Miłość wymaga ofiar.

Missy wspomina w myślach dawne czasy, gdy przechodziła przez wysoką żelazną bramę wiodącą na cmentarz: kiedy umarł jej ojciec i jak przychodzili tu całą szkolną paczką we Wszystkich Świętych, by się bawić, przepychać i straszyć nawzajem; i kiedy jej potajemny kochanek zginął w zderzeniu trzech wozów na autostradzie, a ona czekała do końca pogrzebu, i gdy dzień minął już i

odszedł, zjawiała się tutaj tuż przed zmierzchem i złożyła na świeżym grobie jedną białą lilię.

Och, Missy, czy mam opiewać ciało twe i krew, usta i oczy? Tysiące serc dałbym ci na walentynki. Z dumą macham w powietrzu laską, śpiewając w milczeniu o mej wspaniałości, gdy razem zdążamy ulicą Cmentarną.

Niski, szary budynek. Missy popycha drzwi. Mówi „Cześć” i „Jak leci?” do dziewczyny za biurkiem, która nie odpowiada. Jest świeżo po szkole. Rozwiązuje krzyżówkę w piśmie pełnym wyłącznie krzyżówek. Strony i strony krzyżówek... Bez wątpienia dzwoniłaby w prywatnych sprawach z telefonu firmy, gdyby tylko miała do kogo dzwonić - ale nie ma, i widzę jasno jak słońce, że nie będzie miała. Jej twarz pokrywają ropiejące pryszcze i blizny po trądziku. A ona sądzi, że to ma znaczenie. Z nikim nie rozmawia. Widzę przed

sobą całe jej życie: za piętnaście lat samotna, nietknięta, umrze na raka piersi, i spocznie pod kamieniem z jej nazwiskiem na łące obok ulicy Cmentarnej, a pierwsze ręce, jakie dotkną jej piersi, będą należeć do patologa, który wytnie z niej gąbczasty, cuchnący guz i mruknie pod nosem: „Jezu, spójrzcie tylko, jaki wielki! Czemu nikomu nie powiedziała?”, a przecież nie o to chodzi.

Czule całuję ją w przyszczaty policzek i szepczę, że jest piękna. Potem stukam ją raz, drugi, trzeci w głowę łaską i owijam wstążką.

Porusza się i uśmiecha.

Może dziś wieczór upije się i zatańczy, i złoży swe dziewictwo na ołtarzu Hymena, pozna jakiegoś młodzieńca, którego bardziej obejdą jej piersi niż twarz i który, pewnego dnia gładząc te piersi, ssąc i pieszcząc, powie: „Kochanie, czy byłeś u lekarza? Masz tu guz”.

Do tego czasu jej przyszcze dawno znikną, zapieszczone i zacałowane.

Ale zgubiłem Missy, biegnę zatem w podskokach po brązowo- szarej wykładzinie, aż wreszcie widzę niebieski płaszcz, wchodzący do pomieszczenia na końcu korytarza, i wpadam za nią do nieogrzewanej sali, wyłożonej łazienkowozielonymi kafelkami.

Smród jest niewiarygodny, ostry, ciężki, duszący. Gruby mężczyzna w poplamionym fartuchu nosi jednorazowe gumowe rękawice, górną wargę i nozdrza wysmarował grubą warstwą żelu mentolowego. Na stole przed nim leży martwy człowiek - chudy, stary, o czarnej skórze i palcach pokrytych odciskami. Jego twarz zdobi cieniutki wąsik. Gruby mężczyzna nie dostrzegł jeszcze Missy. Zrobił właśnie nacięcie i z wilgotnym mlaskiem odciąga na boki skórę. Jakaż ciemnobrązowa jest na zewnątrz, jaka śliczna różowa z drugiej strony.

Z przenośnego radia dobiegają ogłuszające dźwięki muzyki klasycznej. Missy wyłącza radio.

- Witaj, Vernon.

- Cześć, Missy! - mówi grubas. - Chcesz swą dawną pracę?

To Doktor, uznaję. Jest zbyt wielki, zbyt krągły, za dobrze odżywiony jak na Pierrota; zbyt pewny siebie, jak na Pantalona. Na widok Missy jego twarz rozjaśnia radość. Ona uśmiecha się do niego, a ja czuję zazdrość, ukłucie bólu w samym sercu (obecnie tkwiącym w kieszeni płaszcza Missy, w foliowej torebce śniadaniowej), ostrzejszego, niż kiedy przybiłem je szpilką do jej drzwi.

A skoro mowa o sercu, wyciągnęła je właśnie i macha nim przed nosem patologa, Vernona.

- Wiesz, co to jest?

- Serce. Nerki nie mają komór, a mózg jest większy i bardziej papkowaty. Skąd je wzięłaś?

- Miałam nadzieję, że ty mi powiesz. Czyż nie pochodzi stąd? To twoja wersja karty walentynkowej, Vernonie - serce przypięte do mych drzwi?

Doktor kręci głową.

- Nie, nie jest stąd. Chcesz, żebym wezwał policję? Ona także zaprzecza.

- Raczej nie. Przy mym szczęściu uznają, że jestem seryjną morderczynią, i poślą mnie na krzesło elektryczne.

Doktor otwiera torebkę i trąca serce grubymi palcami w lateksowych rękawiczkach.

- Dorosły. W dobrej formie. Dbał o swoje serce - orzeka. - Wycięte przez fachowca.

Słyszac to, uśmiecham się z dumą i pochylam, by pomówić z martwym czarnym

mężczyzną na stole, tym z otwartą piersią i odciskami na palcach od strun gitary basowej.

- Idź sobie, Arlekinie - mruczy cicho, by nie urazić Missy i doktora. - Nie siej tu zamętu.

- Zamilcz. Będę siał zamęt, gdzie zechcę - odpowiadam. - To moja rola.

Przez chwilę czuję w sobie pustkę, smutek godny Pierrota. Nie tak powinien czuć się Arlekin.

Och, Missy, ujrzałem cię wczoraj na ulicy i poszedłem za tobą do Supertaniego Supermarketu Ala, a w sercu wzbierała mi radość i zachwyt, bo dostrzegłem w tobie kogoś, kto może mnie porwać z dala ode mnie samego. Poznałem w tobie mą walentynkę.

Moją Kolombinę.

Nie spałem zeszłej nocy - zamiast tego rozpętałem w mieście rozkoszne szaleństwo. Zwodziłem i rozwodziłem, sprawiłem, że trzej bankierzy zrobili z siebie głupców z transwestytami z Rewii i Baru Madame Zory. Zakradałem się do sypialni śpiących, niewidzialny, niewyobrażony, ukrywając w kieszeniach i pod poduszkami dowody potajemnych egzotycznych schadzek. Och, wyobraźcie sobie ten poranny zamęt, gdy ludzie znajdują seksowne majteczki z rozcięciem w kroczu, znoszone i wilgotne, niezdarnie ukryte pod poduszką kanapy czy w wewnętrznej kieszeni nobliwego garnituru. Lecz sercem byłem gdzie indziej. Widziałem tylko twarz Missy.

Och, zakochany Arlekin to żaloszny widok.

Ciekawe, co robi z moim darem. Czasem dziewczęta odrzucają serce; inne dotykają go, całują, pieszczą, darzą całą gamą czułości i w końcu oddają mi z powrotem. Niektóre w ogóle go nie widzą.

Missy odbiera Doktorowi serce, znów wsadza to torebki i zamyka ją z cichym trzaskiem.

- Mam je spalić? - pyta.

- Chyba nawet powinnaś. Wiesz, gdzie jest piec. - Doktor wraca

do leżącego na stole muzyka. - I mówiłem poważnie o tej dawnej pracy. Potrzebna mi dobra laborantka.

W wyobraźni widzę, jak moje serce wlatuje w niebo w obłoku dymu i popiołów, który otula świat. Sam nie wiem, co o tym myśleć, lecz Missy z surową miną kręci głową i żegna się z Vernonem patologiem. Serce schowała z powrotem do kieszeni. Teraz wychodzi z budynku i rusza ulicą Cmentarną z powrotem do miasta.

Ja płąsam przed nią i uznawszy, że warto nawiązać kontakt, słowo przemieniam w czyn. Przybieram zatem pozór starej, zgarbionej kobiety idącej na targ. Czerwone romby stroju okrywam obszarpanym płaszczem, twarz w masce kryję pod obszernym kapturem. Na końcu ulicy Cmentarnej zagradzam jej drogę.

To ja, cudowny, cudowny ja. Mówię do niej głosem najstarszej z niewiast.

- Daj miedziaka biednej starowince, duszko, a przepowiem ci przyszłość tak piękną, że zapłaczesz z radości.

Missy otwiera torebkę i wyjmuje banknot dolarowy.

- Proszę.

Już mam powiedzieć jej o tajemniczym mężczyźnie w czerwieni i żółci, mężczyźnie w dominie, który ją zachwyci, pokocha i nigdy przynigdy nie opuści (niedobrze jest bowiem zdradzać Kolombinie całą prawdę). Zamiast tego uszu mych dobiega mój własny głos:

- Słyszałaś kiedyś o Arlekinie?

- Tak. To postać z comedia dell'arte. Kostium w nieduże barwne romby, na twarzy miał maskę. Był kłownem, prawda?

Kręcę głową pod kapturem.

- Nie, nie kłownem. Był...

Już mam powiedzieć jej prawdę, szybko więc gryzę się w język, udając, że mam atak kaszlu. To częsta przypadłość, zwłaszcza u tak starych kobiet. Zastanawiam się, czy to nie siła miłości. Nie pamiętam, by wcześniej w czymś mi przeszkadzała. Wiele było kobiet, o których kiedyś myślałem, że je kocham, innych Kolombin, które spotykałem przez wieki. Wszystkie już odeszły.

Mrużąc swe starcze oczy, spoglądam na Missy. Jest ledwo po dwudziestce. Ma usta jak syrena - pełne, kształtne, stanowcze - oraz szare oczy, patrzące z dziwną siłą.

- Nic pani nie jest?

Kaszlę jeszcze chwilę, chrząkam, jęczę, dyszę.

- Nic, nic, moja duszko, ale piękne dzięki.

- Cóż, podobno miała mi pani przepowiedzieć przyszłość.

- Arlekin dał ci swe serce. - Słyszę, jak mówię te słowa. - Sama musisz odkryć jego bicie.

Ona patrzy na mnie zdumiona. Nie mogę zmienić się ani zniknąć na jej oczach. Zastygam, wściekły na język, co mnie zdradził.

- Spójrz! Królik! - wołam.

Missy odwraca głowę, patrząc za moim palcem, a gdy odrywa ode mnie wzrok - znikam - hop! - niczym królik w norze. Kiedy znów się odwraca, nie ma już śladu zgarbionej staruszki, czyli mnie, rzecz jasna.

Missy idzie dalej, ja zaś płąsam za nią. Lecz krokom mym brak lekkości, którą czułem rano.

Jest południe i Missy odwiedza Supertani Supermarket Ala, gdzie kupuje kawałek sera, karton świeżego soku pomarańczowego, dwa awokado. Potem rusza do banku okręgowego, skąd wypłaca dwieście siedemdziesiąt dziewięć dolarów i dwadzieścia dwa centy, wszystko co ma na koncie. Ja zaś skradam się za nią, słodki jak cukier, milczący jak grób.

- Dzień dobry, Missy - wita ją właściciel kafejki Salt Shaker.

Ma przystrzyżoną brodę barwy soli z pieprzem - mniej soli, więcej pieprzu - i serce zamarłoby mi w piersi, gdyby nie to, że tkwi w kieszeni Missy w foliowej torebce, bo mężczyzna ten pragnie jej namiętnie i moja pewność siebie - zwykle legendarna - gwałtownie więdnie.

„Jestem Arlekinem”, mówię do siebie w myślach, „w moim stroju w romby, a świat to moja arlekinada. Jestem Arlekinem, który powstał z martwych, by płać żywym figle. Jestem Arlekinem - w masce, z różdżką”.

Gwizdę pod nosem i moja pewność siebie znów powraca, wznosi się, twarda, śmiała, niezłomna.

- Cześć, Harve - odpowiada Missy. - Daj mi porcję placków ziemniaczanych i ketchup.

- To wszystko?

- Tak. To mi wystarczy. I jeszcze szklanek wody.

Mówię sobie, że ten człowiek, Harve, to Pantalón. Niemądry kupiec, któremu muszę zmacić w głowie, zwieść go, oszukać, ogłupić.

Może w kuchni znajdzie się pęto kiełbasek.

Postanawiam, że wywołam dziś w świecie przerozkoszny zamęt, a przed północą posiadę mą uroczą Missy; to mój walentynkowy prezent. Widzę już, jak całuję ją w usta.

W kafejce są jeszcze inni klienci. Zabawiam się, podmieniając im talerze, gdy nie patrzą. Ale jakoś mnie to nie cieszy. Chuda kelnerka o twarzy okolonej żalonymi lokami omija Missy. Wyraźnie uważa, że ona należy do Harve'a.

Missy siada przy stole, wyjmuje z kieszeni torebkę i kładzie przed sobą.

Pantalon - Harve - podchodzi do jej stolika, podaje szklanekę wody, talerz ziemniaczanych placków i butelkę ketchupu Heinz 71 Varieties.

- I nóż do steków.

Po drodze do kuchni podstawiam mu nogę. Przeklina pod nosem, a ja czuję się lepiej, znów jak dawny ja. Szczypię kelnerkę w chwili, gdy mija stolik staruszka, który grzebie w sałatce, czytając gazetę. Kelnerka posyła mu gniewne spojrzenie. Parskam śmiechem i nagle czuję się naprawdę niezwykle. Gwałtownie siadam na podłodze.

- Co to jest, skarbie? - pyta kelnerka.

- Zdrowa żywność, Charlene - wyjaśnia Missy. - Bogata w żelazo.

Zerkam spod blatu. Missy odkrawa na talerzu plasterki mięsa barwy wątroby, hojnie polane sosem pomidorowym. Nabija je na widelec wraz z porcją brązowych placków.

I zaczyna gryźć.

Patrzę, jak moje serce znika w jej różanych ustach. Walentynkowy dowcip nagle wydaje się mniej zabawny.

Kelnerka Charlene znowu przechodzi obok z dzbankiem parującej kawy.

- Cierpisz na anemię?

- Już nie. - Missy wsuwa do ust kolejny kawałek surowego mięsa; żuje długo, nim połknie.

A kiedy kończy zjadać me serce, spogląda w dół i widzi mnie na podłodze. Kiwa głową.

- Na zewnątrz - mówi. - Już.

Wstaje, zostawiając dziesięciodolarówkę tuż obok talerza.

Czeka na mnie na ławce, na chodniku. Jest zimno. Wokół nie widzę nikogo. Powiniennem płasnąć wokół niej. Lecz teraz, gdy wiem, że patrzy, czułbym się głupio.

- Zjadłaś moje serce - mówię. Słyszę w mym głosie ton pretensji i drażni mnie to.

- Tak. Czy to dlatego cię widzę? Przytakuję.

- Zdejmij tę maskę. Wyglądasz głupio.

Unoszę rękę i ściągam maskę. Missy wydaje się lekko zawiedziona.

- Niewielka poprawa - mówi. - Teraz daj mi kapelusz i laskę. Kręcę głową. Missy wyciąga rękę i zrywa mi z głowy kapelusz.

Odbiera z ręki laskę. Bawi się kapeluszem, muska go i zgina

długimi palcami. Paznokcie ma szkarłatne. Potem przeciąga się i uśmiecha szeroko.

Poezja odeszła z mej duszy. Chłodny lutowy wiatr przeszywa mnie dreszczem.

- Zimno - mówię.

- Nie, jest doskonale. Wspaniale, cudownie, magicznie. To przecież walentynki. Któż mógłby marznąć w walentynki? Jakiż to błogi i bajeczny dzień.

Spuszczam wzrok. Romby znikają z mego stroju, który staje się upiornie biały jak u Pierrota.

- Co mam teraz zrobić?

- Nie wiem - odpowiada Missy. - Zapewne znikniesz. Albo znajdziesz inną rolę... może zakochanego błazna, marzącego pod księżycem. Potrzebna ci tylko Kolombina.

- Ty - mówię. - Ty jesteś moją Kolombiną.

- Już nie. To właśnie cud arlekinady. Nieprawdaż? Zmieniamy swe kostiumy. Zmieniamy nasze role.

Posyła mi szeroki uśmiech. Potem zakłada kapelusz - mój własny kapelusz, kapelusz Arlekina.

- A ty? - pytam.

Wyrzuca laskę w powietrze. Różdżka wiruje jej nad głową wśród roztańczonych wstążek, czerwonych i żółtych, po czym ląduje gładko, niemal bezszelestnie z powrotem w jej dłoni. Missy odpycha się czubkiem laski od chodnika i wstaje jednym płynnym ruchem.

- Mam rzeczy do zrobienia. Bilety do sprawdzenia. Ludzi do wyśnienienia.

Jej niebieski płaszcz, niegdyś należący do matki, nie jest już niebieski, lecz kanarkowożółty, pokryty czerwonymi rombami. A potem pochyla się i całuje mnie, mocno, prosto w usta.

Gdzieś w dali strzelił gaźnik. Odwróciłem się zaskoczony, a kiedy spojrzałem z powrotem, byłem sam na ulicy. Siedziałem tam chwilę, samotnie.

Charlene otworzyła drzwi kawiarni Salt Shaker.

- Hej, Pete. Skończyłeś już?

- Skończyłem?

- Tak. Daj spokój. Harve mówi, że koniec przerwy na papierosa. Zresztą zaraz zamarznie. Wracaj do kuchni.

Spojrzałem na nią. Odrzuciła piękne włosy i przez moment uśmiechała się do mnie. Wstałem z ławki, poprawiłem swój biały strój, strój podkuchennego, i ruszyłem do środka.

Są walentynki, pomyślałem. Powiedz jej, co czujesz. Powiedz, co myślisz.

Nic jednak nie powiedziałem. Nie śmiałem. Wróciłem za nią do środka, ogarnięty milczącą tęsknotą.

W kuchni czekał już na mnie stos brudnych talerzy. Zacząłem zrzucać resztki do kubła z odpadkami dla zwierząt. Na jednym z talerzy, obok czyichś polanych ketchupem nadjedzonych placków, pozostał skrawek ciemnego mięsa. Wydawało się surowe, lecz umoczyłem je w gęstniejącym ketchupie, i kiedy Harve nie patrzył, zebrałem z talerza i pogryzłem. Smakowało metalicznie, lecz i tak je połknąłem. Nie umiem powiedzieć, dlaczego.

Kropła ketchupu ściekła z talerza prosto na mój biały rękaw, tworząc idealny romb.

- Hej, Charlene! - zawołałem przez kuchnię. - Wesołych walentynek!

A potem zacząłem gwizdać.

ZAMKI

Jesteśmy sobie winni opowieści,

Po prostu jako ludzie, nie ojciec i córka. Mówię Ci po raz setny:

Była sobie dziewczynka, zwana Złotowłosą, bo włosy miała długie i złociste. Szła właśnie przez las, gdy ujrzała...

...krowy, mówisz z wielką pewnością, przypominając sobie zbłąkane jałówki, które napotkaliśmy w lesie za domem w zeszłym miesiącu.

No, owszem, może ujrzała krowy, ale ujrzała też dom.

...wielki wysoki dom, wtrącasz.

Nie, mały malowany domek, czyściutki i schludny. Wielki wysoki dom.

Mówisz z przekonaniem typowym dla wszystkich dwulatków. Chciałbym być tak pewny siebie.

Ach. No tak. Wielki wysoki dom. I weszła do środka...

Gdy to mówię, przypominam sobie, że pukle Bohaterki Southeya posrebrzały z wiekiem. Stara kobieta i trzy niedźwiedzie...

Może kiedyś, gdy była dzieckiem, także były złote.

Tymczasem doszliśmy już do owsianki,

Była za...

...gorąca! Była za...

...zimna!

Aż wreszcie, wołamy chórem, była akurat!

Owsianka zostaje zjedzona, dziecięce krzeselko się łamie, Złotowłosa idzie na górę, ogląda łóżka i niezbyt rozsądnie Zasypia.

Wkrótce potem wracają misie.

Wciąż pamiętając Southeya, naśladuję głosy:

Gromki bas Taty Niedźwiedzia zaskakuje Cię, i radujesz się swym strachem.

Kiedy byłem mały i słuchałem tej bajki,

Jeśli w ogóle kimś byłem, to Małym Misiem,

Ze zjedzoną owsianką, połamanym krzeselkiem

I łóżkiem zajęтым przez obcą dziewczynkę.

Chichoczesz, słysząc, jak zawodzę dziecinnym głosem,

Ktoś jadł moją owsiankę, i wyjadł ją...

całą, mówisz. Może to odpowiedź, może amen.

Misie ruszają z wahaniem na górę,

Dom wydaje im się zbezczeszczone. I w końcu pojmują, Do czego służą puklerze zamków, przed czym chronią. Dochodzą do sypialni.

Ktoś śpi w moim łóżeczku.

Tutaj milknę, słysząc w głowie echa starych dowcipów, Nieprzyzwoitych rysunków, wulgarnych nagłówków.

Kiedyś, słysząc te słowa, skrzywisz usta, Utrata zainteresowania, później niewinności. Niewinność, traktowana jak zwyczajny towar.

„Gdybym tylko mógł”, napisał do mnie ojciec, sam potężny jak niedźwiedź, kiedy byłem młodszy, „dałbym Ci w wianie doświadczenie, bez doświadczenia”. A ja z kolei przekazałbym je Tobie,

Lecz sami popełniamy własne błędy. I śpimy

Nierozsądnie.

To nasze prawo.

Powtórzenia odbijają się echem wraz z upływem lat.

Gdy Twoje dzieci dorosną. Kiedy ciemne pukle zaczną powlekać się srebrem,

Gdy staniesz się starą kobietą, samą z trzema misiami, Co wtedy zobaczysz? Jakie historie opowiesz?

I wtedy Złotowłosa wyskoczyła przez okno, i pobiegnęła...

Teraz razem: *prościutko do domu..*

A potem mówisz. *Jeszcze raz. Jeszcze raz. Jeszcze raz.*

Jesteśmy sobie winni opowieści.

Obecnie bliższy mi jest Tato Niedźwiedź.

Przed wyjściem z domu zamykam na klucz drzwi,

A po powrocie sprawdzam każde łóżko i krzeselko. *Jeszcze raz.*

Jeszcze raz. Jeszcze raz.

PROBLEM ZUZANNY

Tej nocy znów ma ten sen.

We śnie stoi wraz z braćmi i siostrą na skraju pola bitwy. Jest lato, a trawa ma ów szczególny jaskrawy odcień zieleni: zdrowej zieleni, jak na boisku do krykieta albo

przyjaznych zboczach South Downs, witających przybyszów z północy. Na trawie leżą trupy. Żaden z nich nie jest ludzki; widzi leżącego obok centaura z poderżniętym gardłem. Końska połowa jest ogniście gniada, ludzka skóra ciemnobrązowa od słońca. Odkrywa, że wpatruje się w końskiego penisa, rozmyślając o zwyczajach godowych centaurów, wyobraża sobie, jak całuje ją owa brodata twarz. Jej spojrzenie wędruje ku ranie na gardle i lepkiej, czerwono czarnej kałuży wokół. Drży.

Nad trupami brzęczą muchy.

Wśród traw kołyszą się polne kwiaty. Rozkwitły wczoraj, po raz pierwszy - od jak dawna? Stu lat? Tysiąca? Stu tysięcy? Nie wie.

Wszędzie tu był śnieg, myśli, wodząc wzrokiem po polu bitwy. Wczoraj wszędzie tu był śnieg, nieustanna zima bez Gwiazdki. Siostra szarpie ją za rękę i wskazuje coś. Stoją na grzbiecie

zielonego wzgórza, pogrążeni w rozmowie. Lew jest złocisty, ręce trzyma splecione za plecami. Czarownica, ubrana na białą, krzyczy coś do niego, a on słucha spokojnie. Dzieci nie rozumieją o czym mówią, nie pojmują jej zimnej złości ani grzmiących odpowiedzi lwa.

Włosy czarownicy są czarne i błyszczące, usta czerwone.

We śnie dostrzega takie rzeczy. Wkrótce zakończą swą rozmowę. Lew i czarownica...

Pani profesor nienawidzi u siebie pewnych rzeczy. Na przykład zapachu. Pachnie jak kiedyś jej babka, jak staruszki, i nie może sobie tego wybaczyć. Toteż tuż po przebudzeniu kąpie się w wodzie z pachnącym płynem, a potem naga, świeżo wytarta, spryskuje się paroma kroplami wody toaletowej Chanel pod pachami i na karku. To, jak sądzi, jej jedyna ekstrawagancja.

Dziś ubiera się w ciemnobrązowy, elegancki kostium. Nazywa go w myślach strojem na spotkania, w odróżnieniu od strojów wykładowych i strojów do łażenia po domu. Teraz, gdy przeszła na emeryturę, coraz częściej wkłada strój do łażenia po domu. Maluje wargi szminką.

Po śniadaniu myje butelkę po mleku i odstawia ją pod tylne drzwi. Odkrywa, że kot sąsiadów zostawił na wycieracze główkę i łapkę myszy. Wygląda to, jakby mysz pływała w kokosowej macie, jakby reszta jej ciała pozostawała pod powierzchnią. Pani profesor zaciska wargi, składa na pół wczorajszy numer „Daily Telegraph” i zgarnia główkę i łapę na gazetę, nie dotykając ich rękami.

Dzisiejszy „Daily Telegraph” czeka na nią w holu wraz z kilkoma listami, które przegląda, nie otwierając kopert, i odkłada na biurko w maleńkim gabinecie. Odkąd przeszła na emeryturę, bywa tam jedynie, gdy coś pisze. Przechodzi do kuchni i siada przy starym dębowym stole. Na szyi, na srebrnym łańcuszku ma okulary do czytania. Wsuwa je na nos i zaczyna od nekrologów.

Nie spodziewa się natknąć na kogokolwiek znajomego, świat jest jednak mały i dostrzega z czymś, co można by nazwać okrutnym rozbawieniem, iż autorzy nekrologów zamieścili zdjęcie Petera Burrella-Gunna z początku lat pięćdziesiątych, zupełnie niepodobnego do człowieka, jakim go zapamiętała z ostatniego spotkania podczas przyjęcia gwiazdkowego „Miesięcznika literackiego”. Wyniszczony artretyzmem, trzęsący się, ze swym

haczykowanym nosem skojarzył się jej wówczas z karykaturą sowy. Na zdjęciu wygląda bardzo pięknie, szlachetnie, z akcentem dzikości.

Kiedyś przez cały wieczór całowała się z nim w altanie: pamięta to bardzo wyraźnie, choć za skarby świata nie potrafi sobie przypomnieć, w czym ogrodzie stała owa altana.

To było w domu wiejskim Charlesa i Nadii Reid, uznaje w końcu. Co oznacza, że zdarzyło się, zanim Nadia uciekła z tamtym szkockim artystą, a Charles zabrał panią profesor ze sobą do Hiszpanii, choć w tamtych czasach z całą pewnością nie była jeszcze profesorem. Działo się to wiele lat przedtem, nim ludzie zaczęli jeździć do Hiszpanii na wakacje. W owych czasach było to miejsce egzotyczne i niebezpieczne. Oświadczył jej się tam, a ona nie wie już nawet, czemu odmówiła i czy w ogóle powiedziała „nie”. Był naprawdę miłym młodym człowiekiem i w ciepłą letnią noc na kocu rozłożonym na hiszpańskiej plaży wziął to, co pozostało jeszcze z jej dziewictwa. Miała dwadzieścia lat i uważała się za taką starą...

Dzwonek przy drzwiach brzęczy. Pani profesor odkłada gazetę, idzie do drzwi frontowych i otwiera.

Jej pierwsza myśl to: dziewczyna wydaje się taka młoda...

Jej pierwsza myśl to: kobieta wydaje się taka stara.

- Profesor Hastings? - pyta. - Jestem Greta Champion. Przygotowuję artykuł o pani. Dla „Kroniki literackiej”.

Stara kobieta przygląda się jej przez moment, delikatna i krucha, po czym się uśmiecha. To przyjazny uśmiech i Greta czuje do niej sympatię.

- Wejdz, moja droga - mówi pani profesor. - Usiądziemy w salonie.

- Mam coś dla pani. Sama je upiekłam. - Greta wyciąga z torby tortownicę, z nadzieją że jej zawartość nie rozsypała się *en route*. - To ciasto czekoladowe. Czytałam w sieci, że je pani lubi.

Stara kobieta kiwa głową, mruga szybko.

- Istotnie - mówi. - Jakież to miłe z twojej strony. Tędy.

Greta idzie za nią do wygodnego pokoju, gdzie pani profesor pokazuje jej fotel i stanowczo każe się z niego nie ruszać. Gospodyni znika, po czym wraca z tacą, na której dźwiga filiżanki i spodeczki, imbryk, talerz herbatników czekoladowych i czekoladowe ciasto Greta.

Herbata paruje już w filiżankach, Greta głośno podziwia broszkę pani profesor, a potem wyciąga notatnik, długopis i egzemplarz ostatniej książki gospodyni, *W poszukiwaniu znaczeń literatury dziecięcej*, pełen sterczących na wszystkie strony zakładek, przylepianych karteczek i skrawków papieru. Rozmawiają o pierwszych rozdziałach, w których autorka stawia hipotezę, że pierwotnie nie istniała odrębna gałąź literatury przeznaczona wyłącznie dla dzieci. Dopiero wiktoriańskie przekonanie o czystości i świętości dzieciństwa wymagało, by literatura dla dzieci stała się...

- ...no cóż, czysta - mówi profesor.

- I uświęcona? - pyta z uśmiechem Greta.

- I świętoszkowata - poprawia stara kobieta. - Trudno dziś bez skrzywienia czytać *Wodne dzieci*.

Potem opowiada o tym, jak ilustratorzy rysowali kiedyś dzieci - jako dorosłych, tyle że mniejszych, nie uwzględniając proporcji dziecięcego ciała - i o tym, jak historie Grimmów wydano dla dorosłych, po czym, gdy Grimmowie zorientowali się, że książka trafiła do pokoi dziecięcych, zostały stosownie ułożone i ocenzurowane. Mówi o *Śpiącej królownie w lesie* Perraulta i jej pierwotnym zakończeniu, w którym matka księcia, olbrzymka-kanibalka próbuje oskarżyć Śpiącą Królową o to, że pożarła swoje dzieci. A Greta tymczasem kiwa głową, notuje i nerwowo próbuje odzywać się dość często, by pani profesor uznała to za rozmowę czy przynajmniej wywiad, nie wykład.

- Jak pani myśli - pyta Greta - skąd wzięło się pani zainteresowanie literaturą dziecięcą? Pani profesor kręci głową.

- Skąd się biorą nasze zainteresowania? Skąd wzięło się twoje zainteresowanie książkami dla dzieci?

- Właśnie te książki od zawsze wydawały mi się najważniejsze. Tylko one naprawdę się liczyły, wtedy gdy byłam mała i później, kiedy dorosłam. Jak *Matylda* Dahla. Czy w pani rodzinie dużo się czytało?

- Niespecjalnie... A zresztą oni wszyscy umarli wiele lat temu. Czy raczej zginęli. Tak to trzeba nazwać.

- Cała pani rodzina zginęła w tym samym czasie? Na wojnie?

- Nie, moja droga, podczas wojny ewakuowaliśmy się z Londynu. To się stało w katastrofie kolejowej kilka lat później. Mnie tam nie było.

- Zupełnie jak w *Narnii* Lewisa - zauważa Greta i natychmiast czuje się jak kretyńka, w dodatku pozbawiona wszelkiej wrażliwości.

- Przepraszam. To okropne z mojej strony, prawda?

- Czyżby, moja droga? Greta czuje, że się rumieni.

- Po prostu tak dobrze pamiętam ten fragment. W *Ostatniej bitwie*. Kiedy dowiadujemy się, że, gdy jechali do szkoły, doszło do katastrofy kolejowej i wszyscy zginęli. Oczywiście oprócz Zuzanny.

- Jeszcze herbaty, moja droga? - pyta pani profesor.

Greta wie, że powinna zmienić temat, ale mimo wszystko mówi:

- Wie pani, kiedyś strasznie mnie to wkurzało.

- Co takiego, moja droga?

- Zuzanna. Wszystkie inne dzieci idą do raju, ale nie ona. Nie jest już przyjaciółką Narnii, bo za bardzo lubi szminki, nylonowe pończochy i zaproszenia na przyjęcia. Kiedy miałam dwanaście lat, rozmawiałam o tym nawet z moją nauczycielką angielskiego. O problemie Zuzanny.

Na tym zamierza skończyć temat i przejść do roli literatury dziecięcej w tworzeniu systemów wartości, które przyjmujemy jako dorośli, lecz pani profesor jej nie pozwala.

- A cóż takiego powiedziała ci nauczycielka, moja droga?

- Wyjaśniła, że choć wtedy Zuzanna odrzuciła raj, póki żyje, wciąż jeszcze ma czas, by się pokajać.

- Pokajać? Za co?

- Chyba za to, że nie wierzyła. I za grzech Ewy.

Pani profesor nakłada sobie kawałek czekoladowego ciasta. Najwyraźniej w jej pamięci odzywają wspomnienia.

- Wątpię, by po śmierci rodziny miała wiele okazji do nakładania nylonowych pończoch i

szminki - mówi. - Ja z pewnością nie miałam. Trochę pieniędzy - mniej niż można by sądzić - odziedziczonych po rodzicach, za które musiała się utrzymać i gdzieś zamieszkać, żadnych luksusów...

- Z Zuzanną musiało być coś jeszcze nie tak - stwierdza młoda dziennikarka. - Coś, o czym nam nie powiedzieli. W przeciwnym razie nie zostałyby tak potępiona, nie odmówiono by jej wstępu do nieba. Wszyscy ludzie, których kiedykolwiek kochała, dostali swoją nagrodę w świecie magii, wodospadów i radości. A ona została.

- Nie wiem, jak to było z dziewczynką z książek - mówi pani profesor. - Lecz pozostanie przy życiu oznaczało także, że musiała zidentyfikować ciała swoich braci i młodszej siostrzyczki. W katastrofie zginęło wielu ludzi. Zabrano mnie do pobliskiej szkoły - to był pierwszy dzień roku szkolnego, a oni przewieźli tam ciała. Mój starszy brat wyglądał zwyczajnie. Jakby spał. Pozostała dwójka nieco gorzej.

- Przypuszczam, że Zuzanna, ujrawszy ciała, pomyślała: są teraz na wakacjach. Najlepszych wakacjach z możliwych. Bawią się na łąkach z gadającymi zwierzętami w świecie bez końca.

- Możliwe. Ja pamiętam tylko, że myślałam, jak bardzo pociąg zderzający się z drugim pociągiem może zmasakrować jadących w nim ludzi. Przypuszczam, moja droga, że nigdy nie musiałaś identyfikować zwłok?

- Nie.

- Ciesz się z tego. Pamiętam, że patrzyłam na nie i myślałam: a co, jeśli się mylę, jeśli to jednak nie on? Mojemu młodszemu bratu obcięto głowę. Bóg, który ukarał mnie za to, że lubiłam pończochy i przyjęcia, każąc mi przejść przez szkolną stołówkę pełną much i zidentyfikować Eda, no cóż... trochę za dobrze się bawił, nie sądzisz? Jak kot zabawiający się myszą, wyciskający z niej ostatnią uncję radości. W dzisiejszych czasach chyba lepiej powiedzieć „ostatni gram radości”. Sama już nie wiem.

Pani profesor milknie.

- Przepraszam cię, moja droga - mówi po dłuższej chwili. - Dziś chyba nie dam już więcej rady. Poproś, by twój wydawca zadzwonił, i może umówimy się na dokończenie naszej rozmowy.

Greta kiwa głową, mówi „oczywiście” i w głębi serca wie z niezwykłą pewnością, że więcej już się nie spotkają.

Tej nocy pani profesor wspina się po schodach, powoli, boleśnie pokonując kolejne piętra. Z bielizniarki wyjmuje pościel i koce, i ściele sobie łóżko w zapasowej sypialni z tyłu domu. W pokoju stoi tylko prosta toaletka z czasów wojny, z lustrem i szufladkami, dębowe łóżko i zakurzona szafa z jabłoniowego drewna, w której wiszą puste wieszaki, a na dolnej półce tkwi zakurzone, tekturowe pudełko.

Stawia na toalecie wazon z fioletowymi kwiatami rododendronu, słodkimi i wulgarnymi. Z pudełka w szafie wyciąga foliową siatkę z czterema starymi albumami. A potem kładzie się w łóżku, które należało do niej w dzieciństwie, i owinięta w kołdrę zaczyna przeglądać zdjęcia, czarno- białe, sepiowe i garstkę zdecydowanie nieprzekonująco kolorowych. Przygląda się swoim braciom, siostrze i rodzicom, i zastanawia się, jak mogli być tacy

młodzi, jak ktokolwiek mógł być taki młody.

Po jakimś czasie dostrzega kilka książek dla dzieci leżących na stoliku przy łóżku i lekko ją to zaskakuje, bo, z tego co wie, nie trzyma w tym pokoju książek ani nie ma żadnego stolika. Na górze stosiku spoczywa stara powieść w miękkiej okładce - co najmniej czterdziestoletnia; widnieje na niej cena w szylingach. Na obrazku widać lwa i dwie dziewczynki wplatające mu w grzywę wianek ze stokrotek.

Wstrząśnięta profesor czuje mrowienie w ustach i dopiero wtedy pojmuje, że śni, bo nie trzyma w domu tych książek. Pod pierwszą leży kolejna w twardej oprawie z obwolutą. To książka, którą w snach zawsze pragnęła przeczytać: *Mary Poppins sprowadza świt*. P.L. Travers nie napisała jej za życia.

Pani profesor bierze książkę, otwiera na chybił trafił i czyta czekającą na nią opowieść:

„W dniu, gdy Mary Poppins ma wychodne, Janeczka i Michaś idą za nią do nieba. Poznają tam młodego Jezusa, który wciąż trochę się jej boi, bo była kiedyś jego nianią, Duchą Świętego, narzekającego, że odkąd Mary Poppins odeszła, nikomu nie udało się porządnie wybielić prześcieradeł, oraz Boga Ojca, który mówi:

- Nie da się jej do niczego zmusić. Nie ją. To Mary Poppins.

- Ale przecież pan jest Bogiem - zaprotestowała Janeczka. - Stworzył pan wszystko i wszystkich, i wszyscy muszą robić to, co pan każe.

- Nie ona. - Bóg Ojciec podrapał się po złocistej brodzie przetykanej siwizną. - Ja jej nie stworzyłem. To Mary Poppins”.

A profesor porusza się we śnie, po czym zaczyna śnić o tym, że czyta własny nekrolog. To było dobre życie, myśli czytając o nim, odkrywając swą historię zapisaną czarno na białym. Wszyscy tu są, nawet ludzie, o których zapomniała.

Greta śpi u boku swego narzeczonego w małym mieszkanku w Camden. Ona także śni.

We śnie lew i czarownica schodzą razem ze wzgórza.

Stoi na polu bitwy, trzymając za rękę siostrę. Spogląda w górę na złocistego lwa, w płonące bursztynowe oczy.

- Nie jest oswojonym lwem, prawda? - szepcze do siostry i obie drżą.

Czarownica patrzy na nich wszystkich, po czym odwraca się do lwa.

- Odpowiadają mi warunki naszego porozumienia – mówi chłodno. - Ty bierzesz dziewczynki, ja zatrzymam chłopców.

Rozumie, co musiało się stać, i zaczyna uciekać, lecz bestia dopada ją po zaledwie kilku krokach.

We śnie lew pożera ją całą oprócz głowy. Głowę i jedną z rąk zostawia, niczym domowy kot pozostawiający części myszy, na które nie ma ochoty, na później albo komuś w darze.

Wolałaby, żeby pożarł jej głowę, bo wtedy nie musiałaby patrzeć. Martwych powiek nie da się opuścić, toteż patrzy niewzruszenie na potworną istotę, którą stali się jej bracia. Wielki lew zjada jej siostrę nieco wolniej i, jak się zdaje, z większym zapalem i smakiem, niż ją wcześniej. Ale też młodsza siostra zawsze była jego ulubienicą.

Czarownica zrzuca białe szaty, odsłaniając równie białe ciało o drobnych sterczących piersiach i sutkach tak ciemnych, że wydają się niemal czarne. Kładzie się na trawie,

szeroko rozkłada nogi. Pod jej ciałem na trawie osiada szron.

- Teraz - mówi.

Lew liże jej białą szparę różowym językiem, aż w końcu czarownica nie może już dłużej wytrzymać. Przyciąga do swej twarzy jego potężny pysk i oplata złociste boki lodowatymi nogami...

Ponieważ są martwe, oczy w głowie na trawie nie mogą odwrócić wzroku. Ponieważ są martwe, widzą wszystko.

Dopiero gdy oboje kończą spoceni, lepcy i zaspokojeni, lew podchodzi leniwie do głowy w trawie i chwytą ją, miażdżąc czaszkę potężnymi zębami. I w tym momencie ona się budzi.

Serce tłucze jej się w piersi. Próbuje obudzić narzeczonego, on jednak chrapie, mruczy coś pod nosem i śpi dalej.

To prawda, myśli irracjonalnie Greta w ciemności, ona dorosła. Żyła dalej. Nie umarła.

Wyobraża sobie panią profesor budzącą się w nocy i nasłuchującą odgłosów dobiegających ze starej szafy z jabłoniowego drewna: szelestów płochliwych duchów, które można wziąć za tupot myszy bądź szczurów, stąpania olbrzymich, aksamitnych łap i odległej niebezpiecznej muzyki myśliwskiego rogu.

Wie, że to śmieszne, lecz nie zdziwi się, czytając o zgonie pani profesor. Śmierć przychodzi nocą, myśli tuż przed zaśnięciem. Jak lew.

Biała czarownica dosiada naga złocistego grzbietu lwa. Pysk bestii pokrywają plamy świeżej, szkarłatnej krwi. A potem widać błysk olbrzymiego różowego języka i pysk znów jest nieskazitelnie czysty.

INSTRUKCJA

*Dotknij drewnianej furtki w nigdy wcześniej niewidzianym murze, Nim odsuniesz zasuwkę, powiedz „Proszę”, Wejdziesz,
I idź ścieżką.*

Czerwony metalowy chochlik wisi na zielonych drzwiach, Służąc za kołatkę;

Nie dotykaj go, ugryzie cię w palce.

Przejdź przez dom. Niczego nie bierz. Niczego nie jedz. Ale,

Jeśli jakaś istota powie ci, że jest głodna, Nakarm ją.

Jeśli powie ci, że jest brudna, Umyj ją.

Jeśli zapłacze, że coś ją boli, O ile zdołasz,

Ukój jej ból.

Z ogrodu na tyłach ujrzysz dziki las.

Studnia przy ścieżce zawiedzie cię do królestwa Zimy; Na jej dnie rozciąga się inny kraj.

Jeżeli tu zawrócisz,

Możesz wrócić bezpiecznie;

Nie stracisz twarzy, wcale nie uznam cię za tchórza.

Gdy wyjdiesz z ogrodu, znajdziesz się w lesie. Drzewa tu są stare. Z poszycia zerkają oczy.

Pod poskręcanym dębem siedzi staruszka. Może cię o coś poprosi; Daj jej to. A ona wskaże ci drogę do zamku. Wewnątrz Zastaniesz trzy księżniczki.

Nie ufaj najmłodszej. Idź dalej.

Na polanie za zamkiem dwanaście miesięcy zasiada wokół ogniska, Grzeją stopy i snują opowieści.

Jeśli zachowasz się grzecznie, możesz dostać dary, Nazbierać słodkich truskawek na grudniowym mrozie.

Możesz zaufać wilkom, lecz nie mów im, dokąd zmierzasz. Przez rzekę przeprawisz się promem. Zabierze cię przewoźnik. (Odpowiedź na jego pytanie brzmi:

„Jeżeli odda wiosło pasażerowi, będzie mógł zejść z łodzi”. Podaj ją mu z bezpiecznej odległości).

Jeśli orzeł da ci w darze pióro, ukryj je bezpiecznie. Pamiętaj, że olbrzymi śpią aż nazbyt mocno; że Czarownice często zdradza ich apetyt;

Smoki mają gdzieś zawsze jeden słaby punkt; Serca bywają dobrze ukryte,

A ty zdradzasz je słowem.

Nie zazdrość swojej siostrze: Wiesz, że diamenty i róże,

Sypiące się z ust, są równie nieprzyjemne, jak żaby i ropuchy: A także zimniejsze, ostrzejsze, i kaleczą.

Zapamiętaj swe imię.

Nie trać nadziei - znajdziesz to, czego szukasz.

Ufaj duchom. Ufaj tym, którym pomogłeś, bo oni też ci pomogą. Ufaj snom.

Ufaj swemu sercu i swojej historii.

Gdy zechcesz wrócić, idź tą samą drogą. Przysługa za przysługę, długi zostaną spłacone.

Nie zapominaj o dobrym wychowaniu.

Nie oglądaj się za siebie.

Dosiądź mądrego orła (nie spadniesz), Dosiądź srebrzystej ryby (nie utoniesz),

Dosiądź szarego wilka (mocno chwyć się futra).

W sercu wieży kryje się robak; to dlatego nie będzie stać wiecznie.

Kiedy dotrzesz do domku, od którego zaczęła się twoja podróż, Poznasz go, choć wyda ci się mniejszy, niż sądziłeś.

Idź ścieżką przez furtkę, którą widziałeś wcześniej tylko raz, I wracaj do domu. Albo stwórz sobie nowy dom.

Albo odpocznij.

JAK MYŚLISZ, JAKIE TO UCZUCIE?

Leżę teraz w łóżku. Czuję pod sobą lniane prześcieradła, ogrzane do temperatury ciała i lekko wymięte. Oprócz mnie w łóżku nie ma nikogo.

Pierś już mnie nie boli, niczego nie czuję. Czuję się świetnie. Budzę się i sny znikają, przeświecone blaskiem porannego słońca, wpadającym przez okno sypialni. Powoli zastępują je wspomnienia. Teraz zaś, gdy tak leżę, a obok mnie fioletowy kwiat i jej zapach wciąż wyczuwalny na poduszce, wszystkie wspomnienia skupiają się wokół Becky. Piętnaście lat przepływa mi przez palce niczym konfetti bądź opadające kwiatowe płatki.

Miała zaledwie dwadzieścia lat. Ja byłem znacznie starszy, niemal skończyłem dwadzieścia siedem. Miałem też żonę, zawód i dwie bliźniacze córeczki. I byłem gotów porzucić to wszystko – dla niej.

Spotkaliśmy się na konferencji w Hamburgu. Widziałem jej występ podczas prezentacji „Przyszłość rozrywki interaktywnej”. Spodobała mi się. Uznałem, że jest bardzo zabawna. Włosy miała długie i ciemne, oczy błękitnozielone. Z początku byłem pewien, że przypomina mi kogoś znajomego, potem jednak uświadomiłem sobie, że tak naprawdę nigdy nie spotkałem osoby, z którą mi się skojarzyła: chodziło o Emmę Peel, postać z serialu *Rewolwer i melonik*, graną przez Dianę Rigg - Kochałem się w niej i tęskniłem za nią w czerni i bieli, nim jeszcze skończyłem dziesięć lat.

Tego wieczoru, mijając ją w korytarzu w drodze na przyjęcie u producenta oprogramowania, pogratulowałem jej świetnego występu. Odparła, że jest zawodową aktorką, zatrudnioną specjalnie na prezentację („ostatecznie nie wszyscy możemy pracować na West Endzie, prawda?”) i nazywa się Rebecca.. Później pocałowałem ją w drzwiach, a ona westchnęła, przywierając do mnie.

Do końca konferencji Becky sypiała w moim pokoju. Wpadłem po uszy, zakochałem się jak dzieciak. Lubię myśleć, że ona podobnie. Po powrocie do Anglii nasz romans trwał nadal: lekki, zabawny, cudownie odurzający i nieco niebezpieczny. Wiedziałem, że to miłość; w mym umyśle smakowała niczym szampan.

Spędzałem z nią każdą wolną chwilę. Mówiłem Caroline, mojej żonie, że pracuję do późna, jestem zajęty, muszę zostać w Londynie. W istocie jednak zostawałem w mieszkaniu Becky w Battersea. Z Becky.

Napawałem się jej ciałem, złocistą gładką skórą, błękitnozielonymi oczami. Nie umiała odprężyć się podczas seksu - sama idea stosunku bardzo jej się podobała, natomiast strona praktyczna, fizyczna, już nie do końca. Seks oralny, zarówno aktywny, jak i pasywny, budził w niej lekki niesmak. Najbardziej odpowiadało jej, gdy stosunek kończył się jak najszybciej. Nie przeszkadzało mi to. Wystarczyło, że mogę cieszyć się jej urodą i błyskotliwym dowcipem. Lubiłem patrzeć, jak lepi z plasteliny

malutkie główki lalek i jak plastelina wciska jej się pod paznokcie, tworząc ciemne półksiężyce. Becky miała piękny głos. Czasami, ot tak, niespodziewanie zaczynała śpiewać - popularne przeboje, piosenki ludowe, kawałki arii operowych, telewizyjne dżingle - cokolwiek przyszło jej do głowy. Caroline nigdy nie śpiewała, nawet kołysanek.

Becky sprawiała, że kolory stawały się jaśniejsze. Zaczynałem dostrzegać aspekty życia, na które wcześniej nigdy nie zwracałem uwagi: widziałem misterną elegancję kwiatów, bo Becky kochała kwiaty i znała wszystkie ich nazwy. Stałem się miłośnikiem niemych filmów, bo Becky kochała nieme filmy, i w kółko oglądałem na wideo *Złodzieja z Bagdadu* i *Sherlocka juniora*. Zacząłem gromadzić płyty i kasety, bo Becky kochała muzykę, a ja kochałem ją i wszystko to, co darzyła uczuciem. Nigdy wcześniej tak naprawdę nie słuchałem muzyki, nie dostrzegałem czarno-białego wdzięku milczących kłownów, nie dotykałem, nie wahałem, nie oglądałem kwiatów - dopóki jej nie spotkałem.

Powiedziała, że musi przestać grać i zająć się czymś, co pozwoli jej zarabiać więcej i bardziej regularnie. Poznałem ją więc z przyjacielem pracującym w branży muzycznej. Wkrótce została jego osobistą asystentką. Czasami zastanawiałem się, czy ze sobą sypiają. Nie wspominałem o tym jednak ani słowem; nie odważyłem się, choć często

nękały mnie te myśli. Nie chciałem narażać tego, co nas łączyło, i wiedziałem, że nie mam podstaw do jakichkolwiek pretensji.

- Jak myślisz, jak się czuję? - spytała. Wracaliśmy do jej mieszkania z tajskiej restauracji za rogiem. Zwykle tam właśnie jadaliliśmy kolacje. - Wiedząc, że co noc wracasz do swej żony. Jak myślisz, jakie to uczucie?

Wiedziałem, że ma rację. Nie chciałem nikogo zranić, czułem się jednak coraz bardziej rozdarty. Cierpiała na tym moja praca, należąca do mnie niewielka firma informatyczna. Powoli zacząłem zbierać się na odwagę. Zamierzałem powiedzieć Caroline, że od niej odchodzę. Wyobraziłem sobie radość Becky na wieść, że odtąd będę należał tylko do niej. Owszem, Caroline przyjmie to ciężko, bliźniaczki jeszcze gorzej, ale musiałem to zrobić.

Za każdym razem, gdy bawiłem się z bliźniaczkami, moimi niemal identycznymi córeczkami (wskazówka: Amanda ma nad górną wargą niewielki pieprzyk, Jessica nieco bardziej zaokrągloną szczękę) o włosach o ton jaśniejszych od ciemnozłoty włosów matki, za każdym razem gdy zabierałem je do parku, kąpałem albo kładłem do łóżek, czułem w sercu ból. Wiedziałem jednak, co muszę zrobić. Wkrótce ból zniknie, zastąpiony idealną radością, którą przyniesie mi życie z Becky, kochanie Becky, spędzanie każdej chwili z Becky.

Od świąt Bożego Narodzenia dzielił nas niecały tydzień. Dni były tak krótkie, że krótsze już być nie mogły. Zabrałem Becky na kolację do rajskiej restauracji i gdy oblizywała orzeszkowy sos z kawałka kurczaka, poinformowałem, że tuż po świątach zostawię dla niej żonę i dzieci. Spodziewałem się, że jej twarz rozjaśni uśmiech, ona jednak nie powiedziała nic, w ogóle nie zareagowała. Tego wieczoru, gdy wróciliśmy do niej, odmówiła mi seksu. Zamiast tego oznajmiła, że z nami koniec. Wypiłem stanowczo za dużo. Rozplakałem się po raz ostatni w mym dorosłym życiu i zacząłem błagać, by zmieniła zdanie.

- Przestałeś być zabawny - oświadczyła z prostotą. Siedziałem pogrążony w smutku na podłodze jej salonu, oparty plecami o sfatygowaną kanapę. - Kiedyś byłeś naprawdę zabawnym kompanem, teraz cały czas się snujesz i marudzisz.

- Przepraszam - mruknąłem żałośnie. - Naprawdę przepraszam. Mogę się zmienić.

- Widzisz? - rzekła. - Nie mam z tobą żadnej zabawy.

A potem otworzyła drzwi sypialni i weszła do środka, zamykając je za sobą na klucz, ja zaś zostałem na podłodze. Opróżniłem do końca butelkę whisky, po czym pijany w sztok zacząłem krążyć po mieszkaniu, dotykając jej rzeczy i bełkocząc żałośnie. Przeczytałem jej pamiętnik. Poszedłem do łazienki, z kosza z praniem wyciągnąłem brudne majtki i wtuliłem w nie twarz, wciągając w nozdrza zapach Becky. W którymś momencie zacząłem walić w drzwi sypialni, wykrzykując jej imię. Nie odpowiedziała jednak i nie otworzyła.

Nad ranem zrobiłem sobie gargulca. Ulepiłem go z szarej plasteliny.

Pamiętam to dokładnie. Byłem nagi. Na kominku znalazłem dużą bryłę plasteliny. Zacząłem ją ugniatać, aż stała się miękka. A potem, zagubiony w krainie pijackiego, wściekłego, sfrustrowanego oblędu masturbowałem się w nią i wgniotłem w bezkształtną szarą masę me własne mlecznobiałe nasienie.

Nigdy nie byłem rzeźbiarzem, lecz tej nocy coś nabrało kształtu pod moimi palcami: kanciaste dłonie i szyderczo uśmiechnięta głowa, karłowate skrzydła i powykęcane nogi. Stworzyłem go z mej żądzy, żalu nad samym sobą i nienawiści, a potem ochrzciłem

ostatnimi kroplami Johnny'ego Walkera Black Label i umieściłem na sercu - mego własnego gargulca, aby strzegł mnie przed pięknymi kobietami o błękitnozielonych oczach i przed tym, bym jeszcze kiedykolwiek coś poczuł.

Leżałem na podłodze z gargulcem na piersi. Po kilku chwilach zasnąłem.

Gdy ocknąłem się kilka godzin później, drzwi sypialni wciąż były zamknięte. W mieszkaniu nadal panował mrok. Poczłogałem się do łazienki i zwymiotowałem na podłogę, miskę klozetową i rozrzuconą wokół bieliznę. A potem ubrałem się i wróciłem do domu.

Nie pamiętam, co powiedziałem żonie. Być może pewnych rzeczy wolą nie wiedzieć. Lepiej nie pytać i tak dalej. Może Caroline żartowała potem z mego świątecznego pijaństwa. Nie pamiętam.

Nigdy już nie wróciłem do mieszkania w Battersea.

Co parę lat widywałem w przelocie Becky, w metrze albo w City. Nigdy nie czułem się swobodnie. Sprawiała wrażenie kruchej i zakłopotanej. Mówiliśmy sobie „cześć”, gratulowała mi najnowszych osiągnięć, bo całą swą energię przelałem w pracę, tworząc coś, co jeśli nawet nie zasłużyło na (często mu nadawaną) nazwę imperium rozrywkowego, to z całą pewnością było przynajmniej niewielką prowincją świata muzyki, sztuki i interaktywnych przygód.

Czasami spotykałem dziewczęta: mądre, piękne, cudowne dziewczęta, a potem, w miarę upływu czasu, również kobiety, w których mógłbym się zakochać, które mogłyby mnie pociągać. Nie kochałem ich jednak. Nikogo nie kochałem.

Serca i głowy: przeganiałem z mojej głowy myśli o Becky. Upewniałem się, że jej nie kocham, nie potrzebuję, w ogóle o niej nie pamiętam. Kiedy jednak myślałem o Becky, gdy powracały do mnie nieproszone wspomnienia jej uśmiechu bądź oczu, wówczas czułem ból - ostre ukłucie w klatce piersiowej, namacalny, rzeczywisty ból wewnątrz. Jakby coś wbijało ostre szpony wprost w moje serce.

I w takich chwilach wyobrażałem sobie, że czuję ukrytego w piersi małego, szarego gargulca, który układa się zimny jak kamień wokół mego serca, chroniąc mnie, aż znów przestanę cokolwiek czuć i będę mógł wrócić do pracy.

Mijały lata: bliźniaczki wyrosły i odeszły z domu do college'u. Ja także oszedłem. Zostawiłem Caroline dom i wprowadziłem się do dużego mieszkania w Chelsea. Mieszkałem sam. Jeśli nawet nie byłem szczęśliwy, to z całą pewnością zadowolony z życia.

A potem nadeszło wczorajsze popołudnie. Becky zauważyła mnie pierwsza. Siedziałem na ławce w Hyde Parku, w wiosennym słońcu, czytając raport firmowy. Podbiegła do mnie i dotknęła mojej dłoni.

- Nie pamiętasz starych przyjaciół? - spytała. Uniosłem wzrok.

- Cześć, Becky.

- Wcale się nie zmieniłeś.

- Ty także - odparłem.

W mojej gęstej brodzie pojawiły się niteczki siwizny, straciłem większość włosów na głowie, ona zaś była szczupłą kobietą po trzydziestce. Nie kłamałem jednak. Ona także.

- Świetnie sobie radzisz - zauważyła. - Wciąż widzę twoje nazwisko w gazetach.

- To znaczy, że mój dział PR robi to, co do niego należy. Czym się teraz zajmujesz?

Kierowała biurem prasowym niezależnej sieci telewizyjnej. Powiedziała, że żałuje, że nie wytrwała przy aktorstwie. Była pewna, że do tej pory znalazłaby się już na scenie West Endu. Odgarnęła dłonią długie ciemne włosy i uśmiechnęła się jak Emma Peel, a ja poszedłbym za nią wszędzie. Zamknąłem raport i wsunąłem go do kieszeni marynarki.

Trzymając się za ręce, przeszliśmy przez park. Wiosenne kwiaty skłaniały ku nam głowy, żółte, pomarańczowe i białe.

- Czuję się jak Wordsworth - powiedziałem. - Wszystkie te żonkile.

- To narcyzy - poprawiła. - Żonkile to odmiana narcyzów.

Była wiosna w Hyde Parku i niemal zapomnieliśmy o otaczającym nas mieście. Przystanęliśmy przy budce z lodami i kupiliśmy dwa jaskrawokolorowe zamrożone rożki.

- Czy był ktoś inny? - spytałem w końcu, pozornie od niechcienia, liżąc loda. - Wtedy, gdy mnie zostawiłaś?

Pokręciła głową.

- Robiłeś się zbyt poważny - odparła. - To wszystko. A ja nie chciałam rozbijać twojej rodziny.

Później tego wieczoru, znacznie później, powtórzyła:

- Nie chciałam rozbijać twojej rodziny. - Po czym przeciągnęła się zmysłowo i dodała: - Wtedy. Teraz mnie to nie obchodzi.

Nie powiedziałem jej, że jestem rozwiedziony. Zjedliśmy sushi i sashimi w restauracji na Greek Street, wypiliśmy dość sake, by się rozgrzać i rozjaśnić ten wieczór blaskiem ryżowego wina. Potem złapaliśmy złotą taksówkę i pojechaliśmy do mego mieszkania w Chelsea.

Sake rozgrzewała moje wnętrze. W sypialni zaczęliśmy się całować, ścisnąć i śmiać. Becky starannie przejrzała mój zbiór płyt, a potem włożyła do wieży *The Trinity Session* The Cowboy Junkies, podśpiewując cicho do wtóru. Działo się to zaledwie kilka godzin temu, ale nie pamiętam, w którym momencie zdjęła ubranie. Pamiętam natomiast jej piersi, wciąż piękne, choć nie tak jędrne i kształtne jak wówczas, gdy była młodą dziewczyną. Sutki miała ciemnoczerwone i bardzo wyraźne.

Ja sam trochę przytyłem, ona nie.

- Zrobisz mi to ustami? - szepnęła, gdy padliśmy na łóżko. I zrobiłem.

Wargi miała nabrzmiałe, różowofioletowe, pełne i długie. Gdy zacząłem ją lizać, otwarły się przede mną niczym kwiat. Jej łechtaczka stwardniała pod moim językiem, a słony smak wypełnił świat. Lizalem tak, drażniłem, ssalem i przygryzałem bez końca. Miałem wrażenie, że trwa to godzinami.

W końcu doszła pod moim językiem, a potem pociągnęła mnie w górę, znów zaczęliśmy się całować i wreszcie poprowadziła mnie w głąb siebie.

- Czy twój kutas był równie wielki piętnaście lat temu? - spytała.

- Chyba tak - odparłem.

- Mmm.

Po dłuższym czasie odezwała się ponownie:

- Chcę, żebyś skończył mi w ustach.

I niedługo potem skończyłem. Leżeliśmy w milczeniu obok siebie.

- Czy ty mnie nienawidzisz? - spytała.

- Nie - odparłem sennie. - Kiedyś owszem. Nienawidziłem cię całe lata, a jednocześnie cię kochałem.

- A teraz?

- Nie, już cię nie nienawidzę. To odeszło. Odpłynęło w noc, niczym balon.

Gdy wypowiedziałem te słowa, uświadomiłem sobie, że są prawdziwe.

Przysunęła się bliżej; czułem na skórze jej ciepło.

- Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłam ci odejść. Drugi raz nie popełnię tego błędu. Kocham cię.

- Dziękuję.

- Nie „dziękuję”, idioto. Spróbuj „ja też cię kocham”.

- Ja też cię kocham - powtórzyłem i sennie ucałowałem jej wciąż lepkie usta. A potem zasnąłem.

W moim śnie poczułem, jak coś rozwija się wewnątrz mnie. Coś zmiennego i ruchomego. Chłód kamienia, lata ciemności. Żal i rozdzierające cierpienie, jakby pękało mi serce. Chwila wszechogarniającego bólu. Czerni, obcość i krew.

Szary świt także musiał mi się przyśnić. Otworzyłem oczy, opuszczając jeden sen, lecz nie powracając na jawę. Moja pierś była otwarta, dosłownie - ciemne pęknięcie sięgało od pępka aż do nasady szyi. Znikała w nim właśnie wielka, bezkształtna dłoń, szara niczym plastelina. Pomiędzy kamiennymi palcami snuły się pasma długich, ciemnych włosów. Ręka na moich oczach cofnęła się w głąb piersi, niczym owad umykający w szczelinę, gdy zapalimy światło. I gdy tak patrzyłem, zaspany - i tylko fakt, iż bez cienia wątpliwości przyjąłem wszystkie te osobliwe wydarzenia wskazywał, że wciąż śnię - pęknięcie w mej piersi zaczęło się goić, zarastać, niknąć. Zimna ręka zniknęła na dobre. Poczulem, że opadają mi powieki. Byłem zmęczony i znów odpłynąłem w gościnną, smakującą sake ciemność.

Zasnąłem, lecz tych snów nie pamiętam.

Obudziłem się wreszcie kilka chwil temu. Na twarz padały mi promienie porannego słońca. Oprócz mnie w łóżku pozostał jedynie fioletowy kwiat na poduszce. Trzymam go teraz w dłoni. Przypomina mi orchideę, choć nie znam się zbytnio na kwiatach. Zapach ma dziwny, słony i kobiecy.

Becky musiała zostawić go tutaj, nim odeszła, gdy spałem. Niedługo będę musiał wstać. Wstanę z łóżka i powrócę do mego życia.

Zastanawiam się, czy jeszcze kiedyś ją zobaczę, i uświadomiam sobie, że nic mnie to nie obchodzi. Czuję pod sobą pościel i zimne powietrze na piersi. Czuję się świetnie, naprawdę doskonale.

Niczego nie czuję.

MOJE ŻYCIE

„Moje życie? Do diaska, nie chcesz słuchać o moim życiu. Jezu, zaschło mi w gardle...

Coś do picia? Skoro stawiasz, a dzień mamy gorący, jasne, czemu nie. Odrobinę.

Może piwo. I szklaneczkę whisky. Dobrze jest się napić w upalny dzień. Problem

W tym, że picie przywołuje wspomnienia. A czasem nie chcę Pamiętać. Choćby moja mama: kiedyś była kobietą. Nigdy nie znałem jej jako

Kobiety, ale widziałem zdjęcia sprzed operacji. Stwierdziła, że potrzebuję ojca,

A ponieważ mój własny ojciec rzucił ją po tym, jak odzyskał wzrok (po Uderzeniu w głowę przez birmańskiego kota, który wyskoczył z okna apartamentu i spadł z

trzydziestego piętra, przypadkiem trafiając ojca dokładnie w miejsce, które przywróciło wzrok, A potem wylądował cały i zdrowy na chodniku, dowodząc, że to prawda:

Koty zawsze spadają na cztery łapy), twierdząc, iż myślał, że żeni się z jej bliźniaczką, która wyglądała zupełnie inaczej, ale jakiś cud biologii sprawił, że miała identyczny głos, I dlatego sędzia udzielił rozwodu, bo zamknął oczy i nawet on nie potrafił ich odróżnić.

I tak ojciec wyszedł z sądu jako człowiek wolny i w drodze do domu trafiła go w głowę bryła odpadów organicznych spadająca z nieba; mówiono, że to odchody z toalety samolotu, choć badania chemiczne wykryły ślady pierwiastków nieznanymi nauce i w gazetach

Napisali, że fekalia zawierały obce białka, lecz potem to wyciszono. Zabrali ciało mojego ojca na przechowanie. Rząd dał nam kwitek, który po tygodniu zrobił się nieczytelny. Pewnie to coś w tuszu, ale to inna historia.

To wtedy mama oznajmiła, że potrzebuje w domu mężczyzny i że sama zamierza nim zostać, i zawarła układ z lekarzem. Kiedy więc wygrali wspólnie konkurs podwodnego tanga,

Zgodził się zmienić jej płć. Dorastając, nazywałem ją tatą i o niczym nie wiedziałem.

Poza tym nie spotkało mnie nic ciekawego. Jeszcze drinka? No, może dla towarzystwa, jedno piwko. I pamiętaj o whisky.

Nie, lepiej podwójną. Nie dlatego, że lubię wypić, ale dziś tak gorąco i nawet kiedy człowiek mało pije... wiesz, właśnie w taki dzień moja żona się rozpuściła. Czytałem o ludziach Którzy wybuchali, nazywali to samozapłonem. Ale Mary-Lou, bo tak się nazywała;

Poznałem ją, gdy zbudziła się ze śpiączki, siedemdziesiąt lat i w ogóle się nie postarzała, Straszne, co może zrobić piorun kulisty - wszyscy ludzie z okrętu podwodnego,

Jak Mary-Lou, zastygli w czasie. Po ślubie odwiedzała ich często, Siadała przy łózkach i patrzyła jak śpią. W tamtych czasach Jeździłem ciężarówką. Życie było piękne.

Dobrze sobie radziła z faktem, że straciła siedemdziesiąt lat, a ja chciałbym myśleć, że gdyby zmywarka nie była nawiedzona - czy, ściślej, chyba opętana Mary-Lou wciąż byłaby tutaj. Wnikała w jej myśli, a jedyny dostępny egzorcysta okazał się karłem z Utrechtu i w ogóle nie był księdzem, miał tylko świecę, dzwonek i książkę. I tak się złożyło, że w dniu, gdy moja żona

Opętana przez zmywarkę rozplynęła się - roztopiła w naszym łóżku - ktoś ukradł mi ciężarówkę. Wtedy właśnie wyjechałem ze Stanów, by podróżować po świecie, i od tej pory moje życie było nudne jak flaki. Oprócz... lecz nie, mam pustkę w głowie.

Upał pochłania moje wspomnienia. Jeszcze drinka? Jasne...”.

PIĘTNAŚCIE MALOWANYCH KART Z WAMPIRZEGO TAROTA

o. Głupiec

- Czego chcesz?

Młody mężczyzna od miesiąca co noc przychodził na cmentarz. Patrzył, jak księżyc powleka zimnym blaskiem chłodny granit, jasny marmur i stare omszałe kamienie i posągi. Wzdrygał się, dostrzegając nagły ruch wśród cieni czy słysząc hukanie sowy. Obserwował zakochane pary, pijaków i nastolatków wędrujących nerwowo na skrót:

wszystkich ludzi, którzy nocą przechodzili przez cmentarz.

Sypiał za dnia; nikogo to nie obchodziło. Czuwał samotnie w nocnym mroku i drżał z zimna. I wtedy pojął, że stoi na skraju przepaści.

Głos dobiegał z nocy, z zewsząd dookoła niego. Słyszał go w głowie i poza nią.

- Czego chcesz? - powtórzył głos.

Młody mężczyzna zastanawiał się, czy wystarczy mu odwagi, by odwrócić głowę i spojrzeć, i pojął, że nie.

- I co? Przychodzisz tu co noc, w miejsce gdzie żywi nie są mile widziani. Obserwuję cię czasem. Czemu?

- Chciałem cię poznać - odparł, nie odwracając głowy. - Chcę żyć wiecznie. - Jego głos załamał się nagle.

Teraz przekroczył krawędź przepaści, nie mógł się już cofnąć. W wyobraźni czuł ukłucie ostrych jak igły zębów na swej szyi. Bolesny wstęp do życia wiecznego.

I wtedy usłyszał dźwięk, niski i smutny, niczym szum podziemnej rzeki. Dopiero po kilku długich sekundach młody mężczyzna zrozumiał, że to śmiech.

- To nie jest życie - odparł głos.

Więcej się nie odezwał. Po jakimś czasie młody mężczyzna pojął, że prócz niego na cmentarzu nie ma już nikogo.

1. Mag

Kiedyś spytano lokaja St Germaina, czy jego pan ma naprawdę tysiąc lat, jak ponoć twierdził.

- Skąd mam wiedzieć? - odparł. - Pracuję dla niego zaledwie od trzystu.

2. Kapłanka

Skórę miała bladą, oczy ciemne, włosy ufarbowane na kolor kruczej czerni. Wystąpiła w talk-show, twierdząc, że jest królową wampirów. Pokazała do kamery swe stworzone przez dentystów kły. Sprowadziła też dawnych kochanków, którzy z mniejszym czy większym zakłopotaniem przyznawali, że raniła ich do krwi i ją piła.

- Ale widać cię w lustrze? - spytała prowadząca. Była najbogatszą kobietą w Ameryce; swój majątek zdobyła, sprowadzając przed kamery dziwaków, ludzi cierpiących i zagubionych, i demonstrując ich ból całemu światu.

Widownia wybuchnęła śmiechem.

- Tak - odparła z lekką urazą kobieta. - Wbrew temu, co sądzą ludzie, wampiry widać w lustrach i kamerach telewizyjnych.

- Przynajmniej tu masz rację, złotko - powiedziała gospodyni talk-show, wcześniej jednak zakryła dłonią mikrofon i słowa te nigdy nie zostały wyemitowane.

5. Papież

- Oto ciało moje - rzekł dwa tysiące lat temu. - Oto krew moja. Była to jedyna religia zapewniająca swym wyznawcom dokładnie to, co przyrzekała: życie wieczne.

Wciąż żyją wśród nas tacy, którzy go pamiętają. Niektórzy twierdzą, że był Mesjaszem, inni, że tylko człowiekiem obdarzonym niezwykłymi mocami. Nie w tym jednak rzecz. Prawda kryje się gdzie indziej. Czymkolwiek był, odmienił świat.

6. Kochankowie

Po śmierci zaczęła nawiedzać go nocą. Z każdym dniem stawał się coraz bledszy, pod oczami występowały mu ciemne kręgi. Z początku sądzono, że ją oplakuje. Potem pewnej nocy zniknął.

Trudno im było dostać zgodę na ekshumację zwłok. W końcu jednak ją zdobyli. Wyciągnęli z grobu trumnę i zdjęli śruby, a potem wydobyli ze skrzyni to, co znaleźli. Na dnie trumny zebrało się sześć cali wody; rdza nadała jej barwę głębokiej, lekko pomarańczowej czerwieni. W trumnie leżały dwa ciała - oczywiście jej, i jego. On rozłożył się szybciej niż ona. Później ktoś zastanawiał się głośno, jakim cudem oboje zmieścili się w jednej ciasnej trumnie. Zwłaszcza biorąc pod uwagę ich stan, dodał. Na pierwszy rzut oka dostrzegli, że była w zaawansowanej ciąży.

Wywołało to pewne zamieszanie, bo gdy ją grzebano, nikt tego nie zauważył.

Jeszcze później wykopali ją po raz ostatni, na prośbę władz kościelnych, do których dotarły pogłoski o tym, co znaleziono w grobie. Brzuch miała płaski. Miejscowy lekarz wyjaśnił, że ową ciążę spowodowały gazy, które rozdęły brzuch. Mieszczanie przytakiwali z poważnymi minami, zupełnie jakby mu wierzyli.

7. Rydwan

Było to wspaniałe osiągnięcie inżynierii genetycznej: stworzyli rasę ludzi, która mogła wędrować wśród gwiazd. Ludzie ci musieli żyć niezwykle długo, bo odległości międzygwiazdne są ogromne. Z powodu ograniczeń miejsca ich zapasy prowiantu musiały być skromne; musieli przeżyć, żywiąc się tym, co znajdują na miejscu, i skolonizować odkryte światy ludźmi sobie podobnymi.

Ojczysta planeta życzyła kolonistom powodzenia i wyprawiła ich w drogę. Wcześniej jednak, na wszelki wypadek, dla bezpieczeństwa usunięto wszelkie informacje o jej położeniu ze wszystkich komputerów statku.

10. Koło Fortuny

- Co pan zrobił z panią doktor? - spytała i roześmiała się. - Zdawało mi się, że przyszła dziesięć minut temu.

- Przepraszam - odparłem - byłem głodny. Oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

- Pójdę jej poszukać - rzekła.

Siedziałem w gabinecie, dłubiąc w zębach. Po dłuższej chwili asystentka wróciła.

- Przykro mi - powiedziała. - Pani doktor musiała chyba wyjść. Mogę pana umówić na przyszły tydzień?

Pokręciłem głową.

- Zadzwoń - oznajmiłem i po raz pierwszy tego dnia skłamałem.

11. Sprawiedliwość

- To nie jest człowiek - oświadczył rajca. - Nie zasługuje na proces jak istota ludzka.

- Ach! - Adwokat westchnął. - Nie możemy jednak skazać nikogo bez procesu. Zresztą istnieją precedensy. Świnia, która pożarła dziecko, kiedy wpadło do chlewika, została uznana winną i powieszona. Rój pszczoł uznany winnym śmiertelnego użądlenia staruszka spłonął, podpalony ręką miejskiego kata. Piekielny stwór także na to zasługuje. Dowody przemawiające przeciw niemowlęciu były bezsporne. Oto one: pewna kobieta przywiozła dziecko ze wsi. Oznajmiła, że jest jej i że jej mąż nie żyje. Zamieszkała w domu kołodzieja i jego żony.

Stary kołodziej zaczął skarżyć się na melancholię i stałe znużenie. Po jakimś czasie służący znalazł go martwego wraz z żoną i lokatorką. Niemowlę leżało w kołysce, blade i milczące. Jego twarz i wargi pokrywały plamy krwi.

Przysięgli nie mieli wątpliwości. Uznali, że stwór jest winny, i skazali go na śmierć.

Egzekucji miał dokonać miejski rzeźnik. Na oczach całego miasta rozciął niemowlę na dwoje i cisnął szczątki w ogień.

Jego własne dziecko zmarło kilka dni wcześniej. W tamtych czasach wysoka śmiertelność niemowląt była czymś zwyczajnym. Żona rzeźnika rozpaczała; złamało jej to serce.

Tuż przed egzekucją wyjechała z miasteczka do siostry w dużym mieście. Po tygodniu dołączył do niej rzeźnik. Cała trójka - rzeźnik, żona i dziecko - tworzyła piękną rodzinę. Piękniejszej nie znajdziesz.

14. Umiarkowanie

Oznajmiła, że jest wampirem. Natychmiast zorientowałem się, że to kłamczucha. Widać to było w jej oczach - czarnych jak węgle i nigdy niepatrzących wprost na mnie. Cały czas spoglądała na coś niewidzialnego ponad moim ramieniem, za mną, nade mną, odrobinę w bok od twarzy.

- Jak ona smakuje? - spytałem.

Działo się to na parkingu za barem. Kobieta pracowała na nocnej zmianie. Mieszała świetne drinki, ale sama niczego nie piła.

- Jak sok pomidorowo-warzywny V8. Nie ten o obniżonej zawartości sodu, lecz oryginalny. Albo słone gazpacho.

- Co to jest gazpacho?

- Taki jarzynowy chłodnik.

- Nabierasz mnie.

- Nie.

- Naprawdę piłaś krew? Tak jak ja piję V8?

- Nie do końca tak - rzekła. - Jeśli tobie znudzi się V8, możesz przerzucić się na coś innego.

- Jasne - mruknąłem. - Prawdę mówiąc, nie przepadam za V8.

- Widzisz? W Chinach nie pijemy krwi, tylko płyn rdzeniowy.

- A on? Jak smakuje?

- Nijak. Jak czysty bulion.

- Próbowalaś go?

- Znam takich, co próbowali.

Usiłowałem sprawdzić, czy w bocznym lusterku ciężarówki, o którą się opieraliśmy, dostrzegę jej odbicie. Było jednak ciemno i niczego nie widziałem.

15. Diabeł

Oto jego portret. Spójrzcie na płaskie żółte zęby, rumianą twarz. Ma rogi. W jednej dłoni nosi długi na stopę drewniany kołek, w drugiej drewniany młotek.

Oczywiście nie ma czegoś takiego jak diabeł.

16. Wieża

Wieża wzniesiona z gniewu i kamienia

W ciszy nie słycać dźwięku ni westchnienia

- gryzący czuje gorycz ugryzienia

(lepiej porzućcie nocą swe schronienia).

17. Gwiazda

Starsi i bogatsi podążają w ślad za zimą, za długimi nocami. Wolą jednak północną półkulę od południowej.

- Widzisz tę gwiazdę? - mówią, wskazując jedną z gwiazd w gwiazdozbiorze Draco, Smoka. - Stamtąd przybyliśmy. I pewnego dnia tam wrócimy.

Młodszy, słysząc to, parszają śmiechem i szydzą. Gdy jednak lata zmieniają się w stulecia, odkrywają, że zaczynają tęsknić za miejscem, którego nigdy nie odwiedzili, i czują się lepiej na północy, gdzie Smok zamyka w swych splotach obie Niedźwiedzice i mroźną Gwiazdę Polarną.

19. Słońce

- Wyobraź sobie - powiedziała - że na niebie jest coś, co może cię zranić, albo nawet zabić. Olbrzymi orzeł czy coś podobnego. Wyobraź sobie, że jeśli wyjdiesz za dnia, orzeł cię schwyta.

- Cóż - dodała - tak właśnie wygląda to dla nas. Tyle że nie jest to ptak, lecz jasne, piękne, niebezpieczne promienie słońca. Nie oglądałam ich już od stu lat.

20. Sąd Ostateczny

- To sposób rozmowy o pożądaniu bez wspomnienia samego pożądania - oznajmił. - To rozmowa o seksie i strachu przed seksem. O śmierci i strachu przed śmiercią. O czym jeszcze można rozmawiać?

22. Świat

- Wiesz, co jest najsmutniejsze? - powiedziała. - Najsmutniejsze jest to, że jesteśmy wami.

Milczałem.

- W waszych fantazjach - ciągnęła - mój lud przypomina was samych, tyle że lepszych. Nie umieramy, nie starzejemy się, nie znamy bólu, chłodu, pragnienia. Świetnie się ubieramy. Kryjemy w sobie mądrość wieków. I choć pragniemy krwi, cóż... nie różni się to zbyt od tego, jak wy pragniecie pożywienia, czułości bądź słońca. Zresztą dzięki temu wychodzimy czasem z domu. Krypty. Trumny. Jak wolisz. Oto wasze fantazje.

- A rzeczywistość? - spytałem.

- Jesteśmy wami - wyjaśniła. - Jesteśmy wami, mamy wszystkie wasze wady. Wszystko to, co czyni was ludźmi: lęki, samotność, zagubienie... Nic z tego nie znika.

Jesteśmy jednak zimniejsi niż wy, bardziej martwi. Tęsknię za światłem dnia, jedzeniem i wiedzą, jak to jest dotknąć kogoś i coś do niego czuć. Pamiętam życie, spotkania z ludźmi, o których myślałam jak o ludziach, nie o przedmiotach, o czymś, czym mogę zawładnąć, pożywić się. I pamiętam, jak to było, gdy coś czułam, cokolwiek.

Radość bądź smutek... - Urwała.

- Ty płaczesz? - spytałem.

- My nie płaczemy - odparła.

Jak już mówiłem, była kłamczuchą.

KARMIĄCY I KARMIENI

To prawdziwa historia, w każdym razie w większości. O tyle, o ile. Jeśli to czyni jakakolwiek różnicę.

Była późna noc, a ja marzłem właśnie w mieście, w którym nie powinienem się znaleźć, w każdym razie nie o tej porze. Nie powiem wam, co to za miasto. Spóźniłem się na ostatni pociąg, a że nie chciało mi się spać, krążyłem po ulicach wokół dworca, póki nie znalazłem knajpki czynnej całą noc, schronienia, gdzie można posiedzieć w cieple.

Znacie takie miejsca, sami też w nich bywaliście: nazwa knajpki na szyldzie z reklamą pepsi nad brudnym, wielkim oknem, zeschnięte resztki jajek między zębami wszystkich widelców. Nie byłem głodny, ale kupiłem grzanekę i kubek tłustej herbaty, żeby się mnie nie czepiali.

Oprócz mnie w środku siedziało jeszcze parę samotnych osób przy stolikach - włóczągów i cierpiących na bezsenność, pochylonych nad pustymi talerzami. Brudne płaszcze i krótkie kurtki zapięte aż po szyję. Odszedłem właśnie od lady z tacą, gdy usłyszałem męski głos.

- Hej, ty - rzekł i zrozumiałem, że przemawia do mnie, nie do wszystkich. - Ja cię znam. Chodź tutaj. Usiądź.

Puściłem te słowa mimo uszu. Nie miałem ochoty nawiązywać kontaktów, nie z kimś, kto odwiedza podobne miejsca.

I wtedy wymówił moje nazwisko, a ja odwróciłem się i spojrzałem na niego. Gdy ktoś wie, jak się nazywamy, raczej nie mamy wyjścia.

- Nie poznajesz mnie? - spytał.

Pokręciłem głową. Nie znałem nikogo, kto by tak wyglądał; takich ludzi się nie zapomina.

- To ja - wyszeptał cicho, błagalnie. - Eddie Barrow. Daj spokój stary, znasz mnie.

Kiedy wymówił to nazwisko, istotnie, poznałem go. Mniej więcej. To znaczy znałem Eddiego Barrowa, pracowaliśmy na budowie dziesięć lat wcześniej, w czasach gdy jeden jedyny raz naprawdę flirtowałem z pracą fizyczną.

Eddie Barrow był wysoki, potężnie umięśniony, miał uśmiech gwiazdora filmowego i leniwą urodę. Dawniej służył w policji. Czasami opowiadał mi historie, prawdziwe historie o wrabiankach i pościgach, karze i zbrodni. Wystąpił z policji z powodu konfliktu z kimś z wyższych szarż; twierdził, że zmusiła go do tego żona nadinspektora. Eddie zawsze miał kłopoty z powodu kobiet. Kobiety naprawdę go lubiły.

Gdy pracowaliśmy razem na budowie, nękały go, częstowały kanapkami, dawały prezenciki i tak dalej. On sam w ogóle nie starał się im przypodobać - po prostu go lubiły, i tyle. Obserwowałem go ukradkiem, żeby sprawdzić, jak to robi, ale wyglądało na to, że w ogóle mu nie zależy. W końcu uznałem, że to kwestia tego, jaki był: wysoki, silny, niezbyt bystry i okropnie, okropnie przystojny.

Ale od tego czasu minęło dziesięć lat. Mężczyzna siedzący przy laminowanym stole nie był przystojny. Jego oczy, mętne, przekrwione i zaczerwienione, beznadziejnie wpatrywały się w blat. Skórę miał szarą i był zbyt chudy, nieprzyzwoicie chudy. Przez tłuste włosy przeświecała skóra czaszki.

- Co się z tobą stało? - spytałem.

- To znaczy?

- Wyglądasz trochę mizernie - wyjaśniłem, choć w istocie wyglądał gorzej niż mizernie. Wydawał się martwy. Dawny Eddie

Barrow był potężnym facetem, a teraz jakby zapadł się w sobie. Pozostały tylko kości i łuszcząca się skóra.

- Tak - odparł. A może „Tak?”. Nie potrafiłem stwierdzić. A potem dodał z rezygnacją: - Każdego w końcu to spotyka.

Machnął lewą ręką, wskazując krzesło naprzeciwko. Prawa wisiała sztywno u boku, dłoń tkwiła bezpiecznie w kieszeni płaszcza.

Stolik Eddiego stał przy oknie, w miejscu widocznym dla każdego przechodnia. Sam bym go nie wybrał, gdyby to zależało ode mnie. Ale było już na to za późno. Usiadłem naprzeciwko i pociągnąłem łyk herbaty. Milczałem, co mogło być błędem. Pogawędka o niczym być może utrzymałaby w ukryciu jego demony. Ja jednak dzierżyłem w dłoniach kubek i się nie odzywałem. Zatem pewnie uznał, że chcę się dowiedzieć więcej, że mnie to obchodzi. Ale nie obchodziło. Miałem dość własnych problemów. Nie chciałem słuchać o jego walce z tym, co doprowadziło go do takiego stanu - alkoholem, narkotykami, chorobą - zaczął jednak mówić szarym głosem, a ja słuchałem.

- Przyjechałem tu parę lat temu, kiedy budowali obwodnicę. Potem zostałem, wiesz jak to jest. Wynająłem pokój w starej kamienicy na tyłach Prince Regents Street. Pokój na strychu. Kamienica należała do rodziny, wynajmowali tylko najwyższe piętro i mieli zaledwie dwójkę lokatorów, mnie i pannę Corvier. Oboje mieszkaliśmy na strychu, lecz w oddzielnych pokojach obok siebie. Słyszałem, jak krąży po mieszkaniu. Był tam też kot. Należał do rodziny, ale od czasu do czasu przychodził na górę się przywitać. O rodzinie

nie da się tego powiedzieć.

Zawsze jadałem posiłki z rodziną, natomiast panna Corvier nigdy na nie nie schodziła, toteż minął tydzień, nim w ogóle ją poznałem. Wychodziła akurat z kibelka na górze i wydała mi się okropnie stara. Pomarszczona twarz, jak u bardzo starej małpy, a do tego zaskakująco długie włosy, aż do pasa, jak u młodej dziewczyny.

Zabawne, ale kiedy mowa o staruszkach, nie myślimy nawet, że mogą odczuwać różne rzeczy tak jak my. Choćby ona, mogła być moją babcią i... - Urwał, oblizał wargi szarym językiem. - W każdym razie... pewnego wieczoru wróciłem do domu i znalazłem leżącą pod drzwiami brązową papierową torebkę z grzybami. Natychmiast zrozumiałem, że to prezent. Prezent dla mnie. Nie były to jednak zwykłe grzyby. Zapukałem zatem do jej drzwi.

- Przepraszam, czy to dla mnie? - spytałem.

- Sama je zebrałam, panie Barrow - odparła.

- Ale to nie psiary ani nic takiego? No wie pani, trujące albo mieszające w głowie.

W odpowiedzi zaśmiała się tylko, zachichotała.

- Są do jedzenia - powiedziała - bardzo smaczne. To czernidłaki kołpakowate. Zjedz je od razu, bardzo szybko się psują. Najlepsze są smażone na maśle, z czosnkiem.

- Pani też je sobie zrobiła?

- Nie, nie. Kiedyś bardzo lubiłam grzyby, ale już nie, nie z moim żołądkiem. Są pyszne, nie ma nic lepszego niż młodziutki czernidlak. Zdumiewające, ilu rzeczy ludzie nie jedzą. Jest ich tyle wokół i mogliby je zjadać.

Podziękowałem i wróciłem na moją połowę strychu. Parę lat wcześniej zaadaptowali go, całkiem nieźle się spisali. Położyłem grzyby obok zlewu; po paru dniach rozpląnęły się w czarną maź podobną do czernidla i musiałem zgarnąć cały syf do torebki i wyrzucić.

Szedłem właśnie na dół z torebką, gdy wpadłem na nią na schodach.

- Witam, panie B. - mówi.

- Dzień dobry, panno Corvier - ja na to.

- Mów mi Effie. Jak smakowały grzyby?

- Dziękuję, były bardzo dobre, naprawdę pyszne.

Po tym zaczęła zostawiać dla mnie inne rzeczy, drobne prezenty, kwiaty w starych butelkach po mleku i różne takie. A potem nic. Ulżyło mi, kiedy dała sobie spokój.

Siedziałem właśnie przy obiedzie z rodziną. Syn, który studiował na politechnice, wrócił do domu na wakacje. Był sierpień, bardzo gorący, i ktoś powiedział, że nie widzieli panny Corvier od tygodnia. Czy mógłbym sprawdzić, co się z nią dzieje? Odparłem, że nie ma sprawy.

I tak zrobiłem. Drzwi nie były zamknięte. Leżała w łóżku, przykryta cienkim prześcieradłem, ale było widać, że jest naga.

Wcale nie próbowałem czegokolwiek zobaczyć. Czułbym się tak, jakbym podglądał babcię na golasa. Taka staruszka, ale naprawdę ucieszyła się na mój widok.

- Wezwać do pani doktora? - spytałem. Pokręciła głową.

- Nie jestem chora, tylko głodna - odparła. - To wszystko.

- Na pewno? Bo mogę kogoś wezwać, to żaden kłopot. Lekarze przyjeżdżają do starszych ludzi.

- Edwardzie - mówi ona na to. - Nie chcę być dla nikogo ciężarem, ale jestem taka głodna.

- Jasne, przyniosę pani coś do jedzenia. Coś lekkostrawnego.

I wtedy mnie zaskoczyła. Wyraźnie się zawstydziała i powiedziała bardzo cicho:

- Mięso. To musi być świeże mięso, surowe. Nie pozwolę nikomu dla siebie gotować. Mięso, Edwardzie. Proszę.

- Żaden problem - odparłem i zszedłem na dół.

Przez chwilę się zastanawiałem, czy nie podwędzić go z kocięj miski, ale oczywiście nie zrobiłem tego. Zupełnie jakbym wiedział, że je chce, i musiał to zrobić. Nie miałem wyboru, poszedłem do

Safewaya i kupiłem tackę najlepszej mielonej polędwicy.

Kot natychmiast ją wyczuł, poszedł za mną po schodach. Powiedziałem: „Uciekaj, kiciuś, to nie dla ciebie, to dla pani Corvier, źle się czuje i musi zjeść kolację”. A on obmiauczał mnie, jakby nikt nie karmił go od tygodnia. Wiedziałem, że to nieprawda, bo w misce wciąż została połowa żarcia. Głupi kot, i tyle.

Zapukałem do niej.

- Proszę! - zawołała.

Wciąż leżała w łóżku. Dałem jej tackę z mięsem, a ona na to:

- Dziękuję, Edwardzie, masz dobre serce.

A potem tam, w łóżku, zdarła folię. Na tacce zebrała się kałuża brązowej krwi i zaczęła ściekać na pościel, ale ona na nic nie zważała. Paskudztwo, mówię ci.

Nim wyszedłem, usłyszałem, jak zaczyna jeść, wpychając sobie do ust surowe mielone mięso. I wciąż nie wstała z łóżka.

Lecz następnego dnia była rześka jak skowronek i słyszałem ją o najróżniejszych porach, mimo jej wieku. Pomyślałem sobie: no proszę, mówią, że czerwone mięso szkodzi, ale jej bardzo pomogło. A surowe, no cóż, to w końcu zupełnie jak tatar. Prawda? Jadłeś kiedyś surowe mięso?

Pytanie zaskoczyło mnie.

- Ja?

Eddie spojrzał na mnie swymi martwymi oczami.

- Nikt inny tu nie siedzi.

- Tak, odrobinę. Kiedy byłem mały, miałem cztery albo pięć lat, babcia zabierała mnie ze sobą do rzeźnika, który dawał mi plasterki surowej wątróbki. A ja jadłem, na miejscu, w sklepie, i wszyscy się śmiali.

Nie myślałem o tym od dwudziestu lat, ale istotnie tak było. Wciąż lubię krwistą wątróbkę i czasami, gdy ją przyrządzam i nikogo nie ma w pobliżu, nim przyprawię surowe mięso, odkrawam sobie cienki plasterek i zjadam, napawając się ostrym, żelazistym smakiem.

- Nie ja - oznajmił Eddie. - Lubię mięso porządnie upieczone. Następne, co pamiętam, to to, że Thompson zniknął.

- Thompson?

- Kot. Ktoś wspomniał, że kiedyś mieli dwa koty i nazwali je Thompson i Thompson. Nie mam pojęcia dlaczego, to głupie nadawać obu takie samo imię. Pierwszy wpadł pod ciężarówkę.

Przesunął czubkiem palca kupkę cukru po laminowanym blacie. Wciąż posługiwał się lewą ręką i zaczynałem się zastanawiać, czy w ogóle ma prawą. Może rękaw był pusty? Zresztą wcale mnie to nie wzruszało: nikomu nie udaje się przejść przez życie, nie tracąc

po drodze paru rzeczy.

Próbowałem wymyślić, jak delikatnie powiedzieć mu, że nie mam pieniędzy, na wypadek gdyby pod koniec swej historii mnie o nie poprosił. Faktycznie nie miałem kasy, prócz tej na pociąg i drobniazków na bilet autobusowy do domu.

- Nigdy nie przepadałem za kotami - oznajmił nagle. - Niespecjalnie je lubiłem. Wolałem psy, wielkie, wierne zwierzaki. Z psem wiesz na czym stoisz. Z kotami nie. Potrafią zniknąć na całe dnie i w ogóle ich nie widzisz. Gdy byłem mały, mieliśmy kota, nazywał się Ginger. Na końcu ulicy mieszkała rodzina, która też miała kota, Marmoladkę. Okazało się, że to ten sam kot, karmiliśmy go wszyscy. Poważnie. Podstępne małe dranie, nie można im ufać.

Dlatego nie przejąłem się specjalnie, kiedy Thompson zniknął. Rodzina się martwiła, ale ja nie. Wiedziałem, że wróci. Zawsze wracają.

W każdym razie parę dni później usłyszałem go. Próbowałem zasnąć i nie mogłem. Był środek nocy i usłyszałem miauczenie, ciągle, bez końca. Nie było głośne, ale kiedy nie możesz zasnąć, takie dźwięki grają ci na nerwach. Pomyślałem, że może jest uwięziony gdzieś między belkami albo na dachu. Zrozumiałem, że i tak nie usnę, wstałem więc, ubrałem się, włożyłem nawet buty, na wypadek gdybym musiał wdrapać się na dach, i ruszyłem na poszukiwania.

Wyszedłem na korytarz. Miauki dobiegały z pokoju panny Corvier po drugiej stronie strychu. Zapukałem, nikt nie odpowiedział. Sprawdziłem drzwi. Nie były zamknięte, więc wszedłem. Pomyślałem, że może kot gdzieś utknął. Albo się zranił. Sam nie wiem. Chciałem tylko pomóc, nic więcej.

Panny Corvier tam nie było. No wiesz, czasem po prostu wyczuwasz, kiedy ktoś jest w pokoju, a ten pokój był pusty. Tyle że na podłodze w kącie leżało coś i piszczało, mrau, mrau. A ja zapaliłem światło, żeby sprawdzić co to.

Przez niemal minutę milczał. Palcami lewej dłoni skubał czarną maź zaschniętą wokół szyjki butelki z keczupem. Butelka miała kształt dużego pomidora.

- Nie mogłem zrozumieć, jakim cudem wciąż żył. Bo żył - od piersi w górę był żywy, oddychał, miał futro i tak dalej. Ale tylne łapy i klatka piersiowa wyglądały jak objedzony kurczak. Tylko kości. I... Jak to się nazywa? Ściągną. A potem uniósł głowę i spojrzał na mnie. Fakt, to był tylko kot, ale wiedziałem czego chce, miał to w oczach. Kumasz. - Urwał. - Po prostu wiedziałem. Nigdy nie widziałem podobnych oczu. Gdybyś ty je zobaczył, też zrozumiałbyś, czego chce, o co prosi. Zrobiłem to. Byłbym potworem, gdybym nie zrobił.

- Co takiego?

- Użyłem butów. - Przerwa. - Nie było zbyt wiele krwi. No wiesz. Po prostu deptałem i deptałem mu głowę, aż w końcu została z niego tylko mokra plama. Gdyby na ciebie tak popatrzył, zrobiłbyś to samo.

Nie odpowiedziałem.

- A potem usłyszałem kogoś wchodzącego po schodach i pomyślałem: to nie wygląda dobrze, naprawdę paskudnie i powinienem coś z tym zrobić, ale jedynie tkwiłem tam jak głupi w wyświnionych butach. I wtedy drzwi się otworzyły i stanęła w nich panna Corvier. Zobaczyła to wszystko. Spojrzała na mnie.

- Zabiłeś go. - W jej głosie usłyszałem coś dziwnego. Przez moment nie wiedziałem co, a potem zbliżyła się i ujrzałem, że płacze.

- Jest coś takiego w starszych ludziach, że kiedy płaczą jak dzieci, nie wiesz, gdzie podziąć wzrok. Prawda? A potem powiedziała:

- Miałam tylko jego, utrzymywał mnie przy życiu, a ty go zabiłeś. Po wszystkim, co zrobiłam, staraniach, by mięso zostało świeże, by pozostało w nim życie. Po wszystkim, co zrobiłam. Jestem starą kobietą. Potrzebuję mięsa.

Nie wiedziałem co rzec.

A ona wytarła oczy wierzchem dłoni.

- Nie chcę być dla nikogo ciężarem - mówi, po czym znów płacze i patrzy prosto na mnie.

- Nigdy nie chciałam być ciężarem. To było moje mięso - mówi. - A teraz kto mnie wykarmi?

Urwał i oparł szarą twarz na lewej ręce. Sprawiał wrażenie zmęczonego. Zmęczonego rozmową, zmęczonego historią, zmęczonego życiem. Po chwili pokręcił głową i spojrzał na mnie.

- Gdybyś widział tego kota, zrobiłbyś to co ja. Każdy by to zrobił.

Potem po raz pierwszy uniósł głowę i spojrzał mi prosto w oczy. Wydało mi się, że w jego oczach widzę błaganie o pomoc, coś, czego duma nie pozwalała mu powiedzieć głośno.

Zaczyna się, pomyślałem. Teraz poprosi mnie o pieniądze.

Ktoś na zewnątrz zastukał w okno knajpki. Nie było to głośne stukanie, lecz Eddie podskoczył.

- Muszę już iść - oznajmił. - To znaczy, że muszę iść. Przytaknąłem. Wstał zza stołu. Nadal był wysoki, co niemal mnie zaskoczyło. Pod tyłoma innymi względami zapadł się w sobie.

Wstając, odsunął stolik i wyciągnął z kieszeni płaszczą prawą rękę. Pewnie dla równowagi. Nie wiem.

Może chciał, żebym ją zobaczył. Ale jeśli tak, czemu cały czas trzymał ją w kieszeni? Nie, nie sędzę, żeby tego chciał. Myślę, że to był przypadek.

Pod płaszczem nie miał koszuli ani bluzy, ujrzałem więc jego przegub i przedramię. Wyglądały zupełnie w porządku, normalna ręka i przegub. Dopiero gdy spojrzało się niżej, było widać, że większość ciała została obgryziona do kości niczym kurze skrzydełko. Pozostały tylko strzępy, skrawki, okruszki i niewiele więcej. Miał tylko trzy palce i większą część kciuka. Przypuszczam, że pozostałe kostki odpadły, bo zabrakło skóry i ciała, przytrzymujących je na miejscu.

To właśnie zobaczyłem, tylko przez chwilę. A potem znów wsadził rękę do kieszeni, pchnął drzwi i wyszedł w mroźną noc.

Odprowadziłem go wzrokiem przez brudną szybę.

Zabawne. Z tego, co mówił, wyobrazałem sobie pannę Corvier jako staruszkę. Ale kobieta, która czekała na niego na chodniku, ledwo przekroczyła trzydziestkę. Miała jednak długie, bardzo długie włosy, takie, na których, jak mówią, można usiąść, choć dla mnie zawsze brzmiało to jak fragment wulgarnego dowcipu. Wyglądała trochę jak hippiska. Nawet ładna, ale wyglodniała.

Wzięła go za rękę, spojrzała mu w oczy i odeszli razem, znikając w mroku poza plamą światła z okna, niczym para nastolatków, którzy dopiero zaczynają rozumieć, że się kochają.

Podszedłem do lady i kupiłem drugą herbatę oraz parę opakowań

chipsów, tak by wystarczyło mi do rana. A potem usiadłem, rozmyślając o wyrazie jego

twarzy, gdy spojrział na mnie po raz ostatni.

W porannym pociągu do wielkiego miasta usiadłem naprzeciw kobiety z dzieckiem. Dziecko pływało w formalinie w ciężkim, szklanym słoju. Musiała je bardzo pilnie sprzedać i choć byłem niezwykle zmęczony, przez całą drogę rozmawialiśmy o tym, dlaczego, i o innych rzeczach.

KRUP CHOROBO TWÓRCÓW

Przypadłość złowieszcza w swej gwałtowności, niefortunna w przebiegu, dotykająca tych, którzy zwyczajowo i patologicznie katalogują i konstruują choroby.

Do oczywistych objawów wstępnych zaliczamy bóle głowy, kolki nerwowe, wyraźne drżenie i jedną z kilku wysypek natury intymnej. Objawy te jednak, tak razem, jak i z osobna, nie wystarczają do postawienia diagnozy.

Drugie stadium choroby jest umysłowe. Fiksacja na punkcie chorób i patogenów, nieznanych i nieodkrytych, a także domniemanych twórców, odkrywców i innych osób uczestniczących w odkryciu, badaniu i leczeniu rzeczonych chorób. Niezależnie od okoliczności autor chciałby raz na zawsze przestrzec przed pokładaniem ufności w zwodnicze reklamy w wyglądzie, oczy wybałuszone; jak zwykle podawanie niewielkich zastrzyków wywaru z wołowiny bądź bulionu pozwoli zachować siłę.

W tym stadium chorobę można jeszcze uleczyć.

Jednakże dopiero w trzecim stadium krupu chorobotwórców widać prawdziwą naturę choroby, co pozwala na postawienie właściwej diagnozy. Na tym etapie pewne problemy wpływające na język i tok rozumowania przejawiają się w mowie i piśmie pacjenta, którego stan, jeśli natychmiast nie zapewni mu się opieki, zaczyna błyskawicznie się pogarszać.

Stwierdzono, że rozprzestrzenianie się snu i gotowanie dwóch uncji do etapu dławienia; twarz staje się spuchnięta i zaczerwieniona, gardło to skłonność dziedziczna, a język upodabnia się do płuc, towarzyszące. Emocje często wzbudza wszystko, co przywodzi na myśl wzmiankowane choroby, z odrażającym uporem przedstawiane ludności przez hochsztaplerów.

Trzecie stadium krupu chorobotwórców charakteryzuje nieszczęsna skłonność chorego do przerywania normalnego toku rozumowania i opisów komentarzami na temat chorób prawdziwych bądź wymyślonych, leków nonsensownych i pozornie logicznych. Objawy przypominają symptomy ogólnej infekcji: pojawiająca się nagle okrągła opuchlizna tuż nad rzepką kolanową. Staje się chroniczna i wreszcie wymioty, obraźliwe, zamglone. Jalapa jest zasadowa i przedstawia się jako bezbarwna; barwi wielkie okrągłe robaki występujące w jelitach.

Największa trudność w wykrywaniu podobnej choroby wiąże się z klasą ludzi, u której najczęściej występuje trzecie stadium krupu chorobotwórców. Są to bowiem dokładnie ci ludzie, których najczęściej się słucha, a ich zdanie najrzadziej kwestionuje. A zatem: mogą być, odżywianie nie gwarantuje imbiru i alkoholu rafinowanego, żyły obrzmiałe, tej ostatniej odparowanej w wysokiej temperaturze.

Jedynie najwyższym wysiłkiem woli cierpiący może nadal pisać i mówić swobodnie i płynnie. W końcu jednak na ostatnich etapach trzeciego stadium choroby wszystkie rozmowy zamieniają się w nieznośną serię powtórzeń, strumień obsesyjnego bełkotu.

Mokry kaszel nie ustaje, żyły obrzmiały, oczy wybałuszone; cały organizm osłabiony tak bardzo, że inwazję epidemii poprzedza gęsta, ciemna i, jeśli nie leczona, ciężka melancholia, utrata apetytu, być może wymioty, a język upodabnia się do poobijanego korzenia.

Jak dotąd jedynym lekiem, który okazał się skuteczną bronią w wojnie przeciwko krupowi chorobotwórców jest roztwór powoju żywicznego. Przygotowuje się go z równych części powoju, żywicy jalapowej i autor chciałby raz na zawsze przestrzec przed pokładaniem ufności odparowanej w wysokiej temperaturze. Powój żywiczny jest szeroko rozpowszechniony, choć nie zawsze dochodzi do jego rozwoju; twarz staje się spuchnięta i zaczerwieniona, gardło podrażnione i autor chciałby raz na zawsze przestrzec przed pokładaniem ufności w jelitach.

Chorzy na krup chorobotwórców rzadko zdają sobie sprawę z natury swojej przypadłości. W istocie ich upadek w otchłań pseudo medycznych nonsensów nieodmiennie budzi litość i współczucie świadków, a medycy w obliczu częstych rozbłysków rozsądku pośród morza bzdur, muszą wyzbyć się sentymentów i ogłosić raz na zawsze swój sprzeciw wobec praktyki wymyślania i tworzenia wyimaginowanych chorób, na które nie ma miejsca w świecie współczesnym.

Kiedy wykrwawianie z użyciem pijawek trwa dłużej, niż wymaga tego organizm. Zaczynają się gotowania dwóch uncji snu i dwóch uncji przez wzmiankowane zwodnicze reklamy z odrażającym uporem przedstawiane opinii publicznej przez hochsztaplerów. Powój żywiczny często pobudza wysoka temperatura. Drugiego dnia, gdy dochodzi do gwałtownego, silna tynktura jodiny wystarczy zazwyczaj za wszystkie leki.

To nie jest obłąd. To nieznośny ból.

Twarz staje się opuchnięta i czerwona, ciemna, składająca się z dwutlenku potażu, sześciowęglanu amonu i rektyfikowanego spirytusu. Pojawia się mokry kaszel, nawyk spożywania porcji jedzenia większych niż konieczne.

Gdy umysł ulubione sceny. Podczas gdy ulubione sceny.

Także mogą znacząco się powiększyć.

GDY NASTAŁ KONIEC

Gdy nastał koniec, Pan dał ludziom świat. Cały świat należał do człowieka - prócz jednego Ogródu.

- Oto mój Ogród - rzekł Pan - i tu wstąpić wam nie wolno. Znaleźli się jednak mężczyzna i kobieta, którzy przybyli do

Ogródu. Ich imiona brzmiały Ziemia i Oddech.

Mieli ze sobą niewielki owoc, który niósł mężczyzna. A gdy stanęli przed bramą Ogródu, mężczyzna wręczył owoc kobiecie, a kobieta wężowi z mieczem ognistym, strzegącemu Wschodniej Bramy.

A wąż wziął owoc i umieścił go na drzewie pośrodku ogrodu. Wówczas Ziemia i Oddech poznali, że są ubrani. Zdjęli tedy swe stroje, aż zostali nadzy. A Pan, przechadzając się po ogrodzie, ujrzał mężczyznę i kobietę, którzy nie znali już dobra i zła. Lecz radowali się. A Pan widział, że to było dobre.

Wówczas Pan rozwarł bramy i dał ludziom Ogród, węża zaś podźwignął z ziemi, pozwalając, by odszedł dumnie na czterech silnych nogach. Gdzie zaś poszedł, wie tylko

Pan.

Po tym nie było już nic prócz ciszy w Ogrodzie. Od czasu do czasu zakłócał ją tylko dźwięk, gdy człowiek odbierał imię kolejnemu zwierzęciu.

GOLIAT

Przypuszczam, że mógłbym twierdzić, że zawsze podejrzewałem, iż nasz świat to jedynie tanie, marne oszustwo, kiepska przykrywka dla czegoś głębszego, dziwniejszego i nieskończenie bardziej obcego, i że w jakiś sposób od zawsze znałem prawdę. Myślę jednak, że po prostu świat zawsze taki był i nawet teraz, kiedy poznałem wspomnianą prawdę - tak jak Ty ją poznasz, ukochana, jeśli to czytasz - świat wciąż wydaje mi się tani i fałszywy. Inny, inaczej fałszywy, ale i tak.

Mówią: oto prawda. A ja na to: czy to już wszystko? A oni: w pewnym sensie. Mniej więcej. Z tego, co nam wiadomo.

A zatem. Był rok 1977, a ja nie miałem nic wspólnego z komputerami. Najbliższy komputera w moim życiu był niedawno kupiony wielki i drogi kalkulator, tyle że zgubiłem dołączoną do niego instrukcję i nie wiedziałem już, co dokładnie robi. Dodawałem, odejmowałem, mnożyłem i dzieliłem, ciesząc się, że nie potrzebuję sinusów, cosinusów, tangensów ani wykresów funkcji czy innych bajerów, które umiało to cudo, ponieważ po niedawnym odrzuceniu podczas rekrutacji do RAF-u pracowałem jako księgowy w małej hurtowni wykładowców w Edgware w północnej części Londynu, przy końcu linii metra Northern. Za każdym razem, gdy widziałem przelatujący nad głową samolot, udawałem, że nie czuję bólu, że nie obchodzi mnie, iż istnieje cały świat, do którego mój wzrost broni mi wstępu. Zapisywałem jedynie cyfry w wielkiej księdze rachunkowej. Siedziałem właśnie w pomieszczeniu na tyłach hurtowni przy stole służącym mi za biurko, kiedy świat zaczął się rozpląwać. Poważnie. Wyglądało to zupełnie, jakby ściany, sufit, bele wykładowców i kalendarz z panienkami topless z „News of the World” były zrobione z wosku i zaczęły się roztopiać i ściekać, zlewać w jedną całość. Za nimi widziałem domy, niebo, chmury i ulice, a potem one także spływały i rozlały się, pozostawiając jedynie czerni.

Stałem w kałuży świata, dziwacznej, wielobarwnej cieczy, która wzbierała, falowała i nie sięgała nawet góry moich brązowych skórzanych butów (bardziej przypominających pudełka; musiałem zamawiać je specjalnie na miarę. Kosztowały majątek). Kałuża rzucała w górę niezwykle światło.

Myślę, że gdyby działo się to w książce, nie uwierzyłbym, że naprawdę to widzę. Zastanawiałbym się, czy ktoś podał mi narkotyk, czy może śnię. Ale do diabła, byłem tam i wszystko to było prawdziwe. Wpatrywałem się zatem w ciemność, a potem, gdy nic więcej się nie działo, ruszyłem naprzód, stawiając z pluskiem kroki w płynnym świetle i nawołując, ciekaw, czy jest tam jeszcze ktoś inny.

Coś zamigotało przede mną.

- Cześć, chłopie - powiedział czyjś głos. Przemawiał z amerykańskim akcentem, intonację miał jednak dziwną.

- Witam - odparłem.

Jeszcze przez chwilę widziałem migotliwe światło, które następnie zgęstniało i zamieniło się w elegancko ubranego mężczyznę w grubych okularach w rogowej oprawie.

- Wielki z ciebie gość - rzekł. - Wiesz?

Oczywiście, że wiedziałem. Miałem dziewiętnaście lat i już dobrze ponad dwa metry wzrostu. Moje palce przypominają banany, dzieci się mnie boją. Wątpię, bym dożył czterdziestych urodzin - tacy jak ja umierają młodo.

- Co się dzieje? - spytałem. - Wie pan?

- Pocisk wroga zniszczył centralny procesor - odparł. - Dwieście tysięcy ludzi podłączonych równolegle poszło w diabły. Oczywiście mamy mirror i za moment go podłączymy. Pounosisz się jeszcze swobodnie przez kilka nanosekund, nim znów uruchomimy Londyn.

- Czy pan jest Bogiem? - spytałem. Nic z tego, co mówił, nie miało sensu.

- Tak. Nie. Niezupełnie. W każdym razie nie takim, jak sądzisz.

A potem świat zakołysał się i odkryłem, że znów przychodzę tego ranka do pracy, nalewam sobie herbaty i mam najdłuższe, najdziwniejsze *deja vu*, jakiego dotąd doświadczyłem. Dwadzieścia minut, podczas których wiedziałem dokładnie, co powiedzą i zrobią otaczający mnie ludzie. Potem jednak minęło i czas znów zaczął płynąć jak należy, jedna sekunda za drugą, tak jak powinna.

Mijały godziny, dni i lata.

Straciłem pracę w firmie handlującej wykładzinami i znalazłem nową w księgowości firmy sprzedającej maszyny obliczeniowe. Ożeniłem się z dziewczyną imieniem Sandra, poznaną na basenie. Mieliśmy dwójkę dzieci zwykłego wzrostu i sądziłem, że nasze małżeństwo zniesie wszystko, ale tak się nie stało, toteż odeszła, zabierając ze sobą maluchy. Zbliżałem się do trzydziestki, był rok osiemdziesiąty szósty, zatrudniłem się w sklepiku przy Tottenham Court Road, sprzedającym komputery, i okazało się, że jestem w tym dobry.

Lubiłem komputery.

Lubiłem to, jak działają. To były niesamowite czasy. Pamiętam naszą pierwszą dostawę AT - niektóre z nich miały dyski o pojemności czterdziestu megabajtów... Cóż, w tamtych czasach łatwo się podniecałem.

Wciąż mieszkalem w Edgware, dojeżdżałem do pracy linią Northern. Pewnego wieczoru wracałem do domu metrem - właśnie przejechaliśmy przez stację Euston i połowa pasażerów wysiadła. Patrzyłem na resztę ludzi w wagonie ponad krawędzią „The Evening Standard” i zastanawiałem się, kim są tak naprawdę: szczupła czarna dziewczyna, pisząca coś z zajęciem w notesie, drobna staruszka w zielonym aksamitnym kapelusiku, dziewczyna z psem, brodacze w turbanie... Nagle pociąg zatrzymał się w tunelu.

A przynajmniej tak sądziłem: zdawało mi się, że pociąg się zatrzymał, wokół zapadła przejmująca cisza.

A potem przejechaliśmy przez stację Euston i połowa pasażerów wysiadła.

A potem przejechaliśmy przez stację Euston i połowa pasażerów wysiadła. A ja patrzyłem na innych pasażerów i zastanawiałem się, kim są naprawdę, gdy pociąg zatrzymał się w tunelu i zapadła przejmująca cisza.

A potem wszystko szarpnęło tak mocno, że poczułem się, jakby uderzył w nas inny pociąg.

A potem przejechaliśmy przez stację Euston i połowa pasażerów wysiadła, a pociąg zatrzymał się w tunelu i wszystko...

(Normalna obsługa zostanie przywrócona możliwie jak najszybciej - wyszeptał głos gdzieś z tyłu mojej głowy).

I tym razem, gdy pociąg zwolnił i zaczął hamować przy stacji Euston, zastanawiałem się, czy nie oszalałem: miałem wrażenie, jakbym miotał się bez końca w zapętłonym filmie. Wiedziałem, że to się dzieje, ale w żaden sposób nie mogłem nic zmienić, wyrwać się z błędnego koła.

Siedząca obok czarna dziewczyna podała mi karteczkę. Napisała na niej: CZY MY UMARLIŚMY?

Wzruszyłem ramionami. Nie wiedziałem; wydawało się to równie dobrym wytłumaczeniem jak każde inne.

Powoli wszystko zaczęło blaknąć i rozpląwać się w bieli.

Moje stopy zawisły w bieli, nie widziałem nic nad głową, nie miałem poczucia odległości ani czasu. Znalazłem się w białym miejscu. I nie byłem sam.

Mężczyzna miał na nosie grube okulary w rogowej oprawie, jego garnitur wyglądał jak od Armaniego.

- Znowu ty? - rzekł. - Wielki facet. Dopiero co z tobą rozmawiałem.

- Nie wydaje mi się - odparłem.

- Pół godziny temu, kiedy trafiły pociski.

- W wytwórni wykładzin? To było wiele lat temu, pół życia.

- Jakies trzydzieści siedem minut. Od tego czasu wrzuciliśmy tryb przyspieszony. Próbuje wszystko załatać, przeliczając potencjalne rozwiązania.

- Kto wystrzelił pociski? - spytałem. - Związek Radziecki? Iran?

- Obcy - odparł.

- Żartuje pan?

- Z tego co mi wiadomo, nie. Już od paruset lat wysyłaliśmy w przestrzeń sondy. Wygląda na to, że za jedną coś przyleciało. Dowiedzieliśmy się o tym, gdy wylądowały pierwsze pociski. Potrzebowaliśmy dobrych dwudziestu minut, by opracować plan odwetowy. Dlatego właśnie obrabiamy wszystko w trybie przyspieszonym. Nie miałeś wrażenia, że ostatnie dziesięć lat upłynęło za szybko?

- Tak, chyba tak.

- Oto dlaczego. Puściliśmy je bardzo szybko, próbując zachować jedną wspólną rzeczywistość i nie przerywając obliczeń.

- A co zrobicie teraz?

- Zorganizujemy kontratak. Wyeliminujemy ich. Obawiam się jednak, że to jeszcze potrwa. Jak dotąd nie mamy odpowiednich maszyn, musimy je zbudować.

Biel zaczynała ciemnieć, zmieniała się w ciemne róże i mętne czerwienie. Otworzyłem oczy. Po raz pierwszy. Zacząłem się dławić. Za dużo wszystkiego, nie mogłem tego znieść. A zatem. Ostre kąty światła, splątane rurki, osobliwość i mrok, i coś poza granicą przyswajania. To wszystko nie miało sensu, nic nie miało sensu. Było prawdziwe, lecz wyglądało jak koszmar. Trwało trzydzieści sekund, a każda lodowata sekunda wydawała się miniaturową wiecznością.

A potem przejechaliśmy przez stację Euston i połowa pasażerów wysiadła.

Zacząłem rozmawiać z czarną dziewczyną z notesem. Miała na imię Susan. Kilka tygodni później wprowadziła się do mnie.

Czas rwał naprzód. Chyba zrobiłem się nieco wyczulony na jego punkcie. Może

wiedziałem, czego szukam - wiedziałem, że jest coś, czego należy szukać, choć nie miałem pojęcia co.

Popełniłem błąd, opowiadając pewnej nocy Susan o tym, w co wierzę - o tym, że nic z tego nie jest prawdziwe, że tak naprawdę wisimy bez ruchu, podłączeni i okablowani, procesory czy może jedynie tanie kości pamięci komputera wielkości świata, karmieni na własne życzenie ciągłym strumieniem halucynacji pozwalających nam żyć, rozmawiać i śnić z użyciem drobnej cząstki naszych mózgów, niewykorzystywanej przez nich - kimkolwiek byli - do mielenia cyfr i przechowywania informacji.

- Jesteśmy pamięcią - oznajmiłem. - Oto, czym jesteśmy. Pamięcią.

- Chyba nie wierzysz w to naprawdę? - Jej głos drżał. - To tylko taka historia.

Kiedy się kochaliśmy, zawsze chciała, bym traktował ją ostro, ale brakowało mi odwagi. Nie znałem własnej siły, a poza tym jestem okropnie niezgrabny. Nie chciałem jej skrzywdzić.

Nigdy nie chciałem jej skrzywdzić, przestałem więc opowiadać o moich pomysłach. Starłem się wszystko naprawić, udawać, że to jeden wielki żart, tyle że mało zabawny...

To nie miało znaczenia. W następny weekend wyprowadziła się. Tęskniłem za nią, głęboko, boleśnie. Ale życie płynie dalej. Momenty *deja vu* pojawiały się coraz częściej. Chwile

zatrzymywały się, odbijały czkawką, gasły i powracały. Czasami powtarzały się całe ranki, raz straciłem dzień, zupełnie jakby czas rozpadał się na kawałki.

A potem obudziłem się pewnego ranka i znów był rok 1975, a ja miałem szesnaście lat. Po piekielnie ciężkim dniu w szkole wmaszerowałem do biura rekrutacyjnego RAF-u obok baru z kebabami przy Chapel Road.

- Spory z ciebie chłopak - zauważył oficer prowadzący rekrutację. Z początku wydało mi się, że jest Amerykaninem, ale wyjaśnił, że pochodzi z Kanady. Na nosie miał wielkie okulary w rogowej oprawie.

- Tak.

- I chcesz latać?

- Nade wszystko - powiedziałem. Zdawało mi się, jakbym na wpuł pamiętał świat, w którym zapomniałem, że chciałem latać. Wydało mi się to równie dziwne, jakbym zapomniał własnego imienia.

- Cóż - rzekł mężczyzna w rogowej oprawie. - Będziemy musieli nagiąć parę przepisów, ale raz dwa pošlemy cię w powietrze. I rzeczywiście.

Następne kilka lat upłynęło bardzo szybko. Miałem wrażenie, jakbym cały czas spędzał w najróżniejszych samolotach, wciśnięty w ciasne kokpity, w fotelach, w których ledwo się mieściłem, naciskając przełączniki za małe dla moich palców.

Uzyskałem dostęp do tajnych danych, potem dostęp na poziomie Noble, który pozostawia tamten w cieniu, i wreszcie na poziomie Graceful - takiego nie ma sam premier. W tym czasie pilotowałem już latające talerze i inne pojazdy poruszające się bez żadnych widocznych elementów napędowych.

Zacząłem się spotykać z dziewczyną imieniem Sandra. Pobraliśmy się, bo po ślubie mogliśmy się wprowadzić do kwater dla małżeństw, pod którą to nazwą krył się przyjemny mały bliźniak niedaleko Dartmoor. Nie mieliśmy dzieci: uprzedzono mnie, że kontakt z promieniowaniem, na który zostałem narażony, mógł uszkodzić moje gonady i uznaliśmy, że zważywszy na okoliczności, lepiej nie decydować się na dzieci. Nie

chcieliśmy stworzyć potworów.

Był rok 1985, gdy do mojego domu wszedł mężczyzna w okularach w rogowej oprawie.

W tym tygodniu żona przebywała u matki. Ostatnio atmosfera zrobiła się dość napięta i Sandra wyprowadziła się, by trochę „odetchnąć”. Twierdziła, że działam jej na nerwy. Ale jeśli komukolwiek działałem na nerwy, to chyba samemu sobie. Przez cały czas odnosiłem wrażenie, że wiem, co się zaraz wydarzy. I nie tylko ja: zupełnie jakby wszyscy wiedzieli co się stanie, jakbyśmy wędrowali niczym lunatycy przez swe życie, po raz dziesiąty, dwudziesty czy setny.

Chciałem powiedzieć o tym Sandrze, ale w głębi duszy wiedziałem, że lepiej tego nie robić, że jeśli otworzę usta, to ją stracę. Wyglądało jednak na to, że i tak ją tracę. Siedziałem zatem w salonie, oglądając *The Tube* na Channel 4, popijając z kubka herbatę i użalając się nad sobą.

Mężczyzna w okularach w rogowej oprawie po prostu wszedł do mego domu jak do własnego. Zerknął na zegarek.

- W porządku - rzekł: - Czas ruszać. Będziesz pilotował coś podobnego do PL-47.

Nawet ludzie z poziomem dostępu Graceful nie powinni byli wiedzieć o istnieniu PL-47. Kilkanaście razy pilotowałem prototyp. Wyglądał jak filizanka, poruszał się jak coś rodem z *Gwiezdnych Wojen*.

- Nie powinienem zostawić kartki Sandrze?

- Nie - odparł stanowczo. - A teraz usiądź na podłodze i zacznij oddychać głęboko, miarowo; wdech, wydech, wdech, wydech.

Nawet nie przyszło mi do głowy się z nim spierać albo nie posłuchać. Usiadłem na podłodze i zacząłem powoli oddychać. Wdech i wydech, i wdech, i wydech, i...

Wdech.

Wydech.

Szarpnięcie. Najgorszy ból, jaki kiedykolwiek czułem. Dusilem się. Wdech. Wydech.

Krzyczałem, ale słyszałem mój własny głos, to nie był krzyk. Uszy wypełniał mi jedynie cichy, bulgoczący jęk. Wdech. Wydech.

Zupełnie jakbym się rodził; nie było to przyjemne ani miłe. Tylko oddychanie pozwoliło mi to przetrwać, przetrwać cały ten ból i ciemność, i bulgot w moich płucach. Otworzyłem oczy. Leżałem na metalowym dysku o średnicy około dwóch i pół metra. Byłem nagi, mokry, otaczała mnie gęstwina kabli, które wycofywały się, oddalały ode mnie niczym spłoszone robaki albo nerwowe, jaskrawokolorowe węże.

Byłem nagi. Spojrzałem w dół na moje ciało - ani śladu włosów, blizn, zmarszczek. Zastanawiałem się, ile tak naprawdę mam lat. Osiemnaście? Dwadzieścia? Nie potrafiłem określić.

W powierzchnię metalowego dysku wbudowano szklany ekran, który zamigotał i ożył. Patrzyłem w twarz mężczyzny w okularach w rogowej oprawie.

- Pamiętasz? - spytał. - W tej chwili powinieneś mieć dostęp do niemal całej swojej pamięci.

- Chyba tak - odparłem.

- Polecisz PL-47 - oznajmił. - Właśnie skończyliśmy go budować. Musieliśmy cofnąć się do pierwszych zasad i pójść naprzód, zmodyfikować część fabryk, by zajęły się produkcją. Jutro skończą następną partię, w tej chwili dysponujemy tylko jednym.

- Zatem, jeśli się nie uda, będziecie mogli mnie zastąpić.

- O ile dożyjemy - odparł. - Jakieś piętnaście minut temu rozpoczęło się kolejne bombardowanie. Zniszczyło niemal całą Australię. Przewidujemy że to wciąż tylko wstęp do prawdziwego ataku.

- Czym do nas strzelają? Głowicami jądrowymi?

- Kamieniami.

- Kamieniami?

- Mhm. Skałami, asteroidami. Wielkimi kamieniami. Uważamy, że jeśli nie poddamy się do jutra, mogą zrzucić na nas Księżyc.

- Żartuje pan.

- Chciałbym. Ekran zgasł.

Metalowy dysk, na którym leciałem, manewrował pośród gąszczy kabli i światła pełnego śpiących, nagich ludzi. Przepłynął nad ostrymi wieżami mikroczipów i łagodnie połyskującymi iglicami krzemowymi.

PL-47 czekał na mnie na szczycie metalowej góry. Małeńkie stalowe kraby krzątały się wokół, polerując i sprawdzając wszystkie sworznie i mocowania.

Wszedłem do środka na nogach grubych jak pnie drzew i wciąż dygoczących, nieprzywykłych do wysiłku. Usiadłem w fotelu pilota, odkrywając z zachwytem, że zbudowano go specjalnie dla mnie. Pasował idealnie. Zapiąłem pasy, moje dłonie rozpoczęły sekwencję wstępną. Przewody wpełzły mi na ręce, poczułem, jak coś podłącza się do podstawy kręgosłupa. Coś innego poruszyło się i podpięło do gniazda na karku.

Moja percepcja statku nagle poszerzyła się gwałtownie. Widziałem go w promieniu trzystu sześćdziesięciu stopni, z góry, z dołu. Byłem statkiem, a jednocześnie nadal siedziałem w kabinie, wprowadzając kody startowe.

- Powodzenia - rzekł mężczyzna w okularach w rogowej oprawie, widoczny na małym ekraniku po lewej.

- Dziękuję. Mogę zadać ostatnie pytanie?

- Nie widzę powodu, czemu nie.

- Dlaczego ja?

- Cóż - odparł. - Krótka odpowiedź brzmi, że zostałeś do tego zaprojektowany. W twoim przypadku poprawiliśmy nieco podstawową ludzką konstrukcję. Jesteś większy. Znacznie szybszy. Szybciej przetwarzasz dane i reagujesz.

- Szybszy? Owszem, jestem duży, ale i niezgrabny.

- Nie w rzeczywistości, jedynie w świecie. Wystartowałem.

Nigdy nie widziałem obcych, jeśli byli tam obcy. Widziałem jednak ich statek. Przypominał grzyb bądź wodorost - organiczny; ogromna, połyskliwa bryła orbitująca wokół Księżyca. Wyglądał jak coś, co rośnie na gnijącym pniu zanurzonym w morzu. Był wielkości Tasmanii.

Trzystukilometrowe, lepkie macki wlokły za nim asteroidy najróżniejszej wielkości. Skojarzył mi się nieco z parzydełkami żeglarza portugalskiego, osobliwej, złożonej morskiej istoty: trzech nierozłącznych organizmów, którym wydaje się, że są całością.

Gdy zbliżyłem się na trzysta tysięcy kilometrów, zaczęli ciskać we mnie skałami.

Moje palce uruchamiały wyrzutnie rakiet, celując w pływające wewnątrz jądro. Jednocześnie zastanawiałem się, co robię. Nie ratowałem wcale znanego mi świata, ten świat był wymysłem, sekwencją zer i jedynek. Jeśli cokolwiek ratowałem, to koszmar...

Ale gdyby koszmar zginął, sen zginąłby wraz z nim.

Była pewna dziewczyna, Susan, pamiętałem ją z widmowego życia, dawno temu. Zastanawiałem się, czy wciąż żyje. (Czy od tego czasu minęło parę godzin? A może parę żywotów?). Przypuszczałem, że wisi gdzieś bezwłosa, pośród kabli, i nie pamięta o nieszczęśliwym olbrzymie-paranoiku.

Znajdowałem się już tak blisko, że widziałem falowanie skóry owej istoty. Skały były teraz mniejsze i coraz celniejsze. Robiłem uniki, skręcałem i uskakiwałem. Jakaś część mnie podziwiała oszczędny zamysł ataku. Żadnych kosztownych środków wybuchowych, konstrukcji laserów czy głowic jądrowych. Jedynie pocziwa stara energia kinetyczna: wielkie skały.

Gdyby któraś z nich trafiła w statek, już bym nie żył. Tak po prostu. Istniał tylko jeden sposób ich uniknięcia, być szybszym. Toteż pędziłem naprzód.

Jądro patrzyło na mnie. To było oko. W jakiś sposób wiedziałem to bez cienia wątpliwości.

Byłem niecałe sto metrów od niego, gdy wystrzeliłem pociski. A potem uciekłem.

Wciąż jeszcze pozostawałem w zasięgu, gdy stwór eksplodował. Przypominało to fajerwerki, piękne w pewien upiorny sposób. A potem nie pozostało nic prócz lekkiego poblasku i pyłu...

- Udało się! - krzyknąłem. - Zrobiłem to! Udało mi się, kurwa! Ekran zamigotał. Spojrzały na mnie okulary w rogowej oprawie, za którymi nie było już prawdziwej twarzy, jedynie ogólne wrażenie troski i zainteresowania, jak na niewyraźnym rysunku.

- Udało ci się - zgodził się głos.

- Gdzie mam tym teraz wylądować? - spytałem. Chwila wahania.

- Nigdzie. Nie zaprojektowaliśmy go do powrotu, to zbędna cecha, której nie potrzebowaliśmy. Zbyt kosztowna z punktu widzenia zasobów.

- To co mam zrobić? Właśnie ocalałem Ziemię, a teraz mam się tu udusić?

Przytaknął.

- Owszem, zgadza się. Tak.

Światła zaczęły gasnąć, kolejne ekraniki ciemniały. Straciłem trzystuszęćdziesięciostopniowe wyczucie statku, pozostałem tylko ja, przypięty do fotela gdzieś w pustce wewnątrz latającej filizanki.

- Ile mam czasu?

- Wyłączamy wszystkie twoje systemy, ale pozostało ci co najmniej parę godzin. Nie usuniemy pozostałego powietrza, to by było niehumanitarne.

- Wiesz, w świecie, z którego pochodzę, daliby mi medal.

- Oczywiście jesteśmy wdzięczni.

- I nie potraficie wyrazić swej wdzięczności w bardziej namacalny sposób?

- Raczej nie. Jesteś tylko częścią. Elementem. Nie możemy cię oplakiwać, tak jak gniazdo os nie oplakuje śmierci jednej osy. Sprowadzenie cię z powrotem byłoby nierozsądne i niepraktyczne.

- A poza tym nie chcecie, by tak uzbrojony statek wrócił na Ziemię, gdzie można by go potencjalnie wykorzystać przeciwko wam.

- Jak powiedziałeś.

A potem ekran zgasł bez słowa pożegnania. Nie regulujcie odbiorników, pomyślałem. Nastąpiła awaria rzeczywistości.

Gdy pozostaje Ci powietrza tylko na parę godzin, zaczynasz myśleć o własnym

oddychaniu. Wdech. Wstrzymać. Wydech. Wstrzymać. Wdech. Wstrzymać. Wydech. Wstrzymać...

Siedziałem tam przypięty do fotela, w półmroku, czekałem i myślałem. W końcu odezwałem się:

- Halo? Jest tam kto?

Sekunda ciszy. Na ekranie zajaśniały wzory.

- Tak?

- Mam prośbę. Posłuchaj, wy - ludzie maszyny, kim tam jesteście - jesteście mi coś winni. Racja? W końcu uratowałem wam życie.

- Kontynuuj.

- Zostało mi parę godzin, tak?

- Około pięćdziesięciu siedmiu minut.

- Czy możecie podłączyć mnie z powrotem... do prawdziwego świata? Tego drugiego. Tego, z którego pochodzę.

- Mhm? Nie wiem, zobaczę. - Znów ciemny ekran.

Siedziałem i oddychałem. Wdech, wydech, wdech, wydech. Czekałem. Ogarnął mnie głęboki spokój. Gdyby nie fakt, że pozostała mi niecała godzina życia, czułbym się świetnie.

Ekran zajaśniał, nie ujrzałem na nim obrazu, wzoru, nic, tylko łagodny blask. Usłyszałem też głos, częściowo w mej głowie, częściowo poza nią, mówiący:

- Zgoda.

Ostry ból u podstawy czaszki, a potem kilka minut czerni. Potem to.

Było to piętnaście lat temu: 1984. Wróciłem do branży komputerowej, jestem właścicielem sklepu komputerowego przy Tottenham Court Road. Piszę to w chwili, gdy zbliża się nowe milenium. Tym razem ożeniłem się z Susan; potrzebowałem paru miesięcy, by ją odnaleźć. Mamy syna.

Dobijam już czterdziestki. Ludzie tacy jak ja zazwyczaj nie żyją dłużej. Nasze serca po prostu się zatrzymują. Gdy będziesz to czytać, będę już martwy, a Ty będziesz o tym wiedziała. Zobacysz trumnę, w której mogłoby się pomieścić dwoje zwykłych ludzi, opuszczaną w głąb grobu.

Ale wiedz jedno, Susan, ukochana: moja prawdziwa trumna krąży wokół Księżyca, wygląda jak latająca filizanka. Na krótką chwilę zwrócili mi świat i Ciebie. Kiedy ostatnio powiedziałem Tobie, czy może komuś bardzo do Ciebie podobnemu, prawdę, a przynajmniej znaną mi część, odeszłaś. Może zresztą to nie byłaś Ty ani ja, ale nie odważę się znów zaryzykować. Zamierzam więc zapisać to wszystko; dostaniesz to z resztą moich dokumentów, gdy odejdę. Żegnaj.

Owszem, to stado bezdusznych, niewrażliwych komputerowych drani, wysysających umysły tego co zostało z ludzkości. Ale i tak jestem im wdzięczny.

Niedługo umrę, lecz ostatnie dwadzieścia minut to były najlepsze lata mojego życia.

KARTKI Z PAMIĘTNIKA ZNALEZIONEGO W PUDEŁKU PO BUTACH W AUTOBUSIE REJSOWYM GDZIEŚ MIĘDZY TULSĄ W STANIE OKLAHOMA I LOUISVILLE W KENTUCKY

Poniedziałek, 28.

Mam wrażenie, że już długo podążam śladem Scarlet. Wczoraj byłam w Las Vegas. Idąc przez parking przy basenie, znalazłam pocztówkę; widniało na niej słowo wypisane szkarłatną szminką. Tylko jedno: *Pamiętaj*. Po drugiej stronie ujrzałam zdjęcie drogi w Montanie.

Nie pamiętam, co dokładnie miałam pamiętać. Znow jestem w drodze. Jadę na północ.

Wtorek, 29.

Jestem w Montanie czy może w Nebrasce; piszę to w motelu. Za oknem mojego pokoju wieje ostry wiatr, a ja popijam czarną motelową kawę. Taką samą będę pić jutro i pojutrze. Dziś w małym barze w miasteczku usłyszałam, jak ktoś wymówił jej imię.

- Scarlet znow jest w drodze - oznajmił mężczyzna.

Był gliniarzem z drogówki. Kiedy się zbliżyłam, nadstawiając ucha, zmienił temat.

Mówił o zderzeniu czołowym. Stłuczone szkło lśniło na drodze niczym diamenty. Zwracał się do mnie uprzejmie „proszę pani”.

Środa, 30.

- Nawet nie sama praca tak bardzo mnie dołuje - powiedziała kobieta - tylko to, jak patrzą na nas ludzie.

Drżała. Była zimna noc, a ona ubrała się stanowczo za lekko.

- Szukam Scarlet - poinformowałam ją.

Uścisnęła moją dłoń, po czym bardzo delikatnie musnęła policzek.

- Szukaj dalej, skarbie - rzekła. - Kiedy będziesz gotowa, znajdziesz ją.

A potem odeszła ulicą, kołyszając biodrami.

Nie byłam już w małym miasteczku. Może w Saint Louis? Jak można stwierdzić, czy jest się w Saint Louis? Szukałam czegoś, czegokolwiek, jakiegoś pomostu łączącego Wschód i Zachód, ale jeśli nawet tam był, to go przeoczyłam.

Później przeprawiłam się przez rzekę.

Czwartek, 31.

Na poboczu rosły dzikie jagody. W krzakach zaplątała się czerwona nitka. Boję się, że szukam czegoś, co już nie istnieje. Może nigdy nie istniało.

Dziś rozmawiałam z kobietą, którą kiedyś kochałam, w kawiarence na pustyni. Jest tam kelnerką, od bardzo, bardzo dawna.

- Sądziłam, że to ja jestem twoim celem - powiedziała. - Wygląda jednak na to, że byłam tylko kolejnym przystankiem po drodze.

Nie umiałam odpowiedzieć niczego, co by sprawiło, że poczułaby się lepiej. Zresztą i tak mnie nie słyszała. Powinnam była spytać, czy wie, gdzie mogę znaleźć Scarlet.

Piątek, 32.

Dziś w nocy śniłam o Scarlet. Była wielka i dzika, i polowała na mnie. W moim śnie

wiedziała jak wygląda. Gdy się ocknęłam, odkryłam, że jestem w furgonetce zaparkowanej na poboczu. Za oknem stał mężczyzna, oświetlał mnie latarką. Powiedział do mnie „proszę pana” i poprosił o dokumenty.

Wyjaśniłam, kim jestem i kogo szukam, a on roześmiał się i odszedł, kręcąc głową; pod nosem nucił piosenkę, której nie znałam. Rano pojechałam furgonetką na południe. Czasami boję się, że wszystko to przeradza się w obsesję. Ona idzie pieszo, ja jadę. Czemu zawsze tak bardzo mnie wyprzedza?

Sobota, 1.

Znalazłam pudełko po butach, w którym trzymam swoje rzeczy. W McDonalddie w Jacksonville zjadłam royala z serem i wypiłam koktajl czekoladowy, i rozłożyłam przed sobą na stole wszystko, co trzymam w pudełku: czerwoną nić z krzaku jagód, pocztówkę, zdjęcie z polaroida, które znalazłam na zarośniętym chaszczy poboczu przy Bulwarze Zachodzącego Słońca - widnieją na nim dwie dziewczynki o zamazanych twarzach, szepczące do siebie sekrety; kasetę audio, trochę złotego pyłu w małej buteleczce - dostałam go w Waszyngtonie - strony wyrwane z książek i czasopism. Żeton z kasyna. Ten dziennik.

- Kiedy umrzesz - oznajmiła ciemnowłosa kobieta przy sąsiednim stoliku - teraz umięją już przerobić cię na diamenty. To proces naukowy. Chcę, by taką mnie właśnie zapamiętano. Chcę błyszczeć.

Niedziela, 2.

Ścieżki, którymi podążają duchy, zapisano w ziemi starymi słowami. Duchy nie nawiedzają autostrad międzystanowych. Chodzą pieszo. Czy to właśnie za duchem podążam? Czasami mam wrażenie, jakbym spoglądała na świat jej oczami. Czasami jakby to ona patrzyła moimi.

Jestem w Wilmington w Karolinie Północnej. Piszę to na pustej plaży, słońce odbija się na powierzchni morza, a ja czuję się taka samotna.

Nie planujemy niczego z góry, lecz wymyślamy na bieżąco. Prawda?

Poniedziałek, 3.

Byłam w Baltimore. Stałam na chodniku w lekkim jesiennym deszczu, zastanawiając się, dokąd zmierzam. Chyba ujrzałam Scarlet w samochodzie. Jechała ku mnie, była pasażerką. Nie widziałam jej twarzy, lecz włosy miała rude. Samochodem, dość starą furgonetką kierowała gruba, radosna kobieta o długich czarnych włosach. Skórę miała ciemną.

Tę noc spędziłam w domu mężczyzny, którego nie znałam.

- Jest w Bostonie - rzekł, gdy się ocknęłam.

- Kto?

- Ta, której szukasz.

Spytałam, skąd wie, ale nie chciał o tym mówić. Po jakimś czasie kazał mi wyjść i

wkrótce potem to zrobiłam. Chcę wrócić do domu. Wróciłabym, gdybym wiedziała, gdzie jest dom. Zamiast tego ruszyłam w drogę.

Wtorek, 4.

W południe, przejeżdżając przez Newark, widziałam kraniec Nowego Jorku, niebo nad nim było już ciemne od pyłu. Wkrótce zniknął w mroku rzucanym przez burzowe chmury. Równie dobrze mógł to być koniec świata.

Sądzę, że świat skończy się w czerni i bieli, jak stary film (włosy czarne jak węgiel, skarbie, skóra biała jak śnieg). Może dopóki mamy kolory, wciąż możemy żyć dalej. (Usta czerwone jak krew, przypominam sobie).

Wczesnym wieczorem dotarłam do Bostonu i odkryłam, że szukam jej w lustrach i odbiciach. Czasami pamiętam dzień, gdy biali ludzie przybyli na te ziemie i gdy czarni ludzie zeszli chwiejnie na ląd w łańcuchach. Pamiętam czasy, kiedy czerwoni ludzie wędrowali po tych ziemiach, kiedy ziemia była jeszcze młoda.

Pamiętam czasy, gdy była sama.

Jak można sprzedać własną matkę? Oto, co powiedzieli pierwsi ludzie, gdy zwrócono się do nich z propozycją sprzedaży ziemi, po której stąpali.

Środa, 5.

Zeszłej nocy rozmawiałam z nią. Jestem pewna, że to była ona. Idąc ulicą w Metairie, w LA, minęłam budkę telefoniczną. Zadzwoił telefon. Podniosłam słuchawkę.

- U ciebie wszystko w porządku? - spytał głos.

- Kto mówi? - zapytałam. - Może to pomyłka?

- Może faktycznie - przyznała. - Ale czy wszystko u ciebie w porządku?

- Nie wiem - rzekłam.

- Wiedz, że jesteś kochana - oznajmiła i zrozumiałam, że to musi być ona.

Chciałam jej powiedzieć, że też ją kocham, ale do tego czasu już się rozłączyła. Jeśli to była ona. Słyszałam ją tylko przez chwilę. Może to faktycznie była pomyłka, ale nie sądzę. Jestem już tak blisko. Kupuję pocztówkę od bezdomnego, który na rozłożonym przed sobą na chodniku kocu ma ich mnóstwo, i piszę na niej szminką *Pamiętaj*, żebym nigdy nie zapomniała. Lecz wtedy znów zrywa się wiatr i unosi ją, a ja wiem, że na razie wciąż muszę iść dalej.

JAK ROZMAWIAĆ Z DZIEWCZYNAMI NA PRYWATKACH

- No chodź - powiedział Vic. - Będzie super.

- Nie będzie - odparłem, choć przegrałem to starcie kilka godzin wcześniej i doskonale o tym wiedziałem.

- Będzie czadowo - powtórzył Vic po raz setny. - Dziewczyny! Dziewczyny! Dziewczyny! - Wyszczерzył w uśmiechu białe zęby.

Obaj chodziliśmy do męskiej szkoły w południowym Londynie. I choć skłamałbym, mówiąc, że nie mieliśmy żadnych doświadczeń z dziewczynami - Vic umawiał się z wieloma, a ja całowałem się z trzema koleżankami mojej siostry - prawdą jest, iż

rozmawialiśmy, kontaktowaliśmy się i w pełni rozumieliśmy jedynie innych chłopaków. No, przynajmniej ja. Trudno występować w czyimś imieniu, a nie widziałem Vica od trzydziestu lat. Nie jestem pewny, czy gdybyśmy się spotkali, wiedziałbym co powiedzieć. Maszerowaliśmy bocznymi uliczkami, które kiedyś się splatały, tworząc zadymiony i brudny labirynt za stacją East Croydon - koleżanka wspomniała Vicowi o prywatce i Vic postanowił na nią pójść, czy mi się to podoba, czy nie. A tak się składa, że się nie podobało. Ale moi rodzice wyjechali na tygodniową konferencję i byłem gościem Vica w jego domu, toteż dreptałem teraz za nim.

- Będzie tak samo jak zawsze - oświadczyłem. - Po godzinie znikniesz gdzieś obściskując się z najładniejszą dziewczyną na imprezie, a ja zostanę w kuchni, słuchając, jak czyjaś mama gada o polityce, poezji czy czymś podobnym.

- Musisz po prostu z nimi rozmawiać - odparł. - To chyba ta ulica, o tam. - Wskazał radośnie ręką, wymachując torbą z tkwiącą w niej butelką.

- Nie wiesz?

- Alison opisała mi wszystko, a ja zanotowałem to na kawałku papieru, tyle że zostawiłem go na stoliku w przedpokoju. Nie ma sprawy, znajdę.

- Jak? - Poczulem, że powoli wzbiera we mnie nadzieja.

- Pójdziemy ulicą - rzekł, jakby zwracał się do opóźnionego dziecka - i poszukamy prywatki. Łatwizna.

Zacząłem szukać, lecz nie dostrzegłem żadnej zabawy: jedynie wąskie domy i rdzewiejące samochody bądź motory stojące w wybetonowanych frontowych ogródkach, oraz zakurzone szklane witryny sklepików z gazetami, pachnących obcymi przyprawami i sprzedających wszystko od kart urodzinowych i używanych komiksów po pisma do tego stopnia pornograficzne, że wystawiano je w zamkniętych foliowych torebkach. Byłem przy tym, gdy Vic wsunął jedno z tych pism pod sweter, ale właściciel złapał go na chodniku na zewnątrz i kazał zwrócić magazyn.

Dotarliśmy do końca ulicy i skręciliśmy w wąską alejkę pełną szeregowców. W ów letni wieczór wszystko wydawało się bardzo puste i nieruchome.

- Dla ciebie to proste - powiedziałem. - Podobasz im się, wcale nie musisz z nimi rozmawiać.

To była prawda, wystarczył jeden łobuzerski uśmiech Vica, by mógł przebierać wśród kandydatek.

- Wcale nie, to nie tak. Po prostu musisz rozmawiać.

Kiedy całowałem się z koleżankami mojej siostry, nie rozmawiałem akurat nimi. Były akurat w pobliżu, siostra zajmowała się czymś innym i znalazły się na mojej orbicie, toteż je pocałowałem. Nie pamiętałem żadnych rozmów. Nie miałem pojęcia co powiedzieć dziewczynie i wyjaśniłem mu to.

- To tylko dziewczyny - rzekł Vic. - Nie pochodzą z innej planety.

W miarę, jak maszerowaliśmy skręcającą łagodnie ulicą, moja nadzieja, że nie zdołamy odnaleźć prywatki, zaczęła słabnąć: z domu przed nami dobiegał niski, pulsujący dźwięk, odgłos muzyki stłumionej przez ściany i drzwi. Była ósma wieczór, nie tak wcześnie, gdy się nie ma jeszcze szesnastu lat. A my nie mieliśmy. Niezupełnie.

Moi rodzice lubili wiedzieć, gdzie jestem. Nie wydaje mi się jednak, by rodzice Vica zbyt często się przejmowali. Był najmłodszym z pięciu chłopców. Już samo to wydawało mi się czymś magicznym: ja miałem zaledwie dwie siostry, obie młodsze, i czułem się

jednocześnie wyjątkowy i samotny. Odkąd pamiętam, pragnąłem mieć brata. Gdy skończyłem trzynaście lat, przestałem wypowiadać życzenia na widok spadających gwiazd bądź pierwszej gwiazdki. Ale kiedy jeszcze to robiłem, nieodmiennie prosiłem o brata.

Skręciliśmy w ogrodzoną ścieżkę i stąpając po fantazyjnych kamieniach, minęliśmy żywopłot oraz samotny krzak różany, docierając do wykładanej kamykami fasady. Nacisnęliśmy dzwonek, drzwi otworzyła dziewczyna. Nie potrafiłem określić ile ma lat; była to jedna z cech dziewcząt, których szczerze nienawidziłem: gdy zaczynamy jako dzieci, jesteśmy tylko chłopcami i dziewczynkami, poruszamy się w czasie z tą samą prędkością i razem mamy pięć, siedem, jedenaście lat. A potem pewnego dnia coś przeskakuje i dziewczyny rzucają się pędem w przyszłość, wyprzedzając nas, i wiedzą już o wszystkim, mają okresy, piersi, makijaż i Bóg jeden wie co jeszcze - ja z pewnością nie wiedziałem. Wykresy w podręcznikach do biologii nie mogły zastąpić bycia prawdziwą dorastającą młodzieżą. A do niej właśnie zaliczały się dziewczyny w naszym wieku.

Vica i mnie nie można było nazwać dorastającą młodzieżą i zaczynałem już przypuszczać, że nawet kiedy będę musiał golić się co dzień zamiast co parę tygodni, wciąż pozostanę z tyłu.

- Słucham - powiedziała dziewczyna.

- Jesteśmy przyjaciółmi Alison - oznajmił Vic.

Poznaliśmy ją, z jej burzą rudoblonde włosów, mnóstwem piegów i złośliwym uśmiechem, w Hamburgu, podczas wymiany uczniowskiej. Jej organizatorzy posłali z nami grupkę dziewcząt z miejscowej szkoły żeńskiej, by zrównoważyć proporcje płci. Dziewczyny, mniej więcej w naszym wieku, były zabawne i głośne, miały prawie dorosłych chłopaków, posiadających własne samochody, posady i motorowery oraz - w przypadku jednej z dziewczyn, ubranej w futro z szopów panny z krzywymi zębami, która opowiedziała mi to ze smutkiem pod koniec prywatki w Hamburgu, oczywiście w kuchni - żonę i dzieci.

- Nie ma jej tu - odparła dziewczyna w drzwiach. - Nie ma żadnej Alison.

- Nie szkodzi. - Vic uśmiechnął się radośnie. - Nazywam się Vic, to jest Enn. - Po sekundzie dziewczyna odpowiedziała uśmiechem. Vic przyniósł w foliowej siatce butelkę białego wina, podwędzoną z szafki rodziców w kuchni. - To gdzie to postawić?

Odsunęła się, wpuszczając nas do środka.

- Z tyłu jest kuchnia - rzekła. - Zostaw wino na stole obok innych butelek.

Miała złote falujące włosy i była bardzo piękna. Widziałem, że jest piękna, mimo że w holu panował półmrok.

- Jak masz na imię? - spytał Vic.

Odparła, że nazywa się Stella, a on uśmiechnął się łobuzersko, błyskając białymi zębami, i oświadczył, że to najpiękniejsze imię, jakie kiedykolwiek słyszał. Zręczny drań. Co gorsza, zabrzmiało to, jakby naprawdę tak myślał.

Vic ruszył do kuchni zostawić wino, a ja zajrzałem do pokoju od frontu, z którego dobiegała muzyka. Tańczyło tam kilka osób. Stella weszła do środka i również zaczęła tańczyć, samotnie kołysząc się w rytm muzyki, a ja ją obserwowałem.

Punk zaczynał wtedy właśnie swe triumfalne podboje. Na naszych adapterach puszczaliśmy The Adverts i The Jam, Stranglers, The Clash i Sex Pistols. U innych na prywatkach słyszało się ELO albo 10cc czy nawet Roxy Music. Może parę kawałków

Bowiego, jeśli akurat mieliśmy szczęście. W czasie niemieckiej wymiany jedyną płytą, na którą wszyscy się zgadzali; był *Harvest* Neila Younga, i jego piosenka *Heart Of Gold* rozbrzmiewała aż do końca wyjazdu. Znajomy refren: „Przebyłem ocean, szukając złotego serca”.

Muzyka dobiegająca z owego pokoju nie przypominała niczego znajomego. Brzmiała trochę jak niemiecki elektroniczny pop grupy Kraftwerk, a trochę jak longplay, który dostałem w prezencie na ostatnie urodziny, z osobliwymi dźwiękami stworzonymi przez warsztaty radiofoniczne BBC. Miała jednak rytm, a pół tuzina dziewczyn w pokoju poruszało się lekko do jego wtóru, choć ja patrzyłem wyłącznie na Stellę. Błyszczała wśród nich.

Vic przecisnął się obok mnie i wszedł do pokoju, w ręce trzymał puszkę piwa.

- W kuchni z tyłu mają alkohole - poinformował mnie.

Podszedł do Stelli i zaczął z nią rozmawiać. Muzyka zagłuszała ich słowa, ale wiedziałem doskonale, że dla mnie nie ma miejsca w tej rozmowie.

Nie lubiłem piwa, nie wtedy. Poszedłem sprawdzić, czy znajdę coś, na co miałbym ochotę. Na kuchennym stole odkryłem dużą butelkę coca-coli; nalałem sobie do plastikowego kubeczka, nie śmiąc nawet odezwać się do dwóch dziewczyn rozmawiających w ciemnej kuchni. Gestykulowały żywo i były urocze. Obie miały bardzo czarną skórę, lśniące włosy i ciuchy gwiazd filmowych. Przemawiały z cudzoziemskim akcentem i nie miałem u nich szans.

Z colą w ręce ruszyłem w głąb domu.

Był szerszy, niż się wydawał, większy i bardziej skomplikowany niż model dwa na dwa, jakiego się spodziewałem. We wszystkich pokojach panował półmrok - wątpię, by w całym budynku znalazła się choć jedna żarówka mocniejsza od czterdziestki - i wszędzie kogoś spotykałem. Według moich wspomnień wyłącznie dziewczyny. Nie poszedłem na górę.

Na oszklonej werandzie także siedziała samotna dziewczyna. Długie i proste włosy miała tak jasne, że wydawały się białe. Siedziała przy stoliku ze szklanym blatem, ze splecionymi dłońmi, wyglądając na ogród i gęstniejący wieczorny mrok. Sprawiała wrażenie smutnej.

- Mógłbym się przysiąść? - spytałem, wskazując kubkiem krzesło.

Pokiwała głową, po czym wzruszyła ramionami na znak, że jej wszystko jedno. Usiadłem. Vic minął drzwi werandy, rozmawiał ze Stellą. Spojrzał jednak na mnie siedzącego przy stole w kokonie nieśmiałości i obaw, po czym otworzył i zacisnął dłoń w żartobliwym geście parodiującym usta. „Rozmawiaj”. Jasne.

- Jesteś stąd? - spytałem dziewczynę.

Pokręciła głową. Miała na sobie mocno wyciętą srebrną bluzkę na ramiączkach. Starąłem się nie gapić na wznórki jej piersi.

- Jak masz na imię? Ja jestem Enn.

- Waina Wainy - odparła, tak to przynajmniej zabrzmiało. -

Jestem druga.

- To, uhm, to dość niezwykle imię.

Przygwoździła mnie spojrzeniem wielkich, błyszczących oczu.

- Oznacza, że moją antenatką także jest Waina, a ja muszę jej słuchać. Nie wolno mi się rozmnażać.

- Ach. No cóż. I tak chyba na to za wcześnie, prawda? Rozłączyła dłonie, uniosła je nad stół, rozcapierzyła palce.

- Widzisz?

Mały palec lewej ręki miała krzywy, na końcu rozszczepiał się na dwa niewielkie koniuszki. Drobną deformacją.

- Gdy mnie ukończono, trzeba było podjąć decyzję, czy mnie zatrzymać, czy wyeliminować. Miałam szczęście, że decyzja okazała się pozytywna. Teraz podróżuję, podczas gdy moje doskonałe siostry pozostają w domu w stazie. One były pierwsze. Ja jestem druga. Wkrótce muszę wrócić do Wainy i opowiedzieć jej o wszystkim, co widziałam, o wszystkich wrażeniach z waszego miejsca.

- Ja nie mieszkam w Croydon - odparłem. - Nie pochodzę stąd. - Zastanawiałem się, czy jest może Amerykanką. Nie miałem pojęcia o czym mówi.

- No właśnie - zgodziła się. - Żadna z nas nie pochodzi stąd. - Nakryła zdrową dłonią tę o sześciu palcach, zupełnie jakby chciała ją ukryć. - Spodziewałam się, że będzie większe, czystsze i barwniejsze. Choć mimo wszystko to klejnot.

Ziewnęła i na moment zakryła usta prawą, zdrową dłonią. Po sekundzie ręka znów spoczęła na stole.

- Jestem już zmęczona podróżami i czasami marzę o tym, by dobiegły końca. Na ulicy w Rio podczas karnawału ujrzałam ich na moście, złocistych, wysokich, owadziokkich i skrzydlatych, i rozradowana o mało nie pobiegłam ich powitać. Wówczas jednak zorientowałam się, że to tylko ludzie w kostiumach. Powiedziałam do Hola Colta: „Czemu tak bardzo starają się wyglądać jak my?”. A Hola Colt odparł: „Bo nienawidzą samych siebie, swych odcieni różu i brązu, i tego, że są tacy mali”. Było to prawdziwe przeżycie, nawet dla mnie, a nie jestem jeszcze dorosła. To coś jak świat dzieci albo elfów. - Uśmiechnęła się i dodała: - Dobrze, że nikt z nich nie widział Hola Colta.

- Uhm - mruknąłem. - Zatańczysz? Natychmiast pokręciła głową.

- To niedozwolone - wyjaśniła. - Nie wolno mi robić niczego, co mogłoby uszkodzić własność Wainy. Należę do niej.

- To może czegoś się napijesz?

- Wody - rzekła.

Wróciłem do kuchni, nalałem sobie kolejną colę i napełniłem kubek wodą z kranu. Kiedy jednak pokonałem korytarz i z powrotem znalazłem się na werandzie, okazało się, że jest pusta.

Pomyślałem, że być może dziewczyna poszła do toalety albo zmieniła zdanie co do tańca. Wróciłem do pokoju od frontu i zajrzałem do środka. Robiło się tłoczno, przybyło tańczących dziewczyn. Pośród nich dostrzegłem kilku nieznanymi mi chłopaków; wszyscy wyglądali na starszych ode mnie i Vica. Wszyscy utrzymywali dystans - prócz Vica, który tańcząc trzymał Stellę za rękę, a kiedy piosenka dobiegła końca, od niechcienia objął ją ramieniem z miną właściciela, pilnującego, by nikt mu jej nie odbił. Zastanawiałem się, czy dziewczyna, z którą rozmawiałem na werandzie, poszła na górę, bo na parterze jej nie było.

Wszedłem do salonu po drugiej stronie korytarza, dokładnie naprzeciwko pokoju, w którym odbywały się tańce, i usiadłem na kanapie. Siedziała tam już jakaś dziewczyna. Miała ciemne, krótko przystrzyżone, nastroszone włosy i sprawiała wrażenie nerwowej.

Rozmawiaj, pomyślałem.

- Uhm, mam tu wolny kubek wody - oznajmiłem. - Napijesz się? Skinęła głową, wyciągnęła rękę i niezwykle ostrożnie odebrała mi kubek, zupełnie jakby nie przywykła do trzymania w dłoniach przedmiotów, jakby nie ufała ani swym oczom, ani rękóm.

- Uwielbiam być turystką - oznajmiła i uśmiechnęła się z wahaniem. Między dwoma przednimi zębami miała szparę. Sączyła wodę z kranu jak dorosły wino. - Podczas ostatniej wycieczki odwiedziliśmy słońce, pływaliliśmy z wielorybami w akwenach słonecznego ognia. Słuchaliśmy ich historii i drżeliśmy z zimna w sferach zewnętrznych. A potem wpływaliliśmy głębiej, gdzie żar rozgrzewał nas i pocieszał.

Chciałam tam wrócić, tym razem naprawdę tego chciałam. Tak wielu rzeczy jeszcze nie widziałam. Zamiast tego odwiedziliśmy świat. Podoba ci się?

- Ale co?

Machnęła ręką, wskazując wszystko wokół - kanapę, fotele, zasłony, niezapalony gazowy kominek.

- Chyba jest w porządku.

- Powiedziałam im, że nie życzę sobie odwiedzać świata - ciągnęła. - Mój rodzic-mentor nie dał się przekonać. „Musisz się jeszcze wiele nauczyć”, powiedział. Odparłam: „Mogłabym nauczyć się więcej w słońcu. Albo w głębinach. Jessa tkła sieci pomiędzy galaktykami. Też chciałabym to robić”.

Ale nie dał się przekonać i przybyłam do świata. Rodzic-mentor ogarnął mnie i znalazłam się tutaj wcielona w gnijącą bryłę mięsa zawieszoną na rusztowaniu z wapnia. Gdy się wcieliłam, poczułam wewnątrz różne rzeczy, trzepoczące, pompujące i pulsujące. Pierwszy raz miałam okazję przepychać powietrze przez usta, wzbudzając po drodze vibracje strun głosowych. I powtarzałam wtedy rodzicowi-mentorowi, że chciałabym umrzeć. To uznana i jedyna strategia odejścia ze świata.

Na ręce miała bransoletkę z czarnych koralu; gdy mówiła, bawiła się nimi.

- Ale tu, w mięsie, kryje się wiedza - oznajmiła - i jestem zdecydowana ją poznać.

Siedzieliśmy na kanapie, bardzo blisko siebie. Postanowiłem objąć ją ramieniem, ot tak, niby przypadkiem. Wyciągnąć rękę na oparcie i powoli przesunąć ją w dół niemal niepostrzeżenie, aż w końcu jej dotknę.

- To coś, gdy do oczu napływa ciecz i świat się rozmazuje - rzekła. - Nikt mi o tym nie mówił i wciąż nie rozumiem. Dotknęłam zakamarków Szeptu i pulsowałam, i latałam z tachionowymi łabędziami, ale wciąż nie rozumiem.

Może nie porażała urodą, ale wydawała się miła, no i była dziewczyną. Zacząłem powoli zsuwać rękę, delikatnie, z wahaniem, by dotknęła jej pleców. A ona nie kazała mi jej zabrać.

W tym momencie z progu zawołał mnie Vic. Stał tam, obejmując ramieniem Stellę, i machał do mnie. Pokręciłem głową, próbując dać mu znać, że coś się święci, ale zawołał mnie po imieniu, więc z wahaniem wstałem i podszedłem do niego.

- Co jest?

- Eee. Posłuchaj. Prywatka - rzekł przeprasającym tonem Vic. - To nie ta, o której myślałem. Rozmawiałem ze Stellą i domyśliłem się, a właściwie to ona mi wyjaśniła. Jesteśmy na innej imprezie.

- Chryste. Mamy kłopoty? Musimy sobie iść?

Stella pokręciła głową. Vic pochylił się i pocałował ją delikatnie w usta.

- Po prostu cieszysz się, że tu jestem, prawda, skarbie?

- Wiesz, że tak - odparła.

Znów spojrzął na mnie i uśmiechnął się szeroko: łobuzersko, czarująco, trochę w stylu przebiegłego oszusta, trochę chłopięcego księcia w lśniącej zbroi.

- Nie martw się, to wszystko turystki z wymiany zagranicznej chwytasz? Tak jak wtedy, gdy pojechaliśmy do Niemiec.

- Naprawdę?

- Enn. Musisz z nimi rozmawiać, a to znaczy, że musisz też ich słuchać. Rozumiesz?

- Już to zrobiłem. Zdążyłem porozmawiać z paroma.

- Do czegoś to doprowadziło?

- Zaczynało, ale mi przerwałeś.

- Przepraszam. Po prostu chciałem, żebyś wiedział. Jasne?

To rzekłszy, poklepał mnie po ramieniu i odszedł ze Stellą. Razem wspięli się po schodach.

Zrozumcie mnie dobrze. W półmroku wszystkie dziewczyny na tej prywatce były urocze, wszystkie miały idealne twarze, i co ważniejsze, owe osobliwe rysy, proporcje, coś co odróżnia prawdziwą piękność od wystawowego manekina. Stella była najładniejsza z nich wszystkich, ale oczywiście należała do Vica. Poszli razem na górę i tak już miało być zawsze.

Tymczasem na kanapie usiadło jeszcze kilka osób. Zaczęły rozmawiać z dziewczyną ze szczerbą między zębami. Ktoś opowiedział dowcip i wszyscy się zaśmiali. Musiałbym przepchnąć się przez nich, by wrócić na miejsce obok niej, a że nie wyglądało na to, by mnie oczekiwała ani przejmowała się moim zniknięciem, wyszedłem na korytarz. Zerknąłem na tańczących i odkryłem, że zastanawiam się, skąd dochodzi muzyka. Nie widziałem żadnego adaptera ani głośników.

Ruszyłem do kuchni.

Kuchnie na prywatkach to świetne miejsca. Nie potrzeba żadnego pretekstu, by tam zajrzeć, a przynajmniej na tej imprezie nie widziałem ani śladu czyjejś matki. Obejrzałem najróżniejsze butelki i puszki stojące na stole, nalałem do plastikowego kubka centymetr pernod i dopełniłem colą. Wrzuciłem parę kostek lodu i pociągnąłem łyk, rozkoszując się słodką goryczką drinka.

- Co pijesz? - To był głos dziewczyny.

- Pernod - odparłem. - Smakuje jak cukierki anyżowe, tyle że jest z alkoholem.

Nie dodałem, że skosztowałem go tylko dlatego, że słyszałem, jak prosi o niego ktoś z tłumu na koncertowej płycie Velvet Underground.

- Mogłabym też spróbować?

Nalałem kolejną porcję, dopełniłem colą, podałem jej. Włosy miała miedzianorude, tańczyły wokół głowy skręcone w ciasne pierścionki. W dzisiejszych czasach rzadko widuje się takie fryzury, ale wówczas były bardzo popularne.

- Jak masz na imię? - spytałem.

- Triolet - odparła.

- Ładnie - rzekłem choć wcale nie byłem tego pewien. Ona natomiast była ładna.

- To rodzaj strofy - oznajmiła z dumą. - Jak ja.

- Jesteś wierszem?

Uśmiechnęła się i odwróciła wzrok, jakby z lękiem. Profil miała niemal idealnie płaski - doskonały grecki nos opadający z czoła prostą linią. Rok wcześniej w szkolnym teatrze graliśmy *Antygonę*. Ja byłem posłańcem, który przynosi Kreonowi wieści o śmierci Antygony.

Nosiliśmy wówczas maski na pół twarzy, które sprawiały, że wyglądaliśmy podobnie. Przyglądając się jej twarzy, pomyślałem o tamtej sztuce i o rysunkach kobiet Barry'ego Smitha w komiksach o Conanie; pięć lat później pomyślałbym raczej o prerafaelitach, Jane Morris i Lizzie Siddall. Ale wtedy miałem tylko piętnaście lat.

- Jesteś wierszem? - powtórzyłem. Przygryzła dolną wargę.

- Jeśli chcesz. Jestem wierszem albo wzorem, albo rasą ludzi, których świat pochłonęło morze.

- To chyba trudne być trzema rzeczami jednocześnie.

- Jak masz na imię?

- Enn.

- Zatem jesteś Enn - odparła. - Jesteś też samcem. I dwunogiem. To chyba trudne być trzema rzeczami jednocześnie?

- Ale to przecież nie są różne rzeczy. To znaczy, nie wykluczają się nawzajem. - Wiele razy natrafiałem na to określenie w książkach, ale przed tamtym wieczorem nigdy nie wymawiałem go głośno i źle zaakcentowałem. *Wykluczają*.

Miała na sobie cienką sukienkę z białego, jedwabistego materiału. Jej oczy były jasnozielone; dziś kolor ten natychmiast przywiódłby mi na myśl barwione szkła kontaktowe, ale to działo się trzydzieści lat temu i wówczas wszystko wyglądało inaczej. Pamiętam, że zastanawiałem się, co Vic i Stella robią na górze. Z pewnością znaleźli się już w jednej z sypialni. Zazdrościłem mu tak bardzo, że to niemal bolało.

Mimo wszystko jednak rozmawiałem z tą dziewczyną, choć gadaliśmy o bzdurach i choć zapewne tak naprawdę wcale nie miała na imię Triolet (mojemu pokoleniu nie nadawano hippisowskich imion: wszystkie Tęcze, Gwiazdy i Promienie Słońca miały wówczas sześć, siedem, osiem lat).

- Wiedzieliśmy, że nadciąga koniec - powiedziała. - Toteż zamknęliśmy wszystko w wierszu, by pokazać wszechświatowi kim byliśmy, czemu istnieliśmy, co mówiliśmy, robiliśmy, o czym myśleliśmy, śniliśmy, czego pragnęliśmy. Zamknęliśmy nasze sny i marzenia w słowach, układając je tak, by żyły wiecznie i nigdy nie zostały zapomniane. A potem wysłaliśmy wiersz jako wzór fal, by czekał w jądrze gwiazdy, nadając swe przesłanie pulsowaniem, wybuchami i szumami spektrum elektromagnetycznego, aż do czasu gdy mieszkańcy światów odległych o tysiąc układów gwiazdnych rozszyfrują ów wzór, odczytają go i znów stanie się wierszem.

- I co się wtedy stało?

Spojrzała na mnie zielonymi oczami, zupełnie jakby patrzyła spod własnej maski Antygony. Lecz jej jasnozielone oczy wydawały się inną, głębszą częścią owej maski.

- Nie można wysłuchać wiersza i się nie zmienić - oświadczyła. - Wysłuchali go i on ich podbił, zawładnął nimi, zamieszkał w każdym z nich. Jego rytmy stały się częścią ich myśli, obrazy na zawsze odmieniły ich przerośnięte, wersety, treści; ambicje stały się ich życiem. W następnym pokoleniu dzieci przychodziły na świat, znając już wiersz, i raczej prędzej niż później w ogóle przestały się rodzić.

Nie było już takiej potrzeby. Pozostał jedynie wiersz, który oblekł ciało i zaczął

rozprzestrzeniać się w ogromie znanego wszechświata.

Przysunąłem się bliżej niej i nasze nogi się dotknęły. Wyraźnie jej to odpowiadało; położyła mi dłoń na ramieniu. Poczułem, jak moją twarz rozjaśnia uśmiech.

- Są miejsca, w których witają nas chętnie - powiedziała Triolet.

- W innych uważają nas za natrętne chwasty albo chorobę, coś co należy poddać natychmiastowej kwarantannie i wyeliminować. Ale gdzie kończy się zaraza, a zaczyna sztuka?

- Nie wiem. - Wciąż się uśmiechałem. Słyszałem obcą muzykę pulsującą, grzmiącą i wibrującą w pokoju od frontu.

I wtedy pochyliła się ku mnie. Przypuszczam, że to był pocałunek... Przypuszczam. W każdym razie przycisnęła usta do mych ust, a potem, zadowolona, wyprostowała się, jakby złożyła na mnie swoje piętno.

- Chciałbyś go posłuchać? - spytała, a ja przytaknąłem, nie wiedząc, co właściwie proponuje, lecz byłem pewien, że potrzebuję wszystkiego, co tylko zechce mi dać.

Zacząła szeptać mi coś do ucha. Poezja ma niezwykłą cechę - od razu można poznać, że coś nią jest, nawet jeśli nie zna się języka. Gdy słyszymy homerycką grekę, nie rozumiejąc ani słowa, wciąż wiemy, że to poezja. Słyszałem wiersze polskie i eskimoskie i wiedziałem czym są, choć nic nie rozumiałem. Jej szept też był taki. Nie znałem języka, lecz słowa przepływały przeze mnie, doskonałe, a oczami duszy ujrzałem wieże ze szkła i diamentów, ludzi o oczach barwy najjaśniejszej zieleni; pod każdą sylabą wyczuwałem niepowstrzymane, nieustępliwe nadciąganie oceanu. Być może pocałowałem ją jak należy. Nie pamiętam. Wiem, że tego chciałem.

A potem Vic zaczął potrząsać mną gwałtownie.

- Chodź! - krzyczał. - Szybko, chodź!

W mojej głowie zacząłem powracać z miejsca odległego o tysiąc mil.

- Idioto, chodź! No rusz się - warknął i zaklął, w jego głosie dźwięczała wściekłość.

Po raz pierwszy tego wieczoru rozpoznałem jedną z piosenek rozbrzmiewających w pokoju od frontu. Smutne zawroscenie saksofonu, a potem kaskada dźwięcznych akordów. Męski głos śpiewający strofy o synach milczącego wieku. Chciałem zostać i posłuchać tej piosenki.

- Jeszcze nie skończyłam - powiedziała Triolet. - Jest mnie więcej.

- Przykro mi, ślicznotko - rzekł Vic, ale już się nie uśmiechał. - Będzie jeszcze okazja - dodał, po czym chwycił mnie za łokieć, przekreślił i zaczął ciągnąć, wywlekając za drzwi.

Nie stawiałem oporu. Wiedziałem z doświadczenia, że jeśli Vic naprawdę zechce, potrafi skopać mnie na miazgę. Nie zrobiłby tego, chyba że byłby zdenerwowany albo wściekły, lecz w tym momencie kipiał wściekłością.

Przeszliśmy przez korytarz. Gdy Vic otwierał drzwi, obejrzałem się po raz ostatni przez ramię, z nadzieją że ujrzę Triolet w wejściu do kuchni. Ale nie. Zobaczyłem natomiast Stellę na szczycie schodów. Patrzyła w dół, na Vica, a ja ujrzałem jej twarz.

Wszystko to działo się trzydzieści lat temu. Wiele zapomniałem i zapomnę jeszcze więcej, a w końcu zapomnę wszystko. Jeśli jednak mam jakąkolwiek nadzieję na istnienie życia po śmierci, nie zawdzięczam jej psalmom i hymnom, lecz temu: nie mogę uwierzyć, że kiedykolwiek zapomnę tę chwilę i wyraz twarzy Stelli patrzącej, jak Vic od niej ucieka. Nawet w chwili śmierci będę to pamiętał.

Ubranie miała w nieładzie, twarz pokrywały smugi makijażu, a jej oczy...

Nie chcielibyście rozżłościć wszechświata. Założę się, że rozgniewany wszechświat patrzyłby na was takimi właśnie oczami.

I wtedy pobiegliśmy z Vikiem, byle dalej od prywatki turystek i zmierzchu. Biegliśmy, jakby ścigała nas burza, szaleńczo, na oślep, płataniną ulic, przez labirynt. I nie oglądaliśmy się za siebie, nie zatrzymywaliśmy się, aż w końcu nie mogliśmy już oddychać. Wówczas dopiero przystanęliśmy, dysząc, niezdolni biec dalej, wszystko nas bolało. Oparłem się o ścianę, a Vic zwymiotował obficie do rynsztoka.

Otarł usta.

- Ona nie była... - Urwał. Pokręcił głową.

Potem rzekł.

- Wiesz... Jest coś takiego. Kiedy posunąłeś się tak daleko jak śmiałeś i gdybyś poszedł dalej, nie byłbyś już sobą? Stałbyś się człowiekiem, który to zrobił? Są miejsca, w które nie możemy pójść... I myślę, że coś takiego spotkało mnie dzisiaj.

Sądziłem, że wiem o czym mówi.

- Chcesz powiedzieć, że ją przeleciałeś?

Rąbnął mnie kostkami w skroń i przekręcił gwałtownie. Zastanawiałem się, czy będę się musiał z nim bić - i przegrać - lecz po chwili opuścił rękę i odszedł na bok, wydając z siebie dziwny zdławiony dźwięk.

Spojrzałem na niego zaciekawiony i zrozumiałem, że płacze: twarz miał czerwoną, po policzkach spływały łzy i śluz. Vic szlochał na ulicy rozpaczliwie i otwarcie jak mały chłopczyk. I wtedy odszedł ode mnie, z trzęsącymi się ramionami, maszerując szybko ulicą tak, by pozostać przede mną i bym nie widział jego twarzy. Byłem ciekaw, co takiego wydarzyło się w pokoju na górze, że zachowywał się w ten sposób. Co tak bardzo go przeraziło? Nie potrafiłem odgadnąć.

Latarnie zaczęły zapalać się kolejno. Vic, potykając się, szedł naprzód, a ja dreptałem za nim ulicą w mroku, wystukując stopami rytm wiersza, którego, choć bardzo się starałem, nie potrafiłem sobie przypomnieć i którego nigdy nie zdołam powtórzyć.

DZIEŃ, W KTÓRYM PRZYBYŁY SPODKI

Owego dnia wylądowały spodki. Setki złotych spodków opadły w ciszy z nieba jak wielkie płatki śniegu, A mieszkańcy Ziemi stali zapatrzeni, z otwartymi ustami czekając na to, co kryje się w środku, I nikt z nas nie wiedział, czy jutro jeszcze tu będziemy, Ale Ty nic nie zauważyłaś, bo ów dzień, w którym przybyły spodki, dziwnym zrzędzeniem losu był też dniem, kiedy groby wypluły umarłych i zombi przebiły się poprzez miękką ziemię, a niektóre wypadły z niej, chwiejne, tępe, niestrudzone, Ruszyły ku nam, żywym, a my uciekliśmy z krzykiem, Ale Ty nic nie zauważyłaś, bo w dzień spodków, będącym też dniem zombi, nastął Ragnarok, i na ekranach telewizorów ujrzeliśmy Statek z paznokci martwych mężów, węża, wilka, Większych, niż jest zdolny ogarnąć umysł; operator Nie zdołał odejść dość daleko, a potem przybyli bogowie, Ale Ty nie dostrzegłaś ich nadejścia, bo w dzień spodków-zombi-walczących bogów puściły bariery i wszystkich nas opadły chmary duszków i dżinów, proponujących spełnienie życzeń, cuda, wieczne życie, Urodę, mądrość, mężne wierne serca i garnki ze złotem. Olbrzymy tramtadrały po wsiach obok pszczoł-morderców, Lecz Ty nie miałaś o tym pojęcia, bo owego dnia, dnia spodków i zombi, dnia dżinów i Ragnaroku, dnia, kiedy zerwały się wiatry i spadły

śniegi, a miasta zmieniły się w kryształ, dnia kiedy Umarły wszystkie rośliny, a plastik się rozpuścił, dnia kiedy Komputery zwróciły się przeciw nam, pisząc na ekranach, że Mamy być posłuszni, dnia, kiedy pijane, otepiałe anioły chwiejnie opuszczały bary, i zagrały wszystkie londyńskie dzwony, dnia, kiedy Zwierzęta przemówiły do nas po asyryjsku, dnia yeti, Trzepoczących peleryn i przybycia wehikułu czasu, Nie zauważyłaś nic z tego, bo siedziałaś w swym pokoju i nic nie robiłaś, Nawet nie czytałaś, o nie, tylko wbijałaś wzrok w telefon, Zastanawiając się, czy zadzwonię.

PTAK SŁOŃCA

W owych czasach Klub Epikurejczyków tworzyła bogata, hałaśliwa grupka ludzi, którzy z całą pewnością umieli się bawić. Było ich pięcioro:

Po pierwsze, Augustus Dwa Pióra McCoy, rosły za trzech, jedzący za czterech i pijący za pięciu. Jego prapradziadek założył Klub Epikurejczyków, wykorzystując do tego celu wpływy z tontyny; wcześniej dołożył wielkich starań, by bardzo tradycyjnymi metodami zapewnić sobie pełną wypłatę owych rent.

Po drugie, profesor Mandalay, drobny, nerwowy i szary jak duch (właściwie może i był duchem, zdarzały się już dziwniejsze rzeczy), który pijał wyłącznie wodę i jadał porcyjki dla lalek z talerzy wielkości spodków. Nie trzeba jednak apetytu, by być prawdziwym smakoszem, a Mandalay zawsze umiał trafić w samo sedno, opisując każdą potrawę, którą przed nim stawiano.

Po trzecie, Virginia Boote, recenzentka i krytyk kulinarny, która niegdyś była wielką pięknoscią, a teraz zamieniła się we wspaniałą, wyniosłą ruinę i zachwycała ją ta przemiana.

Po czwarte, Jackie Newhouse, potomek (z bardzo nieprawego łoża) wielkiego kochanka, smakosza, skrzypka i szermierza Giacomo Casanovy. Jackie Newhouse, podobnie jak jego niesławny przodek, złamał w swym życiu wiele serc i zjadł wiele wspaniałych posiłków.

I wreszcie po piąte, Zebediah T. Crawcrustle, który jako jedyny z Epikurejczyków był kompletnie bez grosza: nieogolony, wprost z ulicy wchodził, zataczając się, na ich spotkania, z do połowy opróżnioną flaszka bimbru w brązowej, papierowej torebce, bez kapelusza, płaszcza i nazbyt często bez koszuli. Lecz zajadał z większym apetytem niż wszyscy pozostali.

Przemawiał właśnie Augustus Dwa Pióra McCoy.

- Zjedliśmy już wszystko, co można było zjeść - oznajmił i w jego głosie zadźwięczał żal i przejmujący smutek. - Jedliśmy sępa, kreta i nietoperza owocowego.

Mandalay zerknął do notatnika.

- Sęp smakował jak zepsuty bażant. Kret jak padlinożerne ślimaki. Nietoperz owocowy zupełnie jak słodka świnka morska.

- Jedliśmy kakopo, aye-aye i pandę... Och, ten grillowany stek z pandy. - Virginia Boote westchnęła. Na samo wspomnienie do ust napłynęła jej ślinka.

- Jedliśmy kilkanaście dawno wymarłych gatunków - ciągnął Augustus Dwa Pióra McCoy. - Zamarzniętego żywca mamuta i olbrzymiego leniwca z Patagonii.

- Gdybyśmy tylko zdobyli mamuta nieco szybciej - dodał Jackie Newhouse. - Potrafię jednak wyjaśnić, czemu włochate słonie wymarły tak szybko. Wystarczyło, by ludzie ich

skosztowali. Jestem człowiekiem o wyrafinowanym guście, lecz już po pierwszym kęsie myślałem tylko o sosie barbecue z Kansas i o tym, jak smakowałyby świeże mamucie żeberka.

- Przemrożenie przez parę tysięcy lat to nic zdroźnego. - Zebediah T. Crawcrustle uśmiechnął się. Owszem, zęby miał krzywe, ale mocne i ostre. - Ale prawdziwi smakosze wybierali porządnego mastodonta. Mamutem zadowalali się ci, którzy nie mogli upolować mastodonta.

- Zjedliśmy kalmary, kałamarnice i krakeny - ciągnął Augustus Dwa Pióra McCoy. - Jedliśmy lemmingi i wilki tasmańskie. Jedliśmy altanniki, ortolany i pawie. Jedliśmy ryby delfinie (nie mylić z delfinami ssakami), olbrzymie żółwie morskie i nosorożce sumatrzańskie. Jedliśmy wszystko, co można było zjeść.

- Nonsens. Są jeszcze setki rzeczy, których dotąd nie skosztowaliśmy - zaprotestował profesor Mandalay. - Może tysiące. Pomyślcie choćby o wszystkich gatunkach chrząszczy, których nie spróbowaliśmy.

- Och, Mandy - westchnęła Virginia Boote. - Gdy raz się skosztowało jednego chrząszcza, to zna się je wszystkie, a my próbowaliśmy kilkuset gatunków. Przynajmniej gnojniki miały wyrazisty smak.

- Nie - wtrącił Jackie Newhouse. - To kulki gnojników miały smak. Same żuki były wyjątkowo nieciekawe. Mimo wszystko jednak zgadzam się. Wspięliśmy się na wyżyny gastronomii, zgłębiliśmy otchłanie smaku, staliśmy się kosmonautami badającymi niewyobrażalne światy rozkoszy podniebienia.

- To prawda, prawda - przytaknął Augustus Dwa Pióra McCoy. - Od ponad stu pięćdziesięciu lat, w czasach mojego ojca, dziadka i pradziadka, co miesiąc odbywało się spotkanie Epikurejczyków. Teraz jednak lękam się, że będę musiał zakończyć działanie klubu, bo nie zostało już nic, czego byśmy nie jedli: my bądź nasi klubowi przodkowie.

- Żałuję, że nie żyłam w latach dwudziestych - mruknęła Virginia Boote - kiedy legalnie mieli w jadłospisie ludzinę.

- Tylko po usmażeniu w fotelu elektrycznym - odparł Zebediah T. Crawcrustle. - Na wpeł upieczona, zwęglona, trzeszcząca. Nikt z nas nie nabrał po niej apetytu na ludzkie mięso, prócz jednego, który już wcześniej przejawiał podobne skłonności, a on w krótkim czasie i tak pożegnał się z nami.

- Och, Crusty, czemu zawsze udajesz, że tam byłeś? - Virginia Boote ziewnęła. - Każdy przecież widzi, że nie jesteś aż taki stary. Masz najwyżej sześćdziesiąt lat, nawet biorąc pod uwagę zniszczenia poczynione przez czas i rynsztoki.

- Owszem, niszczą całkiem nieźle - przyznał Zebediah T. Crawcrustle. - Ale nie tak bardzo, jak przypuszczasz. Poza tym wciąż pozostało mnóstwo rzeczy, których nie skosztowaliśmy.

- Wymień choć jedną - rzucił Mandalay z ołówkiem uniesionym w gotowości tuż nad notatnikiem.

- Chociażby ptak słońca z Miasta Słońca - odparł Zebediah T. Crawcrustle, po czym uśmiechnął się do nich krzywo.

- Nigdy o nim nie słyszałem - przyznał Jackie Newhouse. - Wymyśliłeś go sobie.

- Ja słyszałem - rzekł profesor Mandalay. - Ale w innym kontekście. A poza tym to stworzenie fantastyczne.

- Jednorożce są fantastyczne - przypomniała Virginia Boote. - Ale, jak rany, ten comber z

jednorożca w sosie tatarskim był przepyszny. Smakował trochę jak konina, trochę jak koźle, a kapary i surowe przepiórcze jaja pasowały idealnie.

- W rejestrach Klubu Epikurejczyków z dawnych lat jest wzmianka o ptaku słońca - oznajmił Augustus Dwa Pióra McCoy. - Ale nie pamiętam już, co to było.

- Pisali, jak smakuje? - zainteresowała się Virginia.

- Nie wydaje mi się. - Augustus zmarszczył brwi. - Oczywiście będę musiał przejrzeć oprawione roczniki.

- Nie - mruknął Zebediah T. Crawcrustle. - Ta informacja jest w spalonych tomach. Niczego się z niej nie dowiesz.

Augustus Dwa Pióra McCoy podrapał się po głowie. Naprawdę miał dwa pióra, wpięte w węzeł czarnych włosów przetykanych srebrem, upleciony z tyłu głowy. Same pióra, niegdyś złote, teraz wyglądały dość pospolicie, żółte i wystrzępione. Dostał je jeszcze jako chłopiec.

- Chrząszcze - powtórzył z uporem profesor Mandalay. - Kiedyś wyliczyłem, że gdyby ktoś taki jak ja miał spożyć co dzień sześć różnych gatunków chrząszczy, potrzebowałby ponad dwudziestu lat, by zjeść wszystkie znane nauce. A przez te dwadzieścia lat z pewnością zostałyby odkryte nowe, pozwalające mu jeść dalsze pięć lat. A w ciągu tych pięciu lat odkryto by dość chrząszczy, by mógł się wyżywić kolejne dwa i pół roku i tak dalej, i dalej. To paradoks niewyczerpania. Nazwałem go chrząszczem Mandalaya. Tyle że trzeba by bardzo lubić chrząszcze - dodał. - Inaczej byłoby to naprawdę okropne życie.

- Nie ma nic złego w jedzeniu chrząszczy, jeśli tylko to odpowiednie chrząszcze - wtrącił Zebediah T. Crawcrustle. - W tej chwili mam apetyt na świetliki. Blask świetlika ma w sobie kopa, którego akurat mi trzeba.

- Choć świetlik, zwany też robaczką świętojańską (*Photinus pyralis*), to bardziej chrząszcz niż robak - powiedział Mandalay - w żadnym razie nie są one jadalne.

- Może i nie są jadalne - przyznał Crawcrustle - ale pozwalają uzyskać odpowiednią formę. Chyba upiekę sobie porcyjkę. Świetliki i papryczki habanero.

Virginia Boote była niezwykle praktyczną niewiastą.

- Założmy, że chcielibyśmy skosztować ptaka słońca z Miasta Słońca. Gdzie mielibyśmy go szukać?

Zebediah T. Crawcrustle podrapał się po zjeżonym siedmiodniowym zarostie pokrywającym podbródek (zarost nigdy nie był dłuższy, jak przystało na siedmiodniową brodę).

- Na waszym miejscu - oświadczył - wybrałbym się do Miasta Słońca w południe, w najdłuższy dzień lata, poszukał wygodnej knajpki - na przykład kafejki Mustafy Stroheima - i zaczekał, aż zjawi się ptak słońca. Następnie złapałbym go w tradycyjny sposób i przyrządził, również w sposób tradycyjny.

- A w jakim to tradycyjny sposób się go łapie? - wtrącił Jackie Newhouse.

- Dokładnie tak samo, jak twój słynny przodek kłusował przepiórki i cietrzewie - rzekł Crawcrustle.

- W pamiętnikach Casanovy nie ma nic na temat kłusowania przepiórek - rzekł Jackie Newhouse.

- Twój przodek był człowiekiem bardzo zajęтым - rzekł Zebediah T. Crawcrustle. - Trudno oczekiwać, by zapisywał wszystko. Ale w swoim czasie często kłusował i upolował niejedną przepiórkę.

- Suszone ziarno i jagody nasączone whisky - wtrącił Augustus Dwa Pióra McCoy. - Tak właśnie robili to nasi ludzie.

- Dokładnie tak jak Casanova - dodał Crawcrustle. - Choć on używał jęczmienia zmieszanego z rodzynkami, a rodzynki moczył w koniaku. Sam mnie tego nauczył.

Jackie Newhouse puścił tę uwagę mimo uszu. Łatwo było puszczać mimo uszu większość słów Zebediaha T. Crawcrustle'a. Zamiast tego spytał:

- A gdzie jest kafejka Mustafy Stroheima w Mieście Słońca?

- Ależ tam gdzie zawsze: trzecia uliczka za starym targiem w dzielnicy Miasta Słońca, tuż przed starym rowem melioracyjnym, będącym niegdyś kanałem nawadniającym. A jeśli znajdziesz się przed kramem z dywanami należącym do jednookiego Khajama, to znaczy, że zaszedłeś za daleko - rzekł Crawcrustle. - Lecz z wyrazu irytacji widocznego na waszych twarzach pojmuję, że oczekiwaliście mniej barwnego i dokładnego opisu. Doskonale. Kafejka jest w

Mieście Słońca, a Miasto Słońca w Kairze, w Egipcie, tam gdzie zawsze. Czy niemal zawsze.

- A któż opłaci ekspedycję do Miasta Słońca? - spytał Augustus Dwa Pióra McCoy. - I kto wyruszy w rzeczoną ekspedycję? Pytam, choć znam już odpowiedź i wcale mi się ona nie podoba.

- Ależ ty za nią zapłacisz, Augustusie, a pojedziemy wszyscy - odparł Zebediah T. Crawcrustle. - Możesz to odliczyć od członkowskich składek Epikurejczyków. A ja zabiorę kuchenny fartuch i utensylia.

Augustus wiedział doskonale, że Crawcrustle od stanowczo zbyt dawna nie płacił swych składek członkowskich. Lecz Klub Epikurejczyków i tak je pokrywał. Crawcrustle był członkiem klubu w czasach ojca Augustusa.

- A kiedy wyruszymy? - spytał tylko.

Crawcrustle zmierzył go spojrzeniem szalonych oczu i wyraźnie zawiedziony pokręcił głową.

- Ależ, Augustusie - rzekł - jedziemy do Miasta Słońca, by schwytać ptaka słońca. Kiedy zatem możemy wyruszyć?

- W dzień słońca! - wykrzyknęła Virginia Boote. - Moi drodzy, wyjeżdżamy w niedzielę!

- Jest jeszcze dla ciebie nadzieja, młoda damo - mruknął Zebediah T. Crawcrustle. - Istotnie, wyruszymy w niedzielę, trzy niedziele od dzisiaj. I pojedziemy do Egiptu. Kilka dni będziemy polować i chwytać niezwykle rzadkiego ptaka słońca z Miasta Słońca, aż w końcu załatwimy sprawę w tradycyjny sposób.

Profesor Mandalay zamrugął; było to drobne, szare mrugnięcie.

- Ale - zaprotestował - w poniedziałki mam przecież zajęcia. W poniedziałki uczę mitologii, we wtorki stepowania, a w środy obróbki drewna.

- Każ asystentowi zająć się studentami, Mandalay, o Mandalay. W poniedziałek będziesz

polował na ptaka słońca - odparł Zebediah T. Cawcrustle. - Ilu profesorów może to o sobie powiedzieć?

Potem wszyscy kolejno składali wizyty Cawcrustle'owi, by przedyskutować czekającą ich wyprawę i oznajmić, że dręczy ich niepokój.

Zebediah T. Cawcrustle nie miał stałej siedziby. Istniały jednak miejsca, gdzie można go było znaleźć, jeśli tylko człowiekowi naprawdę na tym zależało. Wczesnym rankiem sypiał na dworcu autobusowym - ławki były tam wygodne, a miejscowa policja zwykle mu się nie naprzykrzała; w upalne popołudnia przesiadywał w parku obok pomników dawno zapomnianych generałów, wśród pijaczków, ochlapusów i moczymord, smakując ich towarzystwo i zawartość butelek, a także przedstawiając swe opinie, jak przystało na Epikurejczyka, zawsze szanowane i przemyślane, choć nie zawsze mile widziane.

Augustus Dwa Pióra McCoy odszukał Cawcrustle'a w parku. Zabrał ze sobą swą córkę Hollyberry Bez Piór McCoy. Była mała, lecz bystra i ostra jak rekini ząb.

- Wiesz - zaczął Augustus. - Jest w tym coś bardzo znajomego.

- W czym? - zdziwił się Zebediah.

- W tym wszystkim. Ekspedycji do Egiptu, ptaku słońca. Miałem wrażenie, jakbym już kiedyś o tym słyszał.

Cawcrustle jedynie przytaknął. Pochrupywał coś z brązowej papierowej torebki.

- Wyszukałem oprowione roczniki Klubu Epikurejczyków i sprawdziłem. Istotnie w indeksie sprzed czterdziestu lat znalazłem coś, co uznałem za wzmiankę o ptaku słońca. Jednak niczego więcej się nie dowiedziałem.

- A czemuż to? - spytał Zebediah T. Cawcrustle, przelękając głośno.

Augustus Dwa Pióra McCoy westchnął.

- Znalazłem odpowiednią stronicę w rocznikach, była jednak spalona, a potem wśród administracji Klubu Epikurejczyków wybuchło spore zamieszanie.

- Je pan świetliki z papierowej torby - wtrąciła Hollyberry Bez Piór McCoy. - Widziałam.

- Istotnie, młoda damo - przyznał Zebediah T. Cawcrustle.

- Pamiętasz czasy owego zamieszania, Cawcrustle? - spytał Augustus.

- Istotnie - rzekł Cawcrustle. - I pamiętam też ciebie. Byłeś wtedy w wieku obecnej tu młodej Hollyberry. Ale też wciąż wybucha zamieszanie, Augustusie, a potem się kończy. To jak wschód i zachód słońca.

Jackie Newhouse i profesor Mandalay znaleźli Cawcrustle'a tego samego wieczoru, za torami. Piekł coś w blaszanej puszcze nad ogniskiem z węgla drzewnego.

- Co pieczesz, Cawcrustle? - zainteresował się Newhouse.

- Więcej węgla drzewnego - wyjaśnił Cawcrustle. - Oczyszcza krew, odświeża ducha.

Na dnie puszek leżały drobne odłamki drewna orzecha i lipy, dymiące i pocerniałe.

- Naprawdę zamierzasz zjeść ten węgiel drzewny? - wtrącił profesor Mandalay.

W odpowiedzi Cawcrustle oblizał palce i wziął z puszek bryłkę węgla, która zasyczała i zaskwierczała mu w dłoni.

- Świetna sztuczka - przyznał profesor Mandalay. - Jak się zdaje, tak właśnie czynią połykacze ognia.

Crawcrustle wsunął do ust węgiel drzewny i zmiażdżył go między starymi, krzywymi zębami.

- Istotnie - rzekł. - Istotnie. Jackie Newhouse odchrząknął.

- Po prawdzie - zaczął - profesor Mandalay i ja mamy poważne obawy co do czekającej nas podróży.

Zebediah spokojnie przeżuwał swój węgiel drzewny.

- Nie dość gorący - rzekł. Wyciągnął z ogniska patyk i odgryzł rozżarzony pomarańczowy koniuszek. - Tak lepiej - dodał.

- To wszystko złudzenie - uciał Jackie Newhouse.

- Z całą pewnością nie - odparł wyniośle Zebediah T. Crawcrustle. - To kolczasty wiąz.

- Mam niezwykle poważne obawy co do tego wszystkiego - ciągnął Jackie Newhouse. - Odziedziczyłem po przodkach doskonały zmysł samozachowawczy. Dzięki niemu często pozostawaliśmy dygoczący na dachach bądź ukrywaliśmy się w rzekach - o jeden krok od funkcjonariuszy prawa bądź dżentelmenów z bronią i uzasadnionymi pretensjami. I ten właśnie instykt samozachowawczy podpowiada mi, bym nie jechał z wami do Miasta Słońca.

- Jestem naukowcem - oznajmił profesor Mandalay - toteż nie mam żadnych wyczulonych zmysłów, które mógłby pojąć ktoś, kto nie musiał nigdy oceniać referatów, nie przeczytawszy ani słowa. Mimo to jednak cała ta sprawa wydaje mi się wybitnie podejrzana. Jeśli ptak słońca jest aż tak smakowity, czemu wcześniej o nim nie słyszałem?

- Słyszałeś, Mandy, stary marudo, słyszałeś - odparł Zebediah T. Crawcrustle.

- Poza tym jestem ekspertem w dziedzinie geografii, znam wszystkie miejsca od Tulsy w Oklahomie po Timbuktu - podjął profesor Mandalay. - A jednak nigdzie, w żadnej książce nie znalazłem wzmianki o Mieście Słońca w Kairze.

- Wzmianki? Uczyłeś przecież o nim. - Crawcrustle połał kolejną bryłkę dymiącego węgla drzewnego ostrym sosem, po czym wsunął do ust i schrupał.

- Nie wierzę, że naprawdę to jesz - oświadczył Jackie Newhouse.

- Ale samo oglądanie tej sztuczki wystarczy, by wzbudzić mój niesmak. Chyba już czas, abym się oddalił.

I odszedł. Być może profesor Mandalay odszedł wraz z nim. Był taki szary i widmowy, że nigdy nie dało się do końca stwierdzić, czy gdzieś jest, czy nie.

Virginia Boote potknęła się o Zebediaha T. Crawcrustle'a nad ranem, we własnych drzwiach. Wracła z restauracji, którą musiała ocenić. Wsiadła z taksówki, potknęła się o Crawcrustle'a i upadła jak długa. Wylądowała obok niego.

- Juhu! - wykrzyknęła. - Niezły lot, prawda?

- W rzeczy samej, Virginio - przyznał Zebediah T. Crawcrustle. - Nie masz przypadkiem przy sobie pudełka zapalek?

- Mam gdzieś zapalki. - Zaczęła grzebać w torbie, bardzo dużej i bardzo brązowej. - O, proszę.

Zebediah T. Crawcrustle trzymał w dłoni butelkę fioletowego denaturatu. Nalał go sobie do plastikowego kubka.

- Denaturat? - zdziwiła się Virginia Boote. - Nigdy nie przypuszczałam, że możesz pić denaturat, Zebby.

- Bo nie pijam - odparł Crawcrustle. - To paskudztwo, gniją od niego wnętrzności i psują

się kubki smakowe. Ale o tej porze nie mogłem znaleźć żadnego innego płynu na rozpalkę.

Zapalił zapałkę i opuścił ją tuż nad powierzchnię alkoholu, który zaczął płonąć migotliwym ogniem. Zebediah zjadł zapałkę, potem przepłukał usta płonącym płynem i wydmuchnął na ulicę potężny płomień, paląc przy okazji przyniesioną wiatrem gazetę.

- Crusty - upomniała go Virginia Boote - uważaj. W ten sposób łatwo się zabić.

Zebediah T. Crawcrustle uśmiechnął się, odsłaniając poczerwiałe zęby.

- Nie piję go - wyjaśnił. - Po prostu przepłukuję usta i wypluwam.

- Igrasz z ogniem - ostrzegła go.

- Dzięki temu wiem, że żyję.

- Och, Zeb - mruknęła Virginia. - Jestem taka podekscytowana, tak bardzo podekscytowana. Jak myślisz, jak smakuje ptak słońca?

- Jest ostrzejszy niż przepiórka i bardziej soczysty od indyka, tłustszy od strusia i bardziej kruchy od kaczki - odparł Zebediah T. Crawcrustle. - Gdy raz go skosztujesz, nigdy już nie zapomnisz.

- Jedziemy do Egiptu - mruknęła. - Nigdy nie byłam w Egipcie. - Po chwili dodała: - Masz gdzie zanoć?

Zakasłał i ów cichy dźwięk odbił się grzechotliwym echem w jego starej piersi.

- Robię się za stary, by sypiać w bramach i rynsztokach - odparł.

- Ale wciąż mam swoją dumę.

- No cóż. - Zerknęła na niego. - Mógłbyś przespać się u mnie na kanapie.

- Nie pomyśl sobie, że nie jestem wdzięczny za propozycję - powiedział. - Ale na dworcu autobusowym mam ławkę z moim nazwiskiem.

To rzekłszy, odepchnął się od ściany i podreptał majestatycznie w głąb ulicy.

Na dworcu autobusowym istotnie stała ławka z jego nazwiskiem.

Ufundował ją w czasach, gdy był bogaty, i z tyłu oparcia wciąż tkwiła niewielka mosięzna plakietka, upamiętniająca nazwisko darczyńcy. Zebediah T. Crawcrustle nie zawsze był biedny. Czasami bywał bogaty, ale z trudem przychodziło mu utrzymanie majątku. A gdy go zdobywał, odkrywał, że świat nie patrzy zbyt przychylnie na bogaczy stołujących się w jadłodajniach dla bezdomnych i na torowiskach, czy zadających z pijaczkami w parkach. Przepuszczał zatem pieniądze jak najszybciej umiał. Zawsze jednak tu i tam pozostawały resztki, o których zapominał. Czasami zapominał też, że nie lubi być bogaty, znów wyruszał na poszukiwanie fortuny i ją znajdował.

Od tygodnia się nie golił i włoski siedmiodniowej brody zaczynały odcinać się od skóry śnieżną bielą.

Epikurejczycy wyruszyli do Egiptu w niedzielę. Było ich pięcioro. Hollyberry Bez Piór McCoy pomachała im na pożegnanie na lotnisku. Było to bardzo małe lotnisko, na którym wciąż pozwalano odprowadzającym machać na do widzenia.

- Do widzenia, ojciec! - zawołała Hollyberry Bez Piór McCoy. Augustus Dwa Pióra McCoy także jej pomachał, maszerując asfaltowym pasem do niewielkiego samolotu śmigłowego, którym mieli pokonać pierwszy etap podróży.

- Wydaje mi się - rzekł - że jak przez mgłę pamiętam podobny dzień bardzo dawno temu.

W tym wspomnieniu byłem małym chłopcem i machałem na do widzenia. Zdaje się, że wtedy po raz ostatni widziałem mojego ojca, i ponownie ogarnia mnie nagle przecucie nadciągającej katastrofy. - Po raz ostatni pomachał do małego dziecka po drugiej stronie lotniska. Dziewczynka odpowiedziała podobnym gestem.

- Wtedy machałeś z równie wielkim entuzjazmem - zgodził się Zebediah T. Cawcrustle. - Ale mam wrażenie, że u niej dostrzegam więcej zimnej krwi.

Istotnie, miał rację.

Pierwszy etap podróży pokonali małym samolotem, potem większym, potem znów mniejszym, sterowcem, gondolą, pociągami, balonem na gorące powietrze i wynajętym dżipem. Przejechali przez Kair dżipem. Minęli stary targ i skręcili w trzecią uliczkę (gdyby jechali dalej, dotarliby do rowu melioracyjnego będącego kiedyś kanałem nawadniającym). Mustafa Stroheim we własnej osobie siedział na ulicy w starym, wiklinowym fotelu. Wszystkie stoliki i krzesła ustawiono na poboczu, a nie była to zbyt szeroka uliczka.

- Witajcie, przyjaciele, w mojej *kahwa* - powiedział Mustafa Stroheim. - *Kahwa* to po egipsku kawa albo kawiarnia. Napijcie się herbaty? A może zagrać w domino?

- Chcielibyśmy zobaczyć nasze pokoje - odparł Jackie Newhouse.

- Nie ja - wtrącił Zebediah T. Cawcrustle. - Ja będę spał na ulicy. Jest dość ciepło, a ten próg wygląda mi na bardzo wygodny.

- Chętnie napiję się kawy - powiedział Augustus Dwa Pióra McCoy.

- Oczywiście.

- Macie tu wodę? - spytał profesor Mandalay.

- Kto to powiedział? - zdziwił się Mustafa Stroheim. - Ach, to ty, szary człowieczku. Mój błąd. Gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy, wziąłem cię za czyjś cień.

- Ja proszę o ShaySokkar Bosta - wtrąciła Virginia Boote, co oznacza szklankę gorącej herbaty z cukrem osobno. - I zagram w backgammona z każdym, kto zechce się założyć. Nie ma w Kairze nikogo, kogo nie zdołam pokonać w backgammona, jeśli tylko przypomnę sobie zasady.

Augustus Dwa Pióra McCoy został zaprowadzony do swego pokoju. Profesor Mandalay został zaprowadzony do swego pokoju. Jackie Newhouse został zaprowadzony do swego pokoju. Nie trwało to długo; w końcu wszyscy spali w jednym i tym samym pokoju. Na tyłach budynku mieściła się druga sypialnia przeznaczona dla Virginii oraz trzecia, zajęta przez Mustafę Stroheima i jego rodzinę.

- Co piszesz? - spytał Jackie Newhouse.

- Procedury, zapiski i ustalenia Klubu Epikurejczyków - odparł profesor Mandalay, notując szybko w wielkiej księdze w skórzanej oprawie małym czarnym piórem. - Opisałem dokładnie naszą podróż tutaj i wszystko, co jedliśmy po drodze. Będę pisał dalej, gdy zjemy ptaka słońca, by uwiecznić dla potomności wszystkie smaki i konsystencje, soki i wonie.

- Czy Cawcrustle mówił, jak zamierza przyrządzić ptaka słońca? - zainteresował się Jackie Newhouse.

- Owszem - odrzekł Augustus Dwa Pióra McCoy. - Powiedział, że opróżni puszkę piwa

tak, by pozostała w niej jedna trzecia zawartości, a potem doda do niej zioła i korzenie. Nasadzi mocno ptaka na puszkę i wszystko umieści na grillu. Twierdzi, że to tradycyjny sposób.

Jackie Newhouse pociągnął wzgardliwie nosem.

- Według mnie brzmi podejrzanie nowocześnie.

- Cawcrustle twierdzi, że to tradycyjny sposób przyrządzania ptaka słońca - powtórzył Augustus.

- Istotnie - oznajmił Cawcrustle, wspinając się po schodach. Budynek nie był duży, od schodów dzieliła ich niewielka odległość, a ściany nie należały do najgrubszych. - Egipskie piwo jest najstarsze na świecie i przyrządza się z nim ptaka słońca od ponad pięciu tysięcy lat.

- Ale puszka piwa to względnie nowy wynalazek - wtrącił profesor Mandalay.

Zebedah T. Cawcrustle wszedł właśnie do środka, w dłoni trzymał kubek czarnej jak smoła kawy po turecku. Kawa parowała niczym czajnik i bulgotała jak smołowisko.

- Wygląda na bardzo gorącą - zauważył Augustus Dwa Pióra McCoy.

Cawcrustle uniósł kubek, jednym haustem opróżniając go do połowy.

- Nie - mruknął - niespecjalnie, a puszka to nie taki nowy wynalazek. W dawnych czasach robiliśmy je ze stopu miedzi, czasem z odrobiną srebra, czasem nie, w zależności od kowala i tego, co miało się pod ręką. Potrzebne było coś, co zniosłoby wysokie temperatury. Widzę, panowie, że patrzycie na mnie z powątpiewaniem, rozważcie jednak: oczywiście, że starożytni Egipcjanie robili puszki do piwa. Gdzie indziej przechowywaliby swe piwo?

Zza okna zza stolików ustawionych na ulicy dobiegły ich chóralne zawodzenia. Virginia Boote przekonała miejscowych do gry w backgammona na pieniądze i ogrywała ich do czysta. Była prawdziwym backgammonowym rekinem.

Na podwórku na tyłach kafejki Mustafy Stroheima stał rozwalający się stary grill, zbudowany z glinianych cegieł i na wpół stopionej metalowej kraty oraz stary drewniany stół. Cały następny dzień Cawcrustle poświęcił odbudowie grilla i czyszczeniu go. Naoliwił nawet kratę.

- Wygląda, jakby nie używano go od czterdziestu lat - mruknęła Virginia Boote. Nikt nie chciał z nią więcej grać w backgammona, a jej sakiewka pęczniała od lepkich piastrow.

- Mniej więcej - odparł Cawcrustle. - Może odrobinę więcej. Hej, Ginnie, zrób coś pożytecznego. Sporządziłem spis potrzebnych mi rzeczy z targu; to głównie zioła, korzenie i kawałki drewna. Weź ze sobą jedno z dzieci Mustafy Stroheima; posłuży ci za tłumacza.

- Z przyjemnością, Crusty.

Pozostali trzej członkowie Klubu Epikurejczyków znaleźli sobie

typowe dla siebie zajęcia. Jackie Newhouse zaznajamiał się z wieloma mieszkańcami okolicy, których przyciągały jego eleganckie garnitury i umiejętność gry na skrzypcach. Augustus Dwa Pióra McCoy chodził na długie spacerki. Profesor Mandalay tymczasem tłumaczył hieroglify, jakie zauważył wyryte na glinianych ceglach grilla. Powiedział, że ktoś niemądry mógłby uznać, iż dowodzą one, że grill na podwórku Mustafy Stroheima

był niegdyś poświęcony Słońcu.

- Ja jednak, jako człowiek inteligentny - dodał - natychmiast zrozumiałem, co się stało: po prostu cegły były kiedyś, dawno temu częścią świątyni. Lecz z upływem tysiącleci zostały wykorzystane do innych celów. Wątpię, by ci ludzie zdawali sobie sprawę z wartości tego co mają.

- Ależ nie, oni wiedzą - odparł Zebediah T. Cawcrustle. - A te cegły nie były częścią żadnej świątyni. Są tu od pięciu tysięcy lat, odkąd zbudowaliśmy ten grill. Wcześniej musieliśmy zadowalać się kamieniami.

Virginia Boote powróciła, dźwigając kosz pełen zakupów.

- Proszę, czerwone drewno sandałowe i paczuli, strączki wanilii, gałązki lawendy, liście szałwi i cynamonu, cała gałka muskatołowa, główki czosnku, goździki i rozmaryn, wszystko czego chciałeś, i jeszcze więcej.

Zebediah T. Cawcrustle uśmiechnął się promiennie.

- Ptak słońca będzie zadowolony - oznajmił.

Przez całe popołudnie przygotowywał sos na grill. Wyjaśnił, że wymaga tego szacunek, a poza tym mięso ptaka słońca bywa często odrobinę suchawe.

Wieczorem Epikurejczycy zasiedli przy wiklinowych stolikach na ulicy. Mustafa Stroheim i jego rodzina podali im kawę, herbatę i gorącą miętę. Zebediah T. Cawcrustle oznajmił, że zjedzą ptaka słońca z Miasta Słońca na słoneczny niedzielny lunch i poprzedzającego go wieczoru winni wstrzymać się od konsumpcji, by nie zepsuć sobie apetytu.

- Mam przecucie nadchodzącej zguby - oświadczył tej nocy tuż przed zaśnięciem Augustus Dwa Pióra McCoy, leżąc w za małym dla niego łóżku. - Lękam się, że spadnie na nas wraz z sosem do grilla.

Następnego ranka byli okrutnie głodni. Zebediah T. Cawcrustle miał na sobie komiczny fartuch z napisem „ucałuj kucharza” ułożonym z agresywnie zielonych liter. Rozsypał już namoczone w koniaku rodzynki i ziarno pod karłowatym drzewem awokado za domem, a teraz układał na warstwie węgla drzewnego pachnące drewno, zioła i przyprawy. Mustafa Stroheim wraz z rodziną wybrał się z wizytą do krewnych, mieszkających po drugiej stronie Kairu.

- Czy ktoś ma zapalną? - spytał Cawcrustle.

Jackie Newhouse wyciągnął zapalniczkę zipo i wręczył ją Cawcrustle'owi, który podpałił suszone liście cynamonu i liście laurowe tkwiące pod węglem drzewnym. Dym wzleciał w południowe powietrze.

- Dym z cynamonu i drewna sandałowego ściągnie tu ptaka słońca - oznajmił Cawcrustle.

- Ściągnie? Skąd? - spytał Augustus Dwa Pióra McCoy.

- Ze słońca - wyjaśnił tamten. - Tam właśnie sypia. Profesor Mandalay zakasłał dyskretnie.

- Ziemię w najbliższym miejscu dzieli od Słońca sto czterdzieści siedem milionów kilometrów. W najszybszym zarejestrowanym locie nurkowym ptaka sokół wędrowny uzyskał czterysta czterdzieści kilometrów na godzinę. Lecąc z taką prędkością ze Słońca, ptak potrzebowałby nieco ponad trzydziestu ośmiu lat, by do nas dotrzeć - pod warunkiem oczywiście, że byłby w stanie latać w ciemności i mrozie próżni.

- Oczywiście - zgodził się Zebediah T. Cawcrustle. Osłonił oczy, zmrużył je i spojrzął w

górze. - No, jest.

Wyglądało to zupełnie, jakby ptak wyleciał prosto ze słońca, choć przecież tak być nie mogło. W końcu w południe nie da się spojrzeć wprost w słoneczną tarczę.

Najpierw był tylko sylwetką, czarną na tle słońca i błękitnego nieba. A potem promienie słońca padły na jego pióra i stojący na ziemi obserwatorzy wstrzymali oddech. Nigdy nie widzieliście piór ptaka słońca iskrzących się w słonecznym świetle. Obraz ten zapiera dech w piersi.

Ptak słońca jeszcze raz zatrzepotał potężnymi skrzydłami, a potem zaczął opadać długą spiralą wprost ku kafejce Mustafy Stroheima.

Wylądował na drzewie awokado. Pióra miał złote, purpurowe i srebrne. Był mniejszy od indyka, większy niż kogut, miał długie nogi i wyniosłą szyję czapli, z samej głowy natomiast przypominał orła.

- Jest bardzo piękny - szepnęła Virginia Boote. - Spójrzcie na te dwa długie pióra na głowie. Czyż nie są cudowne?

- Istotnie, cudowne - przyznał profesor Mandalay.

- Te pióra wydają mi się dziwnie znajome - oznajmił Augustus Dwa Pióra McCoy.

- Wyrwamy je, nim upieczemy ptaka - powiedział Zebediah T. Cawcrustle. - Zawsze się tak robi.

Ptak słońca przycupnął na gałęzi drzewa awokado w plamie światła. Zdawało się niemal, że świeci lekkim blaskiem, jak gdyby jego pióra mieniające się purpurą, zielenią i złotem były utkane ze słonecznego światła. Potem rozpoczął toaletę, rozłożył jedno skrzydło w blasku słońca i zaczął je trącać i gładzić dziobem, aż w końcu wszystkie pióra ułożyły się jak należy i pokryły warstewką tłuszczu. Potem rozprostował drugie skrzydło i powtórzył całą operację. W końcu wydał z siebie pełen zadowolenia świergot i sfrunął z niewysokiej gałęzi na ziemię.

Zaczął przechadzać się po zaschniętym błocie, kręcąc głową; wyraźnie nie miał najlepszego wzroku.

- Spójrzcie! - zawołał Jackie Newhouse. - Znalazł ziarno.

- Wyglądało niemal, jakby go szukał - zauważył Augustus Dwa Pióra McCoy. - Jakby spodziewał się, że tam będzie.

- Zawsze rozsypuję je dokładnie w tym miejscu - wtrącił Zebediah T. Cawcrustle.

- Jaki uroczy - mruknęła Virginia Boote. - Ale teraz z bliska widzę, że jest znacznie starszy, niż sądziłam. Oczy ma pokryte bielmem i trzęsą mu się nogi, lecz wciąż pozostaje uroczy.

- Ptak Bennu to najpiękniejszy z ptaków - oznajmił Zebediah T. Cawcrustle.

Virginia Boote знаła świetnie egipskie słownictwo restauracyjne, poza tym jednak równie dobrze mógł mówić po chińsku.

- Co to jest ptak Bennu? To egipska nazwa ptaka słońca?

- Ptak Bennu - wyjaśnił profesor Mandalay - wije gniazdo na drzewie persei. Na głowie ma dwa pióra. Czasami opisują go jako czaplę, czasami jako orła. Jest jeszcze więcej, ale wszystko brzmi zbyt nieprawdopodobnie, by to powtarzać.

- Zjadł ziarno i rodzynek! - wykrzyknął Jackie Newhouse. - Teraz zatacza się niczym pijak z boku na bok. Cóż za majestat, nawet w pijaństwie.

Zebediah T. Cawcrustle podszedł do ptaka słońca, który z ogromnym wysiłkiem krążył tam i z powrotem po błocie pod drzewem awokado, nie potykając się o własne długie

nogi. Stanął dokładnie naprzeciwko ptaka, a potem, bardzo powoli, skłonił mu się. Kłaniał się niczym bardzo stary człowiek, wolno, sztywno, lecz nadal nisko. Ptak słońca odpowiedział ukłonem, po czym runął na ziemię. Zebediah T. Crawcrustle podniósł go z szacunkiem i przytulił niczym małe dziecko, a potem zaniósł na podwórko za kafejką Mustafy Stroheima. Pozostali ruszyli za nim.

Najpierw wyrwał z głowy dwa majestatyczne pióra i odłożył na bok.

A potem, nie oskubując, ptaka wypatroszył go i rzucił wnętrzności na dymiące gałązki. Wsunął wypełnioną do połowy puszkę w głąb korpusu i ustawił ptaka na grillu.

- Ptaki słońca pieką się bardzo szybko - ostrzegł. - Przygotujcie talerze.

Piwa starożytnego Egiptu przyprawiano kardamonem i kolendrą, bo Egipcjanie nie znali chmielu; ich piwa były mocne, korzenne i znakomicie gasiły pragnienie. Po wypiciu podobnego piwa można było zbudować piramidę i czasem ludzie nawet to robili. Tej niedzieli na grillu piwo parowało wewnątrz ptaka słońca, zwilżając mięso. Ogarnięte żarem węgla pióra ptaka zapłonęły niczym magnezja z rozbłyskiem tak jasnym, że Epikurejczycy musieli odwrócić wzrok.

W powietrzu rozszedł się zapach pieczonego drobiu; ostrzejszego od pawia, bardziej kruchego od kaczki. Do ust zebranych Epikurejczyków napłynęła ślinka. Zdawało się, że pieczenie ledwo się zaczęło, lecz Zebediah podniósł ptaka słońca z węglowego łoża i ustawił na stole. Potem ostrym nożem zaczął kroić parujące mięso i układać na talerzach. Każdy kawałek polał odrobiną sosu, a okrojone szczątki rzucił wprost w ogień. Członkowie Klubu Epikurejczyków zasiedli wokół starego drewnianego stołu na podwórzu za kafejką Mustafy Stroheima i zaczęli jeść palcami.

- Zebby, to niewiarygodne! - zawołała Virginia Boote z pełnymi ustami. - Rozpływa się na języku, smakuje jak niebo.

- Smakuje jak słońce - dodał Augustus Dwa Pióra McCoy, zjadając tak, jak tylko potrafią rośli mężczyźni. W jednej dłoni trzymał udko, w drugiej kawałek piersi. - To najwspanialsza rzecz, jaką jadłem, i nie żałuję tego posiłku, choć myślę, że będę tęsknił za moją córką.

- Jest idealny - oznajmił Jackie Newhouse. - Smakuje jak miłość i najlepsza muzyka. Smakuje jak prawda.

Profesor Mandalay bazgrał coś w roczniku Klubu Epikurejczyków. Opisywał swoją reakcję na mięso ptaka, jak również reakcje pozostałych członków. Starał się przy tym nie zachłapać tłuszczem stronicy, bo w drugiej ręce trzymał skrzydełko i starannie obgryzał z niego mięso.

- Dziwne - rzekł Jackie Newhouse. - Ale w miarę, jak jem, mięso w moich ustach i żołądku staje się coraz gorętsze i gorętsze.

- Zgadza się, tak to już jest. Najlepiej przygotować się zawczasu - odparł Zebediah T. Crawcrustle. - Jeść węgle, płomienie i świetliki, by przywyknąć. Inaczej bywa trochę ciężkostrawny.

Zebediah T. Crawcrustle zjadał głowę ptaka, miażdżąc w ustach kości i dziób. A kiedy tak chrupał, wokół jego zębów tańczyły maleńkie błyskawice. Uśmiechnął się tylko szerzej, nie przerywając jedzenia.

Kości ptaka słońca płonęły na grillu pomarańczowym ogniem, który stopniowo stawał się biały. Nad podwórzem z tyłu kafejki Mustafy Stroheima zawisa gęsta, rozpalona

mgiełka. Wszystko w niej drżało, jakby ludzie zebrani wokół stołu spoglądali na świat przez warstewkę wody albo snu.

- Jest taki pyszny - zachwyciła się Virginia Boote, nie przerywając jedzenia. - To najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek jadłam. Smakuje jak moja młodość, jak wieczność. - Obliznęła palce i sięgnęła po ostatni plaster mięsa leżący na talerzu. - Ptak słońca z Miasta Słońca - rzekła. - Ma jakąś inną nazwę?

- To feniks z Heliopolis - wyjaśnił Zebediah T. Crawcrustle. - Ptak, który umiera w ogniu i popiołach i odradza się w każdym pokoleniu. To ptak Bennu, który przeleciał nad wodami, gdy na świecie panowała ciemność. Kiedy nadchodzi jego czas, płonie na stosie z rzadkich drzew, korzeni i ziół i odradza się w popiołach, raz po raz, bez końca.

- Ogień! - wykrzyknął profesor Mandalay. - Czuję się jakby płonęły mi wnętrzności. - Pociągnął łyk wody, ale to mu nie pomogło.

- Moje palce - powiedziała Virginia Boote. - Spójrzcie na moje palce. - Uniosła je. Jaśniały od wewnątrz, jakby żarzył się w nich ukryty ogień.

Powietrze było już tak gorące, że można by ugotować w nim jajko.

Usłyszeli trzask, coś błysnęło. Dwa złote pióra we włosach Augustusa Dwa Pióra McCoya eksplodowały niczym fajerwerki.

- Crawcrustle - zagadnął stojący w płomieniach Jackie Newhouse. - Odpowiedz mi szczerze. Od jak dawna jadasz feniksa?

- Coś ponad dziesięć tysięcy lat - odparł Zebediah. - Plus minus parę tysięcy. Kiedy już raz opanujesz tę sztukę, nie jest to takie trudne. Problem tkwi w jej opanowaniu. Ale to najlepszy feniks, jakiego kiedykolwiek upiekłem. Czy może tym razem najlepiej upiekłem tego feniksa.

- Lata! - wykrzyknęła Virginia Boote. - Twoje lata się wypalają.

- Rzeczywiście - przyznał Zebediah. - Tyle że zanim się go zje, trzeba przyzwyczaić się do gorąca. W przeciwnym razie człowiek po prostu się wypala.

- Czemu tego nie pamiętałem? - spytał Augustus Dwa Pióra McCoy poprzez otaczający go pierścień jasnych płomieni. - Czemu nie pamiętałem, że tak właśnie odszedł mój ojciec, a przed nim jego ojciec? Że każdy z nich wyruszył do Heliopolis, aby zjeść feniksa? I czemu pamiętam to dopiero teraz?

- Ponieważ ogień wypala twoje lata - wyjaśnił profesor Mandalay. Gdy tylko karta, na której pisał, zajęła się ogniem, zatrzasnął księgę w skórzanej oprawie. Jej brzegi zwęgliły się, lecz reszta pozostała nietknięta. - Gdy wypalają się lata, wspomnienia owych lat powracają.

Teraz, widoczny poprzez fale rozpalonego, drżącego powietrza, wydawał się bardziej materialny niż kiedykolwiek wcześniej i uśmiechał się. Nikt z nich nie widział dotąd uśmiechu profesora Mandalaya.

- Czy spalimy się bez śladu? - spytała oślepiająco jasna Virginia.

- Czy też ogień cofnie nas do dzieciństwa, a potem zamieni w duchy i anioły, które znów będą mogły żyć? To bez znaczenia. Och, Crusty, cóż za zabawa!

- Może - rzekł Jackie Newhouse zza zasłony ognia - w sosie zabrakło jeszcze odrobiny octu. Myślę, że podobnemu mięsu przydałaby się ostrzejsza oprawa. - A potem zniknął, pozostawiając po sobie jedynie powidok.

- *Chacun a son gout* - odparł Zebediah T. Crawcrustle, co po francusku oznacza „każdemu wedle gustu”. Obliznął palce i pokręcił głową. - Najlepszy jak dotąd - oznajmił z

ogromnym zadowoleniem.

- Żegnaj, Crusty. - Virginia wyciągnęła białą jak płomień rękę i uściśnęła mocno jego ciemną dłoń. Trwało to chwilę, może nawet dwie.

A potem na podwórku z tyłu *kahwy* (albo kawiarni) Mustafy Stroheima w Heliopolis (które niegdyś było Miastem Słońca, a teraz jest przedmieściem Kairu) nie pozostało nic prócz białego popiołu, który uniósł się w powiewie wiatru i osiadł z powrotem niczym cukier puder albo śnieg. Nie było tam też nikogo prócz młodego mężczyzny o ciemnych, bardzo ciemnych włosach i równych zębach barwy kości słoniowej, ubranego w fartuch z napisem „ucałuj kucharza”.

Pośród popiołów na górze ceglanej konstrukcji coś się poruszyło. Maleńki, złocisto-purpurowy ptak uniósł głowę, jakby po raz pierwszy w życiu budził się ze snu. Pisnął przenikliwie i spojrzał wprost w słońce, jak dziecko w twarz rodzica. Rozłożył szeroko skrzydła, jakby chciał je wysuszyć, i wreszcie, gdy był już gotów, wzleciał w stronę słonecznej tarczy. I nie widział go nikt prócz młodzieńca na podwórzu.

U stóp młodego mężczyzny pod popiołem, niegdyś będącym stółem z drewna, leżały dwa długie, złociste pióra. Podniósł je, otrzepał z białego pyłu i bardzo ostrożnie wsunął pod marynarkę.

Potem zdjął fartuch i poszedł swoją drogą.

Hollyberry Dwa Pióra McCoy jest już dorosłą kobietą i sama ma dzieci. W jej czarnych włosach upiętych w węzeł pod dwoma złotymi piórami połyskują srebrne nitki. Od razu widać, że kiedyś pióra musiały być naprawdę niezwykle, ale było to bardzo dawno temu. Jest prezeską Klubu Epikurejczyków - bogatej, hałaśliwej gromadki - które to stanowisko odziedziczyła wiele, wiele lat temu po ojcu.

Słyszałem, że Epikurejczycy znów zaczynają narzekać. Twierdzą, że jedli już wszystko.

Dla HMG - spóźniony prezent urodzinowy

WYMYŚLANIE ALADYNA

W jego łóżu tej nocy, tak jak każdej innej, z siostrą u boku, kończy kolejną opowieść i czeka. Siostra szybko przejmuje pałeczkę i mówi: „Nie chce mi się spać. Następną, proszę”. Szeherezada wzdycha raz, szybko, nerwowo i zaczyna: „Daleko, w odległym Pekinie żył sobie młody nicpoń w domu u swej matki. Jak go zwali? Aladyn. Jego ojciec nie żył...”. Mówi, jak do ich miasta przybył zły mag, który wujem się jego mienił. Miał swe mroczne plany, zabrał chłopca w bezludne miejsce na pustyni, pierścień mu dał, co bronić miał go w ciężkich chwilach, i posłał do jaskini pełnej złota, srebra i klejnotów. „Przynies mi lampę, nic więcej!”, kazał, gdy zaś Aladyn spełnił wolę maga, ten rychło go porzucił na śmierć w zapomnieniu... Proszę.

Oto Aladyn tkwi w mroku pod ziemią.

Urywa. Mąż raz jeszcze poznać chce ciąg dalszy. Następnego dnia robi obiad, karmi dzieci i śni... Aladyn czeka, a ona wie dobrze, że dzięki swej historii jeden dzień zyskała. Co będzie dalej?

Sama chciałaby to wiedzieć.

Dopiero gdy zapada wieczór i małżonek mówi, jak zawsze mawia: „Zabiję cię jutro”, a Dunjazada, siostra jej, wtrąca pospiesznie:

„Ale co z Aladynem?”, wtedy wie nareszcie...

W jaskini, pełnej złota i drogich kamieni, Aladyn trze swą lampę, wywołując Dżina. Opowieść znów się toczy. Aladyn zdobywa księżniczkę oraz pałac z pereł zbudowany.

Lecz cóż to? Mag powraca, mroczny i podstępny, „Nowe lampy za stare”, śpiewa na ulicy.

I w chwili, gdy Aladyn traci wszystko, ona urywa.

Mąż jej noc daruje - jeszcze jedną.

Wkrótce jej mąż i siostra zasypiają smacznie, a ona leży, patrząc w ciemność pod sklepieniem, i obraca w umyśle kolejne warianty:

Jak Aladyn odzyskać ma swój świat stracony, księżniczkę, pałac, wszystko, co niedawno zdobył. Zasypia. Ta historia musi mieć swój koniec, ale na razie w snach się rozplywa w jej głowie.

Budzi się, karmi dzieci, rozczesuje włosy, idzie na targ, kupuje oliwę. Sprzedawca sam ją nalewa zręcznie z olbrzymiego dzbana.

A gdyby tak w nim ukryć człowieka? Rozmyśla.

Tego dnia musi jeszcze kupić świeży sezam.

„Wciąż jeszcze cię nie zabił”, mówi cicho siostra.

„Na razie”. I w powietrzu zawisa: „Zabije”.

W łożu o czarodziejskim mówi im pierścieniu, Aladyn go pociera i Sługa Pierścienia przybywa... Mag zabity, Aladyn ocalał.

Kończy. Lecz kres historii znaczy śmierć bajarki, jej jedyną nadzieją nową snuć opowieść. Szeherazada sięga do skarbcza pomysłów, zaczyna idei, słowa, sny łączą się w jedno, z dzbanami dość wielkimi, by zmieścić człowieka. Myśli: „Sezamie, otwórz się”, z uśmiechem ulgi.

„Cnotliwy Ali Baba, człek skromny i prawy, lecz ubogi...” zaczyna i rusza z kopyta, wydłużwszy o jeszcze jedną noc swe życie, póki starczy inwencji, póki go nie znudzi.

Nie wie sama, gdzie czeka każda z opowieści, nim zostanie opowiedziana. (Ja też nie wiem).

Ale czterdziestu zbójców - to brzmi dobrze, zatem niech będzie. Oby tylko zyskać znów dni parę.

Dziwne rzeczy robimy, by życie ocalić.

WŁADCA GÓRSKIEJ DOLINY

Opowiadanie ze świata Amerykańskich bogów

Ona sama jest nawiedzonym domem, nie włada sobą. Czasem przybywają przodkowie i wyglądają na świat poprzez okna jej oczu. To bardzo przerażające.

Angela Carter,

The Lady of the House of Love

Rozdział I

- Jeśli chcesz znać moje zdanie - rzekł do Cienia drobny człowieczek - to jesteś czymś w rodzaju potwora. Mam rację?

Poza barmanką byli jedynymi ludźmi w barze hotelu w miasteczku na północnym wybrzeżu Szkocji. Cień siedział tam samotnie i sączył piwo, gdy zjawił się nieznajomy i usiadł przy jego stoliku. Było późne lato; Cień miał wrażenie, że wszystko co go otacza jest zimne, małe i wilgotne. Przed sobą rozłożył przewodnik z Ciekawymi Trasami Miejscowych Wycieczek. Analizował właśnie trasę, którą zamierzał przebyć jutro, wzdłuż wybrzeża w stronę Cape Wrath.

Zamknął książkę.

- Jestem Amerykaninem - rzekł. - Jeśli to ma pan na myśli. Drobny człowieczek przekrzywił głowę i mrugnął teatralnie.

Miał stalowoszare włosy, szarą twarz, szary płaszcz i wyglądał jak małomiasteczkowy adwokat.

- Może istotnie to właśnie miałem na myśli.

Podczas swego krótkiego pobytu w Szkocji Cień często miał kłopoty ze zrozumieniem tutejszych akcentów, dźwięcznych „r”, osobliwych słów i samogłosek. Tym razem jednak pojmował wszystko doskonale. Wszystko, co mówił drobny człowieczek, było ciche i wyraźne, każde słowo tak starannie wyartykułowane, że Cień odniósł wrażenie, jakby to on sam mówił z ustami pełnymi owsianki.

Jego towarzysz pociągnął łyk ze szklanki.

- Zatem jesteś Amerykaninem. Napalonym, nadzianym i na wakacjach, co? Pracujesz na platformach?

- Słucham?

- Nafciarz na wielkich metalowych platformach. Od czasu do czasu odwiedzają nas tu nafciarze.

- Nie, nie jestem z platformy.

Drobny człowieczek wyjął z kieszeni fajkę i mały scyzoryk. Zaczął wydłubywać resztki popiołu. Wysypał go do popielniczki.

- W Teksasie też mają ropę - rzekł po chwili, jakby wyznawał mu wielką tajemnicę. - To w Ameryce?

- Tak - potwierdził Cień.

Miał ochotę dodać, że Teksasńczycy uważają, że Teksas tak naprawdę leży w Teksasie. Podejrzał jednak, że musiałby wyjaśnić co ma na myśli, toteż milczał.

Cień od niemal dwóch lat przebywał poza Ameryką. Nie było go w kraju, gdy runęły wieże. Czasami wmawiał sobie, że nie obchodzi go, czy kiedykolwiek wróci. I czasami niemal w to wierzył. Do Szkocji dotarł dwa dni temu, zszedł w Thurso z promu z Orkneyów i przyjechał do tego miasteczka autobusem.

Drobny człowieczek znów zaczął mówić:

- Pewien teksański nafcjarz w Aberdeen rozmawia ze staruszką, którego spotkał w pubie, coś tak jak my dwaj. Zaczynają gadać i Teksaszczyk mówi: „W domu, w Teksasie wstaję rano, wsiadam do samochodu” - wybacz, ale nie będę próbował naśladować tego akcentu - „przekręcam klucz w stacyjce i przyspieszam”. Jak wy to mówicie...?

- Dodaję gazu - odpowiedział usłużnie Cień.

- „Dodaję gazu w porze śniadania i w porze lunchu wciąż jeszcze mam daleko od granicy mojego majątku”. A przebiegły stary Szkot kiwa tylko głową. „O tak”, mówi, „ja też kiedyś miałem podobny samochód”.

Drobny mężczyzna zaśmiał się donośnie, by zaznaczyć koniec dowcipu. Cień uśmiechnął się i skinął głową, pokazując, iż wie, że to żart.

- Co pijesz? Piwo? Jeszcze raz to samo, Jennie, złotko. Dla mnie lagavulin. - Drobny człowieczek nabija fajkę tytoniem z woreczka. - Wiesz, że Szkocja jest większa od Ameryki?

Gdy tego wieczoru Cień zszedł do baru, nie było w nim nikogo poza chudą barmanką, czytającą gazetę i palącą papierosa. Przyszedł, by posiedzieć przy kominku - w pokoju było zimno, a metalowe grzejniki w łazience okazały się jeszcze zimniejsze. Nie oczekiwał towarzystwa.

- Nie - rzekł teraz, zawsze gotów udawać naiwniaka. - Nie wiedziałem. Jak to możliwe?

- To kwestia fraktali - wyjaśnił tamten. - Im coś jest mniejsze, tym bardziej upakowane. Przejazd na drugi koniec Ameryki mógłby ci zabrać tyle samo czasu, co jazda na drugi koniec Szkocji. Wystarczy wybrać odpowiednią drogę. Na przykład, na mapie wybrzeża to linie proste. Kiedy jednak nimi wędrujesz, płaczą się bez końca. Niedawno widziałem o tym program w telewizji. Świetna rzecz.

- Jasne - rzucił Cień.

Drobny mężczyzna pstryknął zapalniczką, zaczął zaciągać się i głośno wypuszczać powietrze, wciągać i wypuszczać, póki fajka nie rozpałała się na dobre. Wówczas schował do kieszeni płaszcza zapalniczkę, kapciuch i scyzoryk.

- Tak czy inaczej - rzekł - jak się zdaje, zamierzasz spędzić tu cały weekend.

- Tak - potwierdził Cień. - Pracujesz w hotelu?

- Nie, nie. Prawdę mówiąc, byłem w holu, gdy się zjawileś. Słyszałem twoją rozmowę z Gordonem w recepcji.

Cień przytaknął. Zdawało mu się, że podczas rejestracji w recepcji był sam. Ale możliwe, że obok przechodził drobny człowieczek. Mimo wszystko jednak... w całej tej rozmowie było coś nie tak. We wszystkim było coś nie tak.

Barmanka Jennie postawiła szklanki na barze.

- Pięć funtów dwadzieścia - oznajmiła, podniosła gazetę i z powrotem zagłębiła się w lekturze.

Drobny człowieczek podszedł do baru, zapłacił i przyniósł szklanki.

- Jak długo zostaniesz w Szkocji? - zapytał. Cień wzruszył ramionami.

- Chciałem zobaczyć, jak tu jest. Połączyć, pozwiedzać. Może tydzień, może miesiąc.

Jennie odłożyła gazetę.

- To zadupie świata - oznajmiła radośnie. - Powinieneś pojechać w jakieś ciekawsze miejsce.

- I tu się mylisz - nie zgodził się człowieczek. - To tylko zadupie świata, jeśli patrzysz na nie w niewłaściwy sposób. Widzisz tę mapę, chłopcze? - Wskazał palcem upstrzoną przez muchy mapę północnej Szkocji, wiszącą na ścianie naprzeciwko baru. - Wiesz, co z nią jest nie tak?

- Nie.

- Wisi do góry nogami - oznajmił tamten triumfalnie. - Północ jest na górze. Jakby chcieli powiedzieć światu, że tu właśnie wszystko się kończy. Nie jedźcie dalej. To koniec świata. Ale widzisz, nie tak

było kiedyś. To nie była północ Szkocji, lecz najbardziej wysunięty na południe skrawek świata wikingów. Wiesz, jak nazywa się drugie północne hrabstwo Szkocji?

Cień zerknął na mapę, był jednak za daleko, by cokolwiek przeczytać. Pokręcił głową.

- Sutherland! - wykrzyknął z triumfem jego towarzysz, ukazując zęby. - The South Land, Południowe Ziemie. Może nie dla wszystkich w świecie, ale dla wikingów na pewno.

Barmanka Jennie podeszła do nich.

- Niedługo wrócę - oznajmiła. - Jeśli przed moim powrotem będziecie czegoś potrzebować, zadzwońcie do recepcji. - Wrzuciła do kominka kawał drewna i wyszła.

- Jesteś historykiem? - spytał Cień.

- A to dobre. Może i jesteś potworem, ale zabawnym, przyznaję.

- Nie jestem potworem - zaprotestował Cień. - Wszystkie potwory tak mówią. Kiedyś byłem specjalistą. W Saint Andrews. Teraz prowadzę praktykę internistyczną. No, prowadziłem. Właściwie przeszedłem na emeryturę. Przez parę dni w tygodniu dyżuruję w gabinecie, ot, żeby nie stracić wprawy.

- Czemu twierdzisz, że jestem potworem? - dociekał Cień.

- Ponieważ - odparł drobny człowieczek, unosząc szklanekę z whisky gestem kogoś, kto podaje niezbijalny argument - ja sam także jestem odrobinę potworem. Swoją przyciąga swego. Wszyscy jesteśmy potworami, nieprawdaż? Wspaniałymi potworami wędrującymi przez bagna przesądów... - Napił się whisky i dodał: - Powiedz mi, duży z ciebie facet. Byłeś kiedyś bramkarzem? „Przykro mi, stary, niestety, nie możesz dziś wejść, to impreza prywatna, no, spróbuj tylko, a dostaniesz, zjeżdżaj stąd” i tak dalej?

- Nie - odrzekł Cień.

- Ale z pewnością musiałeś robić coś podobnego.

- Tak - potwierdził Cień, który kiedyś pracował jako ochroniarz starego boga, działa się to jednak w innym kraju.

- I... hm, nie zrozum mnie źle, ale nie potrzebujesz przypadkiem pieniędzy?

- Każdy potrzebuje pieniędzy, ale jakoś sobie radzę. - Nie była to do końca prawda, lecz istotnie, kiedy Cień potrzebował pieniędzy, świat zdawał się czynić wszystko, by mu je dostarczyć.

- Nie chciałbyś zarobić drobnej sumki na zakupy, jako bramkarz? Luźnym sikiem. Forsa za nic.

- Na dyskotece?

- Nie do końca. Na prywatnym przyjęciu. Wynajmują tu w pobliżu duży stary dom. Zjeżdżają się zewsząd pod koniec lata. W zeszłym roku wszyscy bawili się super,

szampan na dworze i tak dalej, gdy zaczęły się kłopoty. Wredne typy. O mało nie zrujnowali wszystkim weekendu.

- Miejscowi?

- Wątpię.

- Polityka? - spytał Cień. Nie chciał się angażować w nic politycznego.

- Ani trochę. Żuliki, menele, idioci. W każdym razie w tym roku raczej nie wrócą. Zapewne wybyli gdzieś hen, donikąd, demonstrować przeciwko międzynarodowemu kapitalizmowi. Ale na wszelki wypadek ludziska z dworu prosili, bym poszukał kogoś, kto mógłby zadziałać odstraszająco. Duży z ciebie gość, a oni tego właśnie chcą.

- Ile? - spytał Cień.

- Gdyby doszło do bójki, dasz sobie radę?

Cień nie odpowiedział. Drobnny człowieczek zmierzył go wzrokiem i uśmiechnął się ponownie, ukazując pokryte plamami tytoniu zęby.

- Tysiąc pięćset funtów za robótkę weekendową. To niezła forsa i w gotówce. Nie będziesz musiał nic zgłaszać w skarbowym.

- W najbliższy weekend?

- Od piątku rano. To duży, stary dom. Kiedyś jego część należała do zamku. Na zachód do Cape Wrath.

- No nie wiem - mruknął Cień.

- Jeśli się zgodzisz - rzekł drobnny szary człowieczek - spędzisz fantastyczny weekend w historycznym dworze i gwarantuję, że spotkasz najróżniejszych ciekawych ludzi. Idealna robótką wakacyjną. Żałuję, że sam nie jestem młodszy. I, no, sporo wyższy.

- Dobra - rzucił Cień i gdy tylko to powiedział, zastanowił się, czy nie pożałuje.

- Porządny z ciebie facet. Podam ci bliższe zamiary.

Drobnny mężczyzna wstał. Mijając Cienia, poklepał go lekko po ramieniu. Potem wyszedł, zostawiając go samego w barze.

Rozdział II

Cień od osiemnastu miesięcy przebywał w drodze. Przemierzył z plecakiem całą Europę i północną Afrykę. Zbierał oliwki, łowił sardynki i kierował ciężarówką, a także sprzedawał wino z pobocza szosy. W końcu parę miesięcy temu wrócił autostopem do Norwegii, do Oslo, gdzie przyszedł na świat trzydzieści pięć lat wcześniej.

Sam nie wiedział czego właściwie szuka, czuł jedynie, że wciąż tego nie znalazł. Choć zdarzały się chwile wśród gór, skał i wodospadów, gdy był pewien, że to, czego potrzebuje, kryje się tuż za rogiem: za granitową iglicą, w najbliższym sosnowym lesie.

Mimo wszystko jednak wizyta w Norwegii okazała się wysoce niezadowolająca i gdy w Bergen spytano go, czy zechce zostać połową załogi jachtu motorowego zmierzającego do Cannes, zgodził się chętnie.

Z Bergen pożeglowali na Szetlandy, stamtąd na Orkneye, gdzie zanocowali w pensjonacie w Stromness. Następnego ranka, gdy tylko odbili od brzegu, silniki stanęły, nieodwracalnie i na amen, i łódź odholowano do portu.

Bjorn, kapitan i druga połowa załogi zostali na pokładzie, by zająć się rozmowami z agentami ubezpieczeniowymi i odbierać gniewne telefony właściciela jachtu. Cień nie widział powodu, by czekać. Wsiadł na prom płynący do Thurso na północnym wybrzeżu

Szkocji.

Dręczył go niepokój. Nocami śnił o autostradach, o neonowych przedmieściach miasta, w którym ludzie mówią po angielsku. Czasem miasto to leżało na środkowym zachodzie, czasem na Florydzie, czasem na Wschodnim Wybrzeżu, czasem na Zachodnim.

Po zejściu z promu kupił przewodnik dla pieszych turystów, sprawdził rozkład autobusów i wyruszył w świat.

Barmanka Jennie wróciła i zaczęła przecierać wszystkie powierzchnie ścierką. Włosy miała tak jasne, że niemal białe, upięte z tyłu w kok.

- Co miejscowi robią dla rozrywki? - spytał Cień.

- Piją, czekają na śmierć - odparła - albo jeżdżą na południe. To w zasadzie wyczerpuje wszystkie możliwości.

- Na pewno?

- Sam pomyśl. Tu nie ma nic, tylko owce i wzgórze. Oczywiście żyjemy z turystów, ale nigdy nie ma was dostatecznie wielu. Smutne, nieprawdaż?

Cień wzruszył ramionami.

- Jesteś z Nowego Jorku? - spytała.

- Mieszkałem w Chicago, ale tu przyjechałem z Norwegii.

- Znasz norweski?

- Odrobinę.

- Powinieneś zatem kogoś poznać - oświadczyła nagle, po czym zerknęła na zegarek. - Kogoś, kto przybył tu z Norwegii bardzo, bardzo dawno temu. Chodź.

Odwiesiła ściereczkę, zgasiła światła w barze i podeszła do drzwi.

- No chodź - powtórzyła.

- Możesz tak po prostu wyjść? - spytał Cień.

- Mogę robić co zechcę - rzekła. - To przecież wolny kraj.

- Chyba tak.

Zamknęła drzwi baru mosiężnym kluczem. Razem przeszli do recepcji.

- Zaczekaj tu - poleciła.

Zniknęła za drzwiami z tabliczką „Dla personelu”. Po kilku minutach wróciła w długim brązowym płaszczu.

- W porządku, chodź za mną. Wyszli na ulicę.

- Czy to wioska, czy raczej miasteczko? - spytał Cień.

- To pieprzony cmentarz - odparła. - W górę, tędy, chodź.

Ruszyli w górę wąską drogą. Na niebie wisiał wielki, żółtobrązowy księżyc. Cień słyszał morze, choć jak dotąd go nie widział.

- Ty jesteś Jennie? - spytał.

- Zgadza się. A ty?

- Cień.

- To prawdziwe imię?

- Tak mnie nazywają.

- No to chodź, Cieniu.

Na szczycie wzgórza zatrzymali się. Byli na skraju wioski, przed szarym kamiennym domkiem. Jennie otworzyła furtkę i poprowadziła Cienia ścieżką do frontowych drzwi. Po drodze potracił niewielki krzaczek i w powietrzu rozeszła się słodka woń lawendy. W domku było ciemno.

- Czyj to dom? - spytał Cień. - Wygląda na pusty.
 - Nie martw się - odparła Jennie. - Ona wróci za moment.
 Pchnęła niezamknięte na klucz drzwi frontowe i razem weszli do środka. Pstryknęła włącznikiem przy framudze. Większą część domu zajmował salon połączony z kuchnią. Wąskie schody wiodły do, jak zakładał Cień, sypialni na strychu. Na sosnowej ladzie ustawiono odtwarzacz CD.
 - To twój dom - rzekł.
 - Ciasny, ale własny - potwierdziła. - Może kawy albo coś do picia?
 - Nie, dzięki. - Cień zastanawiał się, czego chce Jennie. Prawie na niego nie patrzyła, nawet się nie uśmiechnęła.
 - Dobrze usłyszałam? Czy doktor Gaskell prosił cię, byś pomógł w obsłudze imprezy w ten weekend?
 - Chyba tak.
 - To co będziesz robił jutro i w piątek?
 - Spacerował - wyjaśnił Cień. - Kupiłem książkę, są tu piękne trasy.
 - Niektóre owszem, są piękne. Inne niebezpieczne. W cieniu, nawet latem wciąż można natknąć się na zimowy śnieg. W cieniu rzeczy potrafią przetrwać bardzo długo.
 - Będę ostrożny - obiecał.
 - To samo mówili wikingowie. - Uśmiechnęła się w końcu. Zdjęła płaszcz i zostawiła na jaskrawofioletowej kanapie. - Może gdzie się spotkamy. Też lubię spacerować. - Szarpnęła kok z tyłu głowy i jasne włosy rozsypały się na ramionach. Były dłuższe, niż Cień przypuszczał.
 - Mieszkasz tu sama?
 Z paczki na ladzie wyjęła papierosa, przypaliła go zapalką.
 - A czemu pytasz? Nie chcesz przecież zostać na noc, prawda? Cień pokręcił głową.
 - Hotel jest u stóp wzgórza - poinformowała go. - Nie da się go nie zauważyć. Dzięki, że mnie odprowadziłeś.
 Cień pożegnał się i pomaszerował przez lawendową noc za furtkę. Przez chwilę stał bez ruchu, wpatrując się w księżyc nad morzem. Coś nie dawało mu spokoju. W końcu ruszył na dół i dotarł do hotelu. Miała rację, nie można go było przeoczyć. Wspiął się po schodach, kluczem przymocowanym do krótkiego sztywnego breloka otworzył drzwi pokoju i wszedł do środka. Wewnątrz było zimniej niż na korytarzu. Zdjął buty i w ciemności wyciągnął się na łóżku.

Rozdział III

Statek zbudowano z paznokci martwych ludzi. Sunął naprzód we mgle, podskakując i kołysząc się ciężko na falach wzburzonego morza. Na pokładzie czekały mroczne postaci, mężczyźni wielcy jak wzgórza czy domy, a gdy Cień zbliżył się, dostrzegł ich twarze: dumni, wyniośli mężowie, co do jednego. Nie zwracali uwagi na poruszenia statku, wszyscy stali na pokładzie jak przymurowani. Jeden z nich wystąpił naprzód. Potężną dłonią chwycił rękę Cienia. Cień wszedł na szary pokład.
 - Witaj w tym przeklętym miejscu - rzekł niskim, ochryplym głosem mężczyzna trzymający jego dłoń.
 - Bądź pozdrowiony! - zakrzyknęli mężowie z pokładu. - Bądź pozdrowiony, niosący

słońce, bądź pozdrowiony, Baldurze!

Na akcie urodzenia Cienia widniało imię Balder. Balder Moon. Mimo to pokręcił głową.

- Nie jestem nim - oznajmił. - Nie jestem tym, na którego czekacie.

- My tu ginimy, umieramy - odparł mężczyzna o ochryplym głosie, nie wypuszczając jego ręki.

W mglistym miejscu pomiędzy światami jawy i grobem było zimno. Fala uderzyła o burtę statku, posyłając w powietrze obłok słonego wodnego pyłu, który przemoczył Cienia do suchej nitki.

- Sprowadź nas z powrotem - rzekł mężczyzna trzymający go za rękę. - Sprowadź nas albo pozwól nam odejść.

- Nie wiem jak - rzekł Cień.

Słyszac to, mężczyźni na pokładzie zaczęli płakać i zawodzić. Niektórzy walili drzewcami włóczni o pokład, inni płazami krótkich mieczy tłukli o mosiężne guzy pośrodku skórzanych tarcz. Falom dźwięku towarzyszyły narastające krzyki, dźwięczący w nich smutek zniknął powoli zastąpiony gardłowym zawodzeniem berserkerów...

Mewa krzyczała na porannym niebie. W nocy wiatr otworzył okno sypialni, które uderzało głośno o ścianę. Cień leżał na łóżku w wąskim hotelowym pokoju. Skórę miał wilgotną, może od potu:

Zaczął się kolejny zimny dzień końca lata.

Pracownicy hotelu przygotowali dla niego plastikowy pojemnik zawierający kilka kanapek z kurczakiem, jajko na twardo, małą paczkę chipsów serowo-cebulowych i jabłko. Wręczając mu pudełko, recepcjonista Gordon spytał, kiedy wróci, wyjaśniając, że jeśli spóźni się bardziej niż parę godzin, zawiadomią służby ratownicze. Poprosił też o numer telefonu komórkowego Cienia.

Cień nie miał telefonu komórkowego.

Wyruszył w drogę, kierując się w stronę wybrzeża. Otaczający go krajobraz był piękny, a jego bezludna uroda odbijała się wibrującym echem w pustce wewnątrz Cienia. Wyobrażał sobie Szkocję jako miejsce łagodne, pełne niskich, porośniętych wrzosami wzgórz. Jednak tu, na północnym wybrzeżu, wszystko wydawało się ostre i kanciaste, nawet szare chmury wędrujące po jasnoblękitnym niebie. Podążał trasą opisaną w przewodniku, przez górskie łąki, obok stodoł, po zboczach kolejnych skalistych wzgórz. Chwilami wyobrażał sobie, że stoi bez ruchu, i to świat porusza się pod nim. Że on sam jedynie popycha go nogami.

Trasa okazała się bardziej wyczerpująca, niż przypuszczał. Zaplanował posiłek na pierwszą, lecz już w południe rozbolały go nogi i zapragnął przerwy. Ścieżka doprowadziła go do zbocza kolejnego wzgórza. Znalazł tam głaz dający osłonę przed wiatrem. Przykucnął, by się posilić. W dali przed sobą widział Atlantyck.

Sądził, że jest sam.

- Poczęstujesz mnie jabłkiem? - spytała.

To była Jennie, barmanka z hotelu. Jej zbyt jasne włosy tańczyły wokół głowy.

- Cześć, Jennie. - Cień podał jej jabłko.

Z kieszeni brązowego płaszcza wyjęła scyzoryk i usiadła obok niego.

- Dzięki.

- A zatem - podjął Cień - sądząc po akcencie, musiałaś przyjechać z Norwegii w dzieciństwie. Brzmisz zupełnie jak miejscowi.

- Czy mówiłam, że pochodzę z Norwegii?

- A nie?

Nabiła na czubek noża plasterk jabłka i zjadła go małymi kęsami, dotykając metalu zaledwie czubkami zębów. Zerknęła na niego.

- To było bardzo dawno temu.

- Rodzina?

Wzruszyła lekko ramionami, jakby była ponad każdą odpowiedź, której mogła udzielić.

- Podoba ci się tutaj?

Spojrzała na niego i pokręciła głową.

- Czuję się jak *hulder*.

Cień słyszał już to słowo w Norwegii.

- To coś w rodzaju trolla?

- Nie, żyją w górach, jak trolle, ale przybywają z lasów i są bardzo piękne, jak ja. - Uśmiechnęła się szeroko, jakby zdawała sobie sprawę, że jest zbyt blada, zbyt zatroskana i zbyt chuda, by ktokolwiek mógł nazwać ją piękną. - Zakochują się w rolnikach.

- Czemu?

- Nie mam bladego pojęcia, ale tak właśnie czynią. Czasem rolnik orientuje się, że rozmawia z jedną z *hulder*, bo z tyłu zwisa jej krowi ogon albo, co gorsza, czasem z tyłu po prostu nie ma nic: *hulder* jest próżna i pusta niczym skorupa. Wówczas rolnik odmawia modlitwę, po czym zmyka do matki lub gospodarstwa.

Ale czasami rolnik nie ucieka. Czasami ciska nożem nad jej ramieniem albo po prostu uśmiecha się i poślubia *hulder*. Wówczas jej ogon odpada, nadal jednak pozostaje silniejsza niż jakakolwiek ludzka kobieta. I wciąż tęskni za swym domem w lesie i górach. Nigdy nie będzie do końca szczęśliwa, nigdy nie będzie człowiekiem.

- Co dzieje się z nią dalej? - spytał Cień. - Czy starzeje się i umiera wraz ze swym rolnikiem?

Jennie zdążyła już okroić jabłko aż do ogryzka. Lekkim ruchem nadgarstka posłała ogryzek w powietrze. Zatoczył łuk i zniknął za zboczem wzgórza.

- Gdy jej mężczyzna umiera... myślę, że *hulder* wraca na wzgórze między drzewa. - Spojrzała przed siebie. - Znam historię o jednej z nich. Poślubiła rolnika, który źle ją traktował, krzychał na nią, nie pomagał w gospodarstwie, wracał z wioski pijany i wściekły. Czasami ją bił.

Pewnego dnia *hulder* jest w domu, rozpala właśnie poranny ogień, gdy on zjawia się i zaczyna krzyżeć, bo nie dostał jeszcze śniadania. Jest zły, mówi, że nic nie robi jak należy, nie wie czemu w ogóle się z nią ożenił. A ona słucha przez chwilę, a potem bez słowa sięga do paleniska i podnosi pogrzebacz, ciężki kawał czarnego żelaza. Bierze go i bez wysiłku zgina w idealne kółko, zupełnie takie jak obrączka. Nie stęka przy tym, nie poci się, po prostu go zgina niczym trzcinę. Rolnik widzi to, robi się biały jak prześcieradło i nie wspomina już o śniadaniu. Przekonał się, co żona potrafi zrobić z pogrzebaczem, i doskonale rozumie, że przez ostatnie pięć lat w każdej chwili mogła

zrobić to samo z nim. Aż do śmierci nie tyka jej nawet palcem, nigdy nie wypowiada jednego ostrego słowa. Teraz ty mi coś powiedz, mój panie nazywają-mnie-Cień. Skoro to potrafiła, czemu w ogóle pozwalała, by ją bił? Dlaczego chciała być z kimś takim? Powiedz mi.

- Może - rzekł Cień - może była samotna.

Jennie wytarła ostrze noża o nogawkę dżinsów.

- Doktor Gaskell powtarzał, że jesteś potworem. To prawda?

- Nie sądzę - powiedział Cień.

- Szkoda - mruknęła. - Z potworami wiadomo przynajmniej, na czym się stoi. Mam rację?

- Masz?

- O tak. Wiadomo, że pod koniec dnia zje cię na kolację. A skoro już o tym mowa, coś ci pokażę. - Wstała i poprowadziła go na szczyt wzgórza. - Widzisz, o tam? Po drugiej stronie, w miejscu gdzie zbocze opada w dolinę, widać dom, w którym będziesz pracował w ten weekend. O tam, widzisz go?

- Nie.

- Patrz, pokażę ci. Podążaj za moim palcem.

Stała obok niego, wyciągnęła rękę i wskazała odległy skalny grzebień. Cień widział promienie słońca odbijające się w czymś. Przypuszczał, że to jezioro - *loch*, poprawił się w myślach; ostatecznie byli w Szkocji - a nad nim szary kształt wyrastający ze zbocza. Wcześniej wziął go za skałę, był jednak zbyt regularny.

- To jest zamek?

- Nie nazwałabym go tak. Po prostu duży dom w dolinie.

- Brałaś udział w takim przyjęciu?

- Nie zapraszają miejscowych - rzekła. - I nie zaprosiliby mnie. Ty też nie powinieneś tam iść. Powinieneś odmówić.

- Płacą całkiem sporo - mruknął.

Wówczas dotknęła go po raz pierwszy, kładąc jasne palce na grzbiecie jego ciemnej dłoni.

- A po cóż potworowi pieniądze? - spytała i uśmiechnęła się.

Cień mógłby przysiąc, że w tym momencie pomyślał, iż może faktycznie jest piękna.

Potem jednak zabrała rękę i cofnęła się.

- I co? - spytała. - Nie powinieneś ruszać dalej na wycieczkę? Wkrótce będziesz musiał zawrócić. O tej porze roku bardzo szybko robi się ciemno.

Została tam, patrząc na niego, gdy zarzucił na ramię plecak i

ruszył w dół zbocza. Dotarłszy na dół, obejrzał się, spojrzał w górę. Wciąż na niego patrzyła. Pomachał, ona uczyniła to samo.

Gdy obejrzał się następnym razem, zniknęła.

Przeplłynął niewielkim promem przez cieśninę na przylądek i podszedł do latarni morskiej. Stamtąd na przystań jeździły minibusy. Wsiadł do jednego.

Do hotelu dotarł o ósmej wieczór, wyczerpany, lecz zadowolony. Raz, późnym popołudniem, spadł deszcz, Cień jednak schronił się w porzuconej, zrujnowanej chacie i pograżył w lekturze pięcioletniej gazety, podczas gdy deszcz bębnił o dach. Po półgodzinie deszcz minął, Cień jednak cieszył się, że ma solidne buty, bo twarda ziemia zamieniła się w błoto.

Konał z głodu. Ruszył do hotelowej restauracji. Była pusta.

- Halo? - rzucił Cień.

W drzwiach między restauracją a kuchnią stanęła starsza kobieta.

- Tak?

- Wciąż podajecie kolację?

- Tak.

Zmierzyła go pełnym dezaprobaty wzrokiem, od zabłoconych butów po zmierzwione włosy.

- Jest pan gościem?

- Tak, pokój jedenaście.

- Cóż... zechce pan zapewne przebrać się do kolacji. Tak jest uprzejmiej wobec innych gości.

- Zatem wciąż podajecie.

- Tak.

Poszedł do pokoju, rzucił plecak na łóżko i zdjął buty. Włożył adidasy, przeczesał włosy i wrócił na dół.

Jadalnia nie była już pusta. Przy stole w kącie siedziało dwoje ludzi. Dwoje ludzi, którzy wydawali się różni pod każdym możliwym względem: drobna kobieta, na oko przed sześćdziesiątką, przygarbiona i chuda jak ptak, oraz młody mężczyzna, potężny, niezręczny i idealnie łysy. Cień uznał, że to zapewne matka i syn.

Zajął stolik pośrodku sali.

Starsza kelnerka zjawiała się z tacą, podała pozostałym gościom po talerzu zupy. Mężczyzna zaczął dmuchać, by ją wystudzić. Matka pacnęła go mocno w wierzch dłoni.

- Przestań - rzuciła.

Zaczęła szybko machać łyżką, siorbiąc głośno.

Łysy młodzieniec rozejrzał się ze smutkiem po sali. Dostrzegł Cienia, który skinął mu głową. Tamten westchnął i z powrotem zajął się parującą zupą.

Cień bez entuzjazmu zajrzał do karty dań. Był gotów złożyć zamówienie, lecz kelnerka znów zniknęła.

Błysk szarości. W drzwiach restauracji stanął doktor Gaskell. Zajrzał do środka, przekroczył próg i podszedł wprost do stolika Cienia.

- Mogę się przysiąść?

- Ależ proszę.

Mężczyzna usiadł naprzeciwko Cienia.

- Jak minął dzień?

- Doskonale. Zrobiłem sobie wycieczkę.

- Nie ma to jak spacer na pobudzenie apetytu. Jutro rano przyślą po ciebie samochód. Zabierz rzeczy. Zawiozą cię do domu, pokażą o co chodzi.

- A pieniądze? - spytał Cień.

- Załatwią to. Połowę z góry, resztę po wszystkim. Chcesz wiedzieć coś jeszcze?

Kelnerka stała na skraju sali. Obserwowała ich, ale wyraźnie nie zdradzała chęci podejścia.

- Tak. Co mam zrobić, żeby dostać tu coś do jedzenia?

- A na co masz ochotę? Osobiście polecam kotlety jagnięce. Są z miejscowych jagniąt.

- Brzmi nieźle.

- Przepraszam, Mauro - powiedział głośno Gaskell - nie chciałbym sprawiać kłopotu, ale czy mogłabyś podać nam obu kotlety jagnięce?

Kelnerka zacisnęła usta i wróciła do kuchni.

- Dzięki - rzucił Cień.

- Nie ma za co. Mogę pomóc w czymś jeszcze?

- Tak. Ci ludzie, którzy przyjeżdżają tu na przyjęcie - czemu nie wynajmą własnej ochrony? Czemu akurat mnie?

- O, bez wątpienia to zrobią - rzekł Gaskell. - To znaczy, sprowadzą własnych ludzi. Ale dobrze jest mieć kogoś miejscowego.

- Nawet jeśli ów ktoś miejscowy to turysta z zagranicy?

- Właśnie.

Maura przyniosła dwa talerze zupy i postawiła przed Cieniem i doktorem.

- Wliczona w cenę - oznajmiła.

Zupa była zbyt gorąca, smakowała lekko pomidorami z odzysku i octem. Głód jednak sprawił, że Cień zdążył zjeść niemal cały talerz, nim uświadomił sobie, że mu nie smakuje.

- Mówił pan, że jestem potworem - rzekł, zwracając się do stalowoszarego doktora.

- Tak?

- Tak.

- Cóż, w tej części świata jest mnóstwo potworów. - Gaskell skinieniem głowy wskazał parę w kącie. Niska kobieta wzięła serwetkę, zmoczyła w szklance z wodą i zaczęła energicznie ścierać szkarłatne plamy zupy pokrywające usta i podbródek syna. Mężczyzna zarumienił się ze wstydu. - To odludzie, nie trafiamy do gazet, chyba że zaginie tutaj turysta albo wspinacz, albo może umrze z głodu. Większość ludzi zapomina o naszym istnieniu.

Na stole pojawiły się kotlety jagnięce w towarzystwie rozgotowanych ziemniaków, niedogotowanych marchewek oraz czegoś brązowego i wilgotnego - Cień podejrzewał, że u zarania żywota był to szpinak. Zaczął kroić mięso nożem. Doktor podniósł kotlet palcami i odgryzł kawałek.

- Siedziałeś - zauważył.

- Siedziałem?

- W więzieniu. Byłeś w więzieniu. - To nie było pytanie.

- Tak.

- Zatem umiesz walczyć. Jeśli trzeba, potrafisz zrobić komuś krzywdę.

- Jeśli potrzebujecie kogoś, kto robi ludziom krzywdę - odparł Cień - to zapewne nie jestem tym, kogo szukacie.

Drobny człowieczek uśmiechnął się szeroko tłustymi, szarymi ustami.

- Ależ niewątpliwie jesteś. Tak tylko pytałem. Nie możesz mieć pretensji, że pytam. Tak czy owak, on jest potworem - dodał, machając obgryzionym kotлетem w stronę pary przy stoliku. Łysy mężczyzna jadł właśnie łyżką biały pudding. - Podobnie jego matka.

- Według mnie nie wyglądają jak potwory.

- Tylko się drocę, miejscowe poczucie humoru. Powinni byli cię ostrzec przed moim, gdy tylko zjawileś się w wiosce. „Uwaga, po okolicy kręci się świrnięty stary lekarz i gada o potworach”. Wybacz staruszkowi. Nie przejmuj się tym, co mówię. - Błysk poplamionych tytoniem zębów. Doktor wytarł serwetką ręce i usta. - Mauro, prosimy o

rachunek. Ja zapłacę za obiad tego młodzieńca.

- Tak, doktorze Gaskell.

- Pamiętaj - powiedział doktor do Cienia - jutro rano kwadrans po ósmej bądź w holu. Nie spóźnij się, to bardzo zajęci ludzie. Jeśli cię nie będzie, pojedą sami i stracisz szansę zarobku. Półtora tysiąca za jeden weekend, plus premia, jeśli im się spodobaś.

Cień postanowił, że poobiednią kawę wypije w barze. W końcu płonął tam ogień na kominku. Miał nadzieję, że jego ciepło przegna chłód z kości.

Za barem ujrzał Gordona z recepcji.

- Jennie ma wolne? - spytał Cień.

- Słucham? Nie, tylko tu pomagała. Czasem przychodzi, jeśli jesteśmy bardzo zajęci.

- Mogę dorzucić do ognia?

- Bardzo proszę.

Jeśli tak właśnie Szkoci traktują swe lato, pomyślał Cień, przypominając sobie słowa Oscara Wilde'a, to na nie nie zasługuje.

W barze zjawił się łysy młodzieniec. Nerwowym skinieniem głowy powitał Cienia, który odpowiedział tym samym. Tamten nie miał żadnych widocznych włosów, brwi ani rzęs, przez co wydawał się nie do końca ukształtowany, jak niemowlak. Cień zastanawiał się, czy sprawiła to choroba, czy może to efekt uboczny chemioterapii. Przybysz cuchnął wilgocią.

- Słyszałem, co mówił - wyjąkał młodzieniec. - Mówił, że jestem potworem, że moja mama też jest potworem. Mam dobre uszy, niewiele mi umyka.

Istotnie miał dobre uszy: przejrzyste, różowe i odstające; sterczały z boków głowy niczym płetwy olbrzymiej ryby.

- Masz świetne uszy - odparł Cień.

- W kulki lecisz? - W głosie łysego mężczyzny zadźwięczała uraza. Wyglądał na gotowego do bójki. Wzrostem niemal dorównywał Cieniowi, a Cień był naprawdę wysoki.

- Jeśli to znaczy to, co myślę, bynajmniej. Tamten skinął głową.

- To dobrze - rzekł. Przełknął ślinę i zawahał się. Cień nie wiedział, czy powinien powiedzieć coś pojednawczo, lecz łysy mężczyzna odezwał się znowu: - To nie moja wina. Wszystko przez ten hałas. Ludzie przyjeżdżają tu, żeby uciec przed hałasem. I ci ludzie, zbyt wielu przeklętych ludzi. Czemu nie wróćcie tam, skąd przyszliście, i nie przestaniecie tak cholernie hałasować?

W drzwiach stanęła matka rozmówcy Cienia. Uśmiechnęła się nerwowo i podeszła szybko do syna. Szarpnęła go za rękaw.

- Już dobrze - mruknęła. - Nie nakręcaj się, nie masz powodów, wszystko w porządku. - Spojrzała na Cienia pojednawczo, bystro niczym ptak. - Przepraszam. Jestem pewna, że nie mówił serio. - Do podeszwy przykleił jej się kawałek papieru toaletowego; jak dotąd tego nie zauważyła.

- Wszystko w porządku - odparł Cień. - Miło jest poznawać ludzi.

Kobieta skinęła głową.

- Zatem dobrze - rzekła. Jej syn odetchnął z ulgą.

On się jej boi, pomyślał Cień.

- Chodź, skarbie - poleciła kobieta. Ponownie pociągnęła go za rękaw, a on ruszył za nią do drzwi.

Tam jednak zatrzymał się z uporem i odwrócił.

- Powiedz im - rzekł - żeby nie robili takiego hałasu.
- Powiem - przyrzekł Cień.
- Bo ja wszystko słyszę.
- Nie martw się - uspokoił go Cień.
- To naprawdę dobry chłopiec - wtrąciła matka łysego młodzieńca i wyprowadziła syna za rękaw na korytarz, ciągnąc za sobą papier toaletowy.
Cień wyszedł za nią.
- Przepraszam! - zawołał.
Odwrócili się, mężczyzna i jego matka.
- Coś przyczepiło się pani do buta.
Spojrzała w dół, drugą nogą nadepnęła na papier i uniosła stopę. Następnie z aprobatą skinęła głową w stronę Cienia i wyszła. Cień ruszył w stronę recepcji.
- Gordon, masz może dobrą miejscową mapę?
- Coś jak sztabówkę? Jasne, przyniosę ją panu.
Cień wrócił do baru i dokończył kawę. Gordon przyniósł mu mapę, imponującą, szczegółową - zdawało się, że uwzględniono na niej każdą, nawet najmniejszą ścieżkę. Cień obejrzał ją uważnie, odtwarzając trasę wycieczki. Znalazł wzgórze, na którym zjadł lunch. Przesunął palcem na południowy zachód.
- Tu w okolicy nie ma żadnych zamków?
- Niestety, nie. Jest tylko parę na wschodzie. Jeśli pan chce, mam przewodnik po szkockich zamkach. Mogłbym pokazać.
- Nie, nie, nie trzeba. Czy w okolicy są duże domy, dwory, które ludzie mogliby nazwać zamkami? Wielkie majątki?
- No, na Cape Wrath stoi hotel, o tutaj. - Gordon wskazał palcem miejsce na mapie. - Ale okolica jest raczej pusta. Pod względem gęstości zaludnienia mogłaby śmiało konkurować z pustynią. Nie ma tu nawet żadnych ciekawych ruin, szczególnie takich, do których można dotrzeć pieszo.
Cień podziękował mu i poprosił o wczesną pobudkę. Pożałował, że nie zdołał odnaleźć na mapie widzianego ze wzgórza domu. Ale może szukał w złym miejscu. Zresztą nie pierwszy raz.
Para w sąsiednim pokoju klóciła się albo uprawiała seks; Cień nie potrafił stwierdzić, co dokładnie robią, lecz za każdym razem, gdy zaczął osuwać się w sen, budziły go podniesione głosy.
Nigdy nie był pewien, czy to, co zdarzyło się później, stało się naprawdę. Czy rzeczywiście do niego przyszła, czy też stanowiła pierwszy ze snów tej nocy? Lecz na jawie bądź śnie, tuż przed północą według stojącego obok łóżka zegarka z radiem, usłyszał pukanie do drzwi sypialni. Podniósł się.
- Kto tam?! - zawołał.
- Jennie.
Otworzył drzwi, krzywiąc się, gdy oślepiło go światło z korytarza.
Wciąż miała na sobie brązowy płaszcz. Spojrzała na niego nerwowo.
- Tak? - spytał Cień.
- Jutro wybierasz się do tego domu.
- Tak.
- Pomyślałam, że się pożegnam - oznajmiła. - Na wypadek, gdybyśmy już się nie

zobaczyli i gdybyś nie wrócił do hotelu. Po prostu udał się gdzie indziej. I gdybym nigdy cię już nie spotkała.

- Cóż, zatem dobranoc - mruknął Cień.

Jennie zmierzyła go uważnym spojrzeniem, przyglądając się podkoszulce i bokserkom, w których sypiał, jego bosym stopom i wreszcie twarzy. Sprawiała wrażenie zatroskaney.

- Wiesz, gdzie mieszkam - oznajmiła. - Jeśli będziesz mnie potrzebował, wezwij mnie.

Wyciągnęła palec wskazujący i delikatnie musnęła mu usta. Dłoń miała bardzo zimną. Potem cofnęła się o krok na korytarz i stała tak, patrząc na niego.

Cień zamknął drzwi hotelowego pokoju i usłyszał w korytarzu oddalające się kroki. Wrócił do łóżka.

Z pewnością jednak następny sen był rzeczywiście snem. Przeżywał znów całe swe życie, zniekształcone i pomieszane. W jednej chwili siedział w więzieniu, uczył się sztuczek z monetami i powtarzał, że miłość do żony pozwoli mu to przetrwać. A potem Laura nie żyła, a on wyszedł na wolność. Pracował jako ochroniarz starego oszusta, który kazał mu się nazywać Wednesday.

Nagle we śnie zaroilo się od bogów: starych, zapomnianych bogów, niekochanych i opuszczonych, i nowych bogów, tymczasowych, przerażonych istot, oszukanych i oszłomionych. Płatanina nieprawdopodobieństw, kocia kołyska, która rozrosła się w siatkę, która rozrosła się w sieć, która rozrosła się w gmatwaninę wielką jak cały świat...

W swym śnie umarł na drzewie.

W swym śnie powrócił z martwych. A potem była już tylko ciemność.

Rozdział IV

Telefon przy łóżku rozdzwonił się o siódmej. Cień wziął prysznic, ogolił się, ubrał. Spakował swój świat do plecaka.

Potem zszedł do restauracji na śniadanie: słona owsianka, oklapły bekon i tłuste sadzone jajka. Kawa natomiast okazała się zaskakująco dobra.

Dziesięć po ósmej czekał już w holu.

Czternaście po ósmej do środka wmaszerował mężczyzna w kozuchu. Zaciągał się właśnie ręcznie skręconym papierosem. Z radosnym uśmiechem wyciągnął rękę.

- Moon, prawda? - spytał. - Ja nazywam się Smith. Podrzucę cię do domu. - Mocno ścisnął mu dłoń. - Faktycznie, spory jesteś, nie?

Nie musiał mówić nic więcej, bo Cień i tak wiedział, co miałby dodać: „Ale i tak dałbym ci radę”.

- Tak mówią. Nie jesteś Szkotem?

- Nie ja, brachu. Przyjechałem na tydzień dopilnować, żeby wszystko poszło gładko jak po maśle. Pochodzę z Londynu. - Błysk zębów w ostrej jak brzytwa twarzy. Cień oszacował, że jego rozmówca jest po czterdziestce. - Chodź do samochodu, po drodze wszystko ci opowiem. To twoja torba?

Cień zaniósł torbę do samochodu, zabłoconego land rovera, którego silnik wciąż pracował. Rzucił plecak na tył, wdrapał się na fotel pasażera. Smith po raz ostatni zaciągnął się papierosem, z którego został zaledwie zwitek białej bibułki, i przez otwarte okno wyrzucił niedopałek na drogę.

W milczeniu wyjechali z wioski.

- Jak właściwie wymawiasz swoje imię? Bal-der czy Bool-der czy jeszcze inaczej? Coś jak Cholmondeley, który naprawdę wymawia się Chumley?

- Cień - odparł Cień. - Ludzie nazywają mnie Cień.

- Jasne. Zatem - Smith zawiesił głos - Cieniu, nie wiem, ile stary

Gaskell opowiedział ci o przyjęciu w ten weekend.

- Odrobinę.

- Jasne. Najważniejsze jest jedno: cokolwiek się zdarzy, milczysz jak grób. Jasne? Zobaczysz różne rzeczy, bawiących się ludzi i nikomu o tym nie wspomnisz, nawet jeśli ich rozpoznasz. Łapiesz?

- Ja nie rozpoznaję ludzi - odrzekł Cień.

- I o to chodzi. Jesteśmy tu po to, by dopilnować; żeby wszyscy dobrze się bawili i nikt im nie przeszkadzał. Przyjeżdżają z daleka, by spędzić tu przyjemny weekend.

- Kumam - mruknął Cień.

Dotarli do promu na przylądek. Smith zaparkował land rovera na poboczu, zabrał bagaże i zamknął wóz.

Po drugiej stronie przeprawy czekał identyczny land rover. Smith otworzył drzwi, wrzucił na tył torby i ruszył dalej gruntową drogą.

Skręcili przed latarnią morską. Jakiś czas jechali w ciszy. Droga zniknęła, zamieniając się w owczą ścieżkę. Kilka razy Cień musiał wysiadać i otwierać bramy. Czekał, aż land rover przejedzie, po czym zamykał je za nimi.

Na polach i niskich kamiennych murkach przysiadły kruki, wielkie czarne ptaki, obserwujące Cienia nieprzeniknionymi oczami.

- To prawda, że siedziałeś w pace? - spytał nagle Smith.

- Słucham?

- W pace, w pudle, w pierdłu i wiele innych słów na „w” i „p” oznaczających kiepskie żarcie, brak życia nocnego, prymitywne warunki bytowe i ograniczone możliwości podróży.

- Tak.

- Nie lubisz zbyt wiele gadać.

- Sądziłem, że to zaleta.

- Punkt dla ciebie. Tak tylko rozmawiam, cisza mnie drażni. Podoba ci się tutaj?

- Chyba tak. Jestem tu zaledwie parę dni.

- Mnie to miejsce kurewsko gra na nerwach. Jest za daleko, za pusto. Nawet Syberia bywa przyjemniejsza - wiem, bo tam byłem. Odwiedziłeś już Londyn? Nie? Kiedy przyjedziesz na południe, oprowadzę cię. Świetne puby, prawdziwe żarcie i wszystkie te atrakcje turystyczne, które wy, Amerykanie, tak uwielbiacie. Fakt, jazda samochodem to piekło. Tu przynajmniej da się pojeździć, żadnych pieprzonych świateł. Na końcu Regent Street jest takie jedno

światło, przysięgam, człowiek czeka pięć minut na czerwonym. Potem na dziesięć sekund zapala się zielone i przepuszcza najwyżej dwa wozy. Jakieś, kurwa, kpiny. Twierdzą, że to cena, jaką płacimy za postęp. W porządku?

- Tak - mruknął Cień. - Chyba tak.

Droga zniknęła całkowicie, samochód zataczał się i podskakiwał po nierównym dnie doliny między dwoma wysokimi wzgórzami.

- Wasi goście - zagadnął Cię - przyjadą land roverami?
- Nie, mamy helikoptery. Zjawią się wieczorem, w porze kolacji. A odlecą w poniedziałek rano.

- Zupełnie jak na wyspie.

- Chciałbym, żebyśmy byli na wyspie. Wówczas nie mielibyśmy problemów ze świrniętymi miejscowymi. Nikt nie narzeka na hałasy dobiegające z sąsiedniej wyspy.

- Na waszej imprezie goście mocno hałasują?

- To nie moja impreza, stary. Ja pracuję w obsłudze, pilnuję, żeby wszystko szło gładko. Ale tak, z tego co wiem, jak się przyłożą, potrafią pohłasować.

Trawiaste dno doliny zamieniło się w owczy trakt, a ten w podjazd prowadzący w górę zbocza. Lekki łuk, potem ostry zakręt i jechali już ku domowi. Cię rozpoznał go, Jennie pokazała mu go wczoraj podczas lunchu.

Dom był stary, dostrzegł to natychmiast. Niektóre części wydawały się starsze od innych: mur jednego skrzydła wzniesiono z szarych kamieni i odłamków skalnych, ciężkich i twardych. Łączył się on pod kątem z innym, zbudowanym z brązowej cegły. Dach pokrywający cały budynek i oba skrzydła wyłożono ciemnoszarą dachówką. Front domu wychodził na zwirowy podjazd i leżące dalej w dole niewielkie jezioro. Cię wygramolił się z land rovera. Spojrzał na budynek i poczuł się nagle bardzo mały, zupełnie jakby wracał do domu. Nie było to miłe uczucie.

Na żwirze parkowało jeszcze kilka wozów z napędem na cztery koła.

- Kluczyki do samochodów wiszą w spiżarni, na wypadek gdybyś któregoś potrzebował. Po drodze pokażę ci, gdzie to.

Przeszli przez wielkie drewniane drzwi i znaleźli się na środkowym dziedzińcu, częściowo wybrukowanym. Pośrodku widniała niewielka fontanna i mnóstwo trawy: bujny, jadowicie zielony trawnik otoczony szarymi kamieniami.

- Tu właśnie w sobotnią noc odbędzie się impreza – oznajmił Smith. - Pokażę ci twój pokój.

Przeszli do mniejszego skrzydła przez zupełnie zwyczajne drzwi. Minęli pokój pełen kluczy na haczykach - każdy z kluczy zaopatrzono w papierową etykietę - i wspięli się po schodach. Schody były nagie, pozbawione dywanu, ściany jedynie bielone („To w końcu część służbowa, chwytasz? Nie wydawali na nią kasy”). Było tu zimno w sposób, jaki Cię zaczął już rozpoznawać, zimniej wewnątrz budynku niż na zewnątrz. Zastanawiał się, jak to robią i czy to brytyjska tajemnica budowlana.

Smith poprowadził go na samą górę do ciemnego pokoju, w którym stała antyczna szafa, żelazne wąskie łóżko, które - Cię dostrzegł to natychmiast - było mniejsze niż on, staroświecka umywalka i niewielkie okno wychodzące na dziedziniec wewnętrzny.

- Na końcu korytarza jest kibiel - oznajmił Smith. - Łazienka służby mieści się piętro niżej: dwie wanny, jedna dla kobiet, druga dla mężczyzn. Nie mają tu pryszniców. Dostawy ciepłej wody do tego skrzydła są, niestety, bardzo ograniczone. Twoje małe ubranko wisi w szafie, przymierz. Zobacz czy pasuje i zostaw je do wieczora, kiedy zjawią się goście. Z praniem chemicznym też są kłopoty. Zupełnie jakbyśmy wylądowali na Marsie. Gdybyś mnie potrzebował, będę w kuchni. Nie jest tam tak zimno, jeśli tylko odpalili agę. Schodami na dół, potem w prawo, a potem krzycz, gdybyś się zgubił. Nie chodź do drugiego skrzydła, chyba że ci każą.

Zostawił Cienia samego.

Cień przymierzył czarny smoking, białą elegancką koszulę, czarny krawat. W szafie stały też lśniące lakierki. Wszystko pasowało jak skrojone na miarę. Odwiesił ubranie z powrotem.

Zszedł po schodach i znalazł Smitha na podeście, z wściekłą miną dźgającego palcem mały srebrny telefon.

- Brak pieprzonego sygnału. Zadzwoił, teraz próbuję oddzwonić, ale nie ma sygnału. Zupełnie jak w cholernej epoce kamienia. Jak tam ciuchy, w porządku?

- Idealnie.

- Grzeczny chłopiec. Po co pięć słów, jeśli wystarczy jedno, co? Znałem nieboszczyków, którzy gadali więcej od ciebie.

- Naprawdę?

- Nie, to takie powiedzonko. No chodź. Masz ochotę na lunch?

- Jasne, dzięki.

- Spoko, chodź za mną. To labirynt, ale szybko się połapiesz. Posiłek zjedli w wielkiej, pustej kuchni. Cień i Smith nałożyli na emaliowane, metalowe talerze stopy kanapek z białego chleba, z przejrzystym pomarańczowym wędzonym łososiem, i plastrów ostrego sera. Do tego wzięli po kubku mocnej, słodkiej herbaty. Aga, jak odkrył Cień, okazała się wielką metalową skrzynią, częściowo kuchenką, częściowo bojlerem. Smith otworzył jedno z wielu bocznych drzwi i wrzucił do środka kilka dużych łopatek węgla.

- Gdzie jest reszta jedzenia? Kelnerzy, kucharze? - spytał Cień. - Niemożliwe, żebyśmy byli tylko my.

- Słuszna uwaga. Przyjedzie z Edynburga. Jak w zegarku. Jedzenie i obsługa zjawia się o trzeciej, rozpakują wszystko. Goście przybędą o szóstej. O ósmej podajemy kolację: bufet. Rozmowy, jedzenie, trochę śmiechu, wszystko spokojne. Jutro od siódmej do południa śniadanie. Goście ruszają na spacer, oglądają widoki i tak dalej, aż do popołudnia. Przygotowujemy ogniska na dziedzińcu. Wieczorem ogniska zaczynają płonąć, wszyscy szykują się do szalonej sobotniej nocy na pustkowiach, miejmy nadzieję niezakłóconej protestami sąsiadów. W niedzielę rano chodzimy na paluszkach, by nie urazić skacowanych gości. W niedzielę po południu lądują helikoptery, potem machamy wszystkim na pożegnanie. Odbierasz kasę, ja odwożę cię do hotelu. Albo, jeśli masz ochotę na zmianę, mogę cię zabrać na południe. Jak to brzmi?

- Super - odparł Cień. - A kto właściwie może się tu zjawić w sobotnią noc?

- Natręci, miejscowi chcący przeszkodzić w zabawie.

- Jacy miejscowi? - dopytywał się Cień. - W promieniu wielu mil nie ma nikogo prócz owiec.

- Miejscowi są wszędzie - rzekł Smith. - Po prostu ich nie widzisz. Ukrywają się jak Sawney Beane i jego rodzina.

- Chyba o nim słyszałem - mruknął Cień. - Nazwisko brzmi jakoś znajomo.

- To postać historyczna. - Smith podkreślił ostatnie słowo. Siorbiąc głośno, upił łyk herbaty i odchylił się na krześle. - Działo się to jakieś sześćset lat temu, po tym, jak wikingowie zwiali do Skandynawii albo pomieszali się z miejscowymi, nawrócili i zamienili w zwykłych Szkotów, lecz przed śmiercią królowej Elżbiety i wstąpieniem na tron Jakuba, który rządził oboma krajami. Gdzieś w tym czasie. - Upił kolejny łyk herbaty. - A zatem podróźni w Szkocji zaczęli znikać. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. W tamtych czasach, jeśli ktoś wyruszał w długą podróż, nie zawsze

docierał do domu. Czasami mijały miesiące, nim ktokolwiek się zorientował, że już się nie zjawi. Ludzie zwykle winili wilki albo pogodę i postanawiali podróżować w grupach i tylko latem.

Pewien podróżny jednak jechał wraz z grupką towarzyszy przez górską dolinę, gdy nagle ze wzgórza, z drzew, z nor w ziemi wyroliła się grupka, tłum, stado dzieci uzbrojonych w sztylety, kościane pałki i grube kije. Zaczęły ściągać przybyszów z koni, tłuc ich i mordować. Wszystkich z wyjątkiem jednego staruszka, który jechał nieco z tyłu. Jemu udało się uciec. Był sam jeden, ale też jeden wystarczy, prawda? Dotarł do najbliższego miasta i wszczął alarm. Wkrótce oddział mieszczan i żołnierzy wrócił do doliny z psami.

Dopiero po wielu dniach znaleźli kryjówkę. Już mieli się poddać, gdy u wylotu jaskini nad morzem psy zaczęły wyć. Weszli do środka. Okazało się, że pod ziemią jest mnóstwo jaskiń, a w największej i najgłębszej z nich kryje się stary Sawney Beane i jego pomioty, a także trupy rozwieszane na hakach, uwędzone i upieczone. Ręce, nogi, uda, dłonie i stopy mężczyzn, kobiet i dzieci wisiały w rzędach niczym suszona wieprzowina. Obok stały garnce z kończynami marynowanymi w słonej wodzie, zupełnie jak solona wołowina. A wszędzie wałały się pieniądze, stopy złota i srebra, zegarków, pierścieni, mieczy, szpad, pistoletów i ubrań. Niewyobrażalne bogactwa, bo oni nigdy nie wydali ani grosza. Siedzieli tylko w jaskiniach, żarli, mnożyli się i nienawidzili.

Beane żył tam wiele lat. Stary Sawney, władca własnego małego królestwa wraz z żoną, a także dziećmi i wnukami, a niektóre z tych wnuków były także ich dziećmi. Kazirodztwo to niezła rozrywka.

- Czy to stało się naprawdę?

- Tak słyszałem. Zachowały się rejestry sądowe. Żołnierze zabrali całą rodzinę do Leith na rozprawę. Sąd podjął ciekawą decyzję

- postanowił, że Sawney Beane swoimi czynami usunął się z szeregów ludzkości, potraktowali go zatem jak zwierzę. Nie powiesili go, nie ścięli, po prostu rozpalili wielkie ognisko i wrzucili oboje małżonków do ognia, by spłonęli.

- Co się stało z resztą rodziny?

- Nie pamiętam. Możliwe, że spalili też dzieciaki, może i nie. Pewnie tak. W tej części świata bardzo skutecznie rozprawiają się z potworami.

Smith umył w zlewie ich talerze i kubki; zostawił na suszarce. Następnie obaj wyszli na dziedziniec. Smith fachowo skręcił sobie papierosa, polizał bibułkę, przyglądał palcami i zapalił zippo.

- Pomyślmy, co musisz wiedzieć przed wieczorem. Podstawy są proste. Odzywaj się tylko pytany, to dla ciebie akurat nie problem, co?

Cień nie odpowiedział.

- Jasne. Jeśli ktoś z gości poprosi cię o coś, postaraj się to załatwić. W razie wątpliwości pytaj mnie, ale rób co każą goście, jeśli tylko nie przeszkadza ci to w pracy ani nie zmusi do naruszenia pierwszej zasady.

- Czyli?

- Nie. Dmuchaj. Bogatych. Lasek. Z pewnością wśród gości znajdą się młode damy, które po wypiciu pół butelki wina wbijają sobie do głowy, że potrzebują ostrego numerka. Jeśli do tego dojdzie, zrobisz jak *Sunday People*.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- „Nasz reporter przeprosił i wyszedł”. Jasne? Możesz patrzeć, ale nie dotykaj. Chwytasz?

- Chwytam.

- Mądry chłopiec.

Cień odkrył, że zaczyna lubić Smitha. Upomniął się w duchu, że lubienie tego człowieka to niezbyt rozsądny pomysł. Już wcześniej spotykał wielu podobnych Smithów, ludzi pozbawionych sumienia, skrupułów i serca. I zawsze byli równie sympatyczni, jak niebezpieczni.

Wczesnym popołudniem zjawiała się służba przywieziona helikopterem przypominającym pojazd do przewozu wojska. Ze zdumiewającą sprawnością wypakowali skrzynki wina i skrzynie jedzenia, pudła i pojemniki. Były tam całe kartony serwetek i obrusów, a także kucharze i kelnerzy, kelnerki i pokojówki.

Lecz jako pierwsi z helikoptera wyskoczyli ochroniarze: potężni, twardzi mężczyźni ze słuchawkami i wybrzuszeniami pod marynarką. Cień nie wątpił, że kryje się tam broń. Kolejno meldowali się Smithowi, który posłał ich, by zbadali dom i teren.

Cień pomagał, dźwigając pełne warzyw skrzynki z helikoptera do kuchni. Był w stanie unieść dwa razy więcej niż inni. Gdy następnym razem minął Smitha, przystanął.

- Skoro macie tylu ochroniarzy, po co wam ja? Smith uśmiechnął się przyjaźnie.

- Posłuchaj, synu, na tę imprezę przybędą ludzie warci więcej, niż ty czy ja zdołamy ujrzeć przez całe życie. Muszą być pewni, że mają dobrą opiekę. Porwania się zdarzają, ludzie miewają wrogów, mnóstwo rzeczy może się wydarzyć. Ale nie przy tych chłopcach. Lecz posyłanie ich, by rozprawili się z marudnymi miejscowymi, to jak stawianie min, by nie dopuścić ciekawskich. Łapiesz?

- Tak - odparł Cień.

Wrócił do helikoptera i chwycił kolejną skrzynkę podpisaną „młode oberżyny” i pełną małych, czarnych bakłażanów. Postawił ją na skrzynce kapusty i zaniósł obie do kuchni, pewien, że go okłamują. Odpowiedź Smitha brzmiała rozsądnie, nawet przekonująco, tyle że nie była prawdziwa. Nie istniał żaden powód, by go zatrudniać. A jeśli istniał, to z pewnością nie ten, który mu podano.

Jakiś czas przetrawiał tę myśl, próbując zgadnąć, po co znalazł się w tym domu. Miał nadzieję, że nie pokazuje niczego po sobie. Cień lubił ukrywać wszystko wewnątrz. Tam było bezpieczniejsze.

Rozdział V

Wczesnym wieczorem, gdy niebo poróżwiało, pojawiły się kolejne helikoptery i wysiadło z nich parędziesiąt eleganckich osób. Kilka uśmiechało się i śmiało głośno. Większość mieściła się w przedziale między trzydziestką a czterdziestką. Cień nie rozpoznał nikogo.

Smith gładko, od niechcienia przechodził od osoby do osoby, witając je ciepło.

- Jasne, potem tamtędy, proszę skrócić w prawo i zaczekać w głównym holu. Jest tam piękny ogień. Ktoś się zjawi i zaprowadzi pana do pokoju, bagaż będzie już czekał. Jeśli nie, proszę dać mi znać, ale będzie. Witam szanowną lady, wygląda pani rozkosznie. Czy ktoś ma ponieść pani torbę? Nie może się pani doczekać jutra? Jak wszyscy, jak wszyscy.

Cień obserwował zafascynowany, jak Smith radzi sobie z kolejnymi gośćmi. Jego

zachowanie stanowiło błyskotliwe połączenie poufałości i szacunku, ciepła i cockneyowskiego uroku. Akcenty, brzmienia, składnia zmieniały się w zależności od tego, z kim właśnie rozmawiał.

Kobieta o krótkich ciemnych włosach, bardzo ładna, uśmiechnęła się do Cienia, gdy niósł do domu jej bagaże.

Gdy go mijał, Smith mruknął:

- Bogata laska. Ręce przy sobie.

Ostatnią osobą, jaka wysiadła z helikoptera, był mężczyzna z brzuszkiem. Cień oszacował, że ma około sześćdziesięciu lat. Podeszedł do Smitha, wsparł się na taniej, drewnianej lasce i powiedział coś cicho. Smith odparł, również zniżając głos.

To on wszystkim kieruje, pomyślał Cień. Zdradzał to język ciała. Smith nie uśmiechał się już, nie przymilał. Składał raport, sprawnie i cicho, opowiadając starszemu mężczyźnie wszystko, co musiał wiedzieć.

Kiwnął palcem na Cienia i ten podeszedł do nich.

- Cieniu - rzekł Smith - to jest pan Alice.

Pan Alice wyciągnął rękę i ujął w różowe, pulchne palce wielką ciemną dłoń Cienia.

- Bardzo mi miło poznać - rzekł. - Słyszałem o tobie same dobre rzeczy.

- Mnie też miło poznać - odparł Cień.

- No dobrze - rzekł pan Alice - pracuj dalej. Smith skinął głową, odpowiadając Cienia.

- Jeśli można - rzekł Cień - chciałbym rozejrzeć się wokół, póki jest jeszcze jasno.

Wyczuć, skąd mogą przyjść miejscowi.

- Nie oddalaj się zanadto - uprzedził Smith. Podniósł teczkę pana Alice i poprowadził go do budynku.

Cień zaczął okrążyć budynek. Wrobili go w coś. Nie wiedział dlaczego, ale był pewien, że ma rację. Zbyt wiele szczegółów nie pasowało. Po co zatrudniać do ochrony włóczkę, kiedy sprowadza się prawdziwych ochroniarzy. To nie miało sensu. Podobnie jak to, że Smith przedstawił go panu Alice po tym, jak parędziesiąt innych osób potraktowało Cienia nie jak człowieka, lecz zwykłą ozdobę.

Teren przed domem zamykał niski kamienny mur. Za domem wyrastało wzgórze, przypominające niemal niewielką górę. Przed nim łagodne zbocze opadało w stronę jeziora. Bokiem biegła ścieżka, którą przyszedł tamtego ranka. Skręcił i znalazł kuchenny ogród, otoczony wysokim kamiennym murem. Za nim rozciągała się pustka. Wszedł do środka i zbliżył się, by obejrzeć mur.

- Mały rekonesans? - spytał jeden z ochroniarzy, odziany w czarny smoking.

Cień nie dostrzegł go, co oznaczało zapewne, że tamten był świetny w swej pracy. Podobnie jak większość obsługi, mówił ze szkockim akcentem.

- Po prostu się rozglądam.

- Sprawdzasz teren? Bardzo mądrze. Tą stroną się nie przejmuj,

sto metrów dalej jest rzeka wpadająca do jeziora. Za nią mokre skały, wysokie na jakieś sto stóp, opadające w dół. Nie do przebycia.

- Ach tak. Czyli miejscowi, ci, którzy przyszli się skarżyć... skąd właściwie przyszli?

- Nie mam bladego pojęcia.

- Powinienem tam pójść i sprawdzić - rzekł Cień. - Może jest jakieś przejście?

- Nie radziłbym - odparł strażnik. - Na twoim miejscu bym tego nie robił. To naprawdę zdradziecki teren. Zacziesz tam łązić, wystarczy jedno poślizgnięcie i zjedziesz wprost

na skały, do jeziora. Nigdy nie znajdują twojego ciała.

- Rozumiem - mruknął Cień i faktycznie rozumiał.

Nadal wędrował dookoła domu. Teraz, gdy wiedział już czego szukać, wypatrzył pięciu innych strażników. Był pewien, że jeszcze kilku przeoczył.

Przez wysokie przeszklone drzwi głównego skrzydła domu ujrzał wielką, urządzoną w drewnie jadalnię. Goście siedzieli wokół stołu, rozmawiali, śmiali się.

Wrócił do skrzydła służbowego. Po każdej zmianie dań półmiski z resztkami ustawiano na kredensie i obsługa częstowała się do woli, zgarniając jedzenie na papierowe talerze. Smith siedział przy drewnianym kuchennym stole, grzebiąc widelcem w talerzu sałaty i surowej wołowiny.

- Jest tam kawior - poinformował Cienia. - Złoty astrachański, pierwsza klasa. W dawnych czasach notable partyjni zatrzymywali go dla siebie. Osobiście nie przepadam, ale częstuj się.

Cień z grzeczności nałożył sobie na talerz trochę kawioru. Wziął też parę małych gotowanych jajek, makaron i kurczę. Usiadł obok Smitha i zaczął jeść.

- Nie wiem, skąd mogliby przyjść miejscowi - powiedział. - Wasi ludzie zablokowali podjazd. Gdyby ktoś chciał tu dotrzeć, musiałby przepłynąć przez jezioro.

- A zatem zorientowałeś się w terenie.

- Tak.

- Spotkałeś moich chłopców?

- Tak.

- Co o nich myślisz?

- Nie chciałbym mieć z nimi do czynienia. Smith uśmiechnął się złośliwie.

- Taki drań jak ty? Potrafisz o siebie zadbać.

- To zabójcy - odparł Cień z prostotą.

- Tylko w razie potrzeby. - Smith już się nie uśmiechał. Możesz spokojnie zostać w pokoju. Gdybym cię potrzebował, wezwę cię.

- Jasne - odparł Cień. - A jeśli nie będziesz mnie potrzebował, to będzie bardzo łatwy weekend.

Smith uśmiechnął się do niego.

- Zasłużysz na swoją zapłatę.

Cień wspiął się po tylnych schodach, przeszedł przez długi korytarz u szczytu domu i zamknął drzwi swego pokoju. Słyszał dobiegające z dali odgłosy przyjęcia. Wyjrzał przez niewielkie okienko. Oszklone drzwi naprzeciwko stały otworem, imprezowicze w płaszczach i rękawiczkach, z kieliszkami wina w dłoniach wysypali się na wewnętrzny dziedziniec. Słyszał urywki ich rozmów, które zmieniały się nieustannie, płynnie łączyły ze sobą. Dźwięki były wyraźne, ginęły w nich wszakże słowa i znaczenie. Od czasu do czasu z ogólnego zgiełku wybijał się fragment zdania. Jakiś mężczyzna rzekł:

- Powiedziałem mu: ja nie kupuję takich sędziów jak ty, ja ich sprzedaję.

Potem Cień usłyszał kobietę.

- To potwór, moja droga, absolutny potwór. Ale co zrobić? Druga zaś odparła:

- Gdyby tylko dało się to powiedzieć o interesie mojego narzeczonego. - Obie wybuchnęły śmiechem.

Miał dwa wyjścia, mógł zostać albo próbować odejść.

- Zostanę - oznajmił.

Rozdział VI

Była to noc niebezpiecznych snów.

W swym pierwszym śnie Cięń znalazł się z powrotem w Ameryce. Stał pod latarnią. Wmaszerował po schodach, pchnięciem otworzył szklane drzwi i wszedł do restauracji z rodzaju tych, które zaczynały swe życie jako wagony restauracyjne. Słyszał piosenkę; stary człowiek śpiewał niskim, ochryplym głosem na melodię *My Bonnie Lies Over The Ocean*:

Mój dziadek sprzedaje kondomy Dziurawi je lekko, puk, puk. Skrobanki poleca u żony Raz-dwa i już forsy jest w bród...

Cień przeszedł przez cały wagon. Przy stoliku na końcu siedział posiwiasty mężczyzna. Trzymał w dłoni butelkę piwa i śpiewał: *Raz- dwa, raz-dwa, raz-dwa i już forsy jest w bród*. Na widok Cienia jego twarz rozjaśnił szeroki, małpi uśmiech. Mężczyzna machnął butelką piwa.

- Siadaj - rzucił.

Cień usiadł naprzeciwko człowieka, którego znał jako Wednesdaya.

- Jaki masz problem? - spytał Wednesday, który nie żył już od prawie dwóch lat - albo przynajmniej nie żył w stopniu możliwym w przypadku tego rodzaju istot. - Poczęstowałbym cię piwem, ale tutejsza obsługa jest do dupy.

Cień odparł, że nie szkodzi, nie chce piwa.

- I co? - Wednesday podrapał się po brodzie.

- Jestem w wielkim domu w Szkocji z mnóstwem naprawdę bogatych gości i oni coś knują. Mam kłopoty, ale nie wiem jakie. Myślę jednak, że raczej poważne.

Wednesday pociągnął łyk piwa.

- Bogaci są inni, mój chłopcze - rzekł po chwili.

- Co to ma niby znaczyć?

- Cóż - odparł tamten. - Po pierwsze, większość z nich jest zapewne śmiertelna. Ty nie musisz się tym przejmować.

- Tylko bez tych bzdur.

- Ale przecież nie jesteś śmiertelnikiem – przypomniał Wednesday. - Umarłeś na drzewie, Cieniu. Umarłeś i powróciłeś.

- I co z tego? Nie pamiętam nawet, jak to zrobiłem. Jeśli tym razem mnie zabiją, pozostanę martwy.

Wednesday dokończył piwo. Potem zaczął wymachiwać butelką, zupełnie jakby dyrygował niewidzialną orkiestrą, i odśpiewał kolejną zwrotkę:

Mój brat misję ma, istne cudo, Przywodzi grzesznice do cnót, Za dychę przywiedzie ci rudą,

Raz-dwa i już forsy jest w bród...

- Nie pomagasz mi - mruknął Cień. Restauracja była teraz wagonem kolejowym toczącym się z turkotem naprzód w śnieżną noc.

Wednesday odstawił butelkę, przygwoździł Cienia spojrzeniem prawdziwego oka, tego które nie było szklane.

- Wszystko sprowadza się do wzorów - oznajmił. - Jeśli sądzą, że jesteś bohaterem, mylą się. Po śmierci nie jesteś już dłużej Beowulfem, Perseuszem czy Ramą. Zasady zmieniają się całkowicie. Szachy, nie warcaby. Go, nie szachy. Rozumiesz?

- Ani trochę - odparł z frustracją Cień.

Korytarzem wielkiego domu szli ludzie. Poruszali się głośno, pijani, uciszając się teatralnie, gdy potykali się i oddalali.

Cień zastanawiał się, czy to służba, czy może zbłąkani goście z drugiego skrzydła. A potem sny zawładnęły nim ponownie.

Teraz znalazł się z powrotem w chacie, w której dzień wcześniej schronił się przed deszczem. Na podłodze leżało ciało, chłopiec, najwyżej pięcioletni, nagi, na plecach, z rozrzuconymi nogami i rękami. Rozbłysło oślepiające światło i ktoś przepchnął się przez Cienia, jakby w ogóle go tam nie było. Zmienił ułożenie rąk chłopca. Kolejny błysk.

Cień znał człowieka robiącego zdjęcia. To był doktor Gaskell, drobny stalowowłosy człowieczek z hotelowego baru.

Gaskell wyjął z kieszeni białą papierową torbę, pogrzebał w niej i wsunął coś do ust.

- Marmoladki - rzekł do leżącego na kamiennej posadzce dziecka. - Mniem, mniem. Twoje ulubione.

Uśmiechnął się, przykucnął i zrobił kolejne zdjęcie martwego chłopca.

Cień przeniknął przez kamienną ścianę domku, przepływając przez szczeliny w kamieniach niczym wiatr. Poszybował w dół, ku morzu. Fale rozbijały się na skałach, a on posuwał się dalej ponad falami, szarym morzem, w górę i w dół, w stronę statku zrobionego z paznokci nieboszczyków.

Statek był daleko w morzu. Cień przeniknął powierzchnię wody jak widmo chmury.

Statek był wielki. Wcześniej nie dostrzegwał jego ogromu. Czyjaś ręka sięgnęła w dół i chwyciła jego dłoń, wyciągając go z morza na pokład.

- Sprowadź nas z powrotem - rozległ się głos równie donośny jak huk wzburzonego morza, nagłący, porywczy. - Sprowadź nas albo pozwól nam odejść.

W brodatej twarzy płonęło jedno oko.

- Ja was tu nie trzymam.

Statkiem podróżowali olbrzymi, potężni mężczyźni z cieni i zamrożonego wodnego pyłu, istoty z piany i snów. Jeden, roślejszy niż pozostali, rudobrody, wystąpił naprzód.

- Nie możemy przybić do brzegu - zagrzmiał. - Nie możemy odejść.

- Wracajcie do domu - powiedział Cień.

- Przybyliśmy do tego południowego kraju wraz z naszym ludem - oznajmił jednooki. - Ale oni nas opuścili, znaleźli innych, łagodniejszych bogów i odrzucili nas w swych sercach. Zrezygnowali z nas.

- Wracajcie do domu - powtórzył Cień.

- Zbyt wiele czasu upłynęło - powiedział rudobrody. Cień rozpoznał go po wiszącym u boku młocie. - Zbyt wiele krwi przelano. Jesteś z naszej krwi, Baldurze. Uwolnij nas.

I Cień chciał powiedzieć, że wcale nie jest ich, nie należy do nikogo, lecz cienki koc zsunął się z łóżka odsłaniając stopy, a pokój na strychu wypełniło rozmyte światło księżyca.

W wielkim domu panowała cisza. Coś zawodziło na wzgórzach. Cień zadrżał.

Leżał w za małym łóżku i wyobrażał sobie czas jako coś, co wzbiera, rozlewa się w kałuże. Zastanawiał się, czy istnieją miejsca, w których czas gromadzi się, piętrzy, miejsca, w których przechowują go w stosach - miasta, pomyślał, muszą być pełne czasu. Wszystkie miejsca, w których ludzie zbierają się, przybywają i przynoszą ze sobą swój czas.

A jeśli to prawda, myślał dalej Cień, muszą też istnieć inne miejsca, gdzie ludzi można znaleźć bardzo rzadko i ziemia czeka, pełna goryczy i granitu. Dla wzgórz tysiąc lat to jedynie mgnienie oka - chmura przepływająca po niebie, falowanie trzciny i nic poza tym. To miejsca, w których czas zalega płytko na ziemi, równie rzadki jak ludzie...

- Oni cię zabijają - szepnęła barmanka Jennie.

Cień siedział obok niej na wzgórzu, w blasku księżyca.

- Czemu mieliby to zrobić? - spytał. - Nie jestem nikim ważnym.

- Tak właśnie postępują z potworami - odparła. - To właśnie robią. Zawsze robili.

Wyciągnął rękę, by jej dotknąć, ona jednak odwróciła się. Z tyłu była pusta, próżna. Odwróciła się ponownie i spojrzała na niego.

- Odejdź stąd - szepnęła.

- Ty możesz przyjść do mnie - rzekł.

- Nie mogę, na drodze czekają przeszkody. Jest trudna i strzeżona. Mógłbyś jednak mnie wezwać. Jeśli mnie wezwiesz, przybędę.

A potem nadszedł świt, a wraz z nim z bagniska u stóp wzgórza wzleciała chmara meszek. Jennie odganiała je machnięciami ogona, nic to jednak nie dało. Opadły na Cienia niczym obłok i po chwili oddychał już meszkami, jego nos i usta wypełniły maleńkie, pełzające, kłujące istoty i zaczął dławić się w ciemności.

Szarpnął się i powrócił do swego łóżka, ciała i życia, do świata jawy. Serce tłukło mu się w piersi, z trudem chwycił oddech.

Rozdział VII

Na śniadanie podano smażone śledzie, pieczone pomidory, jajecznicę, tosty, dwie grube jak kciuk kielbaski i plastry czegoś ciemnego, okrągłego i płaskiego, czego Cień nie rozpoznał.

- Co to? - spytał.

- Czarny pudding - odparł siedzący obok ochroniarz. Podczas jedzenia zagłębił się w lekturze wczorajszego numeru „Suna”. - Krew i zioła. Gotują krew, aż zgęstnieje i stwardnieje, tworząc ciemny, ziołowy strup. - Widelcem nałożył na grzankę jajecznicę i zjadł palcami. - No, sam nie wiem. Jak to mawiają, nigdy nie powinno się oglądać, jak powstaje kielbasa i prawo. Coś w tym guście.

Cień zjadł resztę śniadania, czarny pudding jednak zostawił nietknięty.

W kuchni pojawił się dzbanek prawdziwej kawy. Cień wypił cały kubek. Czarny gorący płyn obudził go, oczyścił umysł. Do środka wszedł Smith.

- Hej, ty, Cieniasty, mogę cię wypożyczyć na pięć minut?

- Ty mi płacisz - odparł Cień. Razem wyszli na korytarz.

- To pan Alice - wyjaśnił Smith. - Chce zamienić z tobą parę słów.

Z żalostnego bielonego skrzydła służbowego przeszli do wykładanego boazerią, przestronnego, starego domostwa. Wspięli się po szerokich drewnianych schodach, wiodących do olbrzymiej biblioteki. W środku nie było nikogo.

- Zaraz się zjawi - oznajmił Smith. - Zawiadomię go, że czekasz. Książek w bibliotece przed myszami, kurzem i ludźmi strzegły zamykane, oszklone drzwi, wzmocnione cienką metalową siatką. Na ścianie wisiał obraz przedstawiający jelenia. Cień podszedł bliżej, by mu się przyjrzeć. Jeleń wyniosłe spoglądał w dal, za nim rozciągała się zamglona dolina.

- „Władca górskiej doliny” - oznajmił pan Alice, zbliżając się powoli, wsparty na lasce. - Najczęściej reprodukowany obraz epoki wiktoriańskiej. To nie oryginał, lecz namalował go sam Landseer pod koniec lat pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, kopiując własny obraz. Uwielbiam go, choć nie powinienem. Lwy z Trafalgar Square to także jego dzieło. Landseer. Niezły gość.

Podszedł do wykuszowego okna. Cień podążył za nim. W dole na dziedzińcu służba rozstawiała krzesła i stoły. Obok stawu, pośrodku dziedzińca inni ludzie układali stosy drewna. Cień rozpoznał w nich gości.

- Czemu nie każą tego zrobić służbie? - spytał.

- Mieliby im zostawić całą zabawę? - odparł pytaniem pan Alice.

- Równie dobrze mógłbyś pewnego dnia wysłać swego służącego na pole, by zastrzelił ci kilka bażantów. W układaniu ogniska, przeciąganiu drew, ustawianiu idealnego stosu jest coś niezwykłego, tak przynajmniej mówią. Sam nigdy tego nie robiłem. - Odwrócił się od okna. - Usiądź - polecił. - Od zadzierania głowy boli mnie szyja.

Cień usiadł.

- Wiele o tobie słyszałem - oznajmił pan Alice. - Od dawna chciałem cię poznać. Mówią, że jesteś bystrym młodzieńcem, który ma przed sobą wielką przyszłość. Tak słyszałem.

- Czyli nie wynajęliście po prostu turysty, który miałby nie dopuszczać na imprezę sąsiadów.

- Cóż, tak i nie. Oczywiście mieliśmy kilku innych kandydatów. Po prostu nadawałeś się idealnie. A potem zorientowałem się, kim jesteś. Prawdziwy z ciebie dar bogów, prawda?

- Nie wiem. Prawda?

- O tak. Widzisz, to przyjęcie odbywa się od bardzo, bardzo dawna. Urządzają je od prawie tysiąca lat, co rok. I co rok odbywa się walka pomiędzy naszym i ich człowiekiem. I nasz człowiek wygrywa. W tym roku ty nim jesteś.

- Kim... - zaczął Cień. - Kim są oni? I kim ty jesteś?

- Ja jestem gospodarzem - oznajmił pan Alice. - Przypuszczam...

- Urwał na moment, postukując laską w drewnianą podłogę. - Oni to ci, którzy przegrali dawno temu. My wygramy. My byliśmy rycerzami, a oni smokami. My zabójcami olbrzymów, oni ogrami. My byliśmy ludźmi, a oni potworami. I to my wygramy. Teraz znają już swoje miejsce. A dzisiejszy dzień służy temu, by nie zapomnieli. Dziś będziesz

walczył za całą ludzkość. Nie możemy pozwolić, by zyskali przewagę, nawet na moment. My albo oni.

- Doktor Gaskell mówił, że jestem potworem.

- Doktor Gaskell? - spytał pan Alice. - Twój znajomy?

- Nie - wyjaśnił Cień. - Pracuje dla pana. Albo dla ludzi, którzy pracują dla pana. Myślę, że zabija dzieci i robi im zdjęcia.

Pan Alice upuścił laskę. Pochylił się niezgrabnie i podniósł ją.

- Cóż, osobiście nie uważam, że jesteś potworem, Cieniu. Myślę, że jesteś bohaterem.

Nie, pomyślał Cień. Uważasz, że jestem potworem, ale waszym potworem.

- Jeśli dobrze się spiszesz dziś wieczór - podjął pan Alice - a wiem, że tak będzie, możesz wyznaczyć własną cenę. Zastanawiałeś się, czemu niektórzy ludzie zostają gwiazdami filmowymi, zyskują sławę, bogactwa? Z pewnością myślałeś nieraz: przecież to beztalencie. Co on ma, czego nie mam ja? Cóż, czasami odpowiedź brzmi: ma po swej stronie kogoś takiego jak ja.

- Czy ty jesteś bogiem? - spytał Cień.

Wówczas pan Alice zaśmiał się nisko, gardłowo.

- Ładny tekst, panie Moon. Ależ nie, jestem zwykłym chłopakiem z Streatham, któremu nieźle powiodło się w życiu.

- Z kim miałbym walczyć?

- Spotkasz go dziś wieczór - odparł pan Alice. - A teraz musimy znieść ze strychu pewne rzeczy. Może pomożesz Smithiemu? Duży z ciebie chłopak, uwiniesz się raz dwa.

Audycja dobiegła końca i idealnie w tym momencie, niczym na niewidzialny znak, zjawił się Smith.

- Mówiłem właśnie - rzekł pan Alice - że ten tu chłopiec mógłby ci pomóc znieść rzeczy ze strychu.

- Super - rzucił Smith. - Chodź na górę, Cieniu.

I poszli - przez cały dom, ciemnymi drewnianymi schodami do zamkniętych na kłódkę drzwi, które Smith otworzył, i dalej, na zakurzony, drewniany strych pełen stosów czegoś co wyglądało jak...

- Bębny? - spytał Cień.

- Bębny - potwierdził Smith. Zrobiono je z drewna i zwierzęcych skór, każdy innej wielkości. - No dobra, znosimy je.

Zabrali bębny na dół. Smith zabierał po jednym, trzymając je ostrożnie jak bezcenne skarby. Cień brał dwa.

- Co naprawdę wydarzy się dziś wieczór? - spytał podczas trzeciej czy może czwartej wyprawy na górę.

- No cóż - odparł Smith. - Z tego co wiem, najlepiej będzie, jeśli większości sam się domyślisz. Na bieżąco.

- A ty i pan Alice? Jaką rolę odgrywacie w tym wszystkim?

Smith zerknął na niego. Ustawili bębny u stóp schodów w wielkim holu. Przy kominku siedziało kilkunastu pogrążonych w rozmowie mężczyzn.

Gdy znaleźli się na górze, poza zasięgiem słuchu gości, Smith odezwał się cicho.

- Pan Alice opuści nas dziś po południu. Ja zostanę dłużej.

- Wyjeżdża? On nie jest częścią tego? Smith sprawiał wrażenie urażonego.

- Jest gospodarzem - odparł. - Ale...

Cień rozumiał. Smith nie rozmawiał o swym pracodawcy. Znieśli kolejne bębny. Gdy w końcu się z nimi uporali, zabrali na dół ciężkie, skórzane torby.

- Co jest w środku? - spytał Cień.

- Pałeczki - wyjaśnił Smith. Po chwili dodał: - To stare rodziny, ci na dole, bardzo stare pieniądze. Widzą, kto jest szefem, ale nie czyni go to jednym z nich. Rozumiesz? W dzisiejszym przyjęciu uczestniczą tylko oni. Nie chcą pana Alice. Rozumiesz?

I Cień rzeczywiście rozumiał. Pożałował, że Smith opowiedział mu o panu Alice. Nie sądził, by tamten odezwał się choć słowem, gdyby uważał, że jego rozmówca dożyje następnego dnia.

Na głos powiedział jednak tylko:

- Ciężkie te pałeczki.

Rozdział VIII

Późnym popołudniem niewielki helikopter zabrał pana Alice. Land rovery wywoziły obsługę. Ostatnim kierował Smith. W domu został tylko Cień i goście, uśmiechnięci i elegancy.

Przyglądali się mu niczym schwytanemu lwu, sprowadzonemu dla ich rozrywki. Ale nie odzywali się do niego.

Ciemnowłosa kobieta, ta która uśmiechnęła się do Cienia tuż po przylocie, przyniosła mu jedzenie: stek, niemal surowy. Leżał samotnie na talerzu, bez sztuców, jakby oczekiwała, że Cień zje go, posługując się tylko palcami i zębami. A że był głodny, tak właśnie uczynił.

- Nie jestem waszym bohaterem - powiedział, oni jednak unikali jego wzroku.

Nikt nic do niego nie mówił, nie wprost. Czuł się jak zwierzę.

A potem zapadł zmrok. Poprowadzili Cienia na wewnętrzny dziedziniec obok zakurzonej fontanny i grożąc bronią, rozebrali do naga, a kobiety wysmarowały jego ciało gęstym, żółtym tłuszczem, wcierając go dokładnie.

Na trawie przed nim położyli nóż. Machnięcie pistoletem i Cień podniósł broń. Rękojeść zrobiono z czarnego, szorstkiego metalu. Dobrze leżała w dłoni. Klinga wyglądała na bardzo ostrą.

Wtedy otworzyli szeroko wielką bramę dzielącą dziedziniec od świata zewnętrznego. Dwaj mężczyźni rozpalili dwa wysokie ogniska. Płomienie z trzaskiem wystrzeliły w górę. Otworzyli skórzane torby i każdy z gości wyjął jeden rzeźbiony, czarny kij przypominający pałkę, ciężki i gruzłowaty. Cień odkrył, że myśli o dzieciach Sawneya Baene'a, rojących się w ciemności, uzbrojonych w pałki z ludzkich kości udowych...

A potem goście ustawili się wokół dziedzińca i zaczęli uderzać pałkami w bębny.

Z początku czynili to powoli i cicho - głęboki, pulsujący dźwięk, przypominający bicie serca. Potem przyspieszyli, wybijając osobliwe rytmy, narastające staccato, rytmy splatające się ze sobą, coraz głośniejsze i głośniejsze, aż w końcu wypełniły umysł i świat Cienia. Miał wrażenie, że ogniska migoczą do wtóru bębnów.

I wtedy poza domem coś zaczęło skowyczeć.

W owym skowycie słyhać było ból i cierpienie. Odbijał się echem między wzgórzami, zagłuszając bębnienie. Rozbrzmiewały w nim męka, nienawiść i poczucie straty.

Istota, która, potykając się, przeszła przez bramę na dziedziniec, ścisnęła mocno głowę,

zasłaniając uszy, jakby chciała uciszyć łoskot bębnow.

Blask ognia oświetlił ją.

Była olbrzymią, większą niż Cień i naga, całkowicie pozbawiona włosów, ociekająca wodą.

Stwór opuścił ręce i rozejrzał się szybko. Jego twarz wykrzywił szaleńczy grymas.

- Przestańcie! - wrzasnął. - Przestańcie tak hałasować!

A ludzie w pięknych ubraniach jeszcze mocniej i szybciej uderzyli w bębny. Hałas wypełnił głowę i pierś Cienia.

Potwór wystąpił na środek dziedzińca. Spojrzał na Cienia.

- To ty - rzekł. - Mówiłem ci, mówiłem o hałasie. - Zawył głęboko, gardłowo, nienawistnie i wyzywająco.

Stwór powoli podszedł bliżej, ujrzał nóż i zamarł.

- Walcz ze mną! - wrzasnął. - Walcz uczciwie! Nie zimnym żelazem! Walcz!

- Nie chcę z tobą walczyć - odparł Cień. Odrzucił nóż na trawę i uniósł ręce, demonstrując, że są puste.

- Za późno - odparła łysa istota niebędąca człowiekiem. - Już na to za późno.

I rzuciła się na Cienia.

Później, gdy Cień wspominał ową walkę, pamiętał jedynie urywki. Pamiętał, jak to coś przygniotło go do ziemi i jak uskoczył na bok. Pamiętał łoskot bębnow i wyraz twarzy ludzi, gdy patrzyli łakomie, zachłannie pomiędzy ogniskami na dwóch walczących pośrodku.

A oni walczyli, siłowali się i tłukli pięściami.

Słone łzy spływały po twarzy potwora, gdy zmagał się z Cieniem. Cień oceniał, że żaden z nich nie ma przewagi.

Potwór rąbnął go przedramieniem w twarz i Cień poczuł smak własnej krwi. Wezbrał w nim gniew, czerwona ściana nienawiści.

Zamachnął się nogą, podciął kolano potwora, a gdy ten zachwiał się do tyłu, pięść Cienia rąbnęła go w brzuch. Potwór wrzasnął z wściekłości i bólu.

Rzut oka na gości. Cień ujrzał na ich twarzach żądzę krwi.

Zerwał się wiatr, zimny, morski wiatr i Cieniowi wydało się, że na niebie zawisły potężne cienie, olbrzymie postaci, które widział wcześniej na łodzi zrobionej z paznokci martwych mężów. Postaci te spoglądały na niego. To właśnie ta walka trzymała je uwięzione na statku, niezdolne wylądować, niezdolne odejść.

Walka jest stara, pomyślał Cień. Starsza nawet, niż sądzi pan Alice. Myślał to w chwili, gdy szpony stwora rozdarły mu pierś. Była to walka człowieka z potworem, stara jak sam czas: Tezeusz zmagający się z Minotaurem, Beowulf i Grendel, każdy bohater, który stanął pomiędzy blaskiem ognia i ciemnością, ścierając z miecza krew czegoś nieludzkiego.

Ogniska płonęły, bębny łomotały i pulsowały niczym tysiąc serc. Cień pośliznął się na wilgotnej trawie i w tej samej chwili potwór zaatakował. Cień runął na ziemię. Palce stwora zaciskały się wokół jego szyi, coraz mocniej. Czuł, jak wszystko się rozmywa, oddala.

Kurczowo chwycił kępę trawy, wyrwał ją, wbił głęboko palce, zgarnął garść trawy i lepkiej ziemi, i ciężką pacyną uderzył wprost w twarz potwora, na moment go oślepiając. Dźwignął się szybko i teraz to on był górą. Mocno wbił kolano w krocze stwora, który

skulił się, przyjmując pozycję płodową, i szlochał zawodząc.

Cień zorientował się, że bębny umilkły. Uniósł wzrok. Goście przestali w nie uderzać.

Zbliżali się do niego, cały krąg, mężczyźni i kobiety. Wciąż trzymali w dłoniach pałki, teraz jednak unosili je niczym broń. Nie patrzyli jednak na Cienia. Wpatrywali się w leżącego na ziemi potwora i unosząc czarne kije, podchodzili coraz bliżej w blasku bliźniaczych ognisk.

- Stójcie! - rzucił Cień.

Pierwsza pałka opadła na głowę stwora. Ten zapłakał i przekreślił się, unosząc rękę w obronie przed następnym ciosem.

Cień rzucił się na niego, osłaniając go własnym ciałem. Ciemnowłosa kobieta, która wcześniej obdarzyła go uśmiechem, teraz obojętnie uderzyła z całych sił w ramię. Inna pałka, tym razem mężczyzny, zadała potężny cios w nogę. Trzecia rąbnęła w bok.

Zabiją nas obu, pomyślał. Najpierw jego, potem mnie. To właśnie robią, to zawsze robili. A potem: powiedziała, że przybędzie jeśli ją wezwę.

- Jennie - szepnął Cień.

Nikt nie odpowiedział. Wszystko działo się bardzo wolno. Widział kolejną pałkę opadającą wprost ku jego dłoni. Cień odturlał się niezgrabnie i ujrzał, jak ciężki kij wali w trawę.

- Jennie - powiedział, przywołując w pamięci obraz zbyt jasnych włosów, chudej twarzy, uśmiechu. - Wzywam cię. Przybądź teraz. Proszę.

Powiew zimnego wiatru.

Ciemnowłosa kobieta wysoko uniosła kij i zamachnęła się szybko, mocno, celując w twarz Cienia.

Cios nigdy nie dotarł do celu. Drobną dłoń chwyciła ciężki kij niczym gałązkę.

Jasne włosy tańczyły wokół jej głowy, unoszone powiewami lodowatego wiatru. Nie potrafił stwierdzić, w co była ubrana.

Spojrzała na niego. Cieniowi wydało się, że dostrzega w jej oczach zawód.

Jeden z mężczyzn próbował rąbnąć ją w tył głowy. Nie zdążył. Odwróciła się...

Ogłuszający dźwięk, jakby coś pękało darte na strzępy...

A potem ogniska eksplodowały, tak to przynajmniej wyglądało. Cały dziedziniec zasłany płonące drwa, wpadły nawet do domu. Ludzie krzyczeli pośród podmuchów ostrego wiatru.

Cień z trudem dźwignął się na nogi.

Potwór leżał na ziemi skręcony, zakrwawiony. Cień nie wiedział czy żyje, czy też nie. Podniósł go, zarzucił sobie na ramię i potykając się ruszył naprzód.

Gdy tylko znalazł się na zwirowym podjeździe, ciężka brama zatrzasnęła się za nim. Nikt inny nie zdoła już wyjść. Cień nie przystawał. Szedł dalej, krok po kroku, w dół, w stronę jeziora.

Gdy dotarł na skraj wody, zatrzymał się i osunął na kolana, delikatnie układając na trawie łysego mężczyznę. Usłyszał głośny trzask i spojrzał na wzgórze. Dom stał w płomieniach.

- Co z nim? - usłyszał kobiecy głos.

Cień odwrócił się. Stała po kolana w wodzie, matka stwora. Brodząc, zbliżała się do brzegu.

- Nie wiem - odparł. - Jest ranny.

- Obaj jesteście - stwierdziła. - Cali we krwi i siniakach.

- Tak.

- Ale jednak - dodała - nie zginął. To miła odmiana.

Dotarła już do brzegu, usiadła, kładąc na kolanach głowę syna. Z torebki wyjęła paczkę chusteczek, splunęła na jedną i zaczęła gorączkowo szorować twarz syna, ścierając krew.

Dom na wzgórzu palił się na dobre. Cień nie przypuszczał, że pożar może być aż tak głośny. Stara kobieta spojrzała w niebo. Zaczemokła w głębi gardła i pokręciła głową.

- Wiesz - rzekła - wpuściłeś ich. Od tak dawna byli uwięzieni, a ty ich wpuściłeś.

- Czy to dobrze? - spytał Cień.

- Nie wiem, kochaniutki - odparła drobna kobieta i znów pokręciła głową. Zaczęła nucić, cicho, kojąco, jakby jej syn wciąż był dzieckiem, i przecierała śliną kolejne rany.

Cień klęczał nagi na skraju jeziora, lecz ciepło płonącego budynku nie pozwalało mu zamarznąć. W szklistej wodzie widział odbicie płomieni. Na niebie wschodził złoty księżyc.

Zaczynał odczuwać ból. Wiedział, że jutro będzie znacznie gorzej.

Kroki na trawie za plecami. Uniósł wzrok.

- Cześć, Smithie.

Smith omiół wzrokiem całą trójkę.

- Cieniu - rzekł, kręcąc głową. - Cieniu, Cieniu, Cieniu, Cieniu. Nie tak to miało wyglądać.

- Przykro mi - odparł Cień.

- To będzie wielki wstyd dla pana Alice. Ci ludzie byli jego gośćmi.

- Byli zwierzętami - poprawił Cień.

- Jeśli nawet - odparł Smith - to bogatymi i ważnymi zwierzętami. Trzeba będzie zająć się wdowami, sierotami i Bóg jeden wie kim jeszcze. Pan Alice nie będzie zachwycony - wypowiedział to niczym sędzia ogłaszający wyrok śmierci.

- Czy ty mu grozisz? - wtrąciła staruszka.

- Ja nie grożę - odparł beznamiętnie Smith. Uśmiechnęła się.

- Ach - mruknęła. - Ale ja owszem. Jeśli ty albo tłusty łobuz, dla którego pracujesz, zrobicie krzywdę temu młodzieńcowi, sami ucierpicie bardziej. - Uśmiechnęła się ponownie, odsłaniając ostre zęby, i Cień poczuł, jak drobne włoski na karku jeżą mu się gwałtownie. - Istnieją rzeczy gorsze niż śmierć - dodała. - A ja znam większość z nich. Nie jestem młoda i nie przepadam za czczą gadaniną. Toteż na waszym miejscu - dodała, pociągając nosem - dobrze zaopiekowałabym się tym chłopcem.

Jedną ręką podniosła syna niczym drobną lalkę, drugą przycisnęła do siebie torebkę.

A potem skinęła głową Cieniowi i odeszła w głąb ciemnej, szklistej wody. Wkrótce wraz z synem zniknęli pod powierzchnią jeziora.

- Kurwa - mruknął Smith. Cień nie odpowiedział.

Smith pogrzał w kieszeni, wyciągnął worek z tytoniem i skręcił papierosa. Zapalił.

- No dobra - rzekł.

- Dobra? - rzucił Cień.

- Musimy cię umyć i znaleźć jakieś ubranie, inaczej zaziębisz się na śmierć. Słyszałeś, co powiedziała.

Rozdział IX

Tej nocy w hotelu na Cienia czekał już najlepszy pokój. Niecałą godzinę po jego powrocie Gordon z recepcji przyniósł mu nowy plecak, pudełko nowych ubrań, nawet nowe buty. Nie zadawał żadnych pytań.

Na stosie ciuchów leżała gruba koperta.

Cień rozdarł ją. W środku znalazł swój (nieco przypalony) paszport, portfel i pieniądze. Kilkanaście plików nowych pięćdziesięciofuntówek owiniętych gumkami.

Raz-dwa i już forsy jest w bród, pomyślał, nie czując żadnej przyjemności. Bez powodzenia próbował sobie przypomnieć, gdzie wcześniej słyszał tę piosenkę.

Wziął długą kąpiel, by pozbyć się bólu. A potem zasnął.

Rano ubrał się i ruszył naprzód uliczką obok hotelu, wiodącą na szczyt wzgórza poza wioskę. Był pewien, że stał tam domek z lawendowym ogrodem, pasiastym blatem z nagiej sosny i fioletową kanapą. Lecz mimo że szukał długo, nie znalazł niczego, żadnych śladów świadczących o tym, by kiedykolwiek coś tam było prócz trawy i wysokiego krzaku głogu.

Zawołał jej imię, ale odpowiedział mu tylko wiatr od morza, niosący ze sobą pierwszą zapowiedź zimy.

Gdy jednak wrócił do pokoju hotelowego, czekała na niego. Siedziała na łóżku opatulona w stary brązowy płaszcz i uważnie oglądała swe paznokcie. Gdy otworzył drzwi i wszedł do środka, nie uniosła głowy.

- Cześć, Jennie - rzucił.

- Cześć - odparła bardzo cicho.

- Dziękuję - rzekł. - Ocaliłaś mi życie.

- Wezwałeś mnie - powiedziała bezbarwnym głosem. - Przybyłam.

- Co się stało? - spytał. Wówczas spojrzała na niego.

- Mogłam być twoja - rzekła. W jej oczach zakręciły się łzy. - Sądziłam, że mnie pokochasz. Może. Pewnego dnia.

- No cóż - rzekł. - Może się przekonamy. Moglibyśmy przejść się jutro razem. Nie będzie to długi spacer, bo chwilowo nie jestem w najlepszej formie.

Pokręciła głową.

Najdziwniejsze, pomyślał Cień, że zupełnie nie wygląda już jak człowiek. Widział przed sobą to, czym była naprawdę - dziką, leśną istotę. Jej ogon drżał lekko na łóżku pod płaszczem. Była bardzo piękna i odkrył nagle, że jej pożąda.

- Najtrudniejszą rzeczą w byciu *hulder* - rzekła Jennie - nawet *hulder* daleko od domu, jest to, że jeśli nie chce być samotna, musi pokochać śmiertelnika.

- Kochaj mnie więc. Zostań ze mną - mruknął. - Proszę.

- Ty - odparła ze smutkiem, tonem kończącym dyskusję - nie jesteś śmiertelnikiem.

Wstała.

- Jednak - dodała - wszystko się zmienia. Może teraz zdołam wrócić do domu. Minęło już tysiąc lat, nie wiem nawet czy pamiętam mój *norsk*.

Ujęła jego ręce w swe drobne dłonie, dłonie, które potrafiły wyginać żelazne sztaby, miażdżyć kamień w pył, i uścisnęła je delikatnie. A potem zniknęła.

Został w hotelu jeszcze jeden dzień, następnie złapał autobus do Thurso i pociąg z Thurso do Inverness.

W pociągu zdrzemnął się, ale nie śnił.

Gdy się ocknął, obok niego siedział mężczyzna. Mężczyzna o ostrych rysach twarzy, czytający książkę w miękkiej okładce. Widząc, że Cień się obudził, zamknął ją. Cień spojrzał w dół: Jean Cocteau, *Problemy istnienia*.

- Dobra książka? - spytał.

- W porządku - odparł Smith. - To zbiór esejów. Mają być osobiste, ale czujesz, że za każdym razem, gdy autor niewinnie unosi wzrok i mówi: „To ja”, w istocie blefuje, i to podwójnie. Podobała mi się *Piękna i bestia*. Wówczas czułem się mu bliższy niż poprzez te eseje.

- Wszystko znajdziesz na okładce - zauważył Cień.

- To znaczy?

- Problemy istnienia Jeana Cocteau.

Smith podrapał się po nosie.

- Proszę. - Wręczył Cieniowi egzemplarz „Scotsmana”. - Strona dziewiąta.

Na dole strony dziewiątej zamieszczono krótką notatkę. Emerytowany lekarz popełnia samobójstwo. Ciało Gaskella znaleziono w samochodzie zaparkowanym w popularnym miejscu piknikowym na brzegu morza. Połknął niezłą mieszankę środków przeciwbólowych, popijając prawie całą butelką lagavulin.

- Pan Alice nie znosi, gdy ktoś go okłamuje - oznajmił Smith. - Zwłaszcza pracownicy.

- Jest tam coś o pożarze? - spytał Cień.

- Jakim pożarze?

- Ach, jasne.

- Nie zdziwiłoby mnie jednak, gdyby w ciągu najbliższych miesięcy wielkich i bogatych prześladował wyjątkowy pech. Wypadki samochodowe, katastrofy kolejowe, może rozbity samolot. Pograżone w żałobie wdowy, sieroty, narzeczeni. Bardzo smutne.

Cień skinął głową.

- Wiesz - dodał Smith - pan Alice bardzo troszczy się o twoje zdrowie. Martwi się. Ja zresztą też.

- Tak? - spytał Cień.

- Jasne. Jeśli coś ci się przytrafi w tym kraju, może spojrzysz w złą stronę, przechodząc przez jezdnię, pokażesz plik banknotów w niewłaściwym pubie, sam nie wiem. Chodzi o to, że jeśli stanie ci się krzywda, wówczas ta, jak jej tam, matka Grendela, mogłaby źle to przyjąć.

- I?

- I uważamy, że powinieneś wyjechać z Anglii. Tak będzie bezpieczniej dla wszystkich. Nie sądzisz?

Jakiś czas Cień milczał. Pociąg zaczął zwalniać.

- Zgoda - rzekł w końcu.

- To mój przystanek - oznajmił Smith. - Tu wysiadam. Zarezerwujemy ci bilet, oczywiście pierwszej klasy, do dowolnego miejsca, w jedną stronę. Musisz tylko powiedzieć, dokąd. Cień potarł siniaka na policzku. Coś w bólu działało niemal kojąco.

Pociąg zatrzymał się, stali na niewielkiej stacji na pustkowiu. Obok dworca w słabym słońcu parkował duży czarny wóz. Miał przyciemniane szyby, Cień nie mógł zajrzeć do środka.

Pan Smith opuścił szybę w oknie, sięgnął na zewnątrz, otworzył drzwi przedziału i wyszedł na peron. Przez otwarte okno spojrzał na Cienia.

- I co?

- Myślę - odparł Cień - że przez parę tygodni pozwiedzam sobie Anglię. Będziecie musieli się modlić, żebym, przechodząc przez jezdnę, spojrział we właściwą stronę.

- A potem?

I Cień już wiedział. Może wiedział od początku?

- Chicago - rzekł do Smitha w chwili, gdy pociąg szarpnął i zaczął oddalać się od dworca. Mówiąc to, poczuł się starszy, ale nie mógł odkładać tego wiecznie.

A po chwili dodał tak cicho, że tylko on to usłyszał:

- Chyba wracam do domu.

Wkrótce potem zaczęło padać - wielkie, ciężkie krople, bębniące o szyby i przesłaniające świat rozmazaną kurtyną szarości i zieleni. Niskie pomruki grzmotów towarzyszyły Cieniowi w jego podróży na południe. Burza zawodziła, wiatr skowyczał, a błyskawice rzucały na niebo potężne cienie. W ich towarzystwie powoli poczuł się mniej samotny.